



<http://rcin.org.pl>







TANIE  
ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI  
ELIZY ORZESZKOWEJ.

---

Tom XIII.

C n o t l i w i.

---

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 39.

1885.

ELIZA ORZESZKOWA.

---

# CNOTLIWI.

---

POWIEŚĆ.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. ~~26-68-63, 26-52-31~~ w. 42

WARSZAWA.

Własność, nakład i druk S. Lewentala.

Nowy Świat Nr. 39.

1885.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено цензурою.

Варшава 2 Декабря 1884 года.

2536  
<http://rcin.org.pl>



„Nie widziałem na świecie obrzydliwszej złości,  
Jak malowany pozór świętej gorliwości.  
Którego szarlatani chętnie używają,  
Z którym zwykle na pokaz cnotliwi igrają.  
Aby, słoniąc nim kłamstwo swych ról wyuczonych,  
Nadużywać imienia rzeczy uświęconych.  
Ci ludzie, pełni chciwej i grzesznej!ochoty,  
Rzemiosło, albo towar czynią sobie z cnoty,  
Zdobywając zaszczyty, wiarę, poważanie,  
Przez udane zapaly i ócz przewracanie.  
Ci ludzie, którzy biegną z gorliwością rzadką  
Ku własnej swej korzyści drogą niebios gładką,  
Umieją swe występki godzić z pobożnością,  
Grzeszą sami mściwością, złością, nieprawością,  
A na zgubę bliźniego gotowi zuchwale  
Ciskać gromy zatrute w żarliwym zapale.  
Tym więcej niebezpieczni, ile w przewrotności  
Posługują się bronią cnoty, pobożności,  
I w świętym uniesieniu ogólnie chwalonem,  
Mordują bliźnich swoich ostrzem poświęconem“.

(Molière, z komedyi *Świętoszek*).

2536

<http://rcin.org.pl>

## I.

Nad pewną piękną i wielką rzeką stoi pewne miasto, niebardzo wielkie i niebardzo małe, niebardzo piękne i niebardzo brzydkie. Ulice posiada dość szerokie i czyste, ale zaopatrzone brukiem, który każe przechodniom koniecznie zapominać o niebie; bo biada temu, kto, po nim stąpając, choć na chwilę wzrok swój od ziemi oderwał! Chodniki są tam także; ale różnią się tęp od wszelkich innych chodników tego świata, że, oprócz do chodzenia, służą tęp do skakania, przedstawiając nieprzejrzany ciąg wzgórz, dolin, wąwozów i strumieni.

Na tych ulicach i na tych chodnikach roi się trzydziesto-tysięczna z górą ludność, z której przynajmniej połowa chwali Boga Abrahamów i Izaaków, i każdego piątkowego wieczoru illuminuje okna swych mieszkań łójówkami. Druga połowa publiczności bardzo przyzwoity przedstawia widok, mianowicie w dni świąteczne, w godzinach ogólnego pochodu do

kościółów, albo w dni pogodne, o uświęconej przechadzkowej dobie. W owych porach ogólnego na mieście ruchu, zobaczyć tam można i piękne powozy, i liberyowanych lokajów, jedwabne suknie i najmłodniejsze, jakie być mogą, kapelusze, beduiny i paletoty, bonżurki i marynarki, twarżyczki kobiece białe i delikatne, wąsiki męzkie, zaostrzane à la Napoleon i t. d. Oprócz tego, w dniu powszednie, panuje tam ciągly a znaczny ruch interesów majątkowych, handlowych i przemysłowych, wizyt, wesel, chrzcin, pogrzebów, miłości, niechęci, intryżek, plotek, biedowania, radowania się, oczekiwania — wszystkich słowem ingrediencyi, składających tę mieszaninę, która stanowi zwykle wrzący, huczący, płaczący ze śmiechem i śmiejący się wśród płaczu — żywot nagromadzonej w jedno miejsce ludności.

Jak w każdym podobnej wielkości mieście, są tam rynki, pełne wrzawy z rana, a śmiecia wieczorem; parę ogrodów publicznych, z których większy posiada dwieście kroków długości, a sto szerokości; kilka kościołów, z których jeden wielki i piękny; kilkanaście sklepów, a kilkadziesiąt sklepików, i nareszcie wiele dwu- i trzypiętrowych kamienic, pomalowanych wszelkimi możebnymi barwami, a więcej jeszcze skromnych domków z przedpotopowemi facyatkami, lub chałup, stojących na kurzych łapach, ze ścianami, zabierającemi się do spoczynku, i szybami, pozaklejającemi brudną bibułą. Wiosną i latem, niekiedy na-

wet i zimą, jeśli mróz nie dochodzi zbyt kaleczących uszy i oczy rozmiarów, na chodnikach ulic, o zmroku, Izrael rozpoczyna czynności swego publicznego życia. Wszędzie, gdzie stąpisz, odbywają się umowy, narady, dysputy, których treść odgadujęm po giestach rąk, wysuwających się z chałatów i z wyrazów fizyognomii, na których długie przyzwyczajenie do rachuby wyryło wielkimi cyframi cztery działania arytmetyczne. Przed bramy domowstw wynoszą się ławeczki, a na nich, po zamknięciu swych sklepików, siedają żydówki kramarki, robiąc w ciemności na pamięć czarne i szafirowe pończochy, gwarząc między sobą o zyskach dnia upłynionego, i grożąc dzieciakom, które, bawiąc się obok nich w wąwozach i strumieniach chodnika, wrzeszczą w niebogłosey.

Środkiem ulicy przemyka niekiedy elegancki powóz, dwie lub trzy dorożki zaturkocą jednocześnie, jękliwa szarmantka zawiedzie pod jakim oknem aryą z Trubadura, z wieży kościelnej rozbrzmi głos dzwonu, do wieczornej wzywającego modlitwy, wesoły przechodzień zagwiżdże aryetkę i laseczką o kamienie uderzy, pałasz zgrzytnie po bruku, parę sukien kobiecych zabieleje.

Potem zapada noc, rozchodzą się izraelskie grupy, ucicha wrzawa żydziąt, wieże kościelne milkną w senniej ciszy, zamykają się bramy i okiennice domowstw, gasną światła w oknach i latarnie na ulicach; sen i ciemność zalegają miasto.

Tu i ówdzie jednak długo, długo jeszcze w noc, na wysokiem piętrze zamgloném światłem błyska okno. Co się po-za oknem tém dzieje? co oświeca to mgliste światelko nocne? Czy ze schyloném młodém czołem czuwa tam nad rozwartą księgą żądny wiedzy młodzieniec? Czy ubogi pracownik nocne godziny spędza śród trudu, aby mieć czém zaspokoić jutrzejszy głód swych dzieci? Albo może przy zielonym stole siedzą gracze, z kartami w drżących dłoniach, ze wzrokiem pałającym od trunku i namiętności? Tu, na tle blade oświetlonego okna, w powłoczystych festonach rysuje się firanka bogata. Zapewne to wytworny gabinet świetnej i bogatej, a jednak nieszczęśliwej pani, której serdeczna jakaś tęsknota sen z powiek spędza. Siedzi może ona, śród ciszy nocnej, na miękkim usłaném siedzeniu; wielkie zwierciadło odbija strojną i piękną jej postać, ale ona w niem się nie przegląda, bo źrenice jej mgłą żalości zasłyły; łyzy moczą batystową chustkę i serce boleśnie uderza pod koronką i jedwabiem.

Tam znowu widzisz po-za oświetloną szybą parę wazonów kwitnących i miękkie gałązki bluszczu, wijące się po ramach okna. Za oknem tém, w skromnym, cichym pokoju, przy świetle bladawej lampy, siedzi może szczęśliwa para narzeczonych dwojga, lub małżonków młodych, i gwarzą z sobą serdecznie, długo. Godziny upływają, noc ma się już ku końcowi, a oni jeszcze dość się nagadać nie mogą; bo jedno drugie-

mu przez oczy i usta chciało-by całe serce, całą duszę swą wypowiedziéć, a na to czasu za mało, zawsze za mało mają.

Gdzieindziej jeszcze migoce coś po-za szybą, zda się ręka kobieca, pilna, pracowita, zapewne w igłę zbrojna. To szwaczka jakaś uboga kończy szycie kosztownej sukni, biegłym jej powierzónej rękóm. Póžno już, a ona szyje ciągle, szyje z zapalem, a na ustach jej uśmiech igra i na czole osiadł spokój cichy, bo praca jej ulży trudu ukochanemu mężczyźnie, który życia jej towarzyszem jest drogim, i da nową, śliczną sukienkę dziecięciu małemu, co teraz śpi obok niej słodkim snem aniołów. Być może, iż uboga szwaczka, ze szczęściem w sercu, szyje w nocnych godzinach strój kosztowny dla bogatej pani, która w tej samej porze czuwa także, ale tęskni i płacze.

Jedno śród nocy oświetlone okno, zda się rzecz drobna. a ileż powieziéć może, ile zadać zagadnień! Nie uważasz, nie patrzysz na nie, przechodzisz mimo, a nie wiész, żeś minął dramat albo sielankę, miejsce występku lub siedlisko wytrwałej cnoty, świątynią szczęścia lub żalości bezdnią. Te okna pojedyncze, śród nocnej migocące doby, to oczy, przez które patrzą rozpacz i rozkosze, nałogi występnych i wspańiałe myśli mędrców, nadzieje, prace, trwogi, smutki, marzenia i poezye ludzkich żywotów.

Mieszkańcy miasta znają po imieniu te wszystkie okna, i ciekawemu, pytającemu, powieziéć mogą: oto

okno uczonego, rzemieślnika, gracza, studenta, nie-szczęśliwój pani, szczęśliwój szwaczki, tylko co przyszlėj na świat istoty i człowieka, który tėj nocy świat ten opuszcza. Patrzysz na te nocne oczy miasta i w długiėj zadumie snujesz myślą różne historye istnień człowieczych...

Powoli jednak, stopniowo gasną światła te jedno po drugiém ; a natomiast kraniec horyzontu poczyna barwić się piérwszemi dnia brzaskami. Niby strojna pani w zwierciadle, słońce, wstępując na niebo, przegląda się naprzód w szerokiėj wstędze rzeki, srebrne jėj fale zasnuwa barwą błękitu, a w głębie wód rzuca miryady drgających, migocących złocistych iskier. Niby wywołane z toni czarodziejską mocą światel, wnet na powierzchni ukazują się drobne łódki rybackie i chyżo mkną po spokojnych falach ; wiosła wesoło pluskają w wodzie, a niekiedy prosta piosenka rybaka rozbrzmi w cichém jeszcze powietrzu ranném i zmilknie wkrótce śród wysokich i skalistych wybrzeży.

Potém wieże kościelne budzą się pod obłokami ; krzyże błyskają u ich szczytów, słońcem ozłoczone, a pod krzyżami dzwony brzmią srebrzysto, przeciągle. Za miastem i za rzeką drogi szerokie napełniają się jadącymi i idącymi ku miastu ludźmi, rozświecają się poblizkie wzgórze, obsiane zbożem lub obrosłe sosnowemi borami. Latem odzywa się na łanach wołanie oraczy, lub gwar nadchodzących żniwiarzy ; zimą,



szerokie płachty śniegowe świecą czystą bielą, a na sosnowych borach szron błyszczy połyskami brylantów i sople lodu, niby kryształowe smugi, wieszają się po gałęziach.

Na ulicach, z wejściem dnia nowego, robi się znowu gwarno i ludno. Krzyczą Izraelici, turkocą powozy, brzmia śpiewem kapłanów kościoły. Budzą się matki przy kolebkach dzieci, do pracy biorą się wyrobnicy; uboga szwaczka, ze szczęściem w sercu, odnosi bogatej pani strój, ukończony wśród bezsennej nocy, a bogata pani, po bezsennej nocy także, z uśmiechem na ustach a smutkiem w piersi, wyjeżdża karetą do kościoła, aby poskarżyć się przed Bogiem na swą ozłoconą niedolę.

I znowu między ścianami domowstw wre, kipi, boli i śmieje się życie trzydziestu tysięcy ludzi.

Taką jest zewnętrzna i wewnętrzna postać miasta, którego nazwanie każdy, mniej więcej oświecony, mieszkaniec kraju znać musi, i z łatwością znaleźć może na geograficznej karcie—ale które w geografii powieściowej, dla różnych a różnych przyczyn, oznacza się nie niemówiącą literą X.

## II.

W mieście tedy X., w porządném mieszkaniu o czterech pokojach, położoném na dolném piętrze jednej z większych kamienic, zapadał zmrok dnia wiosennego i, mimo że na świecie było bardzo ciepło i pogodnie, w dość dużym bawialnym pokoju palił się na kominku ogień.

Przed ogniem napół leżała w głębokim fotelu kobieta, a profil twarzy jęj ostro rysował się na czerwonawém tle płomienia. Była to twarz chuda i żółta, o rysach śpiczastych, mocno wystających kościach policzkowych, o oczach wklęsłych i bez połysku, patrzących z pod brwi czarnych i energicznie zarysowanych. Nad pomarszczoném czołem, gładko zaczesane pasma czarnych włosów wydobywały się z pod białego czepka, szeroką oszytego listwą; wąskie i blade usta zwarte były z wyrazem cierpienia i jakby ciągłego, głucho wrzącego wewnątrz gniewu. Ubrana była w czarną wełnianą bluzę z szerokim kołnierzem

z białego płótna, który, zmięty i niedbale opadający, ukazywał szyję żółtą, wyschłą i pomarszczoną. Z pod takich-że płóciennych szerokich mankietów wysuwały się wyschłe białe ręce, o wydatnych błękitnych żyłach i długich chudych palcach, z których na jednym błyszczała przed ogniem złota ślubna obrączka.

Było w kobiecie téj coś niewymownie a podwójnie — bo fizycznie i moralnie — cierpiącego. Nogi jéj, wystawione na działanie płomieni i aż do kolan owinięte w grubą czarną flanelę, spoczywały na wysoko usłanych poduszkach; dość było spojrzeć na ich bezwładną sztywność, aby odgadnąć, iż były sparalizowane. Choroby, długie snadź, bolesne a różne, tak pomarszczyły, zmięły i zżółciły rysy twarzy, że trudno było wyczytać z niéj wiek kobiety; nie musiała być jednak starą, bo włosy miała jeszcze zupełnie czarne. Kierując się najbliższém przypuszczeniem, można było dać jéj lat czterdzieści. Przypatrzywszy się bliżej, można téż było poznać, że była ona niegdyś piękną. Wzrost musiała mieć wysoki, oczy wielkie i czarne, usta małe, czoło wyniosłe. Teraz ledwie widzialne ślady te dawnéj piękności migotały kiedy niekiedy przed okiem patrzącego z po-za bolesnéj zasłony, jaką na nie rzuciły nie tyle lata, ile choroby i burze wewnętrzne.

W ostrym wyrazie zapadłych oczu, a surowém i nieco szydyczém zagięciu ust białych, w niecierpliwym ruchu palców chudych, machinalnie szarpiących

szorstką materją sukni, znać było gwałtowny bunt w chorém ciełe chorego ducha; znać było, że wszelka słodycz uciekła z serca téj nieszczęśliwój kobiety, wygnana żalem za młodością, pięknnością i zdrowiem. Potém i sam żal ten przepalił się w zbolałej piersi na gorycz, pełną żółci i niechęci, na ciągle, głuche i niepohamowane rozdrażnienie.

Wszystko, co otaczało tę smutną postać, było również dziwném jakimś osmuceniem nacechowane. Sprzęty, niewykwintne wprawdzie, lecz porządne i gustowne, mogły-by pięknie ubierać mieszkanie; ale stały sztywne, niczyją nigdy ręką nieporuszone, miejscami kurzem pokryte. Nigdzie żadnej ozdóbki, żadnego kwiatka, nic miękkiego, nic mówiącego do serca lub umysłu. Coś konwencyjonalnego i urzędowego było w białych frankach z haftowanego muślinu, wiszących u okien, i w lampie, która sama jedna stała przed kanapą na stole nagim. Krzesła pod ścianami stały martwo, ociągnięte białém płótném, niby w śmiertelne ubrane koszule. Pomimo majowój pogody, okna szczelnie zamknięte i zaklejone były, a w pokoju powietrze, nieodświeżone ożywym prądem, tchnęło stęchlizną i kurzem. Jedynym przedmiotem, posiadającym tu nieco życia i poezyi, było piękne palisandrowe pianino, otwarte, z rozłożonym na pulpicie marszem żałobnym Szopena. W istocie, ktokolwiek grywał na tym instrumencie, obok tego żółkłego szkieletu kobiety, w tym pokoju, podobnym

do grobu, nie mógł z niego innych, jak żałobne, wydobywać tony.

Za oknami, na ulicy roiła się ludność ruchem, wzmożonym piękną pogodą, i żwawo partemi do końca sprawami znikającego dnia. Chodnikiem szły wracające z przechadzki pary, prowadząc się pod ręce i gwarząc wesoło; różnobarwne kapelusiki kobiet, strojne w pióra i kwiaty, i zgrabne czapeczki młodych mężczyzn, co chwila migotały za szybami. Kiedy niekiedy zabrzmiał tuż za oknem srebrzysty, przyzwoitością powstrzymany śmiech młodziutkich jakichś ust kobiecych, albo, zniżonym głosem wymówione, a pełne miłosnego znaczenia, słowo jakiegoś rozkochanego w towarzysze przechadzki mężczyzny, wniknęło z za szyby w głąb' mieszkania. To znowu z głuchym turkotem: i brzękiem upręży przeleciał środkiem ulicy piękny powóz, pełen wesołych pań i panów; to parę doróżek przemknęło szybko; to znów, gdy turkot ucichł cokolwiek, dochodził z dala głos *szarmancki*, zapamiętałe wygrywającej skoczne polki, albo ktoś zagwizdał wesołą piosenkę, albo grupa Izraelitów zatrzymała się na chodniku i zaszwargotała o dziennych zarobkach.

Cały ten gwar uliczny, wszystkie te odgłosy zabawy, miłości, ruchu i interesów, pełną przejmującego smutku sprzecznością obijały się o ściany suche-go i zamkniętego szczelnie mieszkania sparaliżowanej kobiety. Sam nawet ogień na kominku, z wolna i bla-

do płonąć, zdawał się wstydzic światności majowego wieczoru, który miliony gwiazd zaczynał rozrzucać po szafirowém niebie, i ogarniał miasto ciepłym tchnieniem zstępującój letniej nocy.

Chora kobieta nie zważała na to, co się za oknami działo. Zagasłym wzrokiem wpatrywała się w płomień; chude jej palce mięły bezustannie wełnianą materią sukni, a zwarte i wąskie usta poruszały się kiedy niekiedy niedosłyszalnym, ale wyraźnie gorzkim, niecierpliwym szeptem.

W końcu podniosła opuszczoną na pierś głowę, z trudnością poprawiła się na fotelu, i słabym głosem zawołała :

— Tekło! Tekło!

Na wołanie to z drugiego pokoju wbiegła służąca. Chora kobieta z trudnością twarz do niej zwróciła.

— Pójdź, zobacz przez okno, czy mąż mój nie wraca?

W głosie jej była przeciągłość zwyczajna u fizycznie cierpiących ludzi, ale zarazem cierpkość i ostrość tonów.

Służka podeszła do okna, popatrzyła przez szyby i rzekła :

— Nie widać!

Chora poruszyła się niecierpliwie, usta jej zacięły się silniej jeszcze, a drżące palce zaczęły niecierpliwiej miąć i szarpać suknię.

Upłynął kwadrans; ogień na kominku zagasać począł, zmrok coraz gęstszy panował w pokoju.

— Tekło! Tekło! — zawołała znowu siedząca u kominka kobieta. — Pójdź, zobacz przez okno czy mąż mój nie wraca? — rzekła do wchodzącej sługi.

Sługa spojrzała przez szyby i znowu odpowiedziała:

— Nie widać!

Tym razem chora rzuciła się na fotelu tak gwałtownie, jak tylko pozwalały jej na to bezwładne nogi.

W pokoju ciemno już było zupełnie.

Służąca zapaliła lampę i dołożyła drewek na kominek, które buchnęły żywym płomieniem. Uczyniwszy to, miała odejść, ale zatrzymała ją niecierpliwym gościem chora.

— Idź przed bramę i zobacz, czy mąż mój nie wraca — wyrzekła z trudem.

Sługa wyszła, a po kilku minutach wróciła i, przechodząc przez pokój, rzekła:

— Mąż pani wraca.

Na te słowa drżące palce chorąg przestały szarpać suknię, podniosły się w górę, i z chorobliwym pośpiechem zaczęły poprawiać szeroką listwę czepka, i przyglądać pasma włosów nad czołem. Potem przesunęły się po fałdach bluzy, układając je z całą moźebną symetrią, i odwinęły starannie mankiety rękawów. Przy tych czynnościach żywo migotała na palcu złota obrączka ślubna; zapadłe, zagasłe oczy nie-szczęśliwej błysnęły.

### III.

Kto-by po wyrzeczonych do tój czterdziestoletniěj i schorowaněj kobiety słowach: „Mąż pani wraca”, spodziewał się ujrzeć podobnego do niěj wiekiem i powierzchownością mężczyznę, zdziwił-by się niesłychanie na widok wchodzącego.

Zdawało się, że razem z nim do posępnego pokoju wpłynęła struga młodości i życia.

Wyglądał na lat najwięcej trzydzieści; gęste ciemne włosy mnóstwem pierścieni otaczały kształtne czoło, ciemne wielkie oczy ciskały iskry z pod długich rzęs. Wzrost miał średni, cerę gorącęj, śniadęj bladości, profil twarzy o regularnych greckich zarysach. Pod ręką niósł dużą tekę, pełną papierów.

Zaledwie drzwi zamknęły się za wchodzącym, chora kobieta wyprostowała na fotelu leżącą dotąd postać, chorobliwe rumieńce wystąpiły na jēj żółte policzki.



— A przecież! przecież wracasz, Auguście! — zawołała cierpko. — Sądziłam, że dziś nie będę już miała honoru widzenia pana!

Mężczyzna położył tekę na stole i, siadając, odrzekł spokojnie:

— Wróciłem dziś później, niż zwykle, bo miałem w biurze pilną pracę, której nawet część nieskończoną przyniosłem do domu, aby ją w nocy ukończyć.

Kobieta zaśmiała się głośno, ostro.

— Praca! praca! — zawołała — to tylko wymówka, aby w domu nie siedzieć, aby mnie widzieć jak najmniej! Zapewne znalazłeś za domem miłsze jakie od mego towarzystwo, w którym ci czas przyjemnie upływa! Co? mów-że! nie żenuj się! męcz mnie, morduj, zabijaj do reszty!

Głos jej drżał i chryplł coraz bardziej, zapadłe oczy błyskały i palce szarpały suknią.

Po ustach młodego mężczyzny smutny przebiegł uśmiech, ale wzrok jego głęboki i łagodny spokojnie utkwiał w rozognionej twarzy kobiety.

— Anastazyo! — wyrzekł z wielkim spokojem — znowu dziś rozdrażnioną jesteś! uspokój się, bo bardziej cierpieć będziesz!

— Cierpieć! cierpieć! — krzyknęła kobieta — alboż mogą być większe cierpienia, niż moje? alboż mogą być większe męki, niż te, które ponoszę, siedząc tu u komina, niedołączna i sama jedna, wtedy, gdy

ty przecież chodzisz po świecie i spotykasz je, wszystkie strojnisie te i zalotnice, co to, rade temu, że młode i nieszpette, chciały-by wszystkich mężczyzn pociągnąć za ogonami swoich przebrzydłych sukien! Ileś ich dziś widział, tych maseczek? bardzo patrzyły na ciebie? cóż? mów, nie żenuj się!

Zaśmiała się znowu przykrym śmiechem. August nie odpowiadał, czoło na dłoń pochylił, i zamysłone oczy utkwiał w przestrzeń. Anastazyja wpatrywała się w niego rozognionym wzrokiem, i nowym miała wybuchnąć wyrzutem, gdy służąca wniosła przyrzędy do herbaty i postawiła je na stole przed kanapą.

— Jak tu duszno! — rzekł, budząc się z zamyślenia, mężczyzna, i zbliżył się ku oknu. — Anastazyjo, czy pozwolisz otworzyć lufcik, aby wpuścić nieco świeżego powietrza?

— Nie otwieraj! — krzyknęła kobieta, czyniąc gwałtowny giest obu rękoma — zawieje mnie, będę kaszlać! Ty wiesz, że powietrze mi szkodzi, i dlatego chcesz okno otwierać. Zapewne! miło-by ci było, abym już raz umarła! Byłbyś młodym wdowcem! zrobił-byś świetną partyą! Pewno! pewno! chce się panu mieć młodą żoneczkę, zdrową i ładną, a postarzała od choroby i niedołączna niech sobie idzie *ad patres*, byle prędzej! Otwieraj lufcik! otwieraj! niech umrę! niech ci z drogi ustąpię i losu nie

zawiązuję! Może nawet całe okno otworzysz, byle prędzej zabić mnie i pozbyć się niepotrzebnego grata!

Mężczyzna słuchał tego potoku wyrazów, z rękoma założonemi na piersi. Z razu brwi jego zsunęły się niecierpliwie i wargi zadrżały; ale w mgnieniu oka był znów spokojny, jak wprzód.

Gdy Anastazyja przestała mówić, przeszedł z wolna przez pokój, zbliżył się do zastawionego stołu, i zapytał całkiem spokojnym głosem:

— Czy chcesz, abym ci nalał herbaty?

— A zdaje mi się! — zawołała ciągle wzburzona kobieta. — Czy może już nawet i szklanki herbaty żałujesz dla mnie? Masz słusność! wszak żyję z twojej pracy, i nic ci nie wniosłam w dom, oprócz choroby! Ale nie lękaj się! niedługo już będę korzystać z twojej wspaniałomyślności; ustąpię miejsca drugiej, która będzie miała zdrowe ręce do nalewania herbaty i tobie, i sobie.

August i tym razem nic nie odpowiedział, ale wargi jego silniej, niż wprzód, zadrżały i zbladły. Ze spokojem jednak i cierpliwością niezmaconą przystawił do fotela Maryi niewielki stoliczek i umieścił na nim nalaną szklankę herbaty. Chora popatrzyła na nią.

— Cóż to? — zawołała — nalałeś mi czystej wody! wiesz, że nie lubię lekkiej herbaty; ale odgądam, że mi jej żałujesz!

August wziął szklanę i dolał herbatniego odwaru.

— A teraz dajesz mi czarną, jak atrament! — rzekła kobieta, usuwając podawaną sobie szklanę. — Chcesz mnie w suchoty wpędzić! zapewne, od suchot prędziej umiera się, niż od paraliżu.

Tym razem ciemne oczy Augusta cisnęły iskrami. Nic jednak nie powiedział, tylko zawołał służącą.

— Nałój dla pani herbaty! — i zaczął, milcząc, przechadzać się po pokoju.

I Anastazyja umilkła, wodząc za nim oczyma, w których najrozmaitsze drgały wzruszenia: gniewu, goryczy, żałości.

— O czém-że tak myślisz? czemu nie mówisz do mnie? — spytała po chwili z szydertswem.

August przeciągnął rękę po czole.

— Zmęczony jestem, Anastazyo - - wyrzekł powoli — miałem dziś wiele pracy i zmartwienia.

— Zmartwienia? — zawołała kobieta — cóż to? czy nie sercowe jakie nieszczęścia spotykają pana?

Znowu gorzki uśmiech przebiegł usta mężczyzny.

— Nie — odpowiedział spokojnie. — Miałem dziś zajście z naczelnikiem biura, który wymagał ode mnie czegoś, niezgodnego z honorem moim.

Anastazyja żywo obróciła się ku niemu.

— I cóż? może przez zajście to stracisz miejsce?

— Może — odpowiedział August.

— O, ja nieszczęśliwa! — łamiąc drżące ręce, zawołała kobieta — jak on spokojnie o tém mówi; stracić miejsce! ależ to rzecz okropna! z głodu pomieramy! Alboż ty myślisz zresztą, co się ze mną stanie? po co było sprzeciwiać się naczelnikowi.

— Anastazyo! — rzekł stanowczym głosem — póki ja żyję i zdrow jestem, nie doświadczysz niedostatku; jak zaś zapracuję na byt nasz, o to nie pytaj i nie mów, abym dla chleba pozbywał się honoru, bo pojęcia twoje utraciły przez chorobę dawną swą jasność i sama nie rozumiesz tego, co mówisz.

Na dźwięk pełnego spokojnej energii głosu Augusta, Anastazyja umilkła; nie uspokoiła się jednak, bo oczy jej błyszczały wciąż gorączkowo, biegając niecierpliwie z przedmiotu na przedmiot, a drżące palce znowu suknią szarpać zaczęły.

August w milczeniu usiadł przy otwartém pianinie i dotknął rękoma klawiszy. Na dźwięk instrumentu, Anastazyja drgnęła całym ciałem i, wyciągając przed siebie obie ręce, krzyknęła:

— Nie graj! nie graj! nie mogę w tej chwili znieść muzyki!

August powstał i znowu zaczął, milcząc, chodzić po pokoju. Chora znowu wiodła za nim niespokojnym, rozdrażnionym wzrokiem; wążkie usta jej to zaciskały się, to rozwierzały, ręce drżały coraz bardziej.

— O czém-że tak myślisz? — zawołała w końcu głosem, objawiającym najwyższe wzburzenie — zapewne o tych młodych, zdrowych i ładnych maseczkach, które spotykałeś dziś na mieście! i porównywasz je ze mną, i myślisz, że nie masz w domu szczęścia! że, wracając zmęczony i zmątwiony, znajdziesz postarzałą i schorowaną kobietę, grzejącą u komina bezwładne nogi, i nie masz obok siebie ładnych usteczek, które-by ucałowały twoje młode usta, i młodej dłoni, która-by z pieśczołą przesunęła się po twém zmęczoném czole! Ty myślisz o tém wszystkiém, prawda? i pragniesz, aby tu, na mojem miejscu, usiadł co prędzej jaki młody aniołek w bieli i, składając rączki, powiedział: — „Kocham cię, Auguście!” — A ty-byś wtedy zapomniał o wszystkich smutkach swoich, ukląkł przed nią i odpowiedział także: — „Kocham cię!” — A temu wszystkiemu ja stoję na przeszkodzie! Och!...

Coś nakształt okropnego łkania ozwało się w pierśsi nieszczęśliwej; obiema dłońmi oparła się o poręcz fotelu i, pochylona, rozogniony wzrok wlepiła w twarz męża, który stał naprzeciw niéj, nieruchomy, z rękoma założonemi na piersi; z oczyma ciskającemi iskry z pod brwi zmarszczonych.

— Ach, tak! — wołała dalej głosem, przerywanym od wewnętrznych jęków, które jéj wyschłą wstrząsały piersią — tak, ty myślisz o tém wszystkiém; ty pragniesz miłości, pragniesz szczęścia, któ-

rych ja ci dać nie mogę! Widzę to z twojej twarzy, coraz bledszej, z twoich oczu, coraz smutniejszych! Powiedz! może już kochasz kogo? cóż? czy piękna twoja ukochana? jakie włosy ma? jasne, czy czarne? rączkę musi mieć śliczną, bo wiem, że lubisz piękne ręce u kobiet! Cóż? odpowiadaj!...

August nie odpowiadał. Po czole jego przechodziły chmury, z oczu strzelały błyskawice; usta zwarły się boleśnie i zbladły. Zdawało się, że jakiś krzyk straszny, jakieś słowo okropne, już-już miało mu wyrwać się z piersi, i zatrzymywał je w sobie całą mocą woli mężczyń.

Anastazyja drżała, rumieńce coraz silniejsze wybiły się na jej policzki wychudłe. Przez chwilę nie mogła głosu z piersi wydobyć.

— Odpowiadaj-że! — zawołała znowu z wielkim wysileniem — czy słyszysz? pytam ciebie, czy kochasz już kogo? czy ona bardzo piękna? czy powiedziała ci, że cię kocha? Odpowiadaj! niech posłyszę i umrę!

August nie odpowiadał.

— Odpowiadaj! — strasznym głosem krzyknęła Anastazyja i, bezprzytomną ręką pochwycawszy ze stołu srebrną łyżeczkę, cisnęła ją na niego. Łyżeczka brzęknęła na posadzkę, August jakby się ze snu obudził. Spojrzał na przedmiot, leżący u nóg swoich, i na wykrzywioną szalonem uniesieniem twarz żony; z czoła i oczu jego zniknęły chmury i błyska-

wice, a na ich miejsce zjawiała się niezmierna, bezbrzeżna litość.

— Nieszczęśliwa! — wyrzekł z cicha. — Anastazyo! upamiętaj się! uspokój! — rzekł, zbliżając się do żony, głosem, w którym, obok męzkiej stanowczości, była wielka dobroć.

Na te słowa kobieta załkała głośno, obu rękoma uczepiła się jego ręki, i namiętnie przycisnęła ją do ust. Jednocześnie dwa strumienie łez popłynęły z jej zapadłych oczu.

— Auguście! — zawołała — przebacz mi! ja cię kocham!

Przy tych wyrazach wpatrzyła się w piękną twarz męża z wyrazem namiętniej, niepohamowanej miłości, która straszny stanowiła kontrast z jej pomarszczoną, zestarzałą twarzą i niedoleżną, wyschlą postacią.

— Brzydka jestem i chora, zestarzała i bezwładna — jęczała, cisnąc ciągle rękę jego w swych dłoniach — a kocham cię tak, jak wtedy, kiedyś była zdrowa i ładna, i kiedyś mnie brał za żonę, nie wiedząc sam, co sobie gotujesz! Wszak prawda, Auguście, żem była wtedy ładna, choć starsza o lat dziesięć od ciebie, i ty na wiek mój nie zważałeś, bo pociągałam cię memi czarnemi oczyma i moją szaloną dla ciebie miłością! Później, Bóg ukarał mnie chorobą, może za grzechy młodości; starość prędziej, niż trzeba było, nadeszła; a teraz, tyś młody i piękny, ja



jak trup, przywiązany do ciebie, przy którym ty sam bledniesz i schniesz! Tak, wyglądam jak trup, ciało moje uschło i zżółkło, ale serce żyje!

To mówiąc, wypuściła rękę męża, i drgającymi palcami targała taśmy czepka. Rozwiązał się czepek, opadł z głowy, a z pod niego rozwinęły się długie, gęste, czarne jak heban włosy, opłynęły wełnianą bluzę i końcami dotknęły posadzki.

Anastazyja obie ręce zatopiła w tych prześlicznych kruczych włosach i, z oczyma wlepionemi ciągle w twarz męża, mówiła :

— Patrz! jak dziwnie wyglądać musi chuda, żółta i pomarszczona twarz moja, wśród tych włosów, które, wraz z sercem, same jedne młodemi zostały! Nie prawda, że wyglądam jak czarownica, która z czaszki młodej dziewczyny zdarła prześliczne włosy i przylepiła je do swęj staręj skóry? A jednak wtedy, gdyś mnie brał za żonę, włosy te dobrze przypadały do twarzy mojęj, białęj jeszcze i świeżęj. Pamiętasz, jak, siedząc tam... w altanie... rozwinęłam przed tobą moje warkocze?... ty wtedy piérwszy raz powiedziałeś, że mnie kochasz, i byliśmy zaręczeni! Ja umyślnie pokazywałam ci bogactwo włosów moich, bo wiedziałam, że cię zachwycę; a kochałam cię i chciałam, żebyś mnie kochał, choć byłam dziesięć lat starsza od ciebie! Patrz! i teraz jeszcze włosy mam piękne! kochaj przynajmniej włosy moje, Augustcie!

Na bladłej twarzy Augusta grały i walczyły różne wzruszenia: wstrętu, boleści, litości. Ostatnia zwyciężyła. Usiadł obok rozżalonej i rozdrażnionej kobiety, ujął jēj rękę i patrzył na nią z żalem i dobrocią.

— Anastazyo! — rzekł z cicha — los dotknął cię wielkiem nieszczęściem, powinnaś się z niem pogodzić. Bądź łagodniejszą i mężniejszą—lżej ci z tém będzie; co do mnie, nigdy cię nie opuszczę.

Kobieta gorzko zaśmiała się, i znowu szarpać suknią poczęła.

— Nie opuścisz! nie opuścisz mnie! — szeptała — ale też i kochać mnie nie możesz! Ja wiem, że to niepodobna! Jesteś i będziesz nieszczęśliwy przeze mnie! a tu boli, boli...

Przycisnęła obie ręce do piersi i krzyknęła z niepowstrzymaną boleścią:

— Boże mój! jeden rok, jeden miesiąc, jeden tydzień zdrowia, młodości i piękności, a potem umrę z ochotą!

August powstał. Na twarzy jego było zmęczenie niezmiernie. Nic powiedzieć nie mógł, nie miał siły.

— Dobranoc ci, Anastazyo! — wyrzekł tylko, całując jēj rękę. — Połóż się i usnij, może sen da ci choć trochę spokoju.

#### IV.

Weszła służąca i fotel, na którym leżała chora kobieta, potoczyła ku sypialni. Anastazyja milczała, ale znać było, że wrzała głucho, bo usta zacisnęła gwałtownie, palcami szarpała i mięła suknię, a oczy zapadłe to przygasały chwilami, to znowu buchały trawiącym ją wewnątrz ogniem.

August wszedł do swego pokoju, leżącego tuż obok sypialni Anastazyi. Był to skromny i surowy pokój pracownika. Jedno okno, wychodzące na ulicę, za całą ozdobę miało prostą, ciemną roletę. W rogu pokoju stało po prostu zasłane łóżko, dalej spora szafa z książkami, biurko pełne papierów i różnych do pisania przyborów, parę sofek i krzeseł, kilka portretów wielkich mężów na ścianach, a z dwóch stron biurka dwa popiersia brązowe, z których jedno sławnego poety, drugie sławnego muzyka.

Na biurku paliła się niewielka lampa ze światłem, przytłumioném zasłoną, wzrok chroniącą.

Gdy po przedchwilowej rozmowie swej z żoną August wszedł do swego pokoju, na bladłej twarzy jego widać było ślady stoczonej z sobą walki. W oczach malowało się zmęczenie, na piękném czole osiadła zmarszczka głęboka, głowa pochyliła się na pierś z wyrazem gorzkiego zniechęcenia.

Otworzył na oścież okno, odetchnął pełną pierśią świeżem, nocnym powietrzem i upadł na krzesło, czoło na dłoń schylając.

Za oknem ulica cicha już była i mroczna; turkot powozów umilkł już całkiem, kiedy niekiedy tylko zapóźniony jaki przechodzień cicho przesunął się chodnikiem pod ścianami domowstw. Rzadkie latarnie uliczne pogasły, oświetlone wprzód sklepy zamknęły się, okna przeciwległych kamienic ciemne były i zamknięte. Natomiast śród głębokiego niebios sklepienia paliły się gwiazdy iskrzące.

August siedział ciągle u okna z czołem na dłoni opartém; wzrok jego błędził bez celu po mrocznym tle ulicy i zasuwiał się coraz cięższym smutkiem.

Nagle młody mężczyzna podniósł głowę; do uszu jego przypłynęła muzyka fortepianu. Wychodziła ona z otwartego okna przeciwległej kamienicy, położonego na pierwszym piętrze, tuż naprzeciw okna Augusta, przystrojonego dwiema doniczkami kwitnących róż.

Po miękkości uderzenia i łagodnym falowaniu to-

nów łatwo było poznać, że za tém słabo oświetlonym oknem grała kobieta.

Grała jedną z pysznych sonat Beethovena biegle i umiejętnie, lubo palce jęj ciszej i wolniej, niż-by należało, dotykały klawiszy, niby zdjęte półsennem marzeniem, płynącym ku niej z łagodnym podmuchem nocy letniej i wonią róż, kwitnących na oknie.

Była niewypowiedziana słodycz i poezya w tej muzyce kobiecej, z cicha i marząco płynącej w mrok uliczny, nad rzędami okien uspionych, pod gwiazdy, cicho świecące na niebie.

August podniósł wzrok i wpatrzył się w oświetlone przeciwległe okno pierwszego piętra. Im więcej słuchał, tém czysciej i wyraźniej dochodziły do niego tony fortepianu, a zarazem gorycz i zniechęcenie ustępowały z jego twarzy, a wstępowało na nią marzenie ciche, takie, jakim przesiąkniętą była muzyka niewidzialnej artystki.

Sonata Beethovena przebrzmiała; ostatnie akordy jęj rozwiały się w powietrzu przeciągłym echem. August słuchał ciągle, z oczyma utkwionemi w okno pierwszego piętra, i usłyszał inne pasmo melodyi, które popłynęło znowu łagodnie i z wolna.

Tym razem była-to sztuka bez nazwy, improwizacya jakaś, płynąca wprost z serca grającej, rzuwna, pełna tęsknoty niewinnego serca, które samo jeszcze nie wie, za czém tęskni; pełna zarazem spokoju i słodczy dziewczęj piersi, która życie i świat

przeczuwa dopiero zaledwie, budząc się ze snów dziecięcych o kwiatach, aniołach i gwiazdach.

Jeżeli wprzód można było odgadnąć, że po za oknem, zdobnym w róże, grała kobieta, to teraz, w cichój improwizacji tej objawiła się dziewica; łagodne tchnienia dziewiczej piersi, nietkniętej jeszcze żadną namiętnością ziemską, zdawały się wraz z muzycznymi akordy wylatywać przez okno i lecieć pod niebo modlitwą za przyszłość, nieznaną, marzoną.

Na twarzy Augusta rozlał się rzewny wyraz, zniknął z niej całkiem uprzedni ból i gorycz; słodka muzyka niewidzialnej kobiety kołysała do spokoju wzburzone jego myśli i w serce zmiękczone wlewała fale rezygnacji.

Nagle umilkły tony, a natomiast u okna pierwszego piętra zadrgała firanka biała i pomiędzy dwoma róż krzakami ukazało się, wychylone na ulicę, popiersie młodej panny.

Twarz jej niknęła w mroku, ale przez przezroczysty muślin ubrania widać było śnieżną pierś, spokojnym oddechem pijącą ciepłe powietrze nocy, a krótkie rękawy ukazywały nagie, przedziwnie utoczone ramiona, zdobne w bransolety z czarnej lawy, wydaniające białość ich i kształty. Obu łokciami wsparłszy się na oknie, pochyliła na dłonie głowę, z której opadało mnóstwo gęstych, płowych loków.

Na jaki przedmiot padał wzrok tej pochyłonej twarzy?

Nie można było dojrzyć śród mroku.

Może błądził bez celu po cieniach ulicznych? może zawisał pod gwiazdzistym stropem niebios? Może spuszczał się ku otwartemu oknu przeciwległej kamienicy, które nisko nad ziemią samo jedno błyszczało jeszcze między rzędami ciemnych okien?

August powstał z siedzenia, odstąpił nieco i, sam niewidzialny, wpatrywał się w stojącą u okna kobietę.

Upłynął kwadrans, młoda panna podniosła głowę, wyprostowała się i zamknęła okno. Światło jednak nie gasło, i na tle słabo oświetlonych szyb rysowała się biała firanka i doniczki z różami.

Północ nadchodziła; chłodny powiew zawiął do pokoju Augusta. Zamknął też okno, usiadł przed biurkiem i, rozłożywszy przed sobą papiery, pilnie pracować zaczął.

Kto-by wtedy był na ulicy, widział-by dwa na-przeciw siebie umieszczone okna: jedno na piérwszém piętrze, drugie na dole, same jedne oświetlone pomiędzy ciemnymi oknami sąsiednich domów. Za jedném i za drugim z tych okien mrugało niepewne lamp światło, zdając się wieść z sobą tajemniczą rozmowę.

W godzinę po północy okno u góry zagasło piérwsze.

Okno Augusta płonęło wtedy jeszcze, gdy świt dnia majowego rzucił na dachy domowstw miejskich potoki białego światła.

## V.

Za miastem, nad brzegiem rzeki, leżą wzgórza, pięknie obrosłe sosnowym borem i wraz z nim falujące łagodnie; miejscami przerzyna je parów głęboki, o ścianach skalistych i dnie zasnutém srebrną siecią strumieni. Miejscami przerzedza się bór; wysmukłe tylko sosny, gładkie, gdzieniegdzie w znacznych od siebie rosną odstępach, a z za ich przezroczytęj kolumnady widnieje błękitna wstęga rzeki, lub na przeciwnym jęj brzegu bieli się, u szczytu wzgórza zawieszony, pałacyk pańskięj willi.

O pięknym zachodzie majowego słońca, na jedném z tych wzgórzy, rozlegało się kilkanaście wesołych głosów męzkich i kobiecych; białe i różowe suknie migotały między sosnami, różnobarwne parasoliki, niby wielkie motyle, podnosiły się i opadały, stosownie do tego, jak promienie słoneczne przeciskały się przez gałęzie boru, albo znikały, zasłonięte gęstwiną bujnych jałowców i młodęj sośniny.



Było to towarzystwo, które, chcąc użyć przyjemności majowego wieczora, wybrało się z miasta na majówkę.

Na spadzistości wzgórze, u którego krańca płynęła rzeka, kilka grup zasiadło między sosnami.

Wszystkie te osoby widocznie znały się dobrze i przybyły tu razem, ale po przechadzce podzieliły się na oddzielne kółka, według upodobań i stopnia znajomości, a każde z tych kółek wiodło ożywioną rozmowę.

U samego szczytu wzgórze, w miejscu najwygodniejszym, bo najbardziej osłoniętym od słońca, na rozciągniętym pod sosnami dywanie, siedziała bardzo strojna i bardzo piękna kobieta. Mimo siedzącej postawy, łatwo można było odgadnąć, iż była wysoką; ogromne włosy lnianego koloru, przykryte małym, niebieskim kapelusikiem, zdobiły jej głowę, podniesioną z wdziękiem i dumą. Bogato haftowana biała jej suknia szeroko rozkładała się na dywanie; u stóp jej, rozpięty i niedbale rzucony, leżał błękitny parasolik, a ręka, ociągnięta jasną rękawiczką, powiewała białym, puszystym wachlarzem. Oprócz tego, miała na sobie kosztowną złotą broszę, także kolce i parę bransolet na śnieżnych, widniejących z za muslinu, ramionach.

Była to pani Olimpia Rostowiecka, majątna obywatelka z okolicy, większą część roku przepędzająca w mieście. Państwo Rostowieccy posiadali obszerne

majątki i bardzo świetne koligacye, w skutek czego liczyli się do miejscowej arystokracji rodu i majątku. Wprawdzie wiedziano powszechnie, że na wielkich majątkach ciążyły wielkie długi, że dla długów tych tylko, sama pani zmuszoną była wyrzec się życia w stolicy lub za granicą, a poprzestać na przebywaniu w X.; niemniej jednak w ostatniem tém mieście prowadziła dom na wielką skalę, miała salony, powozy, liczną służbę i kosztowne a coraz nowe stroje. Na wsi spędzała zaledwie trzy lub cztery miesiące w roku, nie mogąc znieść, jak mówiła, ciszy i samotności wiejskiej. Pan Rostowiecki za to mieszkał ciągle na wsi, zaledwie parę razy na miesiąc odwiedzając X., dla widzenia się z żoną, którą kochał do ubóstwienia. Gospodarzył on, pracował, borykał się z ciężkimi czasami i interesami, aby najdroższój pięknej Olimpii dostarczyć środków na życie, do którego przywykła od dzieciństwa, bo pochodziła z bogatego domu i była córką ojca, który cały fundusz przemarnował na zbytki. Złośliwi ludzie dziwili się, jak odłużony i zrujnowany fundusz państwa Rostowieckich, przy całych nawet usilnościach pana Jana, mógł wystarczyć na coraz nowe meble, powozy i klejnoty dla pani Olimpii. Ale był to sekret domowy małżeństwa, które zresztą zachwycało wszystkich zobopólną zgodą i miłością. Pani Olimpia miała z górą lat trzydzieści, ale wyglądała na dwadzieścia kilka, mając bardzo piękne kształty i świeżą płeć, przy

jasnych włosach. Głowę nosiła wysoko, bardzo wysoko, i wogóle ukazywaną była jako typ wielkiej pani, umiejącej utrzymać w całej swjej nieskazitelności honor swego wysokiego w świecie położenia.

Tuż obok pani Olimpij, na pniu ściętej sosny, siedział mężczyzna czterdziestoletni, wykwintnie ubrany, z wysokim kapeluszem w ręku. Twarz miał bladą i ściąglą, oczy zamglone o niewyraźnym spojrzeniu, w którym było i znudzenie, i przeżycie, i pogoń za rozrywkami, i wrodzona, instynktowa uczciwość. Z postawy zaś i ubioru jego można było odgadnąć, iż był człowiekiem światowym, pełnym wykwintnej grzeczności i salonowej ogłady, słowem gentlemanem, znudzonym tylko nieco i oryginalnym, albo chcącym za oryginalnego uchodzić. Był to pan Spirydyon As, bogaty obywatel, także z okolic X., znany z zamiłowania do gry kartowej i piękności kobiecej, czy to gdy znajdował ją za kulisami tego świata, który się przyzwoitym nazywa, czy też, gdy mu się objawiła w świetnym otoczeniu salonów. Powszechnie wiedziano, że pan Spirydyon od roku był gorącym adoratorem pani Olimpij; dla częstszego widywania jej, po parę miesięcy przesiadywał w X. i asystował jej wszędzie, gdzie się ukazała. Niemniej jednak spostrzeżenia te nie czyniły żadnej ujmy opinii pani Rostowieckiej bo ogólnie miano o niej przekonanie, iż była kobietą nieposzlakowaną i niezachwianą cnoty, i że prędzejby umarła, niż-by najłżejszą plamą zaćmiła dwie tar-

cze herbowne, błyszczące w połączeniu na drzwiczkach jej karety, lub najlżejszym złym rozgłosem zachwiała honor swego wysokiego w świecie położenia.

O parę kroków od siedzącego na pniu pana Spirydyona, siedział na murawie wysoki i barczysty, o grubych rysach twarzy i o rękach, ściągających na siebie uwagę swoją wielkością, pan Felix Rokowicz, urzędnik, zajmujący dość znaczną posiadłość w X. Był to człowiek, którego inteligencją nikt nigdy się nie zachwycił, ale którego za to surową i pełną powagi cnotą zachwycali się wszyscy. Był on Katonem społeczności, wśród której żył, i jak jeden ze starożytnych mędrców, w obronie cnoty wychylił-by bez wahania kubek cykuty, gdyby wiedział z góry, że ta cykuta, zamiast jemu, odbierze życie grzeszącemu jego bliźniemu. Główną troską jego życia była czystość obyczajów publicznych; po niej następowała troska o nieskazitelną opinią, i niezachwiane w świecie położenie jego domu. Milczący zwykle, gdy chodziło o te dwie idee, pochłaniające jego ducha, powstawał z powagą, prostował się całą wysokością swęj wysokięj figury, i zaczynał mówić; a tak bywał przejęty tém, co wygłaszał, że stał-by się niezawodnie wymownym, gdyby nie lekka zajękliwość, i nie dwa nieszczęśliwie posiadane przysłowia: „tedy” i „więc”, o które co chwila potykała się jego elokwencya. Mógł-by wprowadzić, jak Demostenes, pójsć na brzeg

rzeki i, dla wydoskonalenia wymowy swój, przy szumie wody, z kamykiem w ustach, wyłamywać swe głosowe organa; ale nie czynił tego, bo nad szum wody przekładał szum ulic, wśród którego uważał się za stróża publicznych obyczajów, a raczej, niż włożyć kamyk w swe usta, wolał go rzucić na każdego, kto śmiał przekraczać przyjęte przez niego zasady publicznej moralności.

Dlaczego tak bardzo dbał o cnotę bliźnich? Zdało się, że sam o tém nie wiedział, a zresztą, może i wiedział, ale wypowiedzieć nie mógł; bo ile razy już miał to uczynić, plątały mu się w mowie nieszczęśliwe „tedy” i „więc”; oprócz kamyka na głowę bliźniego, nic więcej z ust jego nie wypadało.

Bardzo blisko przy panu Felixie Rokowiczu, z ręką romantycznie otaczającą jego szyję, z głową melancholijnie zwieszoną mu na ramię, siedziała małżonka jego, pani Teresa Rokowiczowa, trzydziestoletnia kobieta, w dziewiczej, błękitnej sukience, w naiwnym kapelusiku słomianym, ozdobionym naiwnym pęczkiem fiołków. Była to kobieta ani brzydka, ani ładna, mogła nawet być ładną, gdy miała lat dwadzieścia i mniej. Teraz powierzchowność jej uderzała tylko pozorem niezmiernej skromności i niewinności, graniczącej z niewiadomością dziecięcą. Z pozorem tym sprzeczały się nieco wyrazem swym niewielkie szare oczy, niezmiernie ruchliwe i błyszczące. Ktoś, nieznający pani Teresy, mógł-by może wy-

czytać w oczach tych coś naksztalt złościwości i jaskichś tajonych grzeszków, terażniejszych czy przeszłych; ale ktokolwiek znał ją choć trochę, strzegł-by się najmocniój wydania podobnego o niój sądu, bo pani Rokowiczowa znaną była, jako wzór cnoty kobiecój, czystości serca, przezroczystości uczuć i najwierniejszėj, do extazy posuniętėj, miłości małżeńskiėj. O kilka kroków od tėj, z czterech osób złożonėj, grupy, siedziały dwie kobiety i jeden mężczyzna. Mężczyzna siedział pośrodku i nazywał się Paweł Rumiański. Była to postać długa i sucha, z twarzą również długą i bladą, z ustami na-pół otwartemi pod wąsem niepewnego koloru, z oczyma niepewnego także koloru, ale posiadającemi pewien wyraz uczciwości i dobroci. Obok niego, jak drobna polna różyczka, dwudziestodwuletnia żona jego, Stanisława, zwana ogólnie pieszczoném imieniem Stasi. W istocie, niepodobna było inaczėj jėj nazywać, jak zdrobniale, takie-to było drobniutkie, wesołe i zwinne. Wszystko w niój było drobne, począwszy od wzrostu i ręki, aż do zadartego figlarnie noska i nóżki, dziecięcój niemal małości. Córka dość majątnego obywatela, bardzo starannie wychowana, niewiadomo dlaczego po śmierci ojca zdecydowała się wyjść za suchego i bladego, o umyśle niepewnej wartości, pana Rumiańskiego. Może nie chciała zamieszkać przy bracie, który nie uchodził za wzór braci, może, mimo nie świetnych pozorów, oceniła poczciwe serce i przy-

wiązanie do siebie pana Pawła? Dość, że odkąd została jego żoną, była zawsze jednako świeżą i wesołą aż do pustoty, i nie przestała być taką, nawet zostawszy matką dziecięcia, które ubóztwiała i którym zajęta była dniem i nocą.

Z drobnój twarzyczki Stasi, obok nieudanej niewinności i dobroci, tryskał świeży i żywy dowcip; ubierała się zawsze bardzo starannie lubo niekosztownie, a w ubraniu lubiła przedewszystkiēm różowy kolor. Dla tēj ciągłej wesołości i zamięłowania w różowym kolorze, ogólna opinia zwała ją pustą, wietrzną i lekkich zasad kobietą, oraz wodzącą swego męża na pasku.

I teraz Stasia, cała różowo ubrana, siedziała na murawie obok męża, a drobną główkę, osypaną złotocistemi loczkami, sparłszy na malutkiej rączce, figlarnym wzrokiem patrzyła na siedzącą naprzeciw kobietę.

Było to zupełne przeciwstawienie jēj samēj. Pani Apolonia Kuderska wyglądała na lat czterdzieści, ubrana była w czarną, wełnianą suknię, takąż mantylę średniowiecznego kroju, oszytą szeroką jedwabną frenzlą, a na rudawych i siwiejących włosach miała czepek z czarnych koronek z fijołkowemi wstążkami. Czarny atlasowy kapelusz wisiał na jēj ręce, zawieszony na związanych wstęgach, i przy każdym poruszeniu tłukł się o wyłacany krzyż różańca, okręconego nakształt bransolety w pobliżu pięści. Takież krzyż,

tylko nieco mniejszy, wyglądał na piersi z pod frenzli od mantyli, a z kieszeni wysuwał się, z trudem w nią wpakowany, „Złoty ołtarzyk”. Pani Apolonia była żoną męża, o którym nikt nigdy nie słyszał, i matką dzieci, których nikt nigdy nie widział. Nikt też nigdy nie widział na niej innego ubrania, jak to, które miała na sobie obecnie, ale nie dziwiono się temu, bo wiadano, że pani Kuderska nie była bogatą. Mąż jej był urzędnikiem, pobierającym niezbyt wielką pensją, lecz i téj jeszcze część znaczną pani Apolonia oddawała ubogim i na msze. Nos miała ogromny, czerwono rozkwitający śród żółtej twarzy, i opinią niezmiernie cnotliwej i świątobliwej niewiasty. Mimo opinii téj, nie była jednak sympatyczną; to téż, oddając cześć przynależną téj cnocie, nazywano ją niekiedy po cichu żartobliwem mianem, „pani Antyfona”. Oprócz tych dwóch grup, zawierających najwybitniejsze i najbardziej charakterystyczne postacie zebra-  
nia, na spadzistości wzgórze siedziało parę innych, złożonych z poważnych kobiet i mężczyzn, a nieopodal, między sosnami, parami i pojedynczo przechadzało się kilka młodych i strojnych panien, w towarzystwie dwóch czy trzech młodych mężczyzn.

Słońce zataczało się coraz niżej, smugi czerwonych promieni rzucając po gładkiej powierzchni rzeki, po której z dala mknęło kilka łódek rybackich. Na przeciwległym brzegu, z jednéj strony widniał między zielenią biały pałacyk jakiegś willi, z oknami



ozłoceniem słońcem, z drugiej, miasto, pobudowane na górze w amfiteatr, błyszczało czerwonymi dachami i strzelało wysoko wieżami kościołów. Wzgórze, na którym rozsiadło się towarzystwo, czarownie wyglądało, ustrojone sukniami i twarzami kobiet, migoczącymi pośród zieleni, na którą zachodzące słońce rzucało roje drżących iskier.

Kilka promieni słonecznych, przeciskając się między krzakami jałowcu, upadło na strojną głowę pani Olimpii. Pan Spirydion podjął z ziemi błękitny jej parasolik i osłonił nią piękną panią. Skinęła mu głową z wdziękiem, połączonym z pewną dumą, potem rozejrzała się wokoło i rzekła głośno:

— Gdzież jest panna Wanda Rodowska? nie widzę jej tu nigdzie.

Na to pytanie pani Teresa Rokowiczowa podniosła głowę, spoczywającą dotąd na ramieniu małżonka, a uśmiech przebiegł jej wązkie usta.

— Przed pół godziną — odrzekła — widziałam, jak odeszła w głąb' lasu z panem Edwardem Gaczyckim. Ci państwo muszą zapewne przyjemnie przepędzać czas z sobą, kiedy dotychczas nie wracają do nas.

Wyrzekłszy słowa te z niewypowiedzianą słodyczą, ujęła ogromną rękę męża, spojrziała mu w oczy i zapytała z przymileniem:

— Nie chciałbyś pewno, Feluniu, abym tak z kim sam-na-sam poszła w głąb' lasu.

Pan Felix spojrział na nią takimi oczyma, jakby sama myśl czegoś podobnego pomieścić mu się w głowie nie mogła.

— Moja Tereniu — odrzekł — wiem, że nie popełnisz nic... tedy... coby sprzeciwiało się..

Niewiadomo, co dalej chciał powiedzieć, bo przerwała mu pani Apolonia, która, na wzmiankę o panie Wandzie Rodowskiej, przysunęła się do pani Olimpii i jej towarzystwa.

— Jaka to szkoda tej kochanej Wandzi — wyrzekła z pobożnym westchnieniem — taka śliczna i dobra panienka, a tak nierozsądnie postępuje! Któż widział, aby młoda osoba taka swobodna była z mężczyznami, chodziła z nimi pod rękę i, sam-nasam z młodym człowiekiem, oddalała się od towarzystwa! Mój Boże! co też to za świat teraz!

— Wszystko to wina matki — ozwała się pani Teresa. — Nie umiała ona prowadzić Wandy od dzieciństwa, zapomniała o tem, że najpiérwszą cnotą kobiety powinna być skromność. Nie prawdaż, Feluniu?

Rokowicz skinął głową.

— Naturalnie — wyrzekł — żeby panna Wanda była moją córką... tedy...

Niewiadomo, co dalej chciał powiedzieć, bo pani Olimpia przerwała mu znowu. Ponieważ jąkał się i mówił bardzo powoli, niecierpliwe audytoryum najczęściej przerywało mu mowę.

Pani Olimpia podniosła dumnie głowę i rzekła :

— Moje panie ! sędzę, że panna Wanda, mimo całej niekonsekwencji swego postępowania, niezdolna jest uczynić nic, co-by jej rzeczywistą przynosiło ujmę. Przecież jest panną dobrego urodzenia i należy do wyższego towarzystwa ; lecz nie pojmuję, jak osoba naszej sfery, może dopuścić się czegoś, coby nie było zgodnem z jej położeniem w świecie.

— Moja Olimpko — odpowiedziała pani Teresa — nie każda kobieta posiada taką szlachetną, jak ty, dumę, która służy w życiu za puklerz od wszelkiego złego. Są nieszczęśliwe, które, jakkolwiek wysoko stoją, zapominają o skromności, która jest najwyższą ozdobą kobiety.

— I o przykazaniach bożych ! — wtrąciła z nowem westchnieniem pani Apolonia.

— I o obmowach ludzkich ! — dodała bardzo serwo różowo ubrana Stasia, która dotąd słuchała w milczeniu całej rozmowy, główkę oparłszy na dłoni.

Całe towarzystwo spojrzało na nią ze zdziwieniem, ale nie uważało za potrzebne odpowiadać pustej i lekkomyślniej kobiecie. Po kilku chwilach dopiero, pani Olimpia zwróciła mowę do pani Pawłowej :

— Wszakże-to pani opiece powierzyła dziś swą córkę pani Rodowska. A jednak, straciłaś ją pani z oczu !

Twarz Stasi przybrała wyraz komicznego prze-  
rażenia.

— W istocie — zawołała — niedarowana-to  
z mej strony nieuwaga, że nie pogoniłam za Wan-  
dzą, gdy oddalała się z panem Edwardem! To stra-  
szny człowiek! zasztyletować ją gotów w głębi lasu,  
albo zrzucić w jaką otchłań bezdenną! Cóż robić je-  
dnak? teraz już za późno doganiać! niech się dzieje  
wola Boża!

Pan Paweł zwrócił na żonę swoje poczciwe, acz  
niezbyt rozumne, spojrzenie i szepnął:

— Cicho! cicho Stasiu, narażasz się!

Pani Olimpia wzruszyła nieznacznie ramionami  
i szepnęła do pani Apolonii:

— Co za niedarowana lekkość form i wyrażania  
się w kobiecie wyższej sfery!

— A jaka bezbożność! — odszepnęła Antyfona  
— wzywa imienia Bożkiego nadaremnie!

— Dziwnie lekkomyślna i pusta kobieta! — do-  
dała również cicho pani Teresa. — Zawsze zapomina  
o skromności, właściwej młodej kobiecie. Alboż ten  
wiecznie różowy ubiór, czy stosownym jest dla mę-  
żatki i matki dzieci?

— Przyznać trzeba, że pani Stanisławie bardzo  
w nim jest do twarzy — rzekł milczący dotąd pan  
Spirydyon, nachylając się ku szepczącym kobietom.

Brwi pani Olimpii zsunęły się nieco, a pani Tere-  
sa żywo odrzekła:

— Mężatka, pamiętająca o swych obowiązkach, powinna myśleć tylko o podobaniu się swemu mężowi. Nie prawdaż, Feluniu?

— I o chwale Pana Boga! — dodała Antyfona.

— Spodziewam się — zabrała głos pani Olimpia — że pan Gaczycki, jako człowiek wyższego towarzystwa, kompromitując tak ciągle pannę swém asystowaniem, zechce się z nią ożenić.

— I, czyniąc ją milionową panią, przemienić w przyjaciół jęj wszystkich tych, którzy ją dziś obmawiają — podjęła Stasia.

— Moja kochana pani Stanisłavo — słodziutko wyrzekła pani Teresa — właśnie dlatego, że pan Edward jest milionowym panem, nie można mieć nadziei, ażeby się ożenił z panną Rodowską; bo na niewielki jęj posag nie połakomi się, a wątpię, żeby się zajął szczerze osobą, która zapomina...

— O skromności, będącej najpiękniejszą ozdobą kobiety! — dokończyła Stasia.

— Co do mnie—podjął pan Spirydjon—nie dziwił-bym się Edwardowi, gdyby się starał o rękę panny Wandy. Jest to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie znam.

Tym razem po czole Olimpji wyraźna przemknęła chmura.

— Należy pamiętać i o tém — wycodziła z wolna, niby nie zważając na słowa swego adoratora — że panna Rodowska, bez uwagi na sferę, do której na-

leży, nie z pierwszym panem Gaczyckim kompromituje się w podobny sposób. Odkąd ją znam, zawsze zapomina o formach, przyjętych w wyższém towarzystwie.

— I o przesądach, panujących w tém towarzystwie! — dodała zawzięta Stasia.

— Cicho, Stasiu, cicho, narażasz się! — szepnął pan Paweł.

— Gdyby jednak pan Gaczycki ożenił się z kochaną Wandziulką, czego jęj życzę szczerze, bo kocham ją z całego serca — zaczęła pani Apolonia — była-by z nich bardzo dobrana para; szkoda tylko, że tak w dobrém, jak w złém. Oboje są śliczni, kochani, serdeczni, ale nie mają żadnej religii. Niech mnie Bóg strzeże i broni od obmowy lub odbierania sławy bliźniemu, ale, co prawda, nie widuję nigdy w kościele ani pana Edwarda, ani panny Wandy. Nie prawdaż, pani Stanisłavo, że panna Wanda nie bywa w kościele? pani o tém wiész, jako najlepsza jęj przyjaciółka.

— Nie umiem pani na to odpowiedzić — odrzekła spytana — bo choć rzadko chodzę do kościoła, to jednak, gdy raz tam jestem, to modlę się tylko, a zatém, nie widzę, kto jest w kościele, a kogo niéma.

Antyfona przygryzła sobie usta. Z miną jednak pełną namaszczenia zwróciła się do młodej kobiety i rzekła:

— Bardzo to pięknie, że pani jesteś tak pobożną. Nasz Ojciec Niebieski, który sam tylko patrzy w serca swoich wiernych, policzy ci to na sądzie ostatecznym, na którym ważyć się będą grzechy i zasługi ludzkie.

— Amen — po cichu dokończyła Stasia.

— A ja powiadam państwu — ozwała się pani Teresa — że pan Gaczycki z pewnością nie ożeni się z Wandą. Jest to człowiek zimny i bez serca, pokochać zatem nie może; a jak mówiłam już, na posag się nie poślakomi, będąc sam tak bogatym.

— O, co prawda, to prawda! — zawołała Apolonia — to człowiek bez serca! nie widziałam nigdy, żeby dał grosz ubogiemu!

— Niemoralny! — ozwał się pan Rokowicz — prowadzić pannę... tedy... w głąb' lasu... sam na sam... więc... to obraża... tedy...

I znowu nie dokończył, bo przerwał mu pan Spirydyon:

— Moi państwo! sądy wasze są niesłuszne; ani Edward jest, jak mówicie, bez serca, ani panna Wanda bezbożną. O pierwszym wiem wiele rzeczy, które mówią na jego korzyść; drugą widziałem raz na prymaryi w katedrze.

— Pan chodzisz na prymaryą? — zapytała z przekąsem pani Olimpia.

Pan Spirydyon pochylił się prawie do jej ucha i szepnął:

— Było to owego pamiętnego ranka... kiedym wracał od pani... zaszedłem do kościoła, aby tak rano nie być widzianym w mieście...

Na twarz pani Olimpii wystąpił nagły rumieniec. Zasłoniła się wachlarzem i szepnęła gwałtownie:

— Milcz pan! mogą usłyszeć!

Niepodobna jednak było, aby ktokolwiek posłyszał cichy szept pana Spirydona, bo w tej samej chwili pan Rokowicz zerwał się nagle z siedzenia, wyprostował się całą swą wysokością, i prostopadle wyciągnął przed sobą prawicę. Nie trudno było odgadnąć, że nagła jakaś, a pełna zgrozy myśl uderzyła jego czworograniastą głowę, i sprowadziła zdarzający się mu niekiedy, napad wymowy.

— Przepraszam! — wyrzekł nagle, bo od tego wyrazu zaczynał zwykle, gdy miał wiele do powiedzenia.

Po tym wyrazie, wyrzuconym z ust, jak z procy, milczał chwilę i wodził wzrokiem po audytorium.

— Tedy... więc... — mówił dalej — panna Wanda kompromituje się nietylko z jednym panem Gaczyckim... Widziałem sam wczoraj... tedy... i słyszałem... bo to tak było... wyszedłem wieczorem na przechadzkę... Terenia została w domu, bo była niezdrowa... więc... poszedłem za miasto... (pan Felix miał zwyczaj rozpoczynać opowiadania swe od potopu). Poszedłem więc za miasto i tedy myślę sobie: krótko będę bawił, bo Terenia w domu została...



— Najmilszy mój! — wyrzekła Terenia.

— Idę sobie aleą — kontynuował pan Felix, nie zważając na czułą przerwę — aż spotykam Karolka N. Tedy poszliśmy razem... bo to on, państwo wiecie, razem ze mną w biurze pracuje... Więc, to o tém, to o owém zaczęliśmy gadać, i tedy wieczór nadszedł. Więc późno było... Karolek mówi: — Chodźmy bliższą drogą. — Więc chodźmy! — odpowiadam, i poszliśmy tedy Wiejską ulicą. Idziem więc i słyszym muzykę. Karolek mówi: — To panna Rodowska gra. — Więc spojrzałem na pierwsze piętro, bo to ona z matką na pierwszym pięttrze mieszka. I patrzę więc... prawda! ona gra, i okno od jój pokoju otwarte... a Karolek mówi: — Panna Rodowska gra, a pan August Przybycki słucha. — Spojrzałem więc na okno pana Przybyckiego: prawda, okno otwarte, i pan August siedzi przy niém i słucha, jak panna Wanda gra. Tedy... myślę ja sobie: co to za panna, co tak późno wieczorem okno otwiera i gra, kiedy z drugiejj strony ulicy siedzi przy otwartém oknie mężczyzna i słucha... I mówię to Karolkowi... tedy Karolek mówi, że to tak co wieczór bywa, odkąd wiosna i okna się otwierają, że panna Wanda gra, a pan August słucha. Oboje więc przy otwartych oknach, jedno na pierwszym pięttrze, drugie na dole, jedno z jednejj strony ulicy, drugie z drugiejj... Tedy mnie się zdaje, że panna Wanda takiem postępowaniem kompromituje się, i że tedy młoda panna, która

jest jak należy, tak postępować nie powinna... Przepraszam!

Wypowiedziawszy znowu to początkowe i ostateczne słowo, najniespodzianięj w świecie, pan Felix usiadł znowu przy swęj małżonce, która zagładając mu z przymileniem w oczy, poczęła przesuwać dłoń po jego włosach.

Stasia parsknęła śmiechem; po ustach pani Olimpii i pana Spirydyona przesunęły się też ironiczne uśmiechy. Ale pani Apolonia westchnęła głęboko, i wyrzekła z żalem:

— Mój Boże! jaki też to świat teraz! młode pan-ny, zamiast modlić się wieczorem i dziękować Panu Bogu za dzień szczęśliwie przebyty; a gotować się do śmierci, która lada chwila nadejść może, grają przy otwartych oknach...

— A żonaci mężczyźni słuchają! — jęknęła Teresa.

— Żonaci! żonaci! niech im Bóg odpuści ciężkie grzechy! — westchnęła Antyfona.

Pan Spirydyon zaśmiał się prawie głośno.

— Moi państwo — rzekł — zdaje mi się, że przesadzacie. Panna Wanda może i nie wiedziała, że gry jęj słuchał pan Przybycki.

— Przepraszam! — wystrzelił znowu, jak z procy, pan Felix — wiedziała, bo potém patrzyła sama przez okno, i tedy widziałem, że patrzyła na okno pana Augusta.

— A, to widzę — wtrąciła Stasia — żeś pan sam stał niemały czas pod oknem Wandzi ; a co na to pani Teresa powie ?

— Cicho, Stasiu, cicho, narażasz się! — szepnął pan Paweł.

— Ciekawe téż to indywiduum, ten pan August Przybycki — odezwała się pani Olimpia — widziałam go kilka razy na ulicy. Bardzo miłą i dystyngowaną ma powierzchowność, a prowadzi życie jakieś tajemnicze, nigdzie się nie pokazuje....

— Nieszczęśliwy jakiś człowiek — ozwała się Stasia z litością na twarzy.

— Owszem, szczęśliwy — odpowiedziała Apolonia — bo wszelkie cierpienia pomagają do zbawienia duszy. Kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła!

— W takim razie, Pan Bóg musi nas bardzo kochać, kiedy nam zesłał tę Antyfonę — szepnęła Stasia do ucha mężowi.

— Cicho, Stasiu, cicho, narażasz się! — odszepnął pan Paweł.

W téj chwili pani Olimpia powstała i, ująwszy ramię pana Spiridyona, odeszła z nim ku rzece. Teresa przysunęła się do Apolonii i zaczęła z nią szeptać, ukazując nieznacznie na odchodzącą parę. Pan Felix zaś zadumał się głęboko, zapewne nad upad-

kiem obyczajów publicznych i nad t $\acute{e}$ m, jak młode panny gorsząco grają wieczorami przy otwartych oknach.

Stasia wzięła za rękę męża i rzekła do niego z cicha :

— Co ty mi, Polciu, mówisz zawsze, abym była cicho i nie narażała się! Mam-że milczeć, kiedy oni obmawiają moją przyjaciółkę? alboż ja się ich lekam? alboż dbam o ich zdanie? Dla mnie całe szczęście, to ty, dom nasz i dziecko nasze, a co o mnie powiedzą ci ludzie, u których cnota na języku, a dyabełek rogaty w sercu, to mi wszystko jedno! Potakiwać ich głupstwowi i złości nie myślę!

Pan Paweł wpatrzył się w pół-figlarną, pół-nadasaną, a nieskończenie dobrą twarz żony, i podniósł rękę j $\acute{e}$ y do ust.

— Ty anioł jesteś, Stasiu — szepnął, a oczy jego błysnęły w t $\acute{e}$ j chwili, napełniły się wyrazem wielkiej miłości i nagle popiekniały.

Stasia uśmiechnęła się do męża, żwawo powstała i, podsunąwszy mu rękę pod ramię, ze śmiechem i podskokiem pociągnęła go ku gronu pańienek.

Pani Apolonia ukazała ją pani Teresie.

— Co to za pusta i wietrzna kobieta! — rzekła.

— A jaka nieskromna!

— Wodzi męża na pasku! trzyma go pod pantoflem!

— A ręczę, że go ani trochę nie kocha! tylko patrzeć, jak go zacznie zdradzać.

— At! bezbożność tylko i obraza Pana Boga! Mój Boże! mój Boże! co to za świat teraz! — dokończyła Antyfona.

---

## VI.

Daleko od rozmawiającego w ten sposób towarzystwa, bo po spadzistości innego wzgórza, zstępowała powoli para ludzi: mężczyzna i kobieta. Mężczyzna był człowiekiem lat około czterdziestu, wyniosłej i wytwornej postaci, bladój i nieco przychudłej twarzy, z włosami jasnymi i przerzedzonymi nad wysokim czołem, z oczyma blado-błękitnymi, które były bardzo rozumne i bardzo obojętne zarazem. Obojętność była też obok rozumu główną cechą jego fizjonomii, a nawet i postaci, która surowo, choć z najwyższym smakiem ubrana, wydawała się chłodną, nieco sztywną i dumną.

Prowadził on pod rękę bardzo piękną dwudziestoletnią pannę, która powierzchownością swą stanowiła z nim zupełną sprzeczność. O ile on wydawał się chłodnym i obojętnym, o tyle w twarzy jej i całej postaci malowała się pełnia nietkniętych jeszcze, nieświadomych siebie uczuć. Ale widocznem było zara-

zem, że uczucia te nieskierowane były jeszcze ku żadnemu wyłącznie przedmiotowi i odzywały się dotąd w piersi dziewiczej, jako przecucie tylko, spoczywały w niej cichą warstwą łagodnego marzenia. Marzenie to było w szafirowych oczach młodej panny, wielkich i na-pół przysłoniętych długą ciemną rzęsą, w powolnym podnoszeniu się jej przezroczystego wzroku; było ono na czole jej gładkiem i białym, po którym kiedy niekiedy przemykały leciuchne różane odcienie; w składzie ust zamyślonych — i w ruchach łabędziowych postaci, która zdawała się nie chodzić, lecz płynąć po ziemi. Sam ubiór jej miał w sobie coś marzącego i idealnego; mogła-by w nim stanąć przed malarzem na wzór średniowiecznej dziewicy, rozdającej nagrody turniejowym zwycięzcom. Biała powłóczysta suknia sunęła się za nią, muskając lekko leśne mchy i nieśmiertelniki; w płowych, wysoko nad czołem zaczesanych, włosach, rozkwitała blado-różowa *rosa thea*; złoty pasek ściskał szczupłą kibić, i takież łańcuszek, jak wężyk cieniuchny, wił się po szyi śnieżnej białości i posągowych kształtów. W ręce, spuszczonej i podtrzymującej fałdy sukni, trzymała prosty słomkowy kapelusz, białą ozdobiony wstęgą.

W miejscu, którym szli, las rzadki był i czysty, niemniej jednak mężczyzna z wielką ostrożnością i troskliwością prowadził pannę, która, opierając się na jego ramieniu, piękne swe szafirowe oczy podno-

siła marząco ku złączącym się od słońca szczytom sosen, zdając się wsłuchiwać w ich szum monotony, a zapominać całkiem o towarzyszu przechadzki. On także nie starał się o prowadzenie z nią rozmowy; obojętnymi oczyma spoglądał prosto przed siebie, i tylko starannie uchylał przed swą zamarzoną towarzyszką kolczate gałęzie jałowcu, czepiające się jej powłóczystej sukni.

Spojrzawszy wtedy na nich, od razu można było odgadnąć, że ona marzyła, on myślał; ona wyobraźnią snuła sobie jakąś nić podniebnych poezyi, on rozważał wyborny gatunek drzew sosnowych, które wkoło niego rosły i myślał, że przydały-by się na maszty do statków zbożowych, które właśnie budował.

A jednak, mimo tych sprzeczności, zeszli się z sobą, wybrali siebie i oddalili się sam-na-sam od licznego towarzystwa.

Czy może, mimo sprzecznych pozorów, mieli między sobą coś wspólnego?

Może zimnego człowieka pociągało marzycielstwo dziewczyny, z po-za którego chciał ujrzeć ciepło młodego serca?

Może obojętny człowiek miał urok dla marzącej dziewczycy, która, po-za chłodem, dopatrywała w nim hartu ducha — téj, w oczach każdej kobiety, idealnej cnoty męskiej?

Powoli piękna panna oderwała swe szafirowe oczy



od wysoko powiewających gałęzi sosnowych, spuściła je po wężykowato wijącym się promieniu słońca i zatrzymała na twarzy towarzysza.

— Jakże wdzięczną panu jestem — rzekła głosem, który brzmiał bardzo dźwięcznie — żeś mnie pan odprowadził od tego gwaru i tego towarzystwa, z którym przyjechaliśmy tutaj, i dał mi sposobność użyć prawdziwej przechadzki wśród ciszy i samotności.

— Niech pani wierzy, iż ta nasza ekskursya sprawia mnie samemu żywą przyjemność — z pełną grzeczności, lubo chłodną galanterią, odrzekł mężczyzna.

— Od pewnego czasu — mówiła dalej panna — coraz mniej znajduję przyjemności w towarzystwach. Najczęściej nawet nudzę się między ludźmi, którzy mnie otaczają. Nie śmiem i nie umiem może wydawać o nich stanowczego sądu; wiem tylko, że mają pewne cechy, które mnie rażą i nieraz zastanawiam się nad tém, dlaczego ten świat, którego byłam tak ciekawa, mając lat szesnaście, do którego tak mi było pilno, o którym marzyłam, jak o czémś cudowném, dziś wydaje mi się płaskim i niezajmującym, mężczy mnie często, czasem nudzi, a niekiedy nawet gniewa?

Mężczyzna przeniósł swe obojętne oczy na twarz panny, która w téj chwili okryła się wyrazem rozważliwej, i odpowiedział.

— Jest to na nieszczęście własnością wielu na tym

świecie rzeczy, iż z dala wyglądają jasno, a z bliska ciemno.

— Wielu! ale przecie nie wszystkich? — zapytała panna, a w głosie jej zadrgała obawa i smutek.

— Prawie wszystkich zewnętrznych — odpowiedział mężczyzna — to tylko ma wartość gruntowną i niezmienną, co człowiek w sobie samym wyrobi siłą woli i pracy, i to, co ukocha z myślą rozumną i celem świadomym siebie.

Panna spuściła wzrok ku ziemi i kilka chwil zdawała się głęboko zastanawiać nad słowami towarzysza. Podniosła potem głowę i rzekła powoli ze smutnym wyrazem :

— Ja tego dobrze nie rozumiem, co pan powiedziałeś. Ja piękności i światła szukam wkoło siebie; między ludźmi, na świecie pragnę znaleźć ideał — coś nieskazitelnego, coby mnie zachwyciło, coś niezwyčajnego, coby wyraźnie odbiło się od tła codziennęj prozy...

— To znaczy — przerwał mężczyzna — że pani marzy. Bardzo to zresztą właściwe jej wiekowi, ale dopóki tak będzie, zawsze się pani zawodzić będzie, aż te zawody marzenia pani w spokojną myśl przemienią, za pomocą której poznasz pani istotną stronę świata i życia...

Młoda panna nie odpowiedziała nic na te słowa i postępowali dalej w milczeniu, i znowu ona marzyła — on myślał.

Nagle stanęli.

U stóp ich ukazał się parów głęboki— prawdziwa przepaść, nad której brzeg przyszli, nie wiedząc sami o tém, gdzie przyjdą.

Było to miejsce zachwycająco piękne.

Wokoło porastał bór wyniosły, rzadki, mchem zasłany i murawą, rozłożystemi konarami sosen powiewający w górze. Od stóp tych sosen spuszczały się dwie wysokie ściany parowu, miejscami gładkie, skaliste i ciemno-żółte, miejscami porośnięte karłowatą jedliną, pomiędzy którą powiewały bujne, wysokie grona różowych dzwonek, dzikie astry liliowe wychylały kołyszące się głowy, albo strzelała gdzieś niedzie oparta o ścianę, wysmukła, gładka sosenka. I znowu kończył się pas roślinności, tworząc niby wielki schód, ręką natury utworzony z zieloności i kwiecia, a rozpoczynała się gładka i spadzista ściana, zdająca się z niezmierną bystrością lecieć do dna przepaści. Ale na dnie tém najpiękniej było. Z sosen, jodeł i różnokształtnych dzikich krzewów tworzyły się tam gęste altany i gaiki; z pośrodku ich wypływały strumienie, to pojedyncze, to snopami wąziuchnych nici srebrzystych, kręto i bystro płynęły po kamykach, tworząc miejscami szemrzące wodospady, znikając na chwilę w nowój masie zieleni i znowu ukazując się, opływając stopy grubych drzew, samotnie rosnących gdzieś, i niknąc ze szmerem w oddali, której nie dosięgało oko. Po samym środ-

ku urwiska, między grupą oplątanych powojem krzewów, pobożna ręka jakaś wkopała krzyżyk biały; wążiuchny strumyk przeciskał się tamtędy i, płynąc tuż koło krzyża, zdawał się całować stopy jego. W innej grupie zieleni odzywały się kiedy-niekiekiedy pojedyncze, oderwane tony śpiewu słowika; w borze, daleko, kukała kukułka, a oprócz tych słabych głosów, żadnego innego głosu słychać nie było. Tylko wysoko szumiały drzewa i woń żywiczna boru wraz ze świeżem tchnieniem, wiejącem od strumieni i rzeki pobliskiej, napełniała powietrze.

Przechadzająca się para stała nad brzegiem parowu w milczeniu. Młoda panna wysunęła rękę swą z pod ramienia mężczyzny, oparła się plecami o sosnę, która obok niej rosła gładka i wysoka i, z założonemi na piersi rękoma, ścigała wzrokiem bieg strumieni na dnie przepaści.

Mężczyzna stał obok niej, milczący, zamyślony także i wpatrzony w przeciwległą stronę parowu; ale z wyrazu twarzy jego prawie odgadnąć można było, iż myślał nad tém, z jakich geologicznych pokładów składa się ściana urwiska.

— Boże mój! jak tu pięknie! — zawołała nagle panna, jakby nie mogła zachwyty swego dłużej w piersi zamknąć. — I pan powiadasz — mówiła dalej, zwracając się do mężczyzny — i pan powiadasz, że ideałów niema na świecie! Alboż nie jest ideałem piękności i potęgi natura bez granic, piękna i silna

w swych objawach, tak rozmaita, a tak jednak pełna harmonii! O tak, zaczynam wierzyć, że nie między ludźmi ideałów szukać należy, ale w samotności i ciszy, między błękitem niebios i drzew wyniosłych zielenią, pod gwiazdami, wysoko, kędy duch Boży unosi się w nieprzerwanym słońcu pochodzie, i na ziemi, nisko, kędy rozkwita kwiecie leśne, wonne a niewinne! Tam, na świecie, między ludźmi, taka proza, taki chaos próżności, błahostek, egoistycznych uczuć i myśli!... tu, wśród natury tylko, wielkość i piękność bez granic — ideał!

Umilkła, złożyła ręce na piersi, jak do modlitwy, i marzący wzrok swój podniosła znowu wysoko. Mężczyzna utkwił w nią oczy, pełne badawczego wyrazu. Zdawało się, że poddawał stojącą przed nim dziewicę rozbiorowi krytycznego rozumu.

— Ciekawym — szepnął do siebie bardzo cicho — ciekawym, czy exaltacja ta jest wynikiem rozbujałej wyobraźni, czy istotnie ciepłego serca?

Panna nie słyszała szeptu tego, zwróciła znowu wzrok na towarzysza i zaczęła mówić:

— Często zastanawiam się nad tem, dlaczego, gdy w naturze wszystko tak niezmiernie jest rozmaite, że nawet dwóch listków jednakowych niema na drzewie, ludzie są tak dziwnie, tak prozaicznie, tak nudnie do siebie podobni?

Rzekłszy to, zamyśliła się; mężczyzna zapytał:

— Jak to pani rozumiesz?

— Tak — odpowiedziała — gdy przebiegam myślą wszystkich mych znajomych, zdaje mi się, że widzę szereg manekinów, jednostajnie ubranych, chodzących, gadających, śpiących i jedzących. Wszyscy są sobie podobni i wszystkie istnienia są do siebie podobne. Nigdzie wielkiego szczęścia, ni wielkiej niedoli, wielkiej cnoty, ni wielkiej zbrodni — wszystko mierzone, konwencyonalne, objęte formami, sztywne, zimne. Każdy zaczyna dzień od śniadania, spędza go w pracy machinalnie spełnianej, albo i bez pracy, kilka godzin marnuje na pustej gadaninie i wieczorem idzie spać, po zmówieniu pacierza z takim samym natchnieniem, z jakim jadł kotlety na śniadanie, a z daleko mniejszym, niż obmawiał bliźniego. Gdzież tu więc myśl wzniosła, gdzie dążenia wspaniałe, gdzie te wielkie dramata radości lub bólu, w których objawia się potęga uczuć ludzkich? Nic, nic, prócz egoizmu, gastronomicznych funkcji, przymusowej pracy, albo pełzającego próżniactwa. Doprawdy! wśród tego wszystkiego ogarnia mnie czasem nuda śmiertelna i żałuję, że minął czas zaklętych królewiczów, błędnych rycerzy i zbójców, zjawiających się w dobrych towarzystwach pod przybranymi nazwiskami!

W czasie mowy pięknej panny, mężczyzna nie spuszczał z niej badawczego oka, a gdy skończyła, szepnął:

— A! pragnienie wrażeń!

A głośno dodał:

— Więc pani chciała-byś spotkać między ludźmi coś niezwykajnego, coś zachwycającego, albo przerażającego?

— Tak — odpowiedziała panna — chciała-bym nareszcie, po tylu zwyczajnościach, choć raz ujrzeć na świecie bohaterstwo lub zbrodnią, szczęście, które człowieka pod gwiazdy porywa, albo rozpacz, od której serce pęka i życie się łamie.

Mężczyzna chciał coś odpowiedzieć, ale uwagę jego i jego towarzyszki ściągnął szelest kroków kogoś za nimi idącego. Odwrócili głowy i zobaczyli między rzadką kolumnadą sosen postępującego młodego mężczyznę, a tak zamysłonego, ze wzrokiem tak upornie wlepionym w ziemię, że ich nie spostrzegł.

Na widok zbliżającego się, dwa różne wyrazy zagrały na twarzach stojącej nad parowem pary. Obojętne oczy mężczyzny rozświeciły się czémś nakształt zadowolenia i serdeczności, lubo bardzo umiarkowanej; panna zapłonęła tak szkarłatnym rumieńcem, że oblał czoło jej i szyję, spłynął aż na ramiona, widniejące pod białym muślinem, a blade-różowa *rosa thea* zbladła przy nim bardziej jeszcze i wydała się śnieżną.

Mężczyzna, towarzyszący płoniącej się pannie, nie dojrzał jej gwałtownego rumieńca, bo patrzył na nadchodzącego, i zarazem wyrzekł dosyć głośno, tonem uprzejmie brzmącym:

— Dobry wieczór, panie Augustynie!

Nachodzący podniósł nagle oczy, jak człowiek zbudzony z głębokiego zamyślenia; spojrzał na tego, który go zawołał po imieniu, uśmiechnął się przyjacielsko i odpowiedział:

— Dobry wieczór, panie Edwardzie; nie spodziewałem się...

Nagle stanął jak wryty. Oczy jego zatrzymały się na twarzy panny, towarzyszącej temu, z kim się witał.

O ile ona zarumieniła się, spostrzegłszy go, o tyle on zbladł, spojrzawszy na nią. Oboje snadź doświadczyli silnego wzruszenia; tylko, że u dziewicy objawiło się ono rumieńcem, u mężczyzny bladością.

A z tym rumieńcem i z tą bladością oboje byli bardzo piękni. Bledziuchna *rosa thea* drżała w płowych włosach panny nad czołem, które pochylało się nieco; promyk słońca igrał nad bladą twarzą mężczyzny, ukazując na niej zdumienie i zachwyt. Pan Edward Gaczycki, ze zręcznością światowego człowieka, szybko spostrzegł wzruszenie towarzyski, i przypisując je zapewne pomieszaniu, sprawionemu widokiem nieznanego, ozwał się do niej, wyciągnąwszy na powitanie dłoń do nachodzącego:

— Pani zapewne nieznanym jest pan August Przybycki, mój dobry przyjaciel?

A zwracając się do niego, wyrzekł:



— Panna Wanda Rodowska.

Skłonili się sobie w milczeniu. Wanda powoli podniosła na Augusta swe szafirowe wielkie oczy i również powoli wysunęła do niego rękę.

— Nie znałam pana dotąd osobiście — rzekła głosem cichszym nieco, niż ten, którym wprzód mówiła — ale widuję go bardzo często. Od kilku miesięcy jesteście bliźcy sąsiedzi — dodała, zwracając się do Edwarda — pan Przybycki, odkąd bawi w X., mieszka naprzeciw domu, w którym my mieszkamy.

August skłonił się po raz drugi i uścisnął końce palców ślicznej podanej sobie ręki.

— Ja także — odpowiedział — mam szczęście widywania pani codziennie, stojącej w oknie, lub idącej ulicą, a nawet...

Zawahał się chwilę i uśmiech ozdobił jego kształtne, świeże usta.

— A nawet — dokończył — ośmielam się każdego wieczoru słuchać jej pięknej muzyki...

Wanda spłonęła się znowu.

— Doprawdy? — odrzekła z wolna — nie wiedziałam dotąd, że miewam słuchacza...

— I wielce kompetentnego — przerwał pan Edward. — Widzisz pani przed sobą człowieka o chybioném powołaniu: mógł być artystą muzykiem, a został urzędnikiem...

— Czy tak? — mówiła Wanda, a oczy jej znów się podniosły na twarz Augusta i zamigotały wyra-

zem zajęcia — pan lubisz sztukę i sam może grywasz ?

— Sztuka, pani — odpowiedział August — miała być celem mego życia. Mówiono, kiedym dorastał, zem na artystę stworzony. Na muzyka kształciłem się do dwudziestego roku życia ; ale potém okoliczności kazały mi wejść na inną drogę, na której łatwiej i pewniej zdobyć mogłem chleb powszedni.

— Dla powszedniego chleba chybić powołaniu swemu ! to rzecz okropna ! — zawołała Wanda z niezmiernym smutkiem w głosie.

Czoło Augusta zasnuło się chmurami, oczy jego spuściły się może dla ukrycia gorzkiego wyrazu, który się w nich pojawił. Po chwili jednak podniósł głowę i odpowiedział ze spokojem, lubo głosem niższym nieco :

— Bywają w życiu pewnych ludzi epoki, w których nie wolno im myśleć o sobie i w których obowiązek i honor nakazuje im wyrzec się najdroższych nawet celów i miłości życia.

Wanda nie odpowiedziała — była zamyśloną. August po chwili mówił dalej, całkiem już swobodnie :

— Chociaż jednak opuściłem wyłączny zawód muzyczny, do którego sposobilem się za młodu, nie idzie za tém, abym całkiem wyrzekł się sztuki. Poświęcam jęj dotąd wszystkie wolne chwile moje, a znajomość jęj i miłość dla nięj uważam za najpiękniejszą stronę mego życia.

— Otóż znaleźliście się państwo na wspólnie ulubionym gruncie — zawołał pan Edward. — Bo trzeba ci wiedzieć, Augustcie, że panna Wanda urodziła się też artystką; wiele czasu poświęca muzyce i gra prześlicznie.

— O ostatniem wiem dobrze — odpowiedział August — ośmielam się nawet złożyć pani serdeczne dziękczynienie za niewypowiedziane miłe chwile, jakimi pani, mimo swój wiedzy, darzyłaś mnie nieraz przez zachwycającą w istocie grę swoją.

Usta Wandy otworzyły się do śmiechu, który czarowny wyraz łagodności i niewinności rozlał po jej marzącej twarzy. Znowu podniosła na Augusta spojrzenie, w którym tym razem malowała się pewna nieśmiałość, i rzekła :

— Może więc pan zechce bardziej z blizka usłyszeć... i odwiedzić nas... mieszkamy przecie tak blisko... moja matka będzie panu bardzo rada...

August ukłonił się głęboko, z podzięką i uszanowaniem, ale w milczeniu. Nie wiadomo było, czy przyjął, lub odrzucił zaprosiny pięknej panny. Przez chwilę milczeli wszyscy troje. Pan Edward zdawał się znowu rozważać pokłady geologiczne przeciwległej ściany urwiska; Wanda ścigała okiem bieg strumieni na dnie przepaści; po śniadój i wyrazistój twarzy Augusta przebiegały ruchome cienie i światła: to czoło chmurami się zasnuło, to z oczu strzeliła błyskawica, to po ustach przebiegł smutny uśmiech, i spoj-

zenie zawisło na płowych dziewicy warkoczach. Na koniec odezwał się pierwszy :

— Nad podziw niespodzianie spotkałem państwa nad brzegiem tego parowu. Co do mnie, jest to miejsce ulubionych przechadzek moich; przychodzę tu prawie codziennie, gdy tylko czas mi na to pozwała.

— Piękne-bo też to miejsce! — wyrzekła przeciągle Wanda, nie spuszczać oczu z szemrzących na dnie srebrnych nitek wody.

— Właśnie przed chwilą — odezwał się Edward — panna Wanda wyrażała swój zachwyt nad pięknoscią natury tutaj i zadowolenie, że dla niej opuściła liczne towarzystwo, z jakim przybyliśmy do tego boru na zaimprovizowaną majówkę.

— A! państwo tu przybyli z towarzystwem! — wyrzekł August, i z wyraźnym niepokojem rozglądał się wkoło, jakby się obawiał ujrzenia tuż, tuż wysuwającego się z pomiędzy lasu mnóstwa ludzi.

— Zostawiliśmy je daleko po-za sobą — odrzekła Wanda — i wdzięczna jestem panu Gaczyckiemu, że mi to przypomniał. Ja tak lubię ciszę i piękność lasu, że gotowa-bym się zapomnieć tu i długą nieobecnością nabawić o siebie niepokojem znajomych moich. Panie Gaczycki, już czas, abyśmy wrócili do naszego towarzystwa.

To rzekłszy, zebrała w dłoń długie fałdy swęj sukni, jedno jeszcze spojrzenie rzuciła na dno parowu, jakby trudno jęj było rozstać się z jego widokiem — i pełnym poważnego wdzięku ruchem postąpiła pomiędzy sosny, w stronę, z której wraz z panem Edwardem nadeszła.

Dwaj mężczyźni szli obok nięj, ale żadnemu już z nich nie podała ręki, a wstępowała sama na strome wzgórze, spokojna i zamyślona, krokiem lekkim a pewnym, z którego można było poznać siłę i zdrowie najpięrszjęj młodości. Przy trudnëm wspinaniu się na górę pierś jęj nawet nie wzdymała się bynajmniej przyspieszonym oddechem zmęczenia; tylko białe policzki zaróżowiały trochę i delikatnością barwy sprzeczały się o pięrszeństwo z drżącą w płowych włosach *rosa thea*.

Pan Edward znowu obojętnemi swemi oczyma rozglądał się wkoło, jakby myśląc o przydatności otaczających sosen na maszty do statków zbożowych. August szedł ze schyloną głową, a oczy jego z pod powiek spuszczoney ścięgały brzeg białęj sukni Wandy, muskający leśne mchy i nieśmiertelniki.

Po kwadransie lub więcj takiego milczącego pochodu, do uszu trojga idących doszedł gwar rozmów i w dali, między zielenią, zabłyśły barwy kilku sukien.

August przystanął.

— Przychodzi mi tu pożegnać państwa — rzekł z ukłonem — państwo zbliżacie się do liczego towarzystwa, ja zaś, który go nie znam, wrócę tam, dokąd szedłem.

Wanda zatrzymała się i znowu powolnym ruchem wysunęła do niego rękę.

— Spodziewam się wkrótce zobaczyć pana—wyrzekła — ponieważ oboje jesteśmy zwolennikami muzyki, a w mieście naszym tak mało znajduje się ludzi podobnego nam zamiłowania, więc może bliższa znajomość między nami wyjdzie na korzyść nam i sztuce.—I znów cudownej słodyczy i niewinności uśmiech otworzył usta Wandy.

August podniósł twarz bardzo bladą. Oczy jego mgliły się i płomieniły naprzemian; w głosie prześlicznej panny usłyszał prośbę. Skłonił się z szacunkiem i wdzięcznością, a uściśnawszy rękę Edwarda, oddalił się szybko.

Wtedy pan Gaczycki grzecznie podał ramię Wandzie i oboje postąpili ku widniejącemu między zieleńią towarzystwu.

W chwili, gdy Wanda zapraszała Augusta do domu swęj matki, o kilka kroków od nich zaszeleściło coś w gęstwinie młodych sosenek i jałowcu i pomiędzy kolczatemi gałęzmi przemknął kolor fiołkowy wstążek i błysnął wyłlacany krzyż rózańca. Była to pani Apolonia Kuderska, która, zdjęta niezmierną troskliwością o „śliczną, dobrą, kochaną

Wandziulkę”, pomknęła na jej spotkanie, ukrywając się między gęstwiną zarośli, aby, niewidzialna, spotkać ją wracającą z panem Gaczyckim, i z ukrycia móżd lepiej czuwać nad zbawieniem jej duszy.

---

## VII.

Pani Olimpia Rostowiecka stała nad brzegiem rzeki, wsparta na ramieniu pana Spirydyona Asa; obok niej, w tkliwym uścisku swych dłoni trzymając ogromną rękę małżonka, wzrokiem pełnym słodyczy i skromności patrzyła na pluskające w wodzie rybki pani Teresa Rokowiczowa; o parę kroków od nich stała niemłoda jakaś pani, w białej mantyli i amaran-towej sukni, zagradzając sobą drogę do rzeki dwom dosyć brzydkim, i nie piérwuszéj młodości córkom. Całe to grono rozmawiało z sobą z ozywieniem, prócz pani Olimpji, która zachowywała w rozmowie rezerwę, właściwą damie wysokiej sfery, i pana Rokowicza, zadumanego nad upadkiem obyczajów publicznych.

Nagle rozległo się za nimi ciężkie westchnienie i, pomiędzy niebiesko ubraném ramieniem pani Teresy a śnieżną, odkrytą szyją pani Olimpji, ukazał się ponsowo kwitnący nos pani Apolonii.



— Boże Najwyższy! — jęknęła Antyfona — jakż to nieodżałowana szkoda téj śliczněj, kochaněj Wandziulki!

Towarzystwo obejrzało się.

— Cóż się stało nowego z panną Wandą?—z lekką ironią zapytał pan Spirydyon.

Ale państwo Rokowiczowie oboje, dama w amarantowěj sukni i dwie jěj córki, pełnym ciekawości wzrokiem wpiły się w twarz przybyłěj do grona ich kobiety.

Pani Apolonia, zdyszana od biegu, wydobyła z kieszeni z za Złotego Ołtarzyka chustkę niepewněj czystości, otarła nią pot z pełnego żółtych plam czoła i jęknęła po raz wtóry:

— Boże Najwyższy! jakż jěj szkoda! jaka jěj szkoda!

— Cóż? co się stało? — pytało towarzystwo.

— Niech mnie Bóg strzeże i broni — jęczała Antyfona — abym miała obmawiać kogoś, odbierać sławę bliźniemu! ależ to obraza Pana Boga! Panna, chodząca po lesie nietylko już z jednym mężczyzną, ale z dwoma!

— Z dwoma! — zawołała pani Teresa — któż był więćej z panną Rodowską, oprócz pana Gaczyckiego?

Pani Apolonia milczała przez chwilę i kiwała głową ze zgrozą i politowaniem; potém plasnęła rę-

koma, odzianemi w grube czarne rękawiczki, i wyrzekała, podnosząc oczy do nieba:

— Pan August Przybycki!

Milczała znów długo, wodząc wzrokiem po twarzach obecnych, potem znów jęła mówić:

— Niech mnie Bóg strzeże i zachowa, abym miała obmawiać kogo i odbierać sławę bliźniemu! ale widziałam, widziałam na własne oczy, jak Wanda szła od parowu, z panem Gaczyckim po jednej stronie a panem Przybyckim po drugiej, i słyszałam, że pana Przybyckiego zapraszała do siebie, mówiąc, że nudzi ją całe nasze towarzystwo, i że z nim jednym przyjemność znaleźć może. A on pocałował ją kilka razy w rękę i coś szepnął do niej tak, żeby pan Gaczycki nie słyszał. Musiał jęj nielada komplement powiedzieć, bo zarumieniła się po uszy. Nie była-bym nawet tego mówiła państwu, ale żal mi jęj serdeczny; taka poczciwa, taka dobra panienska, i takich rodziców córka, a tak się gubi! Mój Boże! co to za świat teraz!

Oprócz pana Spirydyona, całe grono słuchało opowiadania pani Apolonii z najwyższem oburzeniem, które u każdego inaczęj się objawiało. Pani Olimpia wyżej jeszcze głowę podniosła i ciemne brwi zsunęła z pogardą; pani Teresa spuściła wstydliwie oczy, pan Rokowicz otworzył usta, a dama w amarantowój sukni stała się tak amarantową, jak jęj suknia, i z trwogą o dziewicze uszy swych córek, obej-

rzała się na nie, a one chciwie nastawiły te swoje dziewicze uszy i usta wygięły w wyraz złośliwego zadowolenia.

Pani Olimpia odezwała się pierwsza :

— Nie darowana to rzecz osobie wyższej sfery kompromitować w podobny sposób swe położenie w świecie i pomiatać formami, przyjętymi w wyższych towarzystwach !

— Nie pojmuję, jak młoda osoba może zapominać tak dalece o skromności, która jest najpiękniejszą ozdobą kobiety ! — wyrzekła ze słodyczą i litością w głosie pani Teresa, a zarazem poprawiła nad czołem niewinny pęczek fiołków.

— Przepraszam ! — wystrzelił pan Rokowicz, wyciągając nagle i prostopadle prawicę—dopóki... tedy... panna Wanda chodziła z jednym panem Gaczyckim... więc... była to nieprzyzwoitość... ale tedy... zaczyna już chodzić z dwoma mężczyznami na raz... więc... jest-to skandal... który obraża.... tedy.... przepraszam !

— A do tego jeszcze, uważaj, mój najmilszy Feluniu, że jeden z tych mężczyzn jest żonaty ! — wyrzekła słodko pani Teresa.

— Oj, żonaci ! żonaci ! niech im Bóg odpuści ciężkie grzechy ! — jęknęła Antyfona.

Tu dama w amarantowej sukni zasto niła plecami, odzianemi w białą mantylę, dziewicze uszy swych córek i odezwała się, sapiąc z oburzenia :

— Dziwię się panu Gaczyckiemu, że osłania sobą jakieś schadzki panny Wandy z żonatym człowiekiem. Cóż to za przykład dla naszych córek!

— Boże Najwyższy! — zawołała pani Apolonia — pan Gaczycki to najlepszy, najzaczniejszy człowiek; lubię go i poważam z całego serca; ale co prawda, to prawda! nie ma żadnej religii i zepsuty jest w formie, niemoralny! Niech mnie Bóg broni i strzeże, abym miała obmawiać bliźniego, ale co prawda, to prawda!

— Przepraszam! — wybuchnął znowu pan Rokowicz — póki pan Gaczycki chodził z panną Wandą... tedy... sam na sam... więc... była to nieprzyzwoitość... ale kiedy więc... pan August, więc człowiek żonaty, słucha codzien przy otwartem oknie na dole... tedy... jak młoda panna gra przy otwartem oknie na pierwszym piętrze... a potem tedy spotyka ją w lesie i więc... całuje ją w rękę... tedy to skandal, który obraża... bo więc pan August jest żonaty człowiek... przepraszam!

— Oj, żonaci! żonaci! niech im Bóg... — zaczęła pani Apolonia, ale nie skończyła, bo o kilka kroków od rozmawiającej grupy błysnęła z-za sosen biała suknia Wandy i po chwili ona sama, spokojnie wsparta na ramieniu pana Gaczyckiego, zbliżyła się nad brzeg rzeki.

Na widok nachodzącej, pani Teresa wypuściła rę-

kę męża, którą dotąd piastowała w swych dłoniach, i ze słodziuchną minką postąpiła parę kroków.

— Kochana Wandziu! — zawołała słodkim głosem — tak długo pozbawiałaś nas swego towarzystwa! Tęskniliśmy za tobą!

To mówiąc, objęła kibić Wandy, która opuściła ramię swego towarzysza, długi pocałunek złożyła na jej policzku i wyrzekła pełnym czułości głosem:

— Pieszczoszka moja!

Zbliżyła się i pani Apolonia.

— Nie pięknie, nie pięknie, tak nas opuszczać! — mówiła, biorąc rękę Wandy — ja moje stare oczy wypatrzyłam, oglądając się, gdzie się moja ślicznotka Wandzia podziała! Już cię nie puszcę teraz za to, dzieciaku miły; musimy razem wrócić do miasta, a jutro pójdiesz ze mną na summę — nie prawdaż? Wszak jutro niedziela! przyjdę po ciebie, dobrze?

I objęła z drugiej strony kibić Wandy, na drugim jej policzku złożyła pocałunek i wyrzekła pełnym czułości głosem:

— Ślicznotka moja!

Wanda ze spokojną uprzejmością przyjęła te pieszczoty i oświadczenia się dwóch kobiet i odeszła do innej grupy, między którą błyszczała różowa sukienka Stasi. Pan Edward połączył się też z kilku mężczyznami, stojącymi na uboczu. Po ich odejściu, amarantowo ubrana pani wzięła za ręce obie swe cór-

ki, i pompatycznie odchodząc z niemi, rzekła pół głosem :

— Mes filles! powinnyście unikać towarzystwa panny Rodowskiej. Daje wam zły przykład!

Pani Olimpia podniosła głowę bardzo wysoko, z dumą zsunęła brwi i, zwracając się do pani Rokowiczowej, wyrzekła :

— Dziwię ci się, kochana Tereniu, jak możesz z taką czułością obchodzić się z panną, która nietrafnym postępowaniem tak uwłacza swemu wyższemu położeniu w świecie!

— Nie przypuszczaj-że, Olimpko droga — tłumaczyła się pani Teresa — abym ja Wandę kochać miała, albo stawiać ją na równi z tobą naprzykład, tak szlachetnie dumną i tak wzorowo uniejącą utrzymać swoje położenie w świecie. Ale, widzisz, mam trochę nadziei, że wpływem moim zdołam ją nawrócić na drogę skromności kobiecej, z której nieszczęśliwa zeszała.

— A ja, przy pomocy Bożej, pragnęła-bym natchnąć ją religią i miłością cnoty, o których ta biedna, kochana Wandziulka zapomina! — dodała pani Apolonia.

— Tereniu! — ozwał się pan Rokowicz, prostopadle wyciągając ku żonie prawicę — nie życzę sobie... tedy... abyś wiązała się przyjaźnią z panną Rodowską... więc... ani żeby ona bywała w naszym domu... tedy... wiem, że żadna osoba, która popeł-

nia nieprzyzwoitość... nie powinna bywać w naszym domu.

Ostatnie dwa wyrazy pan Rokowicz wymówił z taką powagą i uroczystością głosu, jak gdyby sądził, że na dachu *domu jego* siedzi cała społeczność ojczysta, i że przy najłżejszym ciosie, zadany powadze ścian jego, dom ten runie, a społeczność spadnie z dachu i nos sobie stłucze.

Słońce zaszło, zmrok zapadał. Tam, kędy kończyły się wzgórza, a rozpoczynała droga do miasta, stały trzy powozy: jeden pani Rostowieckiej, drugi pana Spiridyona, trzeci pana Gaczyckiego. Reszta towarzystwa albo nie miała powozów, albo przekładała pieszy powrót do domów.

Pani Olimpia opuściła na chwilę ramię pana Asa, aby się pożegnać z towarzystwem; pan As skorzystał z urlopu i zbliżył się do Stasi, wspartej na ramieniu pana Pawła.

— Czy mogę państwu ofiarować mój powóz? — zapytał z pełnym galanteryi ukłonem i wyrazistym na młodą kobietę spojrzeniem.

— Dziękuję panu — odpowiedziała — już nam swój pan Gaczycki ofiarował i przyjęliśmy.

— Pozwoli pani odwiedzić siebie jutro? — spytał znowu z wyrazistszém jeszcze spojrzeniem adorator pani Olimpii.

— I owszem — odparła Stasia — chciéj pan przyjsć, tylko w porze, gdy mąż mój z biura powra-

ca; bo w nieobecności jego tak jestem zajęta domem i dzieckiem, że nikogo-bym przyjąć nie mogła.

Pan Spirydyon ukłonił się raz jeszcze i odszedł z lekkim niezadowoleniem na twarzy.

— Czy widzi pani Wincentowa — mówiła, nieopodal stojąca pani Apolonia do amarantowej damy — jak ta wietrznica, Rumiańska, kokietuje pana Asa! co oni tam szeptali z sobą? a biedne to Pawlisko stoi obok i nic nie widzi i nie słyszy!

— Osieł z niego, za pozwoleniem, a ona kokietka — odrzekła amarantowa dama — i dodała: — Co to za przykład dla naszych córek!

Pan Spirydyon, widząc, że pani Rostowiecka kończy żegnać się z towarzyszem, pośpieszał ku niej, aby pomódz jej wsiąść do powozu, gdy musnęła go błękitna sukienka pani Rokowiczowej, przechodzącej mimo z małżonkiem. Pan Feliks opowiadał coś idącemu obok jakiemuś mężczyźnie, zaczynając rzecz swą od potopu; a niewinny pęczek fiołków pochylił się prawie do ucha pana Spirydyona i zarazem słodziutkie usteczka pani Teresy szepnęły:

— Jak uważam, wspaniała pani Olimpia niezupełnie zasłania panu i inne mniej świetne piękności... i pani Stanisława...

— Gdybyś pani nie była teraz wzorem cnoty małżeńskiej — przerwał również cichym szeptem pan Spirydyon — przełożył-bym wznowienie przeszłości nad wszelką terażniejszość...



— Milcz pan! mogą usłyszeć! — szepnęła gwałtownie pani Teresa, a mrok osłonił krwawy rumieniec, który na twarz jej wybuchnął.

— Nie usłyszą — odszepnął pan Spirydyon; a czyliż podobna nie wspominać przeszłości... gdy ona zostawiła tak miłe wspomnienia...

Pani Teresa spuściła rękę między fałdy sukni, pan Spirydyon spuścił także rękę i obie ręce uściśniły się śród mroku.

— Felunieczku najdroższy! — jednocześnie zawołała pani Teresa — pan Spirydyon żegna się z nami! nie uważasz!

Pan Feliks obrócił się żywo.

— Moje uszanowanie tedy... szanownemu panu — wyrzekł, wyciągając swą ogromną rękę do pana Spirydyona — żegnam... tedy pana... niech-że pan więc nas odwiedzi... niech pan tedy co najczęściej zaszczyca swą obecnością nasz dom...

Towarzystwo z gwarem, pocałunkami i uściskami rąk żegnało się czas jakiś, potem ruszyły powozy.

## VIII.

August, po powrocie z przechadzki, która niespodzianie dała mu spotkać i poznać niewidzialną artystkę, czarującą go swą muzyką co wieczór od kilku tygodni, wszedł do swego szczelnie zamkniętego, kurzem i stęchlizną tchnącego mieszkania.

Anastazyja siedziała, jak zwykle, przed ogniem kominka, nogi swe bezwładne, nieogrzewane krwi obiegiem, rozgrzewając przed płomieniem. Z płomienia tego wydobywały się małe kłęby dymu i duszącą szarą mgłą napełniały pokój.

Na twarzy Augusta ukazało się przy wejściu ciężkie wrażenie, jakiem napełnił go ten pokój zamknięty, sztywny, duszny i zadymiony, w którym się znalazł nagle po świeżości, zieleni i woni majowego wieczoru.

Zbliżył się jednak do żony, wyciągnął do niej rękę i rzekł łagodnie :

— Dobry wieczór, Anastazyo.

Ale Anastazyja nie przyjęła jego ręki i nic nie odpowiedziała. Zagasłe jęj oczy upornie wpatrywały się w płomień i ani razu nie zwróciły się na twarz męża. Palcami mięła i szarpała nieustannie suknię, z większą jeszcze, niż wczoraj, gwałtownością.

August usiadł przy nięj i coś do nięj przemówił. Nie odpowiedziała.

Dym z komina owiał mu twarz i niezmierne gorąco płomienia go ogarnęło. Zakrztusił się, zakaszłał i odstąpił na środek pokoju, aby oddalić się od dymu i gorąca.

— Anastazyo — rzekł — zdaje mi się, iż źle czynisz, siedząc nieustannie przed ogniem i w tak duszném powietrzu. Gdybyś pozwoliła choć raz okno otworzyć! doktor nawet zalecał ci świeże powietrze.

Anastazyja milczała i nie zwracała oczu na męża, tylko coraz gwałtowniej mięła i szarpała suknię, przy czém coraz częściej błyskała przed ogniem złota ślubna obrączka.

Błysk ten uderzył parę razy oczy Augusta — może raził je przykro, bo odwrócił się i usiadł przed pianinem. A może téż dźwiękami muzyki chciał rozbudzić nieszczęśliwą kobietę z jęj milczenia upornego, pełnego wewnętrznego wrzenia, i wlać choć trochę słodyczy w tę pierś, wyschłą od choroby, a targaną i rozdrażnioną boleśnie, gorzko.

Zaczął grać. Palce jego mistrzowsko wydobywa-

ły z klawiszów tony i łączyły je w rozliczne pasma melodyi.

Po kilku chwilach znać było z twarzy jego, że zapomniał całkiem o tém, co go otaczało: o duszącej atmosferze, którą oddychał, i o tym szkielecie kobiety, który siedział przed ogniem komina i błyskał co chwila złotą obrączką ślubną.

Grał z natchnienia, improwizował — i w muzyce jego powtórzyły się chwile, które niedawno przebywał po-za ścianami swego domu. Głębokie tony basu naśladowały chwilami uroczysty i poważny szum boru, wiolin szemrał, jak biegnące po kamykach strumienie — i zdawało się, że gdzieś w dali cicha woda sączy się z wolna ze stromego urwiska i kropła po kropli spada na piaszczyste dno głębokiej przepaści. Potém zabrzmiały smętne akordy i łagodne *andante* popłynęło z dwóch przeciwnych stron klawiatury, niby rozmowa dwóch głosów, z których jeden, męzki, był jędrnej pełen poezji, drugi zdawał się wychodzić z niewinnej, marzeniem zasnutęj piersi dziewiczej. Ale stopniowo oba te głosy nabierały energii i mocy; w oddali słychać było jeszcze szum boru i bieg kroplisty strumieni, lecz głużyła je dwojga ludzi rozmowa, coraz gorętsza, żywsza, namiętniejsza. Aż nagle palce artysty uderzyły gwałtownie jeden akord niezmiernej mocy; ozwały się w nim westchnienia, straszne jęki, rwące piersi, namiętność bez granic i bez

granic rozpacz. Potém ręce Augusta odpadły nagle od klawiszów, struna z jękiem pękła w pianinie.

August długo siedział nieruchomy, z rękoma obwisłemi i głową opadłą na piersi. Ciemne oczy jego nie strzelały w tój chwili iskrami, ale z pod zsuniętych brwi patrzyły nieruchomie w jeden przedmiot, niby zakłète jękiem pękającój struny, który drżał w przestrzeni długo — długo.

Po chwili młody mężczyzna podniósł głowę i spojrział na siedzącą u kominka kobietę. Nie zmieniła postawy i nie odwróciła zagasłego wzroku od płomienia, a palce jój nie przestawały miąć i szarpać sukni.

Na twarzy Augusta ukazała się znowu litość i dobroć. Zbliżył się do żony.

— Anastazyo — rzekł — może chcesz, abym ci co przeczytał?

Nie odpowiedziała.

Wziął ze stołu książkę, przybliżył lampę i, mimo duszącego dymu i gorąca, usiadł przed płomieniem i zaczął czytać głośno.

Przeczytał kilka kart i spojrział na żonę. Nie zmieniła postawy, nie odwróciła oczu od ognia, i nie przestała drżącemi palcami miąć i szarpać sukni.

Zmęczenie ukazało się znowu na twarzy Augusta.

— Anastazyo — zwrócił się do niej raz jeszcze— co ci jest dzisiaj? czyś bardziej chora? może chcesz, abym wezwał lekarza?

Nie odpowiedziała.

Tym razem brwi Augusta zsunęły się, twarz jego buchnęła na chwilę wyrazem głuchego zniecierpliwienia, oczy płomieniem zabłysnęły. Nie rzekł jednak nic, tylko zacisnął zbladłe wargi i utkwiał na chwilę wzrok w posadzkę.

Potém powstał z wolna, uspokojony mocą woli, i przeszedł parę razy pokój.

Wtedy Anastazyja piérwszy raz odwróciła oczy od ognia i zawołała ochrypłym głosem:

— Tekło! Tekło!

Weszła służąca.

— Zatocz mój fotel do sypialnego pokoju. Chcę spać.

Sługa fotel na kółkach potoczyła w stronę sypialni. Kościsty profil Anastazyi przesunął się na tle płomienia i raz jeszcze błysnęła na jej palcu złota obrączka ślubna.

— Dobranoc ci, Anastazyo! — rzekł, zbliżając się do niej August i podając jęj rękę.

Nie podała mu swojej i nie odpowiedziała.

Jak wczoraj w przystępie głośnych wyrzutów, ję-

ków i skarg, tak dziś była w fazie upornego, zawziętego milczenia.

August wszedł znowu do swego pokoju, gdzie czekała go lampa, pod zasłoną płonąca, i biurko, pełne ksiąg i papierów.

Otworzył okno i spojrzenie jego podniosło się ku pierwszemu piętru przeciwległej kamienicy.

Ale oświetlone okno pierwszego piętra, otwarte wczoraj i wylewające na zmęczoną głowę jego potoki słodkiej, dziewiczej muzyki, zamknięte było i milczące. Tylko na tle bladawo błyszczących szyb rysowały się doniczki z różami i biała franka.

August patrzył na nie długo, długo, potem odstąpił, usiadł przed biurkiem i czoło pełne chmur ciężkich nad otwartą pochylił książką. Chwilami przerywał sobie czytanie i, przystępując do okna, spoglądał ku pierwszemu piętru; zdawało-by się, że czekał, czy nie ozwie się śród nocy cichéj czarowna gra niewidzialnej artystki. Ale okno z różami milczało. Czy mieszkająca za niem dziewica tak zatoneła dziś w myślach swych i marzeniach, że zapomniała o instrumencie, któremu codziennie o tej porze zwykła była dumy swe powierzać? Czy nieśmiałością dziewiczą i nieokreślonym wstydem niepokalanego serca zdjęta, nie chciała już dum tych wypowiadać muzyką, wiedząc o tém, iż ma słuchacza?

I tylko długo, długo w noc dwa okna, same jedne

oświetlone i czuwające wśród ciemnych i uśpionych okien sąsiednich domów, zdawały się patrzeć na siebie i wieść z sobą tajemniczą rozmowę. Pośrodku ulica mroczna i cicha zapadała między nimi, niby przepaść...

---



## IX.

Na najcichszej i najustronniejszej, a nawet niebrukowanej ulicy miasta, w dworku, otoczonym zielonym podwórzem i ogrodem, pełnym drzew owocowych i kwiatów, mieszkała pani Joanna Starowska, kobieta, licząca lat przeszło sześćdziesiąt, wdowa oddawna, niegdyś bogata obywatelka, potem zubożała w skutek nieszczęść ogólnych, i dziś żyjąca w skromnej, acz niezależnej mierności.

W kilka dni po zaimprovizowanej na zamiejskich wzgórzach majówce, pani Starowska siedziała w bawialnym pokoju swego małego, lecz czyściutkiego mieszkanka, przy otwartem oknie, za którym rozrastały się gęsto kwitnące bzy i jaśminy ogródka. Gładka, biała firanka zdobiła okno, a nad głową starzej kobiety szczebiotała w klatce para kanarków.

Czarna wełniana suknia, skromna, lecz bardzo starannie włożona, okrywała pochyloną nieco od wieku, ale czerstwą jej postać; śnieżnej białości czepek

przykrywał siwe włosy, gładko przyczesane i otaczające czoło, które, mimo licznych zmarszczek, jaśniało pogodą; wielkie, ciemne oczy, nieco zapadłe, rozumnie i z dobrocią patrzyły przez okulary w złotej oprawie.

Siedziała w staroświeckim fotelu, amarantową materią obitym, a przed nią na stolyczku stał koszyczek z rozpoczętą jakąś robótką z białej bawełny i leżała rozwartą księga Starego Testamentu.

U stóp jej, na niskim stołeczku, siedziała jasnowłosa dziesięcioletnia dziewczynka, w błękitnej perkalikowej, odślaniającej ramiona, sukience; rączki drobne złożyła na czarnej sukni stariej kobiety, i błękitne, jak niebo, oczy podnosiła ku jej twarzy z dziecięcą ufnością i ciekawością.

Pani Starowolska jedną rękę oparła na otwartej księdze, drugą gładząc z pieczytą włosy dziewczynki, mówiła, ciągnąc dalej opowiadanie świętych dziejów:

— Tak więc, moje dziecko, kiedy lud Izraelski stanął u stóp góry Synaj, Ten, który go wyprowadził z niewoli egipskiej i wiódł przez pustynię, wstąpił na wierzchołek i wśród grzmotów a błyskawic ogłosił ludowi dziesięć przykazań Bożych...

— Tych samych dziesięć przykazań, babuniu, które ja codzień przy pacierzu powtarzam? — przerwało dziecię.

— Tych samych, droga moja. Potem, gdy Chry-

stus zstąpił na ten świat i ogłosił na ziemi swoją świętą naukę, do przykazań tych przybyło jeszcze jedno, a obejmujące je wszystkie razem: Miłuj bliźniego twego, jak siebie samego.

— Babuniu! jakże-to trzeba miłować bliźniego, jak siebie samego? — zaszcebiotała znowu dziewczynka.

— Miłość bliźniego — odrzekła stara kobieta, a głos jej nabrał niezmierniej słodczy — to, dziecko moje, nietylko unikanie wyrządzania jakiegokolwiek komu krzywdy na sercu, majątku lub sławie, ale jeszcze gotowość do poświęcenia się za innych, do podzielenia się z ubogim wszystkiem, co się posiada, do przyniesienia pociechy cierpiącemu, a przebaczenia choćby najciężej grzeszącym. Miłość bliźniego, moja droga, to cała treść religii naszej, to ciągle powtarzająca się w nauce Chrystusa zwrotka; kto jej nie posiada w duszy, to jest, kto krzywdzi bliźniego swego w jakikolwiek sposób, albo nie dzieli się swym mieniem z bratem ubogim, albo potępia nieodwołalnie grzesznika i cnoty przebaczenia nie zna, ten nie spełnia najwyższego przykazania Bożego i zwać się chrześcijaninem nie godzien.

— Jak ty to ładnie mówisz, babuniu! — wyrzekło dziecię, zamysłone oczy podnosząc do nieba, widniejącego za oknem. — Jakbym ja chciała kochać bliźniego tak, jak Bóg przykazał, a ty opowiadasz!

Pani Starowolska pełnem czułości okiem ogarnęła złotowłosą główkę dziewczynki.

— Babuniu! — wyrzekła z wolna Anielka — dlaczego do mnie nie stosuje się czwarte przykazanie Boże? Tam powiedziano: Czcij ojca twego i matkę twoją, a ja nie mam rodziców...

Oczy pani Starowolskiej posmutniały nagle i z lekkim pomieszaniem odwróciły się od twarzy dziecka.

— Babuniu! — nalegała dziewczynka z dziecięcą natarczywością — dlaczego ja nie mam ojca i matki?

Stara kobieta, wyraźnie i coraz bardziej pomieszana, odwróciła się, chrząknęła i parę razy poprawiła okulary.

— Rodzice twoi umarli, Anielciu — wyrzekła z cicha i z trudnością.

— Wiem o tém — odpowiedziała Anielka — mówiłaś mi to już nieraz. Ale dlaczego oni umarli? mnie smutno, że ich nie mam...

Ostatnie wyrazy wymówiła ze smutkiem w głosie, a błękitne jej oczki, w niebo utkwione, drobną łzą zamigotały.

Stara kobieta spuściła na nią wzrok macierzyński prawie, położyła dłoń na jej czole i z czułością spytała:

— Alboż ci źle ze mną, Anielciu?

— O, dobrze, dobrze! babuniu najdroższa! —

zawołało dziecię, rzucając się na jej szyję — ale moja mama była taka dobra, taka piękna... tęskno mi za nią...

— Dziecko! — z przerażeniem nieledwie krzyknęła pani Starowolska — z kąd ty wiész, że taką była twoja matka?

— Śniła mi się — odpowiedziało dziecko z cicha, tuląc główkę do piersi opiekunki — śniła mi się wczoraj... Byłam w ogrodzie — mówiła dalej — położyłam się pod gruszą na murawie i usnęłam... I zdawało mi się, że z za drzewa wyszła matka moja w białej sukni, z jasnymi, długimi włosami, przykłęka obok mnie na murawie, wzięła mnie na ręce i tak mnie ścisnęła, całowała i płakała... i ja płakałam i pytałam się: — Czemuś tak późno przyszła do mnie, mamó? — a ona ukazała mi w stronę naszego domu i rzekła: — Patrz, dziecko, ojciec twój idzie! I już, już miałam ojca mego zobaczyć, gdy nagle wiatr silnie zaszumiął, potrząsł gruszą i zbudził mnie... Babuniu droga! odkąd się obudziłam ze snu tego, tęskno mi za matką i za ojcem, i czuję, że zawsze już tęskno mi będzie... sierocie...

Załała cicho, kryjąc twarz w fałdach czarnej sukni opiekunki.

— Biedne, opuszczone dziecię! — szepnęła pani Starowolska ze smutkiem.

— Babuniu — zawołała raz jeszcze Anielka, podnosząc twarzyczkę łzami zalaną — powiedz mi, jak było na imię matce mojej i ojcu memu?

Tym razem wielkie już pomieszenie ukazało się na twarzy starszej kobiety. Milczała czas jakiś, pilnie poprawiając okulary, potem zwróciła się do dziecka i rzekła żywo:

— Anielciu, idź do ogrodu i narwij mi pęczek rezedy!

Posłuszne dziecko porwało się z miejsca i wybiegło. W tej samej chwili otworzyły się drzwi, i do pokoju pani Starowskiej wszedł Edward Gaczycki.

Obojętne oczy milionowego pana mniej były w tej chwili obojętne, niż zwykle; wytworna postać jego mniej wydawała się sztywną. Schylił się nawet przed panią Starowską dość głębokim ukłonem i z wielkiem uszanowaniem pocałował ją w rękę.

— Jakże wdzięczna ci jestem, łaskawy panie — przemówiła gospodyni domu — że tak rychło pośpieszyć raczyłeś na wezwanie moje!

— Niech pani wierzy, iż być jej gościem, a tém bardziej stać się jej w czémkolwiek użytecznym, stanowi dla mnie prawdziwą przyjemność i zaszczyt — odpowiedział pan Gaczycki, a w głosie jego, zamiast zwykłej mu, suchej grzeczności, zabrzmiała serdeczna szczerłość i wielki szacunek.

— Sprawa, dla której wezwałam pana — mówiła pani Starowska, gdy gość jej naprzeciw niej usiadł — jest dla mnie wagi wielkiej. Idzie tu o moją Anielkę, o tę biedną, opuszczoną dziecinę, o której nie wiem dotąd sama, czy jest w istocie sierotą.

— Masz pani we mnie najuważniejszego słuchacza — wyrzekł pan Edward, a pani Starowska mówiła dalej :

— Nie wiem, czym opowiadała panu kiedy, w jaki sposób Anielka dostała się pod moją opiekę...

— Słyszałem od innych — przerwał Gaczycki — że dziecię to zostało pani podrzuconém, i że pani, przyjąwszy je niby za wnuczkę po utraconej siostrzenicy, wychowujesz je z troskliwością prawdziwej babki.

— Tak — mówiła gospodyni domu — ośm lat temu, w pewną piękną noc majową, obudził mnie słaby krzyk dziecięcia pod oknem mojej sypialni. Wyjrzałam śpiesznie i zobaczyłam na murawie złożone kilkunastomiesięczne niemowlę, płaczące pod przykrém dotknięciem oblanej nocną rosą wysokiej trawy. Wraz ze służącą, której zawołałam, wniosłyśmy dziecię do mieszkania i między grubą a podartą bielezną, która je owijała, znalazłyśmy małą kartkę z uwiadomieniem, że dziecię jest ochrzczone imieniem Anieli, ma jedenaście miesięcy i urodziło się z nieślubnych rodziców, daleko ztąd mieszkających. Za-

dnych więcęj objaśnień nie było na tój karteczce, napisanej grubym i niekształtnym charakterem, z mnóstwem błędów ortograficznych, wyraźnie przez osobę nizkięj społecznej sfery. Jak pan powiedziałeś, przyjęłam Anielkę za wnuczkę, hodowałam ją, jak mogłam najtroskliwięj, aż do wczorajszego dnia będąc pewną, że pochodzenie jęj zostanie nazawsze tajemnicą. Wczoraj dopięro nad wieczorem, nieznaną kobietą jakaś przyniosła tu i oddała służącej mojęj dla wręczenia mi list, który chcięj pan przeczytać.

Mówiąc ostatnie wyrazy, pani Starowolska z koszyka od roboty wyjęła, niekształtnie złożony, gruby arkusz zapisanego papieru i podała go panu Gaczyckiemu. Ten rozwinął pismo i w głos przeczytał:

„Umierająca z nędzy i dłuęgiej choroby kobieta pragnie przed tobą, pani, wyznać tajemnicę, która od lat sześciu cięży na jęj sumieniu. Przed sześciu laty zostało pani podrzuconęm dziecko, dziewczynka, ochrzczona imieniem Anieli i mająca jedenaście miesięcy wieku. Pisząca te wyrazy ma do uczynienia ważne zeznania co do pochodzenia tego dziecka, stanu i nazwiska jęj rodziców. Zeznania te mogą wielce wpłynąć na przyszłość dziewczynki; chcięj pani zatęm, udając się dla ich przyjęcia na ulicę N., do domu N., przywieść z sobą jakiego wiarogodnego świadka, który-by wyznanie moje przeniósł na papier,



i świadectwem swém mógł stwierdzić prawdę przed światem”.

— Podpisu niéma — rzekła pani Starowska — ale charakter pisma jest ten sam, jaki był na owéj kartce, znalezionej wraz z Anielką.

— Pani więc życzysz sobie zapewne, abym ja był tym świadkiem, którego wzywa mająca czynić zeznania kobieta. Bardzo chętnie służyć pani będę.

— Po tysiąc razy dziękuję ci, szanowny panie — zawołała stara kobieta, wyciągając rękę do gościa swego. — Tegom się spodziewała po tobie! Czyjeż ucho godniejsze jest posłyszć ważną tajemnicę i czyjeż nazwisko wiarogodniej stwierdzi przed światem treść téj tajemnicy, jeśli nie samego pana Gaczyckiego?

— Pochlebiasz mi pani w wielkiéj na mnie łaskawości swojej — wymówił pan Edward z ukłonem.

— Stara jestem i niezdolna mówić nieprawdy — odpowiedziała z powagą pani Starowska — ale wierz mi pan, że nauczyłam się szczerze cię szanować od owéj pamiętnéj dla mnie historii z tą umierającą z głodu rodziną, którą pan podźwignąłeś z nędzy i upodlenia...

Po białych policzkach pana Edwarda przemknął rumieniec lekki.

— Nie mówmy, pani, o tém ; to był fakt tak pro-

sty! Pani wzięłaś mnie tylko do spółki w swych dobrych czynach.

— I z radością wyznaję, że jesteś pan dobrym spółnikiem i dzielnie mi pomagasz. Ale ponieważ zaczęliśmy mówić o tém, mam prosić pana o podanie mi pomocy jeszcze w jednym względzie.

Pan Edward skłonił się uprzejmie.

— Wiesz pan o tém, że mam fundusz bardzo mierny, lubo zupełnie wystarczający na moje skromne potrzeby. Lecz zaspokojenie potrzeb własnych, toć nie wszystko jeszcze! tyle jest biedy ludzkiej wokoło, a tak mało mogę jej przyjść z pomocą! Otóż, wpadłam na pewien pomysł. Zostały mi dotąd, przechowane jako pamiątka, pewne klejnoty rodzinne, które, zdaje mi się, muszą mieć znaczną wartość. Postanowiłam je spieniężyć—i lubo nie bez przykrości rozstanę się z przedmiotami, które uważałam dotąd za pamiątkowe i święte, ale za to ze sprzedaży ich utworzy się choć mały kapitałik dla moich biednych, z którego czerpać będą mogli po trochu. Chcę więc prosić cię, łaskawy panie, abys zajął się spieniężeniem przedmiotów, o których mówię... Mnie starą mogli-by kupcy oszukać, a na tém stracili-by moi biedni... Przebacz pan, jeśli go zbyt utrudzam...

Kończąc te słowa, stara kobieta patrzyła na swego gościa z rodzajem nieśmiałości, ale obojętne

oczy pana Edwarda stawały się coraz mniej obojętne-  
mi. Skłonił się znów i rzekł niemal z zapalem :

— Daj mi pani jakie zlecenie do Abisynii albo  
Indyi Wschodnich, a pojedę, aby jej usłużyć!

Pani Starowska powstała, wyraźnie ucieszona,  
przeszła do swęj sypialni i niebawem wróciła, niosąc  
parę safianowych pudełek. Edward otworzył je  
i ujrzał w jedném cenny pierścień z wielkim solite-  
rem, w drugiem broszę i kolie szmaragdowe, w sta-  
roświeckiej oprawie i przyozdobione dość dużemi bry-  
lantami.

— To śliczne i cenne są rzeczy! — wyrzekł pan  
Gaczycki. — Pani weźmiesz za nie znaczną sumę!

— Doprawdy? o, jakżem rada! — zawołała pa-  
ni Starowska — chociaż z innęj strony — dodała po  
lekkim wahaniu się — są to przedmioty, na których,  
lubo ich nie używałam oddawna, wzrok mój lubił za-  
trzymywać się często. Promienie tych dyamentów  
były niby łańcuchy, przywodzące ku mnie wspomnie-  
nia chwil dawno ubiegłych, porannych mego życia.  
Kolie te i broszę otrzymałam z rąk mojęj matki  
w dniu, gdym po raz pierwszy w świat występowała;  
ona miała je dane sobie przez babkę moję w tenże  
sam sposób. Pierścień zaś z soliterem ofiarował mi  
narzeczony, późnięj mąż mój, w przeddzień ślubu na-  
szego. I wyznam panu, że ile razy w podeszłych już  
latach patrzyłam na brylant ten, zawsze przed oczy-  
ma memi stawała szlachetna twarz człowieka, któ-

ry był jedyną miłością mego serca... Miałam niegdyś córkę jedynaczkę i marzyłam, że kiedyś włożę jęj na palec pierścień ojcowski wtedy, gdy włos jęj ślubnem będę wieńczyła kwieciem. Umarła... Anielka sierota... klejnotów nie potrzebuje. Niech więc pamiątka moja najdroższa posłuży na wsparcie niedoli bliźniego.

Przestała mówić i w oczach jęj, podniesionych w górę, błysnęła powstrzymywana łza.

Oczy zaś patrzącego na nią pana Edwarda przestały całkiem być obojętnemi i zamgliły się szczerém uwielbieniem.

— I niejednego bliźniego niedolę wesprzesz pani tą ofiarą swoją — wymówił — bo jestem pewny, że przedmioty te sprzedadzą się drogo, naprzód dlatego, że same przez się piękne i cenne, a potem, staroświeckie klejnoty wchodzą w modę. Pozwolisz pani — dodał z nowym a głębokim ukłonem — abym do summy, otrzymanej przez nią ze sprzedaży jęj dyamentów, dołączył ze swęj strony drugą, podobną sumę, i abyśmy tym sposobem utworzyli kapitał, którym będziemy obracali wspólnie na korzyść bliźnich...

Pani Starowolska z serdeczną czułością popatrzyła na swego gościa.

— Nie mam prawa odrzucać podobnej współki — wyrzekła.

— Pani lubisz przedewszystkiem wspierać do-

rażnie niedolę ludzką — ciągnął pan Edward — ja zaś patrzę w przyszłość i pragnę chronić od nieszczęść młode pokolenie przez oświatę. Będziemy więc wynajdowali rodziny, potrzebujące naszych wspierających dłoni; pani będziesz od nędzy i moralnego upodlenia ratowała starych i niedołęźnych—ja młodym źródła oświaty otworzę...

Dziwnie wypiękniała i wyszlachetniała twarz pana Gaczyckiego, gdy to mówił; wydawał się innym zupełnie człowiekiem. Nie był już sztywnym, ani dumnym, ani obojętnym, i można było, patrząc na niego wtedy, odgadnąć, iż wypowiadał myśli swe o tém, co, wedle słów jego, wyrzeczonych do Wandy w czasie przechadzki: „Posiadało wartość gruntowną i niezmienną, bo było ukochanem z myślą rozumną i celem świadomym siebie”.

Pani Starowska podała mu obie ręce w milczeniu; on ucałował je z synowską czułością.

— A teraz — rzekła gospodyni domu — pójdźmy, zacny panie, do tej nieszczęśliwej, która nas wzywa.

— A raczej pojedźmy — rzekł pan Edward. — Powóz mój stoi przed bramą pani mieszkania i czeka na jej rozkazy.

Byli już u progu, gdy z pękiem rezedy w rączkach wpięła do pokoju Anielka.

— Babuniu droga! — zawołała, czepiając się

sukni opiekunki — przebacz, żem bawiła tak długo w ogrodzie.

Pani Starowolska pocałowała ją w czoło.

— Weź książeczkę, Anielciu, którą ci wczoraj dałam, i czytaj, póki nie wrócę.

— Dobrze, babuńciu — odrzekło dziecię — wezmę książeczkę i pójdę do ogrodu pod gruszkę; poczytam trochę, a potem zamknę oczy i postaram się zasnąć; może mi znowu mama się przyśni!...

---

## X.

W parę godzin potém, na ustronny dziedziniec pani Starowolskiej zajechał piękny powóz pana Edwarda, a właściciel jego, wyskoczywszy, piérwszy pomógł z uszanowaniem wysiąść z niego starój kobiecie.

Potém oboje weszli do mieszkania i oboje mieli twarze poważne i bardzo zamyśłone.

Pani Starowska usiadła na swym staroświeckim fotelu, wzrokiem pełnym pytania wpatrzyła się w twarz gościa swego i piérwsza wyrzekła :

— Kto-by się tego spodziewał! Któż-by się był tego spodziewał ?

Pan Edward zatrzymał się przed nią; uśmiech ironii zawisł mu na ustach, które znów obojętne były.

— Co do mnie, łaskawa pani — rzekł — odkrycie, jakie uczyniła nam nieszczęśliwa kobieta, nie zdziwiło mnie bynajmniej. Mam zawsze w silném podejrzeniu ludzi, zbyt wiele mówiących o cnocie; a pod ciągle spuszczającemi się skromnie powiekami

kobiety, szczególniej, gdy ta nie jest już młodziuchną panienką, skory jestem do podejrzewania jakieś ukrywającej się, a niezbyt czystej tajemnicy, terazniejszej lub przeszłej.

— Wprawdzie — mówiła pani Starowska — słyszałam ja o niej i wprzód to i owo, ale, jako nie-rada słuchać plotek i obmów, puszczałam to mimo uszu. Zresztą, ta surowość sądów jej o innych młodych kobietach, to nieustanne wielbienie i zalecanie skromności, jako cnoty najwyższej, wydawało mi się niepodobnym do udania.

— A we mnie — odrzekł pan Edward — to wszystko właśnie wzbudzało podejrzenie, że ta kobieta musiała koniecznie wykroczyć kiedyś sama przeciw tej skromności, którą tak gorliwie innym zaleca. Bądź co bądź — dodał — staliśmy się dziś panami tajemnicy ważnej dla opuszczonego dziecka, i należy nam dobrze zastanowić się nad tém, czy mamy z niej zrobić użytek.

— Jakim-by on mógł być, nie widzę — odpowiedziała kobieta — matka jej, widocznie bez serca, boć dawno wie o istnieniu tu swego dziecka i nigdy się o nie nie zatroszczyła. Ojciec jest zbyt swobodnych obyczajów i lekkiego charakteru człowiekiem, by mógł...

— Nie jest on tak lekki i zepsuty, jakim się wydaje, i przypuszczam, że gdyby wiedział...

Zaczął Edward, ale nie dokończył, bo otworzyły



się drzwi szeroko, i naiwnym, drobnym krokiem wbiegła przez nie pani Teresa Rokowiczowa. Tym razem ubrana była w dziewiczej prostoty sukienkę z białego muślinu i ten sam, co wprzód, niewinny pęczek fiołków tkwił na jej kapeluszu. Słodkiuchna i uśmiechnięta, witała gospodynię domu, na której poważnej twarzy pojawił się wyraz pewnego zmieszania, połączonego z niesmakiem. Nagle spostrzegła przybyłą stojącego nieco opodal pana Gaczyckiego; spuściła oczy i oddała mu naiwny, paniński ukłon. Pan Edward odklonił się ze sztywną grzecznością, w mgnieniu oka stał się zimnym, dumnym i obojętnym, jakim okazywał się zwykle.

— Jakże dawno nie widziałam szanownej i kochanej pani! — wyrzekła z przymileniem pani Teresa do gospodyni domu. — Trzeba było, abym bardzo i niezmiernie pragnęła ją widzieć, kiedym aż wyszła na miasto bez mego Felunia!

— Państwo jesteście jak owe ptaszki nierozłączne, istniejące w podzwrotnikowych krajach, które bez siebie jednej chwili żyć nie mogą — z lekką ironią wyrzekł pan Edward.

— O, tak! — szepnęła z cicha — kochamy się! Felunio mój jest jedynym człowiekiem, jakiego kiedy kochałam! pierwsza to i ostatnia miłość mego życia!

Pani Starowska i gość jej zamienili między sobą dziwne spojrzenia; wysoki niesmak był w oczach kobiety — oczy mężczyzny błysnęły ironią.

— A zresztą — kończyła pani Teresa — czyliż przyzwoitém jest, aby mężatka chodziła po mieście z wizytami, bez męża! — ja znajduję, że to się roz-  
mija ze skromnością...

— Która jest najpiękniejszą ozdobą kobiety —  
dokończył ze sztywnym ukłonem pan Edward.

— Tak — potwierdziła wzorowa małżonka —  
i trzeba tylko całego mego przywiązania i szacunku,  
jaki mam dla pani (tu zwróciła się do gospodyni do-  
mu), abym odważyła się rozminąć z memi zasadami  
i wyjść na miasto, tém bardziej z wizytą, bez mego  
Felunia.

Pani Starowska dziwnie się jakoś i przymusze-  
nie uśmiechnęła; miała coś powiedzieć, gdy otworzy-  
ły się cichutko drzwi i na progu zabrzmiało pozdro-  
wienie pobożne:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Do pokoju weszła pani Apolonia Kuderska, ze  
swemi dwoma krzyżami na ręce i piersi i w swoim  
wieczystym czepku o fiołkowych wstęgach.

Pan Gaczycki ujął kapelusz, pożegnał go spodynią  
domu i, sztywnie skłoniwszy się dwom innym kobie-  
tom, wyszedł.

— Co za sztywny i niemiły człowiek! — wyrze-  
kła pani Teresa po odejściu pana Edwarda i odby-  
tych powitaniach z Kuderską.

— Egoista i bez serca — dorzuciła pani Apolo-

nia. — Nie widziałam nigdy, aby grosz dał ubogiemu na ulicy!

— Nie należy sądzić z pozorów — z zimną powagą rzekła gospodyni. — Pan Gaczycki nie jest wcale takim, za jakiego panie go macie.

— Oj, już że nie nabożny i żadnej religii nie ma, za to ręczę — zawołała Antyfona. — Nigdy prawie nie widuję go w kościele.

— A przytém niemoralny — dodała pani Teresa. — Kompromituje młode panny i ułatwia im schadзки z żonatymi ludźmi.

— Co też-to panie wygadujecie! — zawołała z wyraźnym niezadowoleniem pani Starowska.

— Ale tak, tak, kochana pani — żywo odpowiedziała Kuderska. — Przed kilku dniami widziałam na własne oczy, jak w czasie majówki, za miastem, poprowadził pannę Rodowską w głąb' lasu, aby tam mogła się spotkać z panem Augustem Przybyckim, który jest przecie człowiekiem żonatym. Wracali potém razem we troje... Oj, co to za świat teraz! zgorzenie tylko i obraza Pana Boga!

— Cóż to za nowa historia, wymyślona na tę dobrą i śliczną Wandę? — z żywszém jeszcze niezadowoleniem wyrzekła pani Starowska.

— Niech mnie Pan Bóg strzeże i broni od obmowy i odbierania sławy bliźniemu! — żywo odparła Apolonia — ale co prawda, to prawda! Kochana

Wandzieczka najdobrowolniej gubi się takim postępowaniem! Żonatyh bałamucić! obraza bozka!

— I nieskromność! — dorzuciła pani Teresa.

— Widziałam wczoraj na własne oczy — pawiła dalej Apolonia — że pan August Przybycki szedł do ich mieszkania na pierwsze piętro. Widać, że zaczął już u nich bywać! potrzebne to żonatemu człowiekowi? Oj, ci żonaci, żonaci! niech im Bóg ciężkie grzechy...

— Mój Felunio — przerwała pani Teresa — sły-szał wczoraj, wracając z przechadzki, muzykę na cztery ręce w mieszkaniu pani Rodowskięj; zatrzymał się tedy i zobaczył, jak, gdy muzyka ucichła, pan-na Wanda stanęła w otwartém oknie z panem Przy-byckim...

— Boże Najwyższy! tak się publikować z żo-natym człowiekiem! — zawołała i plasnęła rękoma Apolonia.

— I dopuszczać się takich nieskromności młodej pannie! — jęknęła Teresa.

Pani Starowska słuchała rozmowy dwóch ko-biet w milczeniu, z za okularów przesuwając po ich twarzach wzrok niedowierzający. Przy ostatnich jednak wyrazach pani Teresy oczy jęj zabłyśły i sta-ły się surowemi. Podniosła głowę poważnym ruchem, i z odcieniem surowości w głosie wyrzekła :

— Moje kochane panie! przesadzacie ważność opowiadanych mi faktów i niesłusznie krzywdzicie

sławę dobrej i ślicznej panny, którą znam z najlepszej strony. Że w domu, w którym ona mieszka ze swą matką, bywa ktoś tam żonaty, że z tym żonatym grywa ona na cztery ręce i stoi przy otwartym oknie, są to rzeczy bardzo zwyczajne i w których umyślnie tylko dopatrzeć można coś złego. Nieskromności zaś, niewłaściwej młodej paninie, w tym wszystkim nie widzę, a wiem, że zdarzają się wypadki daleko gorsze, które się jednak bardzo zrećźnie ukrywają. Kto z nas bez grzechu, moje panie, niech rzuci kamień !

Przy ostatnich wyrazach, mówiąca utkwiała w twarzy pani Teresy wzrok przenikliwy i surowy. Obrońniczka skromności kobiecej spuściła oczy, jakby wzroku tego znieść nie mogła i ledwie dostrzegalny rumieniec przemknął po jej czole. Nie straciła jednak rezonu i, powstając, rzekła zwykłym sobie, słodziuchnym głosem :

— Pozwól pani, abym przeszła się po jej ogródku i zobaczyła jej śliczne kwiaty, które tak lubię.

Pani Starowska skłoniła głowę z chłodną uprzejmością.

— Przebacz pani, że jej towarzyszyć nie będę, bo chodziłam dziś po mieście i zmęczoną się czuję.

— O, niech pani nie zadaje sobie fatygi dla mnie — słodziuchno zawołała Teresa ; z uniżonością niemal pocałowała w ramię starą kobietę i zniknęła

za szklanemi drzwiami, wychodzącemi z bawialnego pokoju na ogródek.

— Niech mnie Bóg strzeże i broni od obmowy, albo odbierania sławy bliźniemu — zaczęła, po wyjściu Rokowiczowój, Apolonia i ciągnęła dalej rozpozczętą rozmowę, komunikując rozmaite miejskie wiadomości pani Starowolskiej, słuchającej z obojętnością, niekiedy z niezadowoleniem.

Tymczasem Teresa, czując się uwolnioną od przenikliwego i surowego wzroku stariej kobiety, odetchnęła pełną piersią, ale zarazem oczy jej błysnęły gniewem i zamigotały obawą.

Spuściła głowę na piersi.

— Ona wie o wszystkiem! — szepnęła — jestem pewna, że wie o wszystkiem! Ta nieznośna, stara kobieta! wyraźnie dała mi to dziś do zrozumienia! gdybyż przynajmniej nie powiadała o tém nikomu...

Wzdrygnęła się.

— Och, jak się tego lękam... nie przeżyła-bym chwili, w której-by świat przypomniał sobie... tak... przypomniał, bo dawniej wiedzieli o tém niektórzy, ale...

Uśmiechnęła się z tryumfem.

— Potrafiłam rzucić na przeszłość zasłonę... a gdyby doszło co do Felixa...

Uśmiechnęła się z ironią.

— Ten głupiec! tak dba o nieskazitelną czystość i pozycją swego domu, a nie wie...

Nagle urwała i szkarłat głęboki zalał twarz jęj, dostał się aż na czoło i szyję.

Naprzeciw nięj biegło dziecię, mała Anielka, z rączkami wyciągniętymi do nięj z radosném powitaniem.

Przez chwilę zdawało się, że Teresa odwróci się i ucieknie od tęg jasnowłosęj, zbliżającęj się dzieci-ny; ale obejrzała się i zobaczyła, że ze wszech stron całkiem była niewidzialną: gęste krzewy bzów, rozłożyste grusze i jabłonie otaczały i zasłaniały ją zewsząd.

Nagłym, namiętym błyskiem zaświeciły jęj szare oczy; poskoczyła i pochwyciła dziecko w objęcia.

— Tak dawno pani nie była u nas! — szczebio- tała dziewczynka — tęskno mi było za panią! ja pa- nią tak kocham!

Pani Teresa z dziwną, namiętą, gorączkową nie- mal czułością przyciskała ją do piersi, całując jęj czoło, usta i oczy. Twarz jęj zmieniła się zupeł- nie, oczy płonęły, na ustach zawisł wyraz niezmiernego cierpienia.

Nagle Anielka utkwiała w nięj wzrok zamglony, tęskny.

— Jak pani jesteś podobna do mojęj mamy! — wyrzekła z pieśczotą.

Na te słowa Teresa odskoczyła o parę kroków, jakby nagle zraniona, i odepchnęła od siebie dziecko

z taką mocą, że aż zachwiało się i drobną rączką oparło o drzewo.

— Co ty mówisz, dziewczyno? — zawołała — jak ja mogę być podobną do twojej mamy! gdzieś ty swoją mamę widziała?

Oczy Anielki napełniły się łzami.

— Śniła mi się mama — odpowiedziała cicho — w takiej samej, białej sukni była, jak pani, i z twarzą bardzo podobną, tylko włosy miała piękniejsze i rozpuszczone, i nie odpychała mnie od siebie, ale ścisnęła, całowała i pieściła...

Szkarłatny rumieniec złączył się na twarzy Teresy z wyrazem goryczy, bóleści i trwogi. Ostatnia zapanowała po krótkiej chwili. Zbliżyła się do Anielki, pochyliła nad nią i szepnęła cicho, lecz prędko:

— Słuchaj, Anielko! ty nigdy nie mów tego, co powiedziałaś przed chwilą! Ja do twojej mamy nie mogę być podobną! ja jej nawet nie znałam i nie widziałam nigdy! Czy słyszysz, dziecko, nigdy! nigdy jej nie widziałam nawet. Nie powtarzaj nikomu tego, coś mi powiedziała, bo nie przyjdę tu więcej i nigdy cię nie pocałuję!

Anielka objęła rączkami fałdy jej sukni, podniosła ku niej wzrok, łzami zamglony, i znówu z pieszczotą przytulić się do niej chciała; ale Teresa usunęła ją z wolna od siebie i szybkim krokiem zmierzyła ku domowi.



Gdy wróciła do pokoju, znalazła panią Kuderską, podnoszącą się już ku pożegnaniu gospodyni.

— Żegnam, żegnam kochaną panią — mówiła Apolonia. — Dzwonią na majowe nabożeństwo; biegnę, leczę, ażeby się do kościoła nie spóźnić! Nie prawdaż, że dziwnych rzeczy dowiedziałas się pani ode mnie? Ta Rumiańska i pan As, Wandziulka i pan Przybycki! mój Boże Najwyższy! mężatka z kawalerem! żonaty z panną romanse zawiązują! Zgorszenie tylko i obraza Pana Boga! Żegnam, żegnam kochaną panią! pilno mi do kościoła na Majowe nabożeństwo! zapisanam w Szkaplerne i Różańcowe bractwo; opuszczać się nie godzi!

— I ja także żegnam najlepszą, najszanowniejszą panią — wymówiła pani Teresa, całując w ramię panią Starowolską, z większą jeszcze słodyczą i uniżonością, niż pierwej — śpieszę do domu, aby mój Felunio zbyt długo za mną nie tęsknił.

— Jakto? pani nie będziesz na Majowém nabożeństwie! — z oburzeniem spytała pani Apolonia.

— Nie, moja pani Kuderska! mój Felunio ma zwyczaj spać o tój porze, a ja bez męża nawet do kościoła nie chodzę. Mężatka nie powinna bez męża znajdować się w żadném miejscu, gdzie wiele ludzi zastać może! to nieprzyzwoicie i nieskromnie!

— Pani dla męża opuszczasz chwałę Pana Boga! — ze świętobliwém napomnieniem wyrzekła Antyfona.

— A pani dla chwały Pana Boga zaniedbujesz męża — ze słodziutką żartobliwością odrzekła Teresa.

— Chwała Boża przedewszystkiém! — rzekła, skłaniając głowę Apolonia.

— A dla mnie mój Felunio i skromność przedewszystkiém — odparła, spuszczać oczy, naiwna Teresa.

Po tej rozmowie pożegnały ostatecznie gospodynią i odeszły. Z progu raz jeszcze odezwało się pobożne pozdrowienie pani Kuderskiej:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Gdy odeszły dwie kobiety, pani Starowska niezwykle jakoś smutne i zamyślane spojrzenie zwróciła na małą Anielkę, która z łezką, kręcącą się w błękitnych oczach, stała w drzwiach od ogrodu i oglądała się jeszcze na drzwi, któremi wyszła pani Teresa. Wyciągnęła do niej ręce i zawołała z niezmierną czułością:

— Pójdź do mnie, biedne, kochane dziecko moje!

Anielka poskoczyła, objęła opiekunkę rączkami i główkę przytuliła do jej piersi. Pani Starowska przycisnęła usta do jej czoła i jedna łza, wypływając z pod okularów, zrosiła jasne włosy dziecięcia.

Smutne dziecię podniosło bladą twarzyczkę, a siadając na stołeczku u stóp babki, rączki złożyło na jej kolanach i wyrzekło z cichą prośbą:

— Babuńciu, tłómacz mi dalej przykazania Boże!

Stara kobieta dłoń złożyła na głowie dziewczki i łagodnym ozwała się głosem:

— Pamiętaj, dziecię moje, że najwyższém, wszystkie inne zamykajacém w sobie przykazaniem Bożém, jest: Kochaj bliźniego twego i nie czyn mu krzywdy żadnej, ani na sercu, ani na majątku, ani na sławie...

Chciała coś mówić jeszcze, ale w przezroczyśtém powietrzu cichego wieczoru zabrzmiały z ulic odległych przeciągłe i donośne głosy dzwonów kościelnych, wzywających na nabożeństwo wieczorne.

Stara kobieta i dziecię wsłuchały się w ten odgłos, poważnej a podniebnej pełen melodyi.

— Dziecko moje! — znowu po chwili wyrzekła pierwsza — tam, po kościołach, do których dzwony te zwołują ludzi, modli się wiele serc obłudnych, fałszem i pokrzywdzeniem bliźniego splamionych. Pamiętaj o tém, pamiętaj na całe życie, aby, gdy modlić się będziesz, serce twe było nietylko dla Boga, ale i dla ludzi miłości pełne, i że ten, kto się modli, cnoty szczerości, cnoty miłosierdzia i cnoty przebaczenia nie znając, ubliża Temu, dla którego cześć wygłasza ustami i ze świętej wiary czyni sobie płaszcz ku pokryciu swęj złości.

Rzekłszy to, zamyśliła się głęboko pani Starowska, a w zadumę cichą wpadła jasnowłosa u jej kolan dziewczynka.

## XI.

August Przybycki był człowiekiem, któremu, jak wielu innym na tym świecie ludziom, życie nie dotrzymało swych obietnic.

Poszedł niewłaściwą sobie drogą i nigdy już nie dorósł miary, jaką mu z razu zakreśliła natura.

Jednego błędu, jednego nieszczęścia wystarczyło, aby skrzywić istnienie, które pięknem być mogło.

Artysta z zamiłowania i wykształcenia, do artystycznego zawodu sposobił się przez lata młodzieńcze z miłością, nadzieją, zapałem niewysłowionym. Czuł się dumnym i szczęśliwym z obranego i wrodzonymi skłonnościami popartego powołania; kochał ludzi, świat i sztukę, śnił o sławie i laurach.

Laury te już zbierać począł, już mistrzowska gra jego zachwycała w stolicy tłumy, którym ją dał słyszeć; utwory jego, pełne natchnienia i młodzieńczego ciepła, rozchodziły się po świecie, porywane, sławione.

Zaczęto pisać o nim, znakomici mistrze zwali go bratem młodszym i dłonie podawali mu z zachętą i sympatją. Przyszłość przed nim jaśniała szeroka, daleka, bo był jeszcze bardzo młodym—miał dwadzieścia dwa lata.

Nagle na drodze jego stanęła kobieta.

Była nią wdowa, o dziesięć lat starsza od niego, ale bardzo piękna jeszcze i zalotna, przebiegła, namiętna. Z całą gwałtownością natury płomienistój, a rozhukanėj śród burzliwėj i samowolnej przeszłości, rozkochała się w młodym artyście, i póty go wabiła połyskami swojej białej twarzy, paliła namiętnym ogniem czarnych oczu, rozwijała przed nim bogactwo krucznych warkoczy, aż uległ kuszeniu rozkochanėj zalotnicy, rozszał na chwilę.

Potém już honor pojąć mu ją kazał za żonę. Uczynił to i wnet poczuł, że spełnił jeden z tych kroków, które łamią życie.

Anastazyja piękną była jeszcze, ale piękność jej miała się już ku schyłkowi. Czuła to, widziała sama, i tém więcej przywiązała się do młodego męża, który ostatnią miał być jej miłością, a zarazem tém straszniej drżała o utratę jego serca.

Ztąd wywiązała się w tej kobiecie szalona zazdrość, zgryźliwa a nierozsądna podejrzliwość, ciągle wybuchy gwałtownej namiętności, objawiającej się rozżaleniem, niedającym się utulić niczém, bo źródłem jego był brak wiary w samę siebie.

W domu młodego artysty wrzały ciągle kłótnie, skargi, płacze i rzucanie się. On szalał cierpieniem, wrzał młodzieńczą niecierpliwością, a natchnienie słabło coraz i zamierało mu w piersi, ręce odpadały od instrumentu, duch omdlewał. Jemu potrzeba było miłości słodkiej i łagodnej, co-by do coraz nowych marzeń kołysała jego artystyczną duszę; towarzyski rozumnej, której powierzać-by mógł myśli, co mu się w głowie roiły; cichego a ciepłego rodzinnego życia, przy którego ognisku podniecał-by się wciąż płomień jego serca.

Anastazyja dawała mu tylko burze i niepokoje; miłość jęj podobną była do rzucania się wściekłej tygrysicy. Życie z nią rodzinne było-by męczarnią dla każdego, stało się piekłem dla artysty.

Nie miał dla niej nigdy miłości, tylko szął. Szał minął, obojętność przyszła. Na widok obojętności téj, kobieta rozszalała jeszcze bardziej—on ją znienawidził.

Znienawidził ją za to, że go pociągnęła w piekło cierpien domowych, a bardziej jeszcze za to, że przy niej utracił to, co mu życiem ducha było i przyszłością: natchnienie.

I ona także schła i wiedła, trawiona niepohamowanym ogniem, który w niej gorzał. Zaczęła chorować, twarz jęj okryła się żółtością, czoło porysowało się zmarszczkami, oczy zapadły i zapłonęły wiecznym wrzeniem wewnętrznym. Potem, w pewną mroźną

i wietrzną noc zimową, porwana dzikiem uniesieniem zazdrości i podejrzenia, wypadła z mieszkania nagiemi stopami i powiewną okryta bielizną; owiał ją w bramie domu silny podmuch wichru i upadła bezwładna na ręce ścigającej ją sługi. Kiedy August wrócił do domu, znalazł ją nawpół rażoną paraliżem.

Na widok niezmiernego nieszczęścia, które ją dotknęło, nienawiść zniknęła w jego sercu, a zastąpiła ją litość i silniejsze jeszcze od niej poczucie obowiązku. Wszystkie środki, na jakie tylko zdobyć się mogła sztuka lekarska, przywołał do łoża nieszczęśliwej żony, ale nadaremnie. Paraliż okazał się nieuleczonym; do niego przyłączyło się mnóstwo innych chorób, targających i dręczących to biedne ciało, w którym nie przestała jednak mieszkać nieposkromiona, burzliwa dusza.

I odtąd Anastazyja zasiadła u domowego ogniska Augusta na-pół bezwładna, zżółkła, zeschła, wyniszczona, a wciąż wyrzucająca na niego żuzle z wulkanu, który nie przestał płonąć w jej piersi.

Oprócz tego, nędza w dom zawitała. August nie był bogaty i Anastazyją wziął ubogą. Niewielkie zasoby, jakie posiadał, wyczerpały się w dwóch latach bezczynnego życia i na bezskuteczne ratowanie chorej kobiety. Przyszedł dzień, w którym młody artysta, zamiast śnionych niegdyś laurów i bogactw, ujrzał przed sobą możebną śmierć głodową.

Ale podniósł dumnie czoło. Uczuł, że, bądź co

bądź, oprócz własnego życia, niósł na swojej odpowiedzialności byt kobiety, dotkniętej nieszczęściem, a której exystencją przyjął na swe barki. Pożegnał sztukę, która mu nie dawała już natchnienia, ni chleba, i rzucił się w urzędniczy zawód.

Zdolny i otwarty jego umysł umiał sobie i tam utorować drogę. Zdobył wkrótce byt i położenie, ale młodzieńcze struny jego piersi pękały jedna po drugiej, wśród łamania się z trudnościami pracy, do której się nie sposobił wprzód, z którą się nie zrósł, która mu suchą i wstrętną była. A dawne anioły jego młodości, które mu nad głową śpiewały niegdyś pieśni cudowne i coraz nowe dumy, a melodye poddawały mistrzowskim palcom jego, odlatywały od niego coraz dalej, i darmo je pochwyć, zatrzymać przy sobie pragnął. Znikały i rozwiewały się w prozie waliki o byt codzienny, w głębokim niesmaku, płynącym z domowego nieszczęścia.

Któż zdoła określić straszny proces psychiczny, odbywający się w duchu człowieka, który widzi, że chybił powołaniu swemu, że skłamał prawdzie, jaka w nim leżała; że, mogąc być olbrzymem, stał się karłem; będąc wezwanym do zdziałania wielkich rzeczy na właściwej sobie drodze, zszedł na tę, która mu nie była przeznaczoną i na której wytworzyć mógł tylko dach nad własną głową i kawał powszedniego chleba dla siebie!

Ten tylko pojmie w całej rozciągłości nieszczęście



to, kto był twórcą, a stał się machiną, był mistrzem, a został wyrobnikiem. Posiadać natchnienie i utracić je—to rzecz okropna! Jest to śmierć głodowa, tylko sroższa, powolniejsza, niż ta, jaką człowiek z braku chleba kona. Tam ciało—tu duch umiera z głodu.

August przestał być artystą i czuł, że być nim przestał.

Rozpaczał z razu, szalał z bólu, pełną piersią przywoływał ogień, który z niej uciekał; potem uspokoił się, zmęźniał, zrósł ze swoim losem, ale nigdy się nie zrezygnował.

Nie mógł zapomnieć o świetnym błysku swęj młodości; nie mógł z piersi wyrwać tęsknoty za rozkoszą tworzenia, ani żalu po zgasłych nadziejach swoich.

Milczał, ale marzył, i, tęskniąc, ciągnął ciężką taczkę żywota.

Tak minęło lat ośm, długich lat Augusta, ciągłych prób, walk zewnętrznych i wewnętrznych. Aż przyszła pora, że uczuł głębokie zmęczenie życiem; gorycz wjadała się mu w piersi—wypędzał ją, ale wracała i stawała się mu ciąglą towarzyszką. Pochyliło się dumne czoło jego, usta złorzeczenia na ślepy a niesprawiedliwy los wyrzuciły, i stanął u tego kresu, do którego, gdy dochodzą nieszczęśliwi ludzie, biada im! stają się z nich pijacy, gracze, łotry.

Czuł niepohamowaną żądzę wrażeń gwałtownych,

wstrząsających, wśród których zapomniał-by o sobie, przeszłości swój, terażniejszości, przyszłości—o tém, co mógł-by mieć, a co utracił, o tém, o czém śnić nie przestawało serce młode. Czuł tę potrzebę, a złe namiętności, niosąc wrażenie w darze nieszczęśliwym, wabiły go coraz ponętniej. Jeszcze krok jeden, a wpadł-by w otchłań moralnej zaguby.

W tej-to porze otrzymał posadę w X., i przybył tam, ciągnąc za sobą cały ciężar swego losu. Nie znał nikogo z mieszkańców miasta, i obojętném mu to było, bo oddawna prowadził życie pustelnicze prawie. Trudna praca pochłaniała go; lękał się, by wśród ludzi bardziej nie rozbudzić targan swych i żalów.

Miał wtedy lat trzydzieści, ale zdawało mu się, że przeżył dwa razy tyle.

Zzółkły skielet kobiety, który siedział przy jego ognisku domowém, rzucał na niego tchnienia starości, znużenia, goryczy.

I w tej-to także porze, wzrok jego zatrzymał się raz na przechodzącej mimo okna jego postaci kobiecej i ścigał ją, póki nie znikła; ścigał jeszcze, gdy znikła, migocące odblaski jej powłóczystej sukni.

Ujrzał ją raz drugi i trzeci, i czwarty, i widywał ją co dzień, to w oknie otwartém, to na ulicy; a gdy ją widział, zdawało mu się, że śni, że jest jeszcze młodym artystą o czole marzącém, o piersi niedotkniętej cierpieniem. Czuł, że fale ożywczego ciepła przeni-

kały go nawskróś, że coś w nim tworzyło się wówczas, coś mu szeptało, śpiewało do ucha. Złe myśli i pociągi odleciały, jak zakłęte, a z wezbraną piersią codziennie oczekiwał chwilki, tej chwilki krótkiej, jak mgnienie oka, w której ją spostrzegął.

I dnia pewnego, gdy ona przeszła mimo okna jego mieszkania, poważna, jak kobieta, spokojna — jak dziewica, objął oczyma płowe jej warkocze, puścił wzrok za falującym krańcem jej sukni, potem usiadł przed instrumentem i grać zaczął.

Zaczął grać—i nagle posłyszał dawne anioły swoje, śpiewające mu nad głową melodye cudowne. Powróciły! tworzył! znowu tworzył! natchnienie pierś mu przepełniło — był artystą, odrodził się!

Jak długo i co grał, sam nie wiedział; ale, gdy ocknął się z zachwytu, poczuł dla tej nieznanomiej przeslicznej dziewicy wdzięczność niezmierną za to, że słodką postacią swą odpędziła od niego złe duchy, i ogień, który był zagasł, przywołała do serca.

I był-by upadł przed nią na kolana, jak przed świętą, i był-by ucałował skraj jej szaty!

Znowu widywał ją codziennie, ale z daleka, na mgnienie oka zawsze. To mu starczyło.

W piersi wrzał mu wulkan cały nieużytych, tęsknotą długą i pragnieniem roznieconych uczuć, ale myśli miał czyste, jak dziecko.

Gdy spostrzegł ją, zaledwie śmiał wzrokiem zawi-

snąć na jêj wyniosłém, marzácém czole, albo spojrzeniem ogarnąć płową jêj koronę z warkoczy. Nie wiedział nawet dobrze, czy ona go spostrzegą—czuł tylko, że tak być musiało. Przeczuwał jêj rumieniec, gdy szła mimo niego, i sam bladł od przyspieszonego ruchu krwi, co mu do serca zbiegała.

Wiedział, że imię jêj Wanda, ale w myśli nazywał ją swoim „słowikiem podniebnym” i „gwiazdą nieznaną”, bo słała mu z góry co wieczór pasma słodkich melodyi, a świeciła przed nim dniem i nocą, choć jêj nie znał.

Jakiém było to uczucie, które w nim dla niêj istniało? jakie miało nazwanie w ludzkiêj mowie? zkąd powstało? dokąd dążyło? Ani wiedział o tém, ani się o to pytał siebie, ani z tego, co czuł, sprawę chciał zdawać przed sobą. Był-to świt, błyskawica, przemknienie anioła po ciemném jego niebie, pasmo promieni, przerzynające jego mglistą drogę.

Dobrze mu było, piêrwszy raz dobrze oddawna; nie chciał się budzić, nie pytał o nic.

Pewnego dnia grać zaczął i znowu usłyszał obok siebie śpiewające dobre dawne anioły swoje. Grał i tworzył, a z tonów, wychodzących mu z pod ręki, upleciona, wyłaniała się przed nim coraz wyraźniej postać nieznanêj dziewczicy. I ujrzał naprzód kibić wysmukłą, gibką, niby dzika wśród gaju brzezina; potém słodkie lice zajaśniało, jak lilii śnieżnêj kielich; płowe włosy rozpromieniły się nad czołem

z marmuru i drobne białe ręce przycisnęły pierś fałującą. I całe to cudowne zjawisko uniosło się przed nim w powietrzu, oblane powodzią muzyki, chyląc się i pływając w tonach, niby senne rozmarzenie. Nagle, z pod dłoni jego wypłynęły akordy dziwnej treści; była w nich boleść, szczęście, modlitwa i żal bez granic. Zjawisko promienne zadrżało, pochyliło się, rozplotły się i wyciągnęły drobne ręce, a słodkie różane usta szepnęły: Augustcie!

August jęknął i grać przestał, bo ręce mu opadły bezwładne. Zamyślił się potem, rozżęsknił i ból w sercu poczuł — ból wielki!

W parę dni potem, August po raz pierwszy z bliżka spotkał Wandę, i po raz pierwszy przemówili do siebie, stojąc nad brzegiem przepaści.

Po raz pierwszy przemówili do siebie, stojąc nad brzegiem przepaści, ale nie widzieli, że to przepaść... Słyszeli tylko szum srebrzystych na dnie strumieni, a konary sosnowego boru podniebną pieśń nad ich głowami śpiewały... Pośrodku urwiska, w grupie gęstej zieleni, błyskał wprawdzie przed nimi krzyżyk biały; ale nie pamiętali, że jest on godłem cierpienia, widzieli w nim tylko znak wiary...

Nie pytali siebie, z kądem im przyszło to piorunowe wrażenie, jakie uczuli, spotykając się tak nagle oko w oko; ani pomyśleli o tém, jakich uczuć zaczątkiem to wrażenie było.

I mogłaż ona myśleć w owęj chwili, kim on był

i mógł być dla niej? — jakim było położenie jego według zwyczajnych warunków tego świata?

I mógł-że on wtedy przypomnieć sobie swoje kajdany i pomyśleć, że one mu ją czynią niedosięgłą — jak gwiazdy, niepochwytną—jak woń lilii?

Nie. Oboje artyści, poeci i marzyciele, nie tknęli myślą zwyczajnego biegu spraw ludzkich; wszelka rachuba i obawa o przyszłość, daleką była od nich.

Nie znając się, przeczuli siebie, pochwycili się w objęcia duszami, a o uścisku rąk nawet ani pomyśleli jeszcze. Dalecy od siebie, jak dwa obłoki, które przegradza firmament cały, czuli przecież, że się posiadają wzajem na mocy nieśmiertelnego prawa miłości duchów i tych atrakcyi niezmiernych a niepojętych, co unoszą się po-nad ziemskimi prawami i sądami, a same w sobie są prawdą wiekuistą. W piersi przecież Augusta zadrgało niewyraźne przeczucie bólów niezmiernych, ale zarazem niewyraźny również głos w nim się odezwał: niech boli serce i niech pęknie, ale niech czuje!

Bywają w życiu pewnych ludzi epoki, w których czepiają się oni bólu nawet i cierpień, jak deski zbawienia, byle ich one uniosły po-nad warunki otaczającego bytu i uchroniły od snu apatyi, lub sroższego jeszcze nad niego zwątpienia o wszystkiem.

Przyszedł więc dzień, w którym Wanda przestała być dla Augusta „gwiazdą nieznaną”, wstąpił ku niej,

kierowany spuszczaćemi się ku niemu promieniami jój lica.

Pani Apolonia mówiła tym razem prawdę w pobożnych opowiadaniach swych o młodój parze. August zaczął bywać w domu Wandy i jój matki.

I widywali się codziennie, już nie na mgnienie oka, jak wprzódy, ale po godzin kilka; a gdy pożegnali się braterskiém rąk uściśnieniem, długo jeszcze potém dwa okna ich, same jedne oświetlone i czuwające wśród ciemnych i uśpionych otaczających okien, błyszczały słabém światłem i zdawały się, wśród ciszy nocnej, wieść z sobą tajemniczą rozmowę. Pośrodku ulica mroźna i cicha zapadała między nimi niby przepaść.

---

## XII.

Pani Olimpia Rostowiecka przyjmowała u siebie liczne towarzystwo, zaproszone przez nią na herbatę.

W dość dużym salonie, ostawionym amarantowo obiteimi sprzętami, ozdobionym piękną posadzką, białém ze złożonemi szlakami obiciem i dwoma wielkimi zwierciadłami w rzeźbionych ramach, siedziało i chodziło ze dwadzieścia osób różnej płci i wieku.

Na kanapie, przed stołem, zarzuconym albumami w bogatěj oprawie, siedziała gospodyni domu, z postawą pełną zwykłej jěj dumy i godności.

Ubrana była w suknię ze srebrzystěj materji, a u szyi jěj i przy uszach błyszczały brosza i kolce szmaragdowe w staroświeckiej oprawie, przyozdobionej dość dużemi brylantami. Na białej ręce spoczywającej śród srebrzystych fałdów sukni, między kilku pierścionkami, jaśniał najsilniejszym blaskiem piękny pierścień z dużym i kosztownym soliterem.



Obok nięj na dwóch fotelach i bardzo blisko siebie siedzieli oboje państwo Rokowiczowie, trzymając się za ręce; z drugiejj strony pan Gaczycki, milczący, jak zwykle, i zimny, obojętnie przesuwiał albumy. Naprzeciw pan Spirydyon, niedbale rozparty w fotelu, żartobliwą prowadził rozmowę z gospodynią domu, przyczem z roztargnieniem rozglądał się po salonie i niekiedy poziewał nieznacznie, jak człowiek, który się nudzi i nietylko przed innymi, ale i przed sobą przyznać się do tego nie chce.

Dalęj, na kozetce siedziała Stasia w białejj sukni, pełnejj różowych kokard i z różą we włosach; a obok nięj pan Paweł, suchy, blady i milczący, jak zazwyczaj. Parę młodych panienek stało przy kozetce i wesołą pogadankę wiodło z ożywioną i dowcipną panią Rumiańską.

Dama w amarantowęjj sukni rozsiadła się na fotelu niedaleko jednego z okien, mając przed sobą panią Apolonią z dwoma krzyżami, a za sobą dwie córki swe, których nie puszczała od siebie ani na krok, aby w ciągłęjj pieczy mieć ich dziewicze uszy i oczy. Przy drugiejj oknie jakiś niemłody jegomość w okularach, snadź obywatel, tylko co ze wsi przybyły, rozpowiadał o urodzajach innej niemłodejj damie, ubranęjj w zieloną suknię i ścigającęjj okiem siostrzenicę, dość ładną panienkę, chodzącą po salonie z eleganckim i ugrzeczniwym jakimś młodzieńcem.

Jeszcze inna niemłoda dama, w fioletowęjj sukni,

siedziała w pobliżu amarantowej damy i wtrącała się niekiedy do rozmowy jej z panią Apolonią, spoglądając często na syna, rumianego i otyłego młodzieńca, markotnie jakoś siedzącego między piecem a fortepianem. Zresztą, były jeszcze w salonie dwie panny, stojące przy fortepianie i przerzucające nuty; byli dwaj młodzi ludzie, którzy z temi pannami o muzyce rozmawiali; jedna stara panna z długą twarzą i czerwonym nosem, siedząca na fotelu prosto, nieruchomie i milcząco; jeden stary kawaler z wielką łysiną, strojący koperczaki do wszystkich na raz panien, które naturalnie chichotały po cichu, zerkając na niego jednak często z ukosa, bo miał majątek jeszcze większy od łysiny; dwóch czy trzech obywateli wiejskich, sąsiadów państwa Rostowieckich, biadali na ciężkie czasy, a spoglądali od niechcenia do przyległego pokoju, azali tam lokaje nie otwierają zielonego stolika do partyjki preferansa.

Lubo dzień miał się już ku końcowi, nie oświetlono jeszcze salonów, bo według zwyczaju, panującego w niewielkich miastach, towarzystwo zeszło się dość wcześnie na wieczorek, który nie był formalnym wieczorem, ale tylko herbatą *incognito*. Słońce dopiero zachodziło i przez roztwarte okna rzucało ponsowe promienie na posadzkę salonu.

Od blasku tych ponsowych promieni białe czoło Olimpii wydawało się jeszcze dumniejszém, niż zwykle; złotowłosa główka Stasi bardziej ożywioną, amarantan-

towa dama jaskrawiej była amarantową, dwa krzyże pani Apolonii rzęsiściej złote, a obojętna twarz pana Gaczyckiego mniej obojętną.

Twarz sztywnego i zimnego człowieka mniej była, niż zwykle, obojętną, bo ponsowy promień, ślizgając się po jego kształtnych, arystokratycznych ustach, oświecał na nich ukrywany wyraz delikatnej ironii.

Ironia ta pojawiła się wtedy, gdy śliczna ręka pani Olimpii zamigotała mu przed oczyma świetnym soliterem pierścienia, albo gdy oczy jego zawisły na pięknych szmaragdach broszy jej i koleców.

Widocznie brylant i szmaragdy posiadały tajemniczą jakąś własność wywoływania na usta jego ironii; z oczu jego było widać, że patrzył na klejnoty te, jak na dobrych swych znajomych; a gdy na nie popatrzył chwilę, przenosił spojrzenie na pana Spirydona, jakby znowu między świetnymi ozdobami toalety pięknej pani a jej adoratorem, upatrywał jakąś niewidzialną dla innych łącznicę.

Nie mieszał się wcale do otaczających go zewsząd rozmów; wyraźnie rozmawiał z własnymi myślami, które mówiły mu o klejnotach pani Olimpii i przypominały mu zarazem pewną starą kobietę, o rozumnych oczach i zacnym obliczu, z której rąk niedawno jego ręce wzięły staroświecko oprawne szmaragdy i pierścień z soliterem, i niebawem oddały je w ręce bogatego żyda jubilera.

Nic nie mogło być prostszego nad to, że pani Ro-

stowiecka nabyła cenne przedmioty, za jego pośrednictwem sprzedane przez panią Starowolską i, ustrojona w nie, siedziała teraz wobec swych gości, piękna, jak bogini, a dumna, jak królowa.

Zapewne, nic nie mogło być prostszego nad to ; a jednak pan Edward uśmiechał się ironicznie, ile razy promienie dyamentów uderzyły wzrok jego i zaraz potem rozumne a przenikliwe, lubo obojętne, swe oczy przenosił na pana Spiridyona.

Nikt nie zauważył tej gry fizyognomii bogatego pana, bo była ona pokrytą najwytworniejszą grzecznością i najsztwywniejszym chłodem ; a przytém pan Gaczycki znany był powszechnie, jako człowiek więcej milczący, niż mówiący, i bardzo często z ironią poglądający na ludzi, lubo nikt inny, prócz niego, do ironii tej nie widział powodu.

Rozmowy w salonie to wzmagaly się w gwar głośny, to ucichały chwilami, jak zwykle bywa w towarzystwie, złożoném z kilku oddzielnych kótek, z których każde na swoją rękę prowadzi konwersacyą. W jednej z chwil, w których wszyscy rozmawiali ciszej, albo wcale nie rozmawiali, młoda panna, siostrzenica zielonej damy, dotąd chodząca po salonie z kawalerem, który miał minę starającego się o jej rękę, stanęła przed Stasią Rumiańską i zapytała:

— Czy dawno pani widziałaś się z Wandzią Rodowską? od wieków jej nie widziałam i tęskno mi za

nią. Dlaczego jęj tu dziś niema? czyż-by nie była zaproszona przez panią Rostowiecką?

— Owszem — rzekła Stasia, na której twarzy pojawiło się trochę zakłopotania, ale nie dała jęj dokończyć pani Apolonia, która, siedząc w pobliżu, usłyszała pytanie panny.

— Kochana panno Ludwiko! — zawołała — nasza Wandziulka jest teraz zbyt zajęta, aby nam udzielać swęj miłej obecności. Utraciliśmy ją, utraciliśmy...

— Utraci pani swój krzyż od rózańca — podjęła żywo Stasia, której oczy błysnęły i ukazała na jeden z krzyżów pani Apolonii, który w istocie blizkim był oderwania się.

— Dziękuję, dziękuję za ostrzeżenie — odparła Antyfona, przyprowadzając do porządku swą pobożną bransoletę — krzyż zgubić, to wielki grzech! Niech mnie Bóg broni i strzeże od niego!

— I od obmowy, albo odbierania sławy bliźniemu — półgłosem dodała Stasia.

Stojąca przed nią panna Ludwika uśmiechnęła się, a pan Paweł szepnął:

— Cicho, Stasiu, cicho, narażasz się!

— Widziałam wczoraj pannę Wandę — ozwała się z przekąsem fioletowa pani, matka rumianego syna, który markotnie siedział między piecem a fortepianem — widziałam wczoraj pannę Wandę, przechodzącą ulicą. Była tak zamyślona, że nie spostrzegła

mnie i nie ukłoniła się. A przecież znam ją od dziecka i hodowało się to razem z moim Ignasiem...

Na to wspomnienie rumiany Ignasz podjął głowę, żalnościwe spojrzenie rzucił na matkę i westchnął tak, że aż zadrgała poblizka adamaszkowa portyera.

— Już to, prawdę mówiąc, Wandzia zawsze wyglądała tak, jakby gwiazdy liczyła na niebie, chociaż ich w dzień nie widać, a na ziemię i patrzeć nie raczyła — ozwała się z przekąsem starsza córka amarantowój damy, z za pleców matki, białą mantylą okrytych.

Na te słowa poruszyła się amarantowa dama i, starannie zakrywając plecami dziewicze uszy córek, rzekła półgłosem :

— Moje córki nie chodzą wprawdzie po ulicach, jakby gwiazdy liczyć chciały, niby astronomki jakie, ale za to też i żonatyh nie bałamuca.

Siedząca w pobliżu stara panna, o dłuższej twarzy i czerwonym nosie, poprawiła się na fotelu przy tych wyrazach i, nic nie mówiąc, kiwnęła energicznie głową, na znak potwierdzenia. Ale dama w zielonój sukni, ciotka panny Ludwiki, ozwała się :

— Dajcie państwo pokój téj biednej Wandzi; mnie się zdaje, że ona nie jest tak lekkomyślną, jak sądzicie. To tylko pozory, a serce ma dobre.

Tu stara panna poprawiła się na fotelu i, nic nie mówiąc, pokręciła energicznie głowę na znak przeczenia, a rumiany Ignasz, siedzący między piecem i forte-

pianem, westchnął znowu, że aż drgnęła poblizka portyera, i pokiwał głową na znak twierdzenia.

Stasia, podczas tej rozmowy, rumiejącą się stała, niż róża, w jej włosach kwitnąca, a panna Ludwika wzruszyła ramionami i rzekła:

— Co do mnie, kocham Wandę i nie wiem, za co ludzie tak się uwzięli na nią.

— Niech mnie Bóg broni i strzeże od obmowy, albo odbierania sławy bliźniemu, tém bardziej tej słicznej i dobrej Wandziulce, którą na własnych rękach nosiłam — wyrzekła pełnym żalu głosem pani Apollonia — ale po cóż się tak naraża i kompromituje? Bałamucić żonatego człowieka! to grzech i obraza Pana Boga. Wczoraj zaczęłam odmawiać godzinki do Przemienienia Pańskiego, i będę siedm piątków pościła na intencją, aby Bóg natchnął ją swoją łaską świętą i nie oddawał na zagubę tej miłej istoty!

— O wilku mowa, a wilk tuż! — zawołała amarantowa dama, wychylając głowę przez otwarte okno — mówimy o Wandzie Rodowskięj, a ona właśnie przechodzi ulicą!

Kilka osób rzuciło się na te słowa do okien. Ruch ten zwrócił uwagę gospodyni domu i osób najbliższej niej siedzących. Powstawali też z miejsc i wyjrżeli na ulicę.

Przeciwniegiem chodnikiem szła Wanda z matką swą, wspartą na jej ramieniu. Obok dwóch kobiet postępował August Przybycki. Wracali snadź wszyscy

troje z zamiejskiej przechadzki, bo pani Rodowska niosła w rękę wielki pęk polnych kwiatów i na słomkowym kapeluszu Wandy błękitniało kilka świeżo zerwanych bławatków, do białej przypiętych wstęgi. Delikatne policzki pięknej panny barwiły się lekkim rumieńcem zmęczenia, ale nie zdawała się w tej chwili chcieć liczyć gwiazdy, jak się wyrażały o niej znajome jej panie, tylko całą uwagę swą zwracała na powoli i z trudnością idącą matkę, podtrzymując jej słabe kroki i prowadząc ją wygodniejszą nieco do przebycia stroną chodnika.

August szedł obok, poważny, lubo dziwne jakies promienie, niby duma z wewnątrz płynąca, otaczało bladą twarz jego. Ale promienienie to było spokojne, a giesty, z jakimi opowiadał o czémś swym towarzyszkom, pełne głębokiego uszanowania, czci niedłwie. Pani Rodowska, z wyraźną przyjemnością i uśmiechem na bladych, dobrotliwych ustach, słuchała rozmowy, toczącej się między córką jej a młodym człowiekiem; Wanda zaś, wspierając i ochraniając od niewygodnych przejść matkę, patrzyła przed siebie swemi przezroczytymi oczyma śmiało i spokojnie. Oczy te zdawały się być mniej marzącemi niż dawniej; przebijała się w nich za to jakaś myśl światła i piękna, która płynęła zapewne z rozmowy, wiedzionej w tej chwili z Augustem.

Tak szli sobie we troje spokojnie, blizcy siebie. Stara matka postępowała, troskliwie strzeżona przez



dwoje młodych ludzi, młoda para rozmawiała z sobą bezpiecznie i ufnie pod okiem matki. Zajęci sobą i swoją rozmową, ani spostrzegali, że z przeciwległej wielkiej kamienicy, w której mieszkała pani Olimpia, natłoczone w czterech oknach dwadzieścia par oczu spoglądało na nich ciekawie, z różnymi wyrazami złości, ironii, pogardy. Tylko oczy panów Edwarda i Spiridyona spojrzały na nich życzliwie, Stasi kochająco, a zielonej damy i jej siostrzenicy z nieśmiałością i ukrywanym spólcuciem.

Zresztą kobiety stare i młode uśmiechały się złośliwie; stara panna, nic nie mówiąc, trzęsła głową na znak nagany; stary kawaler szeptał do ucha młodym ludziom dwuznaczne o przechodzącej parze żarciki; a rumiany i barczysty Ignaś westchnął kilka razy, aż zatrzęsły się wszystkie pobliskie portyery i franki. Macierzyńskie serce fioletowej damy przeszyte snadź zostało temi westchnieniami syna, bo pierwsza odwróciła się od okna z twarzą oburzenia pełną i temi ozwała się słowy:

— Jak nie wstyd pani Rodowskiej pozwalać na takie nierozsądne awanturowanie się córki z żonatymi ludźmi! alboż mało było porządnych kawalerów na świecie, między którymi panna Wanda wybierać sobie mogła męża? ale żadnego nie chciała, przerzucała starającymi się, niby jabłkami lub orzechami, a teraz pewno żaden porządny kawaler jej nie we-

źmie, jak się rozbałamuciła z żonatymi — i zostanie starą panną, zostanie!

Stara panna o długiej twarzy i czerwonym nosie, nic nie mówiąc, energicznie pokiwała głową na znak twierdzenia, ale barczysty Ignas wrócił na swoje miejsce, pomiędzy piecem a fortepianem, westchnął i pokręcił głową na znak przeczenia, mówiąc, jak tylko można było najciszej:

— Gdyby tylko chciała panna Wanda! gdyby tylko chciała! Ale nie chce...

Tu popatrzył na swą granatową marynarkę i niebieski krawat, zerknął zezem na jasny wąsik, obrastający mu pulchne wargi, i miał taką minę, jakby myślał: nie pojmuję, czemu nie chce!

Na hasło, dane przez fioletową damę, poruszyły się wszystkie usta, powstał gwar i zamieszanie; wszyscy mówili razem, przerywając sobie wzajem, i oprócz kilku osób, jednomyślnie naganiali Wandę za znajomienie się jej z Augustem, granie z nim na cztery ręce, ukazywanie się obok niego w otwartym oknie i odbywanie w jego towarzystwie przechadzek pod opieką tylko... swęj matki.

Dama amarantowa i dama fioletowa, pani Olimpia, pani Apolonia i oboje państwo Rokowiczowie — każde w swój sposób wyrażało zdumienie swe i oburzenie; Ignas wzdychał pomiędzy fortepianem a piecem, stara panna, nic nie mówiąc, energicznie kiwała głową na znak potwierdzenia, zielona dama i jej sio-

strzenica, Ludwika, milczały, nie mając odwagi płynąć przeciw ogólnemu prądowi, pan Edward obojętnie i z ironią błędzącą po jego ustach przerzuczał album, Stasia płonąła szkarłatnym rumieńcem i łyzy kręciły się w jęj oczach.

Nad całym jednak gwarem zapanował po chwili głos gospodyni domu, która, zasiadłszy znowu na kanapie i rozpostarłszy szeroko wkoło siebie fałdy srebrzystej sukni, podniosła głowę bardzo wysoko i rzekła:

— Moi państwo! pojmuję zapomnienie się i niewłaściwe postępowanie w osobie, należącej do niższych sfer społecznych; ale nie rozumiem, jak kobieta, należąca do wyższego towarzystwa, może w podobny sposób poniewierać przyjętymi formami. Gdyby panna Wanda była jaką ciemną, nieznaną dziewczyną, wybaczyła-bym niekonsekwentne jęj kompromitowanie się z tym panem Przybyckim; ale położenie, jakie my kobiety z wyższej sfery posiadamy, wkłada na nas obowiązek zachowania go w nieskazitelnej czystości. Sama duma szlachetna powinna-by jęj nakazać...

W tej chwili lokaj wniósł wielką płonąjącą lampę i, zapuściwszy rolety u okien, postawił ją na stole przed kanapą. Pod światłem lampy silnemi ogniami zaiskrzyły się szmaragdy u szyi i przy uszach pani Olimpii i wielki brylant błysnął na jęj palcu. Pan Edward podniósł wzrok, machinalnie utkwiony w al-

bum rozwarte, i pierwszy raz odzywając się w czasie rozmowy, przerwał pani Olimpii półgłosem :

— Jaki pani masz piękny brylant na ręce! prawdziwie, zwraca on na siebie uwagę! musi też być cenny! Pozwolisz pani, abym, jako amator drogich kamieni, zapytał jęj, gdzieś go nabyła?

Gdy to mówił, blado-błękitne przenikliwe jego oczy utkwily upornie w twarzy pięknej pani.

Nagły, szkarłatny rumieniec wystąpił na policzki Olimpii, opuściła szybko rękę i machinalnie zasunęła ją pomiędzy koronki, zdobiące suknię. W oczach jęj bystrych, dumnych i błyszczących, zamigotały naprzemian pomieszanie, obawa i gniew. Pan Edward skłonił się bardzo grzecznie i wyrzekł z ledwie dostrzegalną ironią :

— Przebacz, pani, jeśli pytaniem mém uczyniłem jęj przykrość, ale prawdziwie brylant ten jest tak piękny...

— O! żadnej mi pan nie uczyniłeś przykrości — odrzekła żywo Olimpia, odzyskując śmiałość — pierścień ten otrzymałam od mego męża... przywiózł mi go z za granicy...

Usta pana Edwarda zagięły się w dziwny, tajemniczy uśmiech, a oczy jego przeniosły się powoli na twarz pana Spiridyona, który siedział dość blisko, aby móżdż, mimo gwaru panującego w salonie, usłyszeć rozmowę. Ale pan Spiridyon nie słyszał, albo

udawał, że nie słyszy; wzrok miał spuszczonego i trochę ukrywanego zmieszania na twarzy.

Olimpia powstała i, z dumnie podniesioną głową, przeszła do innej grupy towarzystwa, zgromadzonego około kozetki, na której siedziała Stasia. Pomiędzy grupą tą jaśniały, jak słońca, damy: amarantowa i fioletowa, a wśród nich błyszczały dwa krzyże pani Apolonii.

Rozmowa o Wandzie Rodowskiiej nie ustawała. Była to snadź kwestya pałaca dla zebranego w salonie pani Olimpji towarzystwa. Trzy kobiety śpiewały o niej *trio*, do którego niemym akompaniamentem było milczące kiwanie głowy stariej panny.

— Moi państwo — mówiła Stasia, z trudem dobijając się do słowa — powiedźcież mi w końcu, czem tak bardzo w oczach waszych zawiniła ta biedna Wandzia? Przecież nie popełnia nic takiego...

— Popełnia, popełnia! — zawołała fioletowa dama — odrzuca porządnych młodych ludzi, którzy się o nią starają, a bałamuci żonaty...

To mówiąc, rzuciła przelotne spojrzenie na rumianego Ignasia, który z pomiędzy pieca i fortepianu przesiadł się pomiędzy piec i konsolę, i siedział tam ciągle markotny.

— Daje zły przykład naszym córkom! — dodała amarantowa dama, i przelotne spojrzenie rzuciła na stojące za jej plecami dwie córki, a w spojrzeniu

tém odmalowała się wyraźnie myśl: „oddawna już spostrzegam, że jest piękniejszą i o dziesięć lat młodszą od moich córek”.

— Uwłacza swój towarzyskiej pozycyi, którą każda z nas powinna zachować w nieskazitelnej czystości — wyrzekła nadchodząca do grupy pani Olimpia.

— Prześliczne masz dziś pani na sobie szmaragdy — zabrzmiał tuż obok nięj zniżony nieco głos pana Edwarda — przebacz pani, że będę niedyskretnym po raz drugi i, jako amator drogich kamieni, zapytam: gdzieś je pani nabyła?

Znowu przenikliwe oczy bogatego pana, z dziwnym wyrazem utkwily w twarzy Olimpii, i znowu na policzki pięknej pani wytrysnął szkarłatny rumieniec. Przygryzła usta, a w oczach jej zamigotała, nie już obawa, ale przestrah. Szybko jednak zwróciła się do swego gościa i odrzekła:

— Mam je po babce; jest-to pamiątka rodzinna.

Pan Edward skłonił się, niby z podziękowaniem za objaśnienie, ale usta jego zagięły się znowu w wyraz delikatnej ironii, a oczy przeniosły się na twarz pana Spiridyona.

— Proponuję państwu — zawołał ten ostatni, zbliżając się do towarzystwa, — odmienić przedmiot rozmowy i sposób bawienia się. Gdybyśmy naprzykład poprosili którą z pań o grę na fortepianie...

— Może pani dasz nam słyszeć swoją muzykę — przemówił ktoś z młodych ludzi do Stasi.

— Prosimy, prosimy! — zawołało kilka głosów.

— Zagraj, Stasiu — szepnął żonie pan Paweł, o którym wiadano, że był dumny z pięknego w istocie muzycznego talentu swój żony.

Stasia zamyśliła się — jakaś wesoła, żartobliwa myśl mignęła po jej ożywionej twarzy.

— Nie, moi państwo — odrzekła po chwili — nie mam dziś usposobienia do muzyki; ale, ażeby nie odpowiadać odmową na grzeczne wasze prośby, zadeklamuję wam pewien wierszyk...

Otoczające kobiety zamieniły między sobą spojrzenia.

— Cóż to będzie nowego? — szepnęła fioletowa dama do amarantowej.

— Co ta trzpiotka znowu wymyśliła? — rzekła cicho do sąsiadek swych pani Apolonia.

Ale panowie i młode panny otoczyły miłą i wesołą panią Rumiańską, prosząc o spełnienie obietnicy.

Stasia z figlarną minką skrzyżowała ręce na piersi, podniosła swą złotowłosą główkę rezolutnie i ozwała się:

— Wierszyk ten, moi państwo, wyczytałam, już nie wiem doprawdy gdzie, ale, przy pewnych okolicznościach, często mi przychodzi na myśl..

— Słuchamy! słuchamy! — zawołało kilka głosów.

Pan Spirydyon zbliżył się i stanął tuż obok młodej kobiety, patrząc na nią z wielkiem zajęciem.

— Zaczynam więc — rzekła Stasia i, z poważno-figlarnym wyrazem twarzy, z rękoma skrzyżowanemi na piersi, wydekłamała:

„Stara czapła, jak to bywa,  
Trochę ślepa, trochę krzywa,  
Gdy już ryb łowić nie mogła  
W straszny się gniew i złość wzmogła,  
Że młodsze od niej czapelki  
Przezrocze wody kropelki  
W zgrabne swe dzióbki chwyciły,  
A przytém rybki łapały,  
Jadły i chichotały.  
Rzecz do nich: wy nie wiecie,  
A tu o was idzie przecie!  
Więc wędzić chciały,  
Czego się obawiać miały.  
Wczora,  
Z wieczora,  
W dumaniu głębokiem,  
Tocząc po niebie nabożném okiem,  
Słyszałam, jak święci Pańscy mówili:  
„Nie trać, czapło, ani chwili,  
Idź, ratuj dusze, co giną



Grzesznój swawoli przyczyną !  
Oto tam nad jeziorem  
Młode czapelki chorem  
Łowią rybki, chichocą,  
O nic się nie kłopotą :  
Ni o święte natchnienie,  
Ni o duszne zbawienie.  
Zginą w grzechu niebogie !  
Idź, opowiedz im srogie  
Przykazy nasze z nieba :  
Że ryb łowić nie trzeba,  
Ani śmiać się, ni bawić,  
Tylko w postach dni trawić,  
Jęzczyć, wzdychać, narzekać,  
Godziny śmierci czekać !”  
Jam przelekła i zbladła,  
Tu pomiędzy was wpadła,  
By wam święte ogłosić wyroki ;  
A że kocham was szczerze,  
Tedy w zupełnej wierze,  
Wedle słów mych kierujcie swe kroki !

\* \* \*

Młode czaple słuchały,  
Potem w głos się zaśmiały,  
Srebrne rybki łowić jęły na nowo ;  
Stara krzywy dziób wzniosła,  
Żwawo w świat się poniosła,

Z przekrzywioną, półślepa swą głową,  
Jęcząc, krzycząc, wzdychając,  
A młode czaple łając :  
Że niegodne grzesznice,  
Swawolnice, wietrznice,  
W weselu czas swój trawią,  
Łowieniem ryb się bawią,  
Niepomne na sądy boże ;  
Gdy ona, ach, straszniego,  
Lubo wielce miłego,  
Grzechu tego samego  
Popełnić już nie może !”

Skończyła Stasia i filuterne oczy, w których teraz przebijała się pewna złośliwość, utkwiła w twarzy pani Apolonii.

Zarazem oczy wszystkich prawie mężczyzn zwróciły się w tym samym kierunku i ze wszech stron śmiech wybuchnął homeryczny. Nawet pan Paweł nie mógł tym razem powstrzymać się od śmiechu i, patrząc na piękną twarzyczkę żony, z wyrazem uwielbienia i zachwytu szepnął jej do ucha :

— Cicho, Stasiu, cicho, narażasz się !

Panienki chichotały też po cichu wszystkie, z wyjątkiem córek amarantowej damy, która złośliwe i ironiczne spojrzenia z damą fioletową zamieniała, tudzież stariej panny, w milczeniu i z oburzeniem głową kiwającą. Pani Apolonia zaś żywo powstała ; na

twarzy jęj malowało się zagniewanie i nos rozkwitł najpiękniejszą purpurą. Brzęcząc krzyżem różańca o krzyż wiszący na piersi, odeszła na drugą stronę salonu, gdzie państwo Rokowiczowie, w pełnem skromności odosobnieniu, siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce.

— Czy słyszałaś pani — szepnęła do Teresy — z jaką bajeczką wystąpiła ta mała nieznośna Rumiańska? Imienia Świętych Pańskich używa do swoich grzesznych żarcików! Wszak to obraza Pana Boga!

— I nieskromność! — dorzuciła Teresa.

— Przepraszam — wyrzekł raptem pan Rokowicz — już oddawna tedy uważam... że pani Rumiańska więc nie jest przyzwoitą i moralną kobietą... deklamować takie wiersze przy mężczyznach... to obraża... tedy... przepraszam!

— Czy uważacie państwo — mówiła pani Apolonia, coraz mocniej stukając, niby kastanietami, krzyżami swemi — czy uważacie państwo, jak się to mizdrzy do pana Asa?

I wskazał na kozetkę, gdzie rzeczywiście przysiadł się do Stasi pan Spirydion i prowadził z nią ożywioną rozmowę.

— Nie pojmuję, jak można tak lekceważyć skromność i obowiązki zameżnej kobiety! — wzruszając ramionami, wyrzekła pani Teresa.

— Niech mnie Bóg broni i strzeże od obmowy

albo odbierania sławy bliźniemu—kończyła pani Apolonia — ale ja o niej wiem wiele różnych rzeczy...

— Cóż? cóż? — zawołała ciekawie Teresa.

— Widziałam już nieraz, jak pan Spirydyon wychodził z jej mieszkania...

— Doprawdy? — zawołali obaj małżonkowie — a pan Rokowicz dodał:

— To obraża... tedy...

— I to w godzinach, kiedy Rumiański w biurze pracuje... — ciągnęła Apolonia.

— Mój Boże! przyjmować gości, kiedy mąż w biurze; to dla mnie niepojęte! — jęknęła Teresa.

— Przepraszam — wybuchnął Rokowicz — skoro tak jest, tedy pani Rumiańska nie powinna bywać w naszym domu! więc... bo nasz dom, Tereniu, powinien być wolnym od wszelkiej skazy... tedy... kiedy taka osoba, jak pani Rumiańska, w nim bywa, to obraża... tedy... przepraszam!

— Tak będzie, jak sobie życzysz, najmilszy mój Feluniu! Wiiesz przecie, że we wszystkiém stosuję się do twojej woli! Zresztą i sama nie mam sympatii do osoby, która pozbyła się skromności, będącej...

— Czy pani dawno odwiedzała panią Starowską? — zabrzmiał nagle obok pani Rokowiczowej głos pana Gaczyckiego, który nie wiedzieć jak się tam znalazł. Teresa drgnęła znowu; lecz obróciła się ku niemu ze zwykłą sobie słodyczą i odrzekła:

— Parę dni temu! Mój Boże! ja tak kocham i poważam tę złą osobę...

— Śliczną też pani Starowolska wychowuje dziecię, nie prawdaż, pani? — ciągnął pan Edward. — Ładne to i nad wiek swój rozumne dziecko, a tak boleśnie zdaje się odczuwać swoje sieroctwo...

Przy tych słowach jasno-błękitne przenikliwe oczy jego utkwily w twarzy Teresy, która bladła i wnet rumieniła się chwilowo. Zaraz jednak odzyskała zwykłą sobie słodycz i miała coś odpowiedzieć, gdy, nagle i z hukiem, otworzyły się drzwi salonu i wpadł przez nie wysoki i barczysty mężczyzna, w podróżnym ubraniu, z mocno opaloną twarzą, pełną poczciwości, ale zarazem dobrodusznego, a jakby stałe już na niej wyrytego, zafrasowania. Wogóle była to postać wiejskiego gospodarza, nosząca na sobie ślady kłopotów, spracowania, słońca, słoty, zasiedzenia się na wsi. Nie był wcale brzydki, i owszem, miał wzrost piękny, rysy twarzy regularne i gęstą czarną czuprynę. Znać nawet było po ubraniu i całej powierzchowności, że musiał być niegdyś światowym człowiekiem, a w każdym razie urodził się i wzrósł wśród dobrego towarzystwa.

— Przepraszam, przepraszam państwa! — zawołał zaraz od progu — że wchodzę tak *sans façon* w podróżnym ubraniu! Ale nie wiedziałem, że żona moja przyjmuje dziś gości; przyjechałem na jedną dobę tylko do miasta dla załatwienia interesów i zo-

baczenia się z Olimpką! Oj! te interesa! te interesa!

— Jak się masz, *Jean!* — zawołała gospodyni domu, żywo postępując na spotkanie przybyłego — tak dawno nie byłeś u mnie! *mon cher Jean!*

I podała mu obie ręce, które on z zapalem ucałował; poczem zaczął witać gości, którzy wszyscy serdecznie mu ręce ściskali.

— A, i ty tu jesteś! — zawołał, ujrawszy pana Spiridyona. — Jakżem rad, jakżem rad, że cię tu widzę!

Uściskał obie ręce pana Asa i ucałował go w oba policzki. Pan As wzajemnie całował męża pięknej Olimpki, ale zdawał się być nieco pomieszany.

— Bo to nie wyobrazicie sobie państwo, jaki nieoceniony znajomy i przyjaciel z tego poczciwego Spiridyona — mówił pan Rostowiecki, nie wypuszczając go z objęć — moja Olimpka ma z niego najlepszego opiekuna. Gdy wiem, że on jest w X., jestem zupełnie o nią spokojny... kobieta zawsze potrzebuje opieki... Jaby tu z nią rad siedział, ale gospodarstwo i interesa... oj! te interesa! te interesa!

— *Jean!* może odmienisz toaletę? — szepnęła, przestrzegająca form wyższej sfery towarzyskiej, pani Olimpia.

— No, jakże się ty miewasz, moje życie? jak się bawisz? co porabiasz? — pytał małżonek, nie odpo-

wiadając na propozycją i znowu pochwycił obie śliczne rączki żony i całował je z zapalem.

— A — zawołał nagle — jakiż śliczny pierścionek! Co za brylant przepyszny! Jeszczem go u ciebie nie widział! Zkądżeś go wzięła, moje życie?

Tym razem piękna Olimpia nie zarumieniła się, lecz zbladła. Milczała chwilkę, potem odrzekła:

— Nabyłam go przedwczoraj, *Jean*; oddałam w zamian zaniego kilka dawnych moich pierścionków.

— Co to za mądra kobieta z mojej żony! — zawołał Rostowiecki, zwracając się do towarzystwa — zawsze ma mnóstwo ślicznych nowych rzeczy, a nabywa je tanim kosztem. Wynajdzie sobie jaki handelek i ma nowe cacko!

I znowu parę serdecznych całusów wycisnął na rękach żony. Ale po-nad schyloną przed nią głową męża i po nad jego gęstą czupryną, oczy Olimpji spotkały się z utkwionym w nią wzrokiem pana Edwarda. Wzrok ten był obojętny, nic nie mówiący; grzeszność, czy inne może względy, wyrugowały z niego nawet poprzednią ironią; niemniej jednak przykre wrażenie odbiło się na twarzy pięknej kobiety i oblała się znowu szkarłatem.

— Usiądź-że, *Jean* — rzekła do męża, szybko tłumiąc wzruszenie — spodziewam się, że przepędzisz z nami wieczór. Zmień tylko podróżne ubranie na inne — dodała ciszej.

— Nie mogę, moje życie, nie mogę! — odpowie-

dział Rostowiecki — przyjechałem tylko na jedną dobę; mam mnóstwo interesów i biegnę, lecę dziś jeszcze na miasto, aby je w części załatwić... oj! te interesa!

— Na tak krótko przyjechałeś pan do miasta? — spytał ktoś z mężczyzn.

— Tak, tak, nie mogę inaczej! gospodarski czas, panowie! Gorzelnia przerabiam i parobków przyjmuję... oj, co kłopotów! co kłopotów!...

— Ale cóż tak późno będziesz robił na mieście, *Jean*? Nie chodź już dziś—nalegała żona.

— Nie mogę, nie mogę, moje życie; kontraktuję pszenicę Josielowi... idę do niego dla napisania kontraktu... Myślałem, że to uczynię tutaj; ale skoro masz gości, sam pójdę do Josiela...

— Kontraktujesz pan pszenicę na pniu? — spytał ktoś z sąsiadów.

— A cóż robić, panie dobrodzieju! Na robotnika pieniądze płyną, jak woda, a tu i gorzelnia przerabiam w tym roku, bom jeszcze dotychczas nie miał Pistoryusza; parowa, wiecie panowie, że niedogodna... wołownią powiększam; téj zimy sto wołów postawię, a dotąd stawiałem sześćdziesiąt... No, jakież tam u was urodzaje? U mnie pszenica piękna, ale jarzyny poschły od tych siarczystych upałów, jakie mamy w tym roku! ach! gdyby to deszcz! Owies na nic będzie od takiej suszy! kartofle jeszcze nie kwitną...



a u was? Co tam słychać z kartoflami? deszczu potrzebuja — nie prawdaż?

Przysiadł na chwilę między sąsiadami i, rozmawiając z nimi o gospodarstwie, wypił parę szklanek herbaty, którą lokaje roznosili na srebrnych tacach.

Potem zerwał się i zaczął żegnać towarzystwo.

— Biegnę, lecę pisać kontrakt na pszenicę z Josielem. Jutro muszę wnieść do kasy rządowej kupę pieniędzy! Rządowe należności nie czekają! Oj! te interesa! te interesa!

— *Jean!* mam z tobą do pomówienia, nim pójdziesz — rzekła Olimpia, powstając, przesunęła rękę pod ramię męża i wyprowadziła go do przyległego gabinetu.

Stanęli we framudze okna. Rostowiecki przyciągnął żonę do siebie i parę razy z miłością pocałował ją w usta.

— Tak dawno nie widziałem cię, moja Olimpko — wymówił — cóż mi masz do powiedzenia, moje drogie życie!

— *Jean!* czy przywiozłeś mi pieniędzy? Jestem bez grosza!

— Jakto! — zawołał Rostowiecki ze zwiększonem zafrasowaniem na twarzy — nie masz już pieniędzy? Toż przy ostatniej tu bytności mojej przywiozłem ci trzysta dukatów!

— Cóż to znaczy, mój drogi? życie w mieście

kosztuje, mianowicie, jeśli komu trzeba, jak mnie, utrzymać dom, stosownie do stanowiska posiadanego w świecie...

— Oj, to stanowisko! dyabelnie kosztowna rzecz! — szepnął pan Jan.

— Mój Jasiu! — żywo odparła Olimpia — wiesz, że nie przywykłam oszczędzać się i mam potrzeby, właściwe kobiecie mojej sfery. Pamiętasz pewno, jak było w domu mego ojca i do jakiego życia przyzwyczaiłeś mnie przez kilka pierwszych lat po ślubie... I tak, przez wzgląd na ciężkie czasy, urządzam się bardzo skromnie i wydatkuję bardzo mało w stosunku do stanowiska, jakie posiadam w świecie. A jeśli-byś mi i tego odmawiał...

— Ależ ja ci nie odmawiam, moja najdroższa — pośpiesznie przerwał pan Jan — jabym ci chciał nieba przychylić, brylantami cię osypać; ale sama wiesz, w jakim stanie jest nasz majątek, i jak ciężkie przebywam teraz czasy... Rządowe opłaty nie czekają, a mam ich po uszy; wierzyciele dokuczają także, na gospodarstwo trzeba pieniędzy...

— *Jean* — odparła Olimpia — zgodzisz się na to, że i ja bez pieniędzy być nie mogę...

— Naturalnie! ileż ich potrzebujesz teraz, moje życie?

— Mówiłam ci, że jestem bez grosza! Na najpilniejsze potrzeby muszę mieć teraz jakie dwieście dukatów.

Pan Jan zatopił obie ręce w gęstej swęj czuprynie.

— Zlituj się, Olimpko! Tak wiele! A zkąd ja ci ich wezmę?

— Kontraktujesz przecie pszenicę!

— Ale to na opłaty rządowe...

— To nie opłacać ich jeszcze, a mnie daj...

— Majątek zasekwestrują i sprzedadzą...

Olimpia zmarszczyła piękne brwi.

— *Jean* — wyrzekła, usuwając się od męża i cofając ręce, które on dotąd trzymał w swoich—chcesz, abym żyła w nędzy...

— Olimpko! nie gniewaj-że się tylko! Cóż za myśli przychodzą ci do głowy! Ty, w nędzy! Dopóki ja żyję i pracować mogę, tego pewno nie będzie... Ale żebyś mogła tak jakoś wymiarkować się i obejść przez czas jakiś tylko stu dukatami...

Olimpia pogardliwie ruszyła buzią.

— Sto dukatów! I cóż to znaczy? Na bieżące wydatki wystarczyło-by może, ale ja potrzebuję nowych mebli do salonu.

Pan Jan znowu zatopił rękę w gęstej czuprynie.

— Nowe meble! Zdaje mi się, że i te, jakie dziś stoją w salonie, są jeszcze dobre i nawet ładne...

— Wyszły z mody i mają amarantowe obicie. Szkaradnie mi, nie do twarzy w salonie z amarantowymi meblami. Potrzebuję mieć modniejsze i błękitne...

Pan Jan opuścił głowę na piersi. Poczciwe jego oczy zafrasowały się bardzo i ogorzałe czoło powlokło chmurą.

— Hm — rzekł po chwili — zrobię, co będę mógł. Nie przyrzekam ci jednak więcej, jak sto dukatów. Jeżeli Josiel zaawansuje mi na pszenicę większą sumę, niż myślałem dotąd, dam ci dwieście...

Rzekłszy to, pocałował znowu usta żony dwa razy, obie ręce ze dwadzieścia i wyszedł wraz z nią z gabinetu.

— Cóż? opuszczasz nas? Nie przepędzisz z nami wieczoru? Ot, zagrał-byś partyjkę preferansa! — mówili najpoufalsi jego znajomi.

Ale pan Jan wyglądał tak, jakby mu ani podobna było myśleć o partyjce preferansa. Wydawał się mocniej jeszcze zafrasowanym, niż wprzód, i z roz-targnieniem zegnał gości swęj żony.

— Biegnę, lecę kontraktować pszenicę! Ciężkie czasy, panowie! Opłaty rządowe, procenta kredytorom, a i domowe potrzeby są! Przerobienie gorzelni dyabelnie mnie kosztuje w tym roku! Oj, te interesa! te przeklęte interesa!

— Ależ niegrzecznie jest z twęj strony, że nas tak porzucasz! — ozwał się ktoś żartem.

— Wybaczcie! wybaczcie! — tłumaczył się Rostowiecki. — Przyjechałem tylko na jedną dobę... mam mnóstwo interesów... Olimpka tu gospodynią; ja gość, jak i wy.

W tój chwili spojrzenie jego padło na pana Spirydyona.

— Ot, macie gospodarza! — zawołał dobrodusznie i wesoło — zostawiam tu na mojem miejscu Spirydyona... Zastąp mnie, pocziwy...

Uderzył kordyalnie dłonią w dłoń pana Asa, wrócił raz jeszcze, aby pocałować w obie ręce Olimpią, ukłonił się wszystkim i wybiegł.

Po wyjściu męża gospodyni domu, towarzystwo zaczęło się bawić. Grano, śpiewano, tańczono nawet trochę, rozmawiano wiele; lokaje roznosili cukry i owoce, a mimo to wszystko, prawdziwego ożywienia i wesołości nie było. Gospodyni była niby zwarzona: oczy jój, z wyrazem dziwnej jakiejś obawy i tłumionego gniewu, szukały pana Edwarda, a spotkawszy jego spojrzenie, wnet się spuszczały.

To samo robiły oczy pani Teresy: z wyrazem obawy i tłumionego gniewu szukały twarzy pana Edwarda, a gdy spotykały jego spojrzenie, wnet się spuszczały. Niewiadomo dlaczego, ale wyraźnie obecność tego człowieka ciążyła dwom kobietom; widoczném było, że podejrzewały go o coś w głębi duszy; może o to, że on je o coś podejrzewa? Lecz o cóżby je mógł podejrzewać? One tylko o tém wiedziały. Gdyby ten podejrzany o podejrzenie był kim innym, bardzo być może, iż pani Olimpia dała-by mu raz na zawsze odprawę ze swego domu i usunęła-by na wieki od siebie tę bladą, obojętną twarz i te bla-

de, obojętne oczy, które jednak, mimo obojętności swój, wydawały się dość przenikliwemi, aby wzbudzać obawę i niepokój. Ale pan Gaczycki urodzeniem i stosunkami należał do najwyższej towarzyskiej sfery, a oprócz tego posiadał 2,500,000, wyraźnie półtrzecia miliona złotych polskich majątku, w pięknej, pszenniej glebie i kapitale, włożonym w przemysłowe przedsięwzięcia, które go coraz powiększały. Ludziom więc, obdarzonym tak pięknymi przymiotami rodowości i kieszeni, domu się nie wymawia! Obecność takich ludzi podnosi owszem wysokie towarzyskie tego domu położenie. Niegrzeczność, jaką-by komu innemu można zapłacić za zbyt przenikliwe oczy, staje się niepodobną względem człowieka, posiadającego 2,500,000, wyraźnie półtrzecia miliona majątku, w pszenniej glebie i kapitale. Takiemu człowiekowi, za zbyt przenikliwe oczy, płaci się przeciwnie zdwojoną grzecznością, to jest, zdwojoną grzecznością usiłuje się rozbroić jego zbytnią przenikliwość.

To też pani Olimpia, mimo widocznego pomieszczenia i niesmaku, który wyrzył się na jej dumnej twarzy, starała się być dla pana Gaczyckiego jeszcze grzeczniejszą, a pani Teresa okazywała mu jeszcze większą słodycz. Obie kobiety podawały mu naprzemian cukry i owoce; z tego powodu pani Rokowiczowa zmuszoną nawet była wypuścić z dłoni swych, piastowaną w nich czule, rękę małżonka. Ko-

rzystając z tego, połączył się on zaraz z gronem mężczyzn i, zacząwszy rzecz swą od potopu, opowiadał im historią bolesnego upadku obyczajów publicznych. Pani Olimpia posunęła uprzejmość dla pana Edwar- da aż do zapytania go, czy życzy sobie, aby śpiewała; bo jeśli sobie tego życzy, ona gotowa zaśpiewać—dla niego jednego wyłącznie. Ale pan Gaczycki niewzru- szony był, jak opoka. Ze sztywną etykietą przyjmował przymilenia dwóch kobiet, a na ustach jego osia- dał coraz częściej uśmiech ironii. Nie chcąc może, aby uśmiech ten zanadto się uwyraźnił, bardzo wczesnie opuścił towarzystwo.

Po jego wyjściu pani Olimpia stała się swobo- dniejszą, lubo niezupełnie swobodną. W połowie wieczoru widziano, jak długo w przylegającym do salonu gabinecie rozmawiała półgłosem z panem Spi- rydyonem. W czasie rozmowy téj oczy jój błyskały niespokojnie i również niespokojnie zdawały się błys- skać—wielki szmaragd na szyi jój, a brylant na rę- ce. Pan As miał minę uspakajającą i wyraz jego twarzy zdawał się mówić: „nie obawiaj się pani ni- czego! Tajemnica się nie wyda i fakt może być jeszcze powtórzonym nieraz z zupełném bezpieczeń- stwem”.

Ta długa rozmowa na osobności pięknej pani i jój wielbiciela nie obudziła żadnych komentarzy. Kto- kolwiek ją zauważył, przypuszczał co najwięcej, że pani Olimpia powierza panu Spirydyonowi jakąś tro-

skę, lub zasięga jego rady, jako najlepszego przyjaciela domu. Niepodobna było o nic innego posądzić kobiety, która tak niezmiernie dbała o nieskazitelne przechowanie swego wysokiego w świecie położenia i posiadała niezmiernie wiele szlachetnej, podniosłej dumy.

Zresztą, czyliż nie widziano, jak czule witała się z mężem i była przez niego witana? i czyliż ten mąż najczuliej nie obchodził się z panem Asem, i sam nie zostawił go w domu swój żony, jako zastępcę swego w przyjmowaniu jej gości i rozciąganiu nad nią mężkiej opieki? Cnota więc pani Olimpij jaśniała, jak słońce, mimo długiej rozmowy jej na osobności z panem Asem.

Oprócz gospodyni domu i pani Teresy, znajdowała się w towarzystwie jeszcze jedna markotna osoba; była nią pani Apolonia. Nie mogła ona zapomnieć bajki „O stariej czapli” i wciąż z ukosa i z niechęcią spoglądała na Stasię, która bawiła się wesoło i swobodnie. Raz, siedząc osobno i patrząc na Stasię, rzekła cicho do siebie:

— Poczekaj, ty różowa trzpiotko! podstawię ja ci stołeczka! Uszyję ja ci dobre buciki! Nauczę cię układać bajki o starych czaplach i, mówiąc je, na mnie patrzeć!

To wyszeptawszy, brzęknęła krzyżami, jak kastanietami, i przeniosła wzrok na pana Spiridyona.

Zresztą towarzystwo bawiło się, jak mogło. Pa-



nienki i młodzi ludzie tańczyli i rozmawiali; amarantowa, fioletowa i zielona dama siedziały obok siebie, reprezentując sukniami tęczę, a twarzami znużenie; obok nich stara panna siedziała wyprostowana na fotelu, kiwając głową, ale już ani na znak twierdzenia, ani na znak przeczenia, ale na znak drzemia. Obywatele wiejscy w przyległym salonie grali w preferansa; państwo Rokowiczowie siedzieli obok siebie, trzymając się za ręce; rumiany Ignasz wzdychał między piecem i konsolą, gdzie ostatecznie obrał sobie stanowisko; stary kawaler śmieszył towarzystwo dwuznacznymi żarcikami i koperczakami, strojonemi do panien: z tych niektóre mile zerkały na jego wielką łysinę, upatrując na nią zapewne, jakby wyrytą cyfrę większego jeszcze, niż ona, jego majątku.

Niektórzy zapytywali, dokądby się udał pan Gaczycki i dlaczego tak wcześniej opuścił towarzystwo, zebrane w salonach pani Olimpii? Nikt jednak nie umiał na to odpowiedzieć.

Dopiero nazajutrz pan Rokowicz opowiadał wszystkim, że Gaczycki prosto z wieczoru pani Olimpii udał się do mieszkania pani Rodowskiéj i jéj córki; że znalazł tam pana Przybyckiego i że do późna słychać było na pierwszym piętrze kamienicy muzykę fortepianu, a po oświetlonych szybach okien przesuwaly się cienie czterech postaci, to jest: pani Rodowskiéj, córki jéj, panów Augusta i Edwarda. Z ru-

chu cieniów wnieść także można było, że osoby, do których cienie te należały, bawiły się wybornie i były z siebie zupełnie zadowolone.

Jakim sposobem pan Rokowicz posiadał te wszystkie szczegóły o oknach mieszkania pani Rodowskiej, kiedy do końca późno zakończonego wieczoru przetrwał u pani Olimpij? Niewiadomo. Może dla lepszego dozoru obyczajów publicznych posiadał agentów, zdających mu raporta z dziennych i nocnych spostrzeżeń? Było-by to nawet naturalném; bo nie miał-że do strzeżenia nieskazitelności swego domu, na którego dachu, jak mu się zdawało, siedziała cała społeczność ojczysta? i nie był-że mężem, dźwigającym na swych barkach ciężar moralności publicznej?

---

#### XIV.

Na jednej z mniejszych ulic miasta, w domku upiętronym przedpotopową facyatką i pomalowanym na zielono, było skromne bardzo mieszkanko, o dwóch pokojach i ciemnej sionce, służącej za przedpokój, wreszcie kuchence, z której kręte, ciasne i wiecznie zabłocone schodki prowadziły na podwórze. Z sionki, alias przedpokoj, do którego prowadziło kilka wschodów, mających przyzwoitszą nieco powierzchność, wchodziło się do pokoju dosyć dużego, mającego dwa okna o szybach miejscami pokrytych pajęczyną, miejscami stłuczonych i pozaklejanych bibułą. Podłoga była z prostych desek, niepomalowana, brudna, z szerokimi w kilku miejscach szczelinami. Sprzęty za to wcale nie ubogie, owszem świadczące o pewnym dostatku, lecz zarazem i o niezmierném zapuszczeniu i niedbalstwie. W głębi stała dość piękna kanapa mahoniowa, obita wełnianym adamaszkiem, podartym i opadającym w szmatach, z pod

którego widać było grube, szare płótno i połamane sprężyny. Cztery fotele, ustawione przy kanapie, w podobnym znajdowały się stanie; zresztą, każdemu z krzesel, ustawionych przy ścianach, brakło to poręczy, to nogi, to obicia, którego całkiem oddarte kawałki walały się w kącie. Pomiedzy oknami wisiało dość duże i kosztowne zwierciadło, ale tak upstrzone przez muchy, że nic się już w niem nie odbijało, a nad kanapą kilka za szkłem krajobrazów tak były kurzem pokryte, że niepodobna było poznać, co przedstawiały. Oprócz tego, wszystkie kąty i sprzęty zapełnione były i pokryte rozmaitego rodzaju przedmiotami: tam rzucone jakieś okrycie kobiece pomięte, tam sukienka dziecinna zakurzona, ówdzie wisiał zatłuszczony szlafrok męzki, to znów sterczał nadtłuczony garnek, obok którego parę łyżek srebrnych, lecz zaśniedziałych i pogiętych leżało. Ztamtąd wchodziło się do drugiego pokoju, mniejszego nieco, także o dwóch oknach i równie brudnego i bezładnego. Dwa łóżka stały niezastane, z brudną pościelą; parę sofek u ścian piętrzyło się również zrzuconemi na nie poduszkami, piernatami i kołdrami, bardzo wątpliwęj czystości; po ścianach wisiały suknie kobiece i odzież męzka; na stole, przy jedném z łóżek, stał lichtarz mosiężny z kawałkiem łojowęj świecy, która, spływając, zalała łojem stół i podłogę. Śród tego wszystkiego, w jedném miejscu płonęło światelko. Była to lampa, zapalona przed obrazem Najświętszėj Panny

Częstochowskiej, w złożonych ramach, zawieszonym na ścianie. Obraz ten był przysłonięty różową, krepową firanką, naszytą srebrnymi blaszkami, ozdobiony wieńcem z róż i lilii, święconymi palmami, kolorowymi paciorkami i pęczkami piór pawich; pod nim stał stolik, zasłany białą serwetą, spuszcającą się aż do ziemi, na stoliku zaś mieściły się różnej wielkości krucyfiksy, książki do nabożeństwa w różnych oprawach, figurki i statuetki świętych, stoczki kolorowe, lichtarze srebrne z woskowymi świecami, zwiędłe bukiety kwiatów w kolorowych kubkach i t. d. Wszystko to razem stanowiło pewien rodzaj ołtarza, który dziwnie odbijał od panującego dokoła zaniedbania.

Z drugiego tego pokoju wychodziło się już do kuchenki, w której płyta, przeznaczona do sporządzania potraw, wyglądała tak, jak gdyby na niej nigdy nie sporządzano, a naczynia kuchenne, nieschludne i porozrzucane, miały minę zupełnej nieużyteczności.

Wszystkie okna mieszkania tego wychodziły na ciasne i obstawione budynkami podwórko, wiecznie ciemne i niewypowiedzianie posępne. Wilgoć i pleśń rozpościerały się wszędzie; powietrze było zatęchłe i pełne niezdrowych wyziewów, jak zwykle w mieszkaniach, gdzie się wiele osób mieści, a wzorowa nie panuje czystość.

Ku temu-to domowstwu dążyła pewnego dnia le-

tniego, wyszedłszy z kościoła, pani Apolonia Kuder-ska. Już była na zakręcie ulicy, na której się ono znajdowało, gdy z bramy innego, ubogiego domku, wyszła stara żebraczka o kiju i wyciągnęła do niej rękę z jękliwą prośbą o jałmużnę.

— Idź precz! — ofuknęła ją Apolonia półgłosem, i już ją minąć miała, gdy nagle ujrzała naprzeciw siebie wytwornie ubranego i wytwornym krokiem zbliżającego się mężczyznę. Poznała w nim pana Edwarda Gaczyckiego; żywo więc obróciwszy się do żebraczki, wydobyła z sakiewki kilka groszy i dała jej, z prośbą o pacierz za dusze zmarłych. W tej samej chwili zbliżył się pan Gaczycki i uchylił kapelusza.

— Pani zawsze jesteś pełną miłości bliźniego i politowania nad nędzą! — rzekł z wielką grzecznością, pod którą wprawne ucho dosłyszało-by jednak ironią.

— Niech mnie Bóg strzeże i broni, abym miała kiedy cierpiącego bliźniego minąć bez podania mu pomocy! — odparła z pobożnym westchnieniem Apolonia. „Co dacie jednemu z maluczkich braci moich, mnie dacie” powiedział Chrystus!

Pan Edward ukłonił się raz jeszcze i poszedł swoją drogą, a gdy odwrócił się od spotkanój kobiety, nieskrywany już wyraz ironii i lekceważenia osiadł na jego ustach. Pani Apolonia zaś postępowała dalej ulicą, aż wzrok jej zatrzymał się na oknach skle-

pu, w którym, jak zwykle po niewielkich miastach, sprzedawało się wszystko, co tylko do potrzeb życia codziennego służy. Pani Apolonia weszła do sklepu, a po niej jakim czasie pokazała się znów na ulicy z mnóstwem w rękach i na rękach pakunków, któremi obładowana, weszła w bramę zielonego domku, gdzie było owo pełne nieporządku, o dwóch pokojkach mieszkanie. Jeszcze nie zdołała otworzyć drzwi pierwszego, gdy dało się słyszeć silne uderzenie drzwiami od kuchni, a potem szybki bieg mężki po wazkich wschodach drugiego wyjścia, pośpieszne kroki przebiegły podwórze i bramę, na ulicę wychodzącą.

Wszystko to nie zwróciło bynajmniej uwagi pani Apolonii ; jakby coś codziennego, do czego była przyzwyczajoną. Z trudnością podtrzymując swe pakunki, weszła do pierwszego pokoju.

Tu zastała gwar wielki, albowiem znajdowało się tam pięcioro dzieci różnego wieku i płci.

Najstarsza, dwunastoletnia dziewczynka, o bladéj i smutnéj, lubo ładnéj twarzyczce, siedziała pod oknem, z brodą opartą na dłoni i z oczyma utkwionemi w trzewiki, które miała na nogach, spadające jéj prawie ze stóp, tak były stare i dziurawe. Jéj włosy jasne i obfite były porządnie zaczesane w górę i splecione w warkocze, lecz za to szafirowa z kamlotu sukienka, podarta, poplamiona, ze stanikiem, z którego już wyrosła i który ją czynił garbatą, ze

spodniczką zbyt krótką, nie mogącą zasłonić brudnych i wycerowanych pończoszek. Kołnierzyka nie miała, tylko jakąś ponsową, wełnianą tasiemkę na szyi, lekko ożywiającą blade i chude jęj policzki, na których malował się dziwny, bo przedwczesny w tak młódém dziecku, smutek. Na środku pokoju, dwaj chłopcy od lat siedmiu do dziesięciu, w podartém również obuwiu, z rozczochranemi głowami, w kurtkach z grubego materiału, brudnych i także już za krótkich, wydzielali sobie z rąk szarego kota. Kot wrzeszczał i drapał im twarze i ręce; starszy chłopak porywał młodszego za włosy, ten wywijał przeciw niemu jedną pięścią, a drugą z całej siły trzymał kota za ogon; obaj zaś krzyczeli, wykrzywiając na siebie wzajem chude, blade i podrapane twarze. Na kanapie siedziała pięcioletnia dziewczynka w bluzce perkalowój, ze skulonemi pod siebie bosemi nóżkami; żółtawa jęj cera wskazywała stan chorowitości, oczy wielkie i błękitne, lecz zapadłe, patrzyły smutno. Siedziała nieruchoma, zapuściwszy obie rączki w gęste, jasne włosy, zwijające się naturalnie, któremi czoło i policzki były w części zasłonięte. Około kanapy pełzało po brudnej podłodze trzyletnie dziecko, brudną téż okryte koszulką, z rączkami czarnemi od kurzu, z twarzą podrapaną przez kota i, płacząc głośno, ciągnęło za sukienkę chorą, na kanapie siedzącą, siostrzyczkę, która wszelako żadnej na to nie zdawała się zwracać uwagi.



Przykry i smutny widok przedstawiały te dzieci zaniedbane, nieschludne, samopas widocznie puszczone.

Pani Apolonia, wszedłszy, zamknęła drzwi z trzaskiem, nie ustępującym w sile owemu niedawno stuknięciu drzwi od kuchni.

Na widok jój najstarsza dziewczynka powstała z wolna przy oknie, chłopcy zaniechali bójki i puścili z rąk kota; chore dziecko nie zmieniło postawy, a najmłodszy chłopczyna przestał ciągnąć siostrzyczkę za suknię i, wlaższy pośpiesznie pod stół, przysiadł i wytrzeszczył na wchodzącą przestraszone oczy.

— Gdzie ojciec, Michasiu? — zawołała od progu pani Apolonia, a głos jój nie miał tutaj tego pokorno-nabożnego dźwięku, z jakim mówiła między ludźmi, przeciwnie, brzmiał ostro i gniewliwie.

— Wszedł, kiedy mama wchodziła — odparła zapytana najstarsza dziewczynka.

— Uciekł od mamy! — zawołał starszy, dziesięcioletni chłopak i zaśmiał się na całe gardło, junacko ujmując się pod boki.

— Milcz, błaznie! — krzyknęła, przystępując do niego pani Apolonia.

— Cha, cha, cha! — śmiał się coraz mocniej chłopak — dlaczego ja mam milczeć, kiedy to prawda! Jak mama w jedne drzwi, to papa w drugie! i to tak

zawsze! Mama jednemi drzwiami bach! a papa drugimi drzwiami bach! cha, cha, cha, cha!

— Będiesz ty milczał, rozpustniku jakiś! — krzyknęła, w coraz większą złość wpadając, matka, i porwała chłopca za ucho.

— Aj aj aj! aj aj aj! — wrzeszczał synek, chwytając ją za rękę i tupiąc z całej siły nogami.

— Mamo! główka mnie boli! — jęknęło beleśnie chore dziecko, skurczone na kanapie, ale jęk ten zagłuszyły krzyki najmłodszego, które wylazło z pod stołu i wołało z płaczem:

— Jeść! jeść! Mamo, jeść!

— A to skaranie Boże z temi przekłętymi dziećciakami! — zawołała pani Apolonia, której nos rozkwitł najpiękniejszą purpurą, jak zwykle, gdy była czemś silnie poruszona. — Michasiu! czemu nie nakarmiłeś dzieci, kiedy mnie w domu nie było?

— Nie miałam im co dać na śniadanie — tłómaczyła się Michasia. — Mama wyszła z domu bardzo rano i nic nie zostawiła, Zośka także poszła sobie na miasto i dotąd nie wróciła. Dziś nic nie jedliśmy wszyscy, i papa nic nie jadł...

— Papa dziś był pijany! — zachichotał młodszy chłopiec, ale wnet umilkł, bo mu starsza siostra pogroziła nieznacznie paluszkami.

— Nie jedliśmy! nie jedliśmy! — wołała pani Apolonia — już to wy zawsze takie żarłoki przebrzypli! Powyjadacie wszystko, co tylko jest w domu,

a potem krzyczycie znowu: jeść! jeść! A co ja wam dam jeść? Czy nie widzicie, że jesteśmy biedni! Ojciec całą pensją przepija!

— Ojciec pijak! ojciec głupiec! — zachichotał znowu młodszy chłopak, ale chora siostrzyczka, skurczona na kanapie, zawołała nagle:

— Olesiu! nie wymawiaj takich słów na ojca! Ojciec dobry! ojciec biedny!

W błękitnych, wielkich oczach jęj zakręciła się łza, ale wnet pochwyciła się za główkę obu rączkami i jęknęła:

— Główka mnie boli! boli! boli!

Po twarzy Michasi rozlał się wielki, przejmujący smutek. Pogroziła raz jeszcze paluszką braciszko-  
wi, który łajał ojca, i rzekła:

— Mamo! Andzia bardzo chora! głowa ją boli ciągle, w nocy miała gorączkę!

— A co ja jęj poradzę? — ofuknęła pani Apolonia — na doktora pieniędzy niema! wiecie dobrze, że ojciec wszystkie przepija!

Z temi słowami weszła do drugiego pokoju i drzwi za sobą zamknęła. Po jęj wyjściu, gwar dzieci wzmógł się nanowo; kot znowu zaczął miauczeć w rękach dwóch malców, Michasia napominała braci, chora dziewczynka jęczała, a najmłodsze dziecko wrzeszczało, siedząc pod stołem.

Tymczasem pani Apolonia, wszedłszy do sypialni, pokładła na stole pakunki, któremi była obciążona,

potém przykłęka przed ołtarzem, przeżegnała się parę razy i zmówiła pacierz. Skończywszy modlitwę, rozwinęła z papierów butelkę wina, ser, wędlinę i parę białych bułek i, poszukawszy noża wszafeczce, stojąc przy ścianie, szybko i łakomie poczęła pożywać bułkę z szynką.

Gwar dzieci nie ustawał; krzyk dwóch chłopców i jęk choréj dziewczynki przemagany był płaczkliwém wołaniem najmłodszego dziecka :

— Jeść! jeść! jeść!

Pani Apolonia przestała na chwilę poruszać ustami, z nożem w jednéj ręce, a kawałem sera holenderskiego w drugiéj, zamysliła się.

— Dać może kawałek bułki temu dzieciakowi? — szepnęła do siebie.

Myślała jeszcze chwilę, potém położyła na stole nóż i jedzenie, i zaczęła liczyć na palcach, mówiąc do siebie półgłosem :

— *Pierwsze* pycha, *drugie* łakomstwo, *trzecie* gniew, *czwarte* nieczystość, *piąte* obżarstwo...

Zatrzymała się i podniosła w górę wskazujący palec.

— Otóż to — rzekła — obżarstwo! jeden z grzechów głównych! Jak będę dzieciom dawała łakocie, to je przyuczę do obżarstwa! Nie potrzeba! Przyjdzie Zośka i zgotuje im krupniku, albo zacierki! Niech trochę poczekają!

Włożyła w usta jeszcze jeden kęs sera i bułki, wy-

jęła korek z butelki, wychyliła parę haustów wina, poczem, zawiązawszy starannie wszystkie prowizye w papier, schowała je pomiędzy piernat i poduszki swego łóżka.

— No — rzekła — teraz czas iść na nieszpory! Wolą-bym wprawdzie zasnąć trochę, bo jakoś zmęczoną się czuję! Ale cóż-by to powiedzieli ludzie, gdyby mnie na nieszporach nie ujrzeni! mnie! Nie mogę przecie psuć sobie reputacyi!

Mówiąc to, kładła na głowę kapelusz, zdjęty przy wejściu i zawiązywała pod brodą fioletowe wstążki.

— Potem pójdę do tego Pawła — mówiła znowu do siebie — i tej różowej trzpiotce, co takie piękne bajki o starych czaplach układa, podstawię dobrego stołeczka! Potem na herbacie będę u Rokowiczów...

W tej chwili dały się słyszeć z dala dzwony kościelne.

— Ot, masz tobie! już dzwonią, mogę się jeszcze spóźnić!

Porwała Złoty Ołtarzyk, wsunęła go do kieszeni czarnej sukni, okręciła wkoło ręki różaniec, który była zdjęła przed jedzeniem, i wyszła z sypialni do pierwszego pokoju.

Znalazła tam Michasię, siedzącą pod oknem, jak wprzód, z brodą opartą na dłoni, tylko, że przed nią leżała tym razem podarta jakaś księżczyzna, po której wierszach z wolna przesuwwały się smutne

oczy dziewczęcia. Chłopcy przestali nareszcie bić się i męczyć kota; przykucnęli na krzesłach pod drugim oknem, bezmyślnie patrząc przed siebie; chore dziecko jęczało ciągle, a najmłodsze wołało z pod stołu: jeść!

— Michasiu! — rzekła pani Apolonia, przechodząc przez pokój — pilnuj dzieci, a jak Zośka przyjdzie z miasta, powiedz, żeby wam zgotowała krupniku, albo zacierki; krupy i mąka są u niej!

To mówiąc, wyszła; a jeszcze drzwi nie zamknęły się za nią, gdy starszy chłopak porwał się z miejsca, przyłożył wielki palec do swego nosa, drwiącym giestem rozstawił resztę palców i w całej długości wywiesił za jej plecami język.

Michasia nie widziała tego giestu brata; powstała od okna, zbliżyła się do chorąg siostrzyczki i uklękła przed nią na podłodze.

— Andziu! — wyrzekła pieszczotliwie, przyciągając ją do siebie — czy bardzo cię główka boli?

— Bardzo, Michasiu, bardzo! — jęknęło dziecko, tuląc się do siostry.

Oczy dziewczęcia były łez pełne.

— Biedna siostrzyczka moja! biedna dziecina! — mówiła z cicha; główkę Andzi położyła na swój pierś i pocałowała ją w czoło i w oczy.

— Michasiu! — mówiło dziecko słabym i przerywanym głosem — czy wszystkie dzieci takie nieszczęśliwe, jak my? Ojciec dobry, ale na krótko

przychodzi do domu, i jak tylko mama idzie, ucieka od nas! A mama nigdy nie pocałuje nas! Rzadko ją widzimy! Zośka nas szturcha i łaje! Jeść nam nigdy zgotować nie chce! Michasiu, czy wszystkie dzieci takie nieszczęśliwe? Jeżeli tak, to ja nie chcę być dzieckiem! Niech mnie Bozia do siebie zabierze!

Umilkła i jęknęła. Michasia nic nie odpowiadała, tylko płakała po cichu, a łzy jej rzęsiście płynęły pomiędzy kędziory małej siostry.

Tymczasem dwaj chłopcy skradali się po cichu do sypialni.

— Ona tam gdzieś schowała to, co przyniosła z miasta — mówił najstarszy.

— Aha! — przerwał młodszy — widziałem, że ser wyglądał z papieru...

— A ja widziałem bułkę...

— Chodźmy, poszukajmy! ona to gdzieś tam schowała...

I oba malcy weszli do przyległej izby. Po chwili dał się słyszeć krzyk.

— To moje! to moje! ja znalazłem!

— Dawaj mi ser! bierz sobie szynkę!

— Bułka moja!

— Otóż moja!

— Podzielmy się!

— Nie chcę! wezmę sobie całą!

I wrzawa powstała wielka, słychać było tupanie nogami i szamotanie się dwóch chłopców.

Michasia ostrożnie usunęła od siebie siostrzyczkę, pobiegła do przyległego pokoju i ujrzała braciszków, wodzących się za łby, obok matczynego łóżka. Wyrywali sobie wzajem bułkę i ser. Butelka leżała obok nich na ziemi, a wino się rozlało i szynka pokrajana rozleciała się po podłodze.

— Olesiu! Stasiu! wstyďte się, co robicie! — wołała Michasia, rozłączając dwóch zapaśników i odbierając im ser i bułki.

— To moja bułka! Jeść mi się chce! — wołał Oleś.

— Ja też głodny! — wtórował Staś — to mój ser!

— Gdzieżecie to znaleźli? — pytała Michasia, strojąc poważną i surową minkę, choć i sama, zgłodniała, nie mogła oderwać oczu od smacznego jada, które trzymała w ręce.

— Mama schowała między poduszkami, a my znaleźliśmy i będziemy jedli! Dlaczego ona ma tylko jeść?

— Nie będziecie tego jedli — wymówiła Michasia, zawijając w papier prowizye i chowając je znowu między poduszki. — Nie będziecie tego jedli, bo to nie wasze, bo wam tego nie dano. A kto bierze to, co do niego nie należy, ten nazywa się złodziejem. Czy chcecie być złodziejami?

— Złodziejami? — powtórzyli oba chłopcy ra-



zem i w pół przełknięone, w pół gniewne oczy wlepili w siostrę.

— Tak, złodziejami! — powtórzyła — to jest takimi, którymi wszyscy gardzą, których biorą do więzienia, a potem wieszają na szubienicy... Idźcie ztąd!

Wzięła za ręce obu malców, wyprowadziła ich z sypialni i drzwi za sobą zamknęła. Potem usiadła znowu pod oknem, postawiła obu braci przed sobą i, gładząc ich z kolei po twarzach, mówiła:

— Trzeba być cierpliwymi, moi drodzy, trzeba być cierpliwymi! Zośka przyjdzie zaraz, to wam zgotuje jedzenie, a tymczasem usiądźcie tu przy mnie i poczytamy trochę razem...

Starszy chłopak nadąsaną miał minę; wyraźnie jednak siostra posiadała nad nim wpływ wielki, bo usiadł naprzeciw niej na krześle i markotnie podparł brodę pięścią. Młodszemu zaś kręciły się łyzy w oczach. Objął szyję siostry i rzekł żałościwie:

— Ależ, Michasiu, mnie się jeść strasznie chce!

— Zaczekaj, póki Zośka nie przyjdzie — pocieszała Michasia — a tymczasem poczytaj ze mną, to zapomnisz trochę o głodzie...

Otworzyła książczyne podartą i głośno czytać zaczęła jakąś tłómaczoną na polski język bajkę Lafontena. Młodszy chłopak nie spuszczał z niej oka; wyraźnie zajęła go bajka o lisie i wronie, może dlatego, że była w niej mowa o serze; ale starszy marsz-

czył czoło, nadymał usta, czochrał ręką włosy, nakoniec gwizdać zaczął.

— Olesiu! ty nie słuchasz téj ładnej bajeczki? — rzekła Michasia, podnosząc na brata poważne oczy.

— Co mi tam bajeczka! — zawołał Oleś, tupiąc nogą i pięścią uderzając o okno. — Ja głodny, jak pies, a ty mi tam bajeczki czytasz i chcesz, żebym słuchał! Wolę już iść na ulicę i bawić się z tymi chłopcami, co po ulicach się włóczą! to weselój! A jak będzie jaki pan przechodził, to go o kilka groszy poproszę i bułkę sobie kupię!

To mówiąc, zerwał się rezolutnie i miał się ku wyjściu.

Michasia zalała się rumieńcem; przestraszył się na jój twarzy.

— Olesiu! — zawołała — to ty chcesz zostać ulicznikiem i żebrakiem? Wstydz się!

— Co mi tam! — ofuknął chłopak — albo to ja nie taki chłopiec bez rodziców, jak ulicznicy? albo nie taki głodny, jak żebrak? Ojca nigdy niema w domu i mamy nigdy niema w domu! A mama kiedy i przyjdzie, to tylko za ucho pokręci, albo szturchnie i sama zajada w swoim pokoju różne dobre rzeczy, a nam nic nie daje, i znowu sobie idzie od nas! Co mi tam! będę ulicznikiem i będę żebrakiem!

Michasi znowu łzy popłynęły po twarzy. Chwy-

ciła brata za rękę i chciała mu coś powiedzieć, ale w tej samej chwili najmłodsze dziecko z pod stołu wypęzło i, czołgając się do niej na czworakach, zawołało płaczliwie :

— Michasiu! daj jeść!

A mała Andzia schwyciła się za główkę obiema rączkami i, przechylając się z jednéj strony na drugą, jęczała :

— Aj! jak mnie główka boli! Michasiu! daj mi co, żeby mnie tak główka nie bolała, albo niech mnie już Bozia do siebie zabierze!

Michasia załamała ręce.

— Boże mój, Boże! — zawołała z płaczem — co ja im zrobię? Jak ja im wszystkim poradzę?

Na ten jej wykrzyk bolesny, Oleś zatrzymał się u drzwi i spuścił głowę, a Staś skoczył do siostry, objął ją i zawołał :

— Nie płacz, siostrzyczko, nie płacz! Już będziemy bardzo grzeczni, tylko ty nie płacz!

Michasia stała na miejscu, jak skamieniała; jasnowłosa jej głowa opadła na piersi, a po twarzy migotały różne myśli. Snadź w dziecinnéj jej główce coś działo się i przerabiało.

— A, wiem, co zrobię! — wyrzekła po chwili, z determinacją podnosząc głowę — pójdę do tej pięknej pani w różowej sukni, którą kilka dni temu, pamiętacie, spotkaliśmy na ulicy i która pytała mnie, kto ja jestem, czemu mam taką bladą twarz i smutne

oczy, a potem całowała mnie i pieściła? Pójdę do niej, bo wiem, gdzie ona mieszka, i poproszę jej dla Andzi o lekarstwo, a dla was o jedzenie. Czy dobrze?

— Dobrze, dobrze, Michasiu!—zawołali chłopcy.

— Ale trzeba, abyście byli bardzo grzeczni, gdy mnie nie będzie. Ty, Olesiu, jako starszy, powinie-  
neś pilnować reszty dzieci, żeby sobie co złego nie  
zrobiły. Widzisz, że jestem najstarszą z was i dla-  
tego was wszystkich doglądam.

— Dobrze, Michasiu — odpowiedział Oleś, któ-  
ry nagle spoważniał — tylko nam jeść przynieś!

Michasia poszła do drugiego pokoju i po chwili  
wyszła ztamtąd w zniszczoném, ciemném okryciu  
i zmiętym, słomianym kapelusiku.

Pocałowawszy Andzię w czoło, pogłaskawszy naj-  
młodsze dziecko i raz jeszcze poleciwszy Olesiowi,  
aby był grzeczny i reszty dzieci doglądał, szybko wy-  
biegła na ulicę.

## XV.

Piękna pani w różowej sukni, o której mówiła najstarsza córka pani Apolonii, była-to Stasia Rumiańska. Szła ona przed kilku dniami ulicą, a za nią dreptało w podartém obuwiu dwoje dzieci: dziewczynka dwunastoletnia i dziesięcioletni chłopczyk. Wypadkiem obejrzała się i uderzyła ją blada i ładna, a nad wiek swój smutna i zamyślona twarzyczka dziewczynki. Obejrzała się więc drugi raz, trzeci i czwarty i żywe zajęcie dzieckiem odmalowało się na jej twarzy, tém bardziej, że dwunastoletnia dziewczynka z trudnością i zmęczeniem zdawała się postępować po nierównym chodniku i półgłosem, ale z wielką powagą, napominała swawolnego brata, który, idąc obok niej, nadymał usta, marszczył czoło, pogwizdywał, a rozswawoliwszy się, próbował nastąpić nogą na ogon dłuższej, różowej sukni, idącej przed nimi Stasi. Z żywością, cechującą ją zwykle, odwró-

ciła się od Stasia i, zwolniwszy kroku, poszła tuż obok dwojga dzieci.

— Dokąd idziecie, moje dzieci? — spytała, z zajęciem patrząc na ubogą odzież i bladą twarzyczkę dziewczynki.

— Do apteki po lekarstwo dla chorėj siostrzyczki — odpowiedziało z nieśmiałością dziecko.

— Cóż jest waszėj siostrzyczce? — ponowiła pytanie Stasia z litością w głosie.

— Nie wiem, pani.

Stasia pomyślała: biedne jakieś dzieci, rodzice ich pewno w nędzy! — i głośno spytała:

— Czy doktor odwiedza waszėj chorą siostrę?

— Nie, pani — odparła, ośmielając się dziewczynka. — Mama mówi, że na doktora pieniędzy nie ma.

— Bo papa je przepija wszystkie — dodał swawolny chłopak.

— Cicho, Olesiu, nie mów tego — napominała go siostra półgłosem.

— Jakże się nazywają wasi rodzice? — spytała raz jeszcze Stasia, którėj litość i zajęcie wzrastały.

— Kuderscy — odpowiedziały dzieci jednogłośnie.

Stasia stanęła, jakby piorunem rażona.

— Kuderscy! — szepnęła do siebie — mój Boże! ależ oni wcale biedni nie są! Jak można tak zaniedbywać własne dzieci!

Poszła dalej ze smutkiem i oburzeniem na twarzy dzieci szły obok, przypatrując się jęj ciekawie.

— Więc po jakież lekarstwo idziecie do apteki, skoro doktor nie widział waszję chorję siostry? — spytała znowu Stasia po chwili.

— Żona stróża, który pilnuje domu, poradziła ziółka, i idziemy ich kupić w aptecę za dwa złote, cośmy dziś od ojca dostali — odpowiedziała dziewczynka.

W tję chwili doszli do bramy jednję z większych kamienic; Stasia uprzejmie skinęła głową dzieciom i już wejść miała w bramę, gdy nagle zwróciła się raz jeszcze do dziewczynki.

— Jak ci na imię, mała? — wyrzekła miękkim głosem i pogłaskała ją po twarzy.

— Michasia — odparło dziecję.

Dostała z kieszeni parę karmelków i wcisnęła je w rękę dziewczynki. Chciała znowu odejść i znowu nie odchodziła, tylko oczyma, łzując, patrzyła na Michasię. Nagle objęła ją za szyję, przycisnęła głowę jęj do piersi i, schyliwszy się, pocałowała ją parę razy w blade czoło. Potęm odwróciła się żywo i zniknęła w bramie.

Michasia stała na chodniku i długo patrzyła w bramę, do którję weszła piękna pani w różowję sukni. Dwie łzy płynęły po jęj chudych policzkach, karmelki wypadły jęj z ręki, czuła tylko na czole słodki i litościwy pocałunek nieznanomjęj. Dzieciń-

stwo jęj ubiegało bez rodzicielskiej miłości i pieśczoć; łagodne obejście się z nią pięknęj pani poruszyło ją do głębi, obudziło w jęj sercu mnóztwo żalu i tęsknoćy, ale zarazem i wdzięczności.

I była-by Bóg wieć, jak długo stała tak przed bramą kamienicy, ze łzami, płynącemi po policzkach, ze wzrokiem utkwionym w miejsce, gdzie zniknęła różowa suknia nieznamojęj pani, gdyby jęj brat nie był pociągnął za sukienkę, przypominając, że pilno im do apteki.

Odeszła; ale odtąd, ile razy wychodziła na ulicę, oglądała się, czy nie zobaczy pani w różowęj sukni; tęskno jęj było do jęj słodkiego pocałunku i zatrzymywała się niekiedy przed bramą domu, gdzie ją była z oczu straciła, i podnosiła głowę ku dwom oknom piérwszego piętra, ozdobionym różową firanką; bo zdawało się jęj koniecznie, że tam musi mieszkać pani w różowęj sukni. Raz nawet dojrzała chwilowo białą jęj twarz i złociste włosy za szybami okna.

Stasia mieszkała istotnie w kamienicy, do której weszła po spotkaniu się z dziećmi pani Apolonii, a okna, ozdobione różowemi firankami, należały do jęj bawialnego saloniku.

Salonik ten, oryginalny był i wesoły, jak ona sama. Obicie na ścianach miał białe z malowanemi wieńcami róż i zieleni; w trzech rogach pokoju stały zgrabne, mahoniowe kanapki; nad niemi, na wyso-



kich podstawach, wznosiły się marmurowe popiersia sławnych poetów krajowych, a u stóp ich rozścielały się na gładko wywoskowanęj posadzce kwieciste dywany. Przed każdą z kanapek stały zgrabne stoliczki, poprzykrywane pięknymi serwetami domowėj roboty; na każdym ze stoliczków było po jednėj lampie, osłoniętėj ażurowém nakryciem z wyciskanego delikatnie, różowego papieru, a wkoło lamp leżały rozrzucone książki, albumy, dzienniki krajowe i zagraniczne, oraz stały plecione leciuchne koszyczki z pelą, jedwabiami i tym podobnemi materyałami do robót kobiecych. W czwartym rogu pokoju był kominiek żelazny, i obok niego ekran, z wyszytym na kanwie bukietem róż. Naprzeciw okien stał fortepian i etażerka, pełna nut, a nad fortepianem wisiał w szerokich ramach wielki obraz dobrego pędzla, przedstawiający jakąś wojenną scenę z dziejów ojczystych. Pomiędzy oknami zwierciadło górowało nad brązowym zegarem, postawionym na konsoli, między dwoma wielkimi bukietami świeżych kwiatów w dużych kubkach porcelanowych. Na oknach, między fałdami firanek z różowego adamaszku, kwitło kilkanaście roślin w wazonach. Pod ścianami zgrabne fotele i krzesła mahoniowe, różowym adamaszkiem także pokryte, ustawione były z symetryą i wdziękiem.

Salonik ten miał troje drzwi, z których jedne prowadziły do przedpokoju, przez drugie widać było

pokój jadalny, czyściutki, z wielkim stołem jesionowym po środku, trzecie otwierały się do sypialni, zacienionój zielonemi żaluzjami.

Śliczne to było mieszkanko, niezbyt bogate i obszerne, ale czyściuchne, pełne ładu i gustu; salonik mianowicie tchnął wesołością i zalany był cały blado-różową barwą, jaka spływała z firanek i pokrycia na meblach. Nawet białe popiersia poetów różowiały lekko, zdawały się uśmiechać i drgać życiem, a kwiaty obicia wyglądały, jakby tylko co zerwane z ogrodu lub pola, i w świeżych wieńcach po ścianach rozwieszone.

Śród tój różowój atmosfery, na jednej z kanapek siedziała Stasia i pilnie szyła malutką, dziecinną sukienkę z białego żagnotu, ozdabiając ją delikatnemi koronkami. Ubrana była w białą suknię z różowemi ozdobami; gęste, złociste loki osłaniały pochyłoną jój nad robotą twarz; śród nich barwiło się kilka, niedbale zatkniętych, bławatków, gwoździków i zielonych gałązek. Policzki młodej kobiety jaśniały świeżym i zdrowym rumieńcem, koralowe usta uśmiechały się na jakąś wesołą myśl, która, niby promień, przebiegała po białém, gładkiém czole. Przed nią, na stoliku, leżała książka otwarta, za nią wznosiło się białe popiersie sławnego poety i zdawało się z przyjemnością spojierać na jój złotowłosą głowę.

Fortepian był otwarty, a klawisze, jakby drgały

jeszcze niedawno wygrywaną na nich melodyą; z jadalnej sali dochodził kiedy niekiedy świergot dwóch kanarków, skaczących w klatce, zawieszonj między zielenią mirtu i bluszczu.

Zegar bronzowy wskazywał szóstą poobiednią godzinę. Stasia podniosła głowę, spojrzała na zegar i szepnęła do siebie:

— Zaraz Polcio przyjdzie!

Potem zaczęła układać w koszyczku koronki, nici, igły i inne materyały, któremi się posługiwała w robocie, a przytém zanuciła sobie półgłosem: „Rósła kalina z liściem szerokiem...”

Dzwonek rozległ się w przedpokoju, Stasia poksoczyła i w mgnieniu oka, ze śmiechem i wykrzykami, zawisła na szyi pana Pawła, który stanął w progu.

Ktoby, widując przedtém pana Rumińskiego tylko w towarzystwach i między obcymi ludźmi, ujrział go, wchodzącego do siebie, do swego miłego domu, był-by mocno zdziwiony. Nie był to ten pan Paweł, suchy, milczący i apatyczny, jakim się zwykle przedstawiał za domem. Oczy jego jaśniały zadowoleniem, blada twarz drgała życiem, wazkie usta zdobiły się uśmiechem niewymownej czulości. Czy ożywił go w podobny sposób różowy blask, zapełniający salonik Stasi? Czy z jej dobrej, wesołej twarzy spłynął mu w serce i na twarz potok dobroci i młodego życia? Czy domowe bogi powiały na niego techniem szczęścia i rodzinnych radości? A może nale-

żał on do rzędu ludzi, którzy przeważnie żyją sercem i uczuciem, dla których świat cały to dom i rodzina, którzy między obcymi sobie, wydając się ograniczonymi i tępyimi, wśród istot ukochanych rozjaśniają się miłością, rozgrzewają zapalem uczuć głębokich a rzeźwanych?

Pan Paweł przycisnął Stasię do piersi i z niewypowiedzianą czułością ucałował jej ręce. Usiedli obok siebie na tój samej kanapie, gdzie przed chwilą sama jedna Stasia siedziała.

— Późno dziś przyszedłeś do domu, Polciu — zaszcebiotała młoda kobieta, przesuwając białą dłoń po czole męża.

— Naczelnik zatrzymał mnie dziś dłużej, niż zwykle, dla ważnej pracy — odpowiedział pan Paweł — inaczej, pewnie-bym się nie spóźnił z powrotem do ciebie, mój śliczny aniele!

I poprawił jej we włosach parę zsuwających się na czoło bławatków.

— A ja tu tymczasem — mówiła Stasia — skończyłam sukienkę dla naszego Władysia. Patrz, jaka ładna! Uszyłam ją sama caluteńką!

Wyjęła z koszyczka bluzkę dziecinną, istne arcydzieło wprawnych rąk kobiecych i, rozkładając ją, pokazywała mężowi delikatny haft i misterne ozdoby roboty.

— Zobaczysz, jak się to nasz Władek ustroi w przyszłą Niedzielę; a zrobiłam mu, oprócz tego,

śliczniuchny czepeczek z różowemi wstążeczkami. Każę go piastunce nieść za nami, gdy pójdziemy na przechadzkę! Toż dopiero będę dumna z mojego syna!

Zaśmiała się srebrzysto i oczy jej płonęły szczęściem. Oczy pana Pawła śmiały się także szczęściem i miłością; objął ramieniem giętką kibić żony i, patrząc w jej twarz rozradowaną, zapytał:

— I cóż więcéj robiłaś w mojej nieobecności?

— Grałam — odrzekła Stasia. — Nauczyłam się już wybornie na pamięć téj pieśni Szuberta, którą ty tak lubisz; zagram ci ją wieczorem... Czytałam téż trochę.

Wskazała na książkę otwartą.

— Przeglądałam oto tę książkę, ale, zobaczywszy, że jest piękną i zajmującą, nie chciałam jej czytać sama; postanowiłam sobie, że przeczytamy ją razem... Czy dobrze, Polciu?

— Dobrze, mój aniele; będziemy nawet mogli czytać ją dziś wieczorem, bo całą resztę dnia dzisiejszego mam zupełnie swobodną.

— Doprawdy? o, jakże to tobrze! — zawołała Stasia — nie pójdiesz już nigdzie na miasto! Czy i do pisania w domu nic nie masz?

— Nic, moje życie!

— To dobrze! — powtórzyła Stasia z zadowoleniem — cały więc wieczór przepędzimy we dwoje,

i tylko Władka przyjmie do naszego towarzystwa. Szarą godziną pogram ci na fortepianie, a potem, gdy światło podadzą, będę sobie szyła tę suknię, którą mi niedawno kupiłeś, a ty mi będziesz czytał głośno. Czy dobrze?

— Dobrze, dobrze, mój aniele; wszystko, co czynisz, co mówisz i czego chcesz, dobrem jest i ślicznym...

I znowu poprawiał kwiaty we włosach żony.

W tej chwili z sypialni dało się słyszeć słabe i niewyraźne odzywanie się dziecka.

— Władek mój obudził się! Myślałam już nawet o tem, że śpi dziś za długo! — zawołała Stasia; porwała się z kanapki i poskoczyła żywo.

Po chwili wyszła z sypialni z kilkunastomiesięcznym dzieckiem na ręku, zaspanym nieco, ale białym, pulchnutkiem, o kędzierzawych, jasnych włoskach i w białej, czyściutkiej sukience. Usiadła z niem znowu obok męża z wielką powagą, układając rozrzucone wśród snu włoski dzieciny.

Oczy pana Pawła podwójnego nabrały blasku, twarz jego podwójnym ożywiła się życiem. Pochylił się do dziecka i zagadał do niego językiem, jakim tylko ojcowie i matki mówić umieją. Dziecko zaśmiało się, wyciągnęło rączkę i zaczęło ojca klepać po twarzy, chichocząc coraz mocniej. Śmiechowi dziecka zawtórował śmiech młodej matki i wywołał podobnyż na usta pana Pawła. Śmieli się uszczęśliwieni wszyst-

ko troje. Rodzice utkwili wzrok w twarzyczce dziecięcia; ono podskakiwało na kolanach Stasi i, obracając figlarnie główkę w stronę to matki, to ojca, szczebiotało bez ustanku.

— Stasiu — rzekł pan Paweł po chwili, ująwszy rękę żony — dziwnego zawsze doznaję uczucia, gdy z miasta do domu i do ciebie powracam. Tam, między ludźmi, czuję, że żyję na tym biednym padole, gdzie trzeba cierpieć i pracować, i walczyć z przeciwnościami, i złe serca ludzkie napotykać; czuję słowem wszystkie niedogodne i przykre strony życia, tracę wesołość, mało rzeczy zajmuje mnie żywo; czuję się onieśmielonym jakoś, obcym dla wszystkich i wszystkiego. Gdy zaś przestępuję próg domu, gdy wchodzę do naszego miłego mieszkania i oglądam ciebie i dziecko nasze, zdaje mi się, że tam za progiem umarłem, skończyłem ziemskie życie, a za to, żem żył uczciwie i pracowałem, jak mogłem, dostaję się do raj... mnóstwo uczuć i myśli powstaje we mnie, szczęście przepęlnia mnie całego i jestem pewny, żem w niebie.

Stasia przerwała mu mowę pocałunkiem; twarz jej przy słowach męża promieniała radością i rozrzwinięciem.

— Dobry mój, pocziwy mój Polciu! — zawołała — jakżem szczęśliwa przez to, że ty się czujesz tak szczęśliwym! O, bo i mnie tu błogo i spokojnie... Między ludźmi wesoło mi także, ale nigdzie tak do-

brze, jak w domu... Ciche życie i ciche szczęście...—  
dodała szeptem prawie, a długi pocałunek złożyła na  
czole dziecka, które oparło główkę o jej piersi.

W przedpokoju ozwał się dzwonek. Dźwięk jego  
był cichy; można było odgadnąć, że pociągnęła go  
słaba jakaś i nieśmiała ręka.

— Ktoby to przychodził? — rzekła Stasia — nie  
spodziewam się dziś żadnej wizyty. A ty, Polciu?

— Ani ja; zresztą ktoś tak cicho i nieśmiało za-  
dzwonił...

Zaledwie zamienili z sobą te wyrazy, gdy otwo-  
rzyły się powoli drzwi przedpokoju i na progu sta-  
nęła Michasia w swojej poplamionej sukience, po-  
dartych trzewikach i pomiętym słomianym kape-  
lusiku.

Stanęła w progu i nie śmiała postąpić dalej; ręce  
opuściła na suknię, bladą twarzyczkę pochyliła nisko,  
a na jasnych długich jej rzęsach drgały łzy.

Stasia powstała z kanapki zdziwiona, ale zawsze  
z uśmiechem; oddała dziecię piastunce, która ukaza-  
ła się we drzwiach sypialni, i zbliżyła się do dzie-  
wczynki.

— Czego chcesz, moja mała? — spytała łagodnie,  
biorąc ją za rękę. — Czy przysłaś mnie odwiedzić?  
Jakże się dowiedziałaś, gdzie mieszkam? Polciu —  
dodała, zwracając się do męża — to córka pani Apo-  
lonii Kuderskiej; poznailiśmy się wypadkiem na  
ulicy.



Pan Paweł ze zdziwieniem patrzył na ubogą odzież i smutną minę córki pani Apolonii, którą spotykał we wszystkich wyborowych towarzystwach miasta i widywał nieraz rozdającą obfite jałmużny ubogim pod kościołem, lub na ulicy. Michasia zaś, ośmieszona słodkim głosem Stasi i uściśnieniem jej ręki, podniosła na nią smutne, zażawione oczy i rzekła cicho:

— Pani była taka dobra dla mnie, spotkawszy na ulicy... pani mnie pocałowała... Ja tego nigdy nie zapomnę... Pani mi się śniła kilka razy. Oto przyszłam teraz do pani... bo mnie serce boli.

Stasia ze współczuciem patrzyła na dziewczynkę.

— I czegoż cię tak serduszko boli, moja droga? — spytała pieśczośliwie, prowadząc ją za rękę do kanapki.

Michasia podniosła nagle rękę jej do ust i, całując ją, załkała głośno.

— Przyszłam pani prosić, żeby mi pani dała jaką robotę... umiem trochę szyć, będę szyła... albo niech mnie pani weźmie na usługę... będę służyć... będę wszystko robiła, co pani każe... czy zamiatać, czy prać... czy prasować... Tylko proszę pani o jakie lekarstwo dla mojej chorąg siostrzyczki, bo umrze... a jeszcze co do zjedzenia dla moich braci, bo się z nich zrobią włóczęgi i złodzieje...

Zaniosła się znowu od płaczu, przypadła do kolan Stasi i całowała jej ręce. Stasia i pan Paweł za-

mienili między sobą pełne zdumienia i smutku spojrzenie.

— Dziecko moje — rzekła młoda kobieta — przecież macie ojca i matkę! Gdzież oni są? Czemu nie myślą o siostrzyce i o braciach?

Żywy szkarłat oblał bladą twarzyczkę Michasi; spuściła głowę i zaczęła mówić prędko, a bardzo cicho:

— O, pani droga! My jesteśmy bardzo nieszczęśliwe dzieci! mamy rodziców, ale jesteśmy tak, jakbyśmy ich wcale nie mieli... Prawdziwe z nas sieroty... Ja wiem, że nie powinnam tego mówić... źle mówić o rodzicach to grzech... ale serce mi pęka, patrząc na moje biedne rodzeństwo; a kiedy przyszłam do pani po prośbie, toć już wszystko powiedzieć powinnam...

— Mów, mów — rzekła Stasia, tuląc rozplakane dziecko do piersi — ja przed nikim nie powtórzę tego, co mi powiesz. Ale trzeba przecie, abym wiedziała, co się z wami dzieje, i jak wam pomódz...

Michasia otarła z łez oczy i śmieliej już mówiła:

— Jest nas, pani, pięcioro; ja najstarsza, bracia mają po lat dziesięć i ośm, Andzia ma lat pięć, a najmłodszy braciszek skończył niedawno rok trzeci.

Ojciec nasz bardzo dobry, ale bardzo nieszczęśliwy... Pamiętam, że jak byłam bardzo mała, wszyscy o nim mówili: to porządny i uczciwy człowiek! Ale mama kłóciła się z nim zawsze, dokuczała mu okro-

pnie; w domu nieład był straszny, ojciec coraz częściej całe dnie przepędzał na mieście, a gdy był w domu, uciekał, jak tylko posłyszał, że mama z miasta przychodzi. Pewnego dnia przyszedł, chwiejąc się na nogach, bardzo czegoś rozgniewany, a tak niewyraźnie mówił, żeśmy go zrozumieć nie mogli... Zośka, służąca, powiedziała mi wtedy, że ojciec był pijany...

Umilkła na chwilę; znowu rumieniec twarzy jej oblał i łzy zakreśliły się w oczach. Otarła je i mówiła dalej, nie podnosząc oczu na Stasię:

— Z początku rzadko się zdarzało, żeby ojciec w takim stanie wracał do domu; ale potem coraz częściej to bywało; mama zaczęła więcej jeszcze kłócić się z nim; jak tylko zeszli się razem, wrzawa straszna była u nas, i nam się nieraz dostawał szturganiec... od mamy — bo ojciec nigdy żadnego z nas nie dotknął. Potem przestali się zupełnie widywać; bo jak tylko mama wchodzi jednymi drzwiami do mieszkania, ojciec zaraz drugimi ucieka, żeby jej nie widzieć... Mama nigdy prawie w domu nie bywa; ciągle w kościele, albo u znajomych, a my sami jesteśmy zupełnie, bo i Zośka, służąca, po całych dniach na mieście siedzi, a kiedy przyjdzie, to bije nas i łaje... bardzo to zła dziewczyna...

— No, ale jakże! — przerwała Stasia, cała zrumieniona od żalu i oburzenia — mówiłaś mi, że ro-

dzeństwo twoje nie ma co jeść, a siostra umiera bez lekarstwa? Rodzice przecie nieubodzy.

— Owszem — odparła Michasia — ojciec bardzo mało zarabia od czasu, jak... i traci za domem; a mama odbiera mu resztę pieniędzy i rozdaje ubogim, albo kupuje sobie różne rzeczy, które zjada sama, a chowa przed nami... Nam Zośka gotuje krupnik i zacierkę, a kiedy nie przyjdzie cały dzień z miasta, to i cały dzień nic nie jemy... Mama o tём nie wie, bo wraca późno do domu od znajomych; a kiedy się nazajutrz skarżymy przed nią na Zośkę, łaje nas, albo ją, ale to nic nie pomaga, bo Zośka mamy nie słucha, i jak tylko mama wychodzi na miasto jednemi drzwiami, ona ucieka drugimi.

— To okropne! — zawołała Stasia, a pan Paweł zerwał się i zaczął wzburzony chodzić po pokoju.

— I tak po całych dniach sami jesteście? — dopytywała się dalej pani Rumiańska—i nie uczycie się niczego? i nikt was nie dogląda?

— Tak, pani, tak! — zawołała Michasia, której rozżalenie wzrastało przy opowiadaniu swój biedy — zawsze jesteśmy sami, i głodni, i opuszczeni, i niczego się nie uczymy! Mnie ojciec nauczył czytać parę lat temu, a ja uczę tego samego starszego brata; ale on nie chce się uczyć, bo mówi, że głód mu ciągle dokucza!

— Nieszczęśliwe dzieci! — zawołali jednogłośnie państwo Rumiańscy.

— O, nieszczęśliwe, nieszczęśliwe z nas dzieci! — załkała Michasia, kryjąc twarz w obu dłoniach. — Mnie o siebie nie idzie; jak podrosnę, pójdę gdzie w służbę, ale serce mi pęka, gdy patrzę na biedne moje rodzeństwo! Ach, pani — ciągnęła dalej, odkrywając twarz łzami zalaną — mam siostrzyczkę Andzię; taka śliczna dziecina... Kocham ją... mój Boże! ona chora. a niema lekarstwa. Mama doktora sprowadzić do niej nie chce... Dziś nie mogłam wytrzymać, patrząc na jej męki i na głód, i na swawolę braci, i przybiegłam do pani...

Przypadła do kolan Stasi i zawołała ze zdwojonym płaczem:

— Ratuj pani moję chorą siostrzyczkę!.. moich braci!.. pomóż nam jakkolwiek!.. nie wiem, dlaczego serce mi mówi, że pani jesteś aniołem dobroci i zlitujesz się nad biednymi dziećmi. Ja pani za to całe życie służyć będę...

Oczy Stasi napełniły się łzami. Spojrzała pytająco na męża.

— Polciu! — rzekła — co tu robić? jakim sposobem nieść ratunek tym nieszczęśliwym istotom? gdyby były sierotami! ale wdzierać się w prawa rodziców...

Pan Paweł stał na środku pokoju i zamyślił się.

— Radził-bym ci, Stasiu — odpowiedział po chwili — żebyś poszła do nich i zobaczyła sama, co się tam dzieje. Jeśli tak jest w istocie, jak ta mała

opowiada, to każdy uczciwy człowiek śmiało się może wderzyć w prawa podobnych rodziców i przeciwko nim samym bronić ich dzieci.

— O, dzięki ci, panie! — zawołała Michasia, dziękczynnie składając ręce, a zwracając się z błaganiem do Stasi, dodała: — o, niech pani idzie ze mną, niech pani zobaczy moje biedne rodzeństwo, jakie to wszystko mizerne, odarte i chore!... Jak zobaczysz, zlitujesz się nad nami i uczynisz dla nas cokolwiek! Niech nas dobrzy ludzie odbiorą od mamy, a pozwolą tylko ojca widywać czasem! będziemy im za to służyć całe życie, bylebyśmy tylko mogli uczyć się czegoś i nie umrzeć z głodu! O, chodź, chodź ze mną, śliczna pani! dobry aniele mój! chodź! ty nas uratujesz!

Stasia powstała z litością i smutkiem na twarzy, ale widocznym było, że sama nie wiedziała, co ma uczynić.

— Michasiu! — rzekła — ależ ja mogę spotkać u was waszą mamę! cóż ona powie, gdy mnie z tobą przychodzącą zobaczy?

— O, nie lękaj się pani tego — odparła żywo dziewczynka — mama poszła na nieszpory, potem przepędzi cały wieczór gdzie u znajomych, i do domu wróci późno w nocy, jak zazwyczaj. Niech państwo nawet nie mówią mamie, że tu była i wszystko opowiedziała, bo strasznie-by się na nas rozgniewała!

Stasia zdawała się jeszcze namyslać, ale wzrok jej upadł w tej chwili na świeżuchno ustrojonego i rumianego Władka, który wesoło bawił się na ręku piastunki, stojącej we drzwiach sypialni. Łzy zakreściły się w jej oczach.

— Mój Boże! — szepnęła—gdyby z mojem dzieckiem tak się działo. Pójdę! — dodała głośno i ze zwykłą sobie żywością poskoczyła do sypialni.

Po chwili wyszła ubrana. Pocałowała mimochodem Władka, uściśnęła rękę męża i, ode drzwi jeszcze skinąwszy mu głową, wyszła z Michasią.

Pan Paweł stanął na środku pokoju, szeroko otworzył swoje blade, ale poczciwe oczy i, kiwając głową z oburzeniem, wyrzekł:

— Otóż to pobożna i cnotliwa kobieta z tej Kunderskiej! a posłuchać tylko, jak ciągle mówi o Bogu i cnocie, i popatrzeć, jak żarliwie się modli i ubogim jałmużny rozdaje, gdy widzi, że ludzie na nią patrzą! A dzieci mrą z głodu i mąż rozpił się z rozpacz!

W wielkiem wzburzeniu i oburzeniu zaczął chodzić po pokoju i nie uważał nawet, że mały Władek wyciągał do niego rączęta.

## XVI.

Pan Paweł tedy z wielkiem wzburzeniem i oburzeniem chodził po pokoju i nie spostrzegał, że mały syn jego wyciągał rączyny, i nie posłyszał, że w przedpokoju znowu odezwał się dzwonek. Nagle jednak stanął i podniósł głowę, bo otworzyły się drzwi i w progu błysnęły dwa połączone krzyże i zabrzmiał pokorny a pobożny głos kobiecy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Gdyby deska z sufitu oberwała się i, spadając, uderzyła po głowie pana Pawła, nie była-by go wprowadziła w taki stan moralnego osłupienia, jak wejście w tój chwili do mieszkania jego — pani Apolonii, tój samėj kobiety, o którėj właśnie myślał ze zgrozą i gniewem. Stał, jak wryty, na miejscu, szeroko otworzył oczy, i ani myślał powitać wchodzącą choćby ukłonem.

Kuderska jednak nie dała się zderutować tą nieruchomością gospodarza domu: widując go zresztą



zawsze tylko między obcymi mu ludźmi, wśród których najniekorzystniej się przedstawiał, przywykła go uważać za głupowatego i nieradnego człowieka, któremu nieśmiałość przeszkadzała nieraz znajdować się tak, jak wypadało w danej okoliczności. I owszem, na widok komiczno-osłupiałej jego postawy, tajemna radość błysnęła w jej oczach, i ktoby wtedy badawczo na nią patrzył, wyczytał-by na jej twarzy myśl: „tém lepiej, że on taki głupi; łatwiej uwierzy wszystkiemu, co powiem, i dopnę mego celu!”

Radośno-złośliwa myśl ta szybko jednak przemknęła po jej nabożnie pochylonej twarzy i Apolonia, ze słodkim uśmiechem na ustach, z miodowym wyrazem w oczach, krokiem niewydającym żadnego szelestu zbliżyła się do pana Pawła.

— Czy znajduję w domu kochaną panią Stanisławę? — spytała słodkim głosem, podczas gdy oczy jej obiegały wszystkie kąty salonu i zdawały się chcieć przedrzeć w głąb’ zaciemnionej sypialni.

Pan Paweł począł budzić się z odrętwienia.

— Żona moja wyszła na miasto — odpowiedział, nie ruszając się jeszcze z miejsca, na którym stał.

Apolonia brzęknęła okręconym na rękę różańcem w sposób bardzo radośny, który zdawał się mówić: „tém lepiej! tego się nawet i spodziewałam, przychodząc tutaj”.

Potém rzekła głośno i ze zdziwieniem, którego ton łagodzony był pokorą i pobożnością głosu:

— Mój Boże! jakaż to szkoda! tak pragnęłam zobaczyć kochaną, pocziwą panią Stanisławę! No, ale gdy się już tak stało, trzeba się zgodzić z wolą Pana Boga! Innym razem może znajde ją w domu, a teraz pozwolisz mi pan, drogi panie Pawle, odpocząć tu trochę, bo zmęczyłam się! Porządny to kawał drogi z kościoła do waszego mieszkania!

Rzekłszy to, podążyła ku jednej z kanapek.

Pan Paweł ocknął się już zupełnie z odrętwienia, w jakie go wprowadziło jej przyjsście; nie odzyskał jednak tego blasku oczu i ożywienia twarzy, jakie posiadał, będąc ze Stasią sam na sam. Oddał pani Apolonii coś nakszałt ukłonu i zrobił giest, mający znaczyć niby zaproszenie do zabrania miejsca na kanapce. Wszystko to jednak uczynił w milczeniu i z niezmierną sztywnością. Pani Apolonia usiadła, i pan Paweł usiadł na niedaleko stojącym fotelu. Było kilka sekund milczenia.

Kuderska wydobłała z kieszeni czarnej wełnianej sukni, z-za wpakowanego w nią *Złotego Ołtarzyka*, chustkę niepewnej czystości, otarła nią twarz i czoło i odchrząknęła parę razy. Potem zwróciła na pana Pawła, oczy pełne słodyczy i miłości chrześcijańskiej, i zaczęła mówić:

— Mój Boże! jaka też to szkoda, że nie znalazła w domu tej kochanej, ślicznej pani Stanisławy! ale bo też doprawdy trudno znaleźć ją w domu! ciągle widuję ją na mieście, to na ulicy, to w towarzy-

stwach! Porywają, porywają ludzie tę śliczną istotkę! bo téż istne z niej cacko! Ale co panu, panie Pawle, to nie miło być musi, że żona pańska zmuszona jest tak często wydalać się z domu? nie prawdaż?

Na to skierowane ku niemu pytanie, pan Paweł zwrócił ku mówiącej oczy, utkwione dotąd w przeciwległą ścianę, i zapytał najobojętniej w świecie:

— Co pani mówi? nie słyszałem.

Najbieglejszy fizyognomista nie mógłby odgadnąć, czy pan Paweł w istocie nie słyszał, czy udawał, że nie słyszał.

Na ręku Apolonii różaniec brzęknął, a brzęk ten wyraźnie mówił: „źle!” Westchnęła i zaczęła z inną beczki.

— Mój Boże! — prawiała — jak téż tu u was ślicznie i wesoło! jaki piękny salonik! musicie państwo żyć w wielkiej zgodzie i przykładnie chwalić Pana Boga! widać to po wszystkim! Oj, nic tak Pana Boga nie chwali, jak zgodne i przykładne małżeństwo!

Wyrazy te posłyszał już pan Paweł; dotknęły one najczulszej struny serca jego i umysłu. To téż poruszył się na fotelu i odpowiedział:

— Niezawodnie.

Różaniec na ręku pani Apolonii brzęknął w sposób radośny, właścicielka jego mówiła dalej:

— Mój Boże! ale jakże rzadko teraz widzieć

można pary zgodne i żyjące w bojaźni Bożej! Świat teraz pełen jest próżności i obrazy Pana Boga! Często ludzie myślą się, uważając się za szczęśliwych, a nie wiedzą, że grzech mają przy sobie, a nieszczęście za sobą. Boże! oświeć jednych, a upamiętaj innych!

Złożyła pobożnie ręce i westchnęła parę razy. Potem mówiła znowu, a wymowa jęj wzrastała w miarę, jak pan Paweł z większą uwagą zdawał się jęj słuchać.

— Niech mnie Bóg broni i strzeże od obmowy, albo odbierania sławy bliźniemu, ale co prawda, to prawda! Teraźniejsze kobiety płocze są, zalotne, lekkomyślne; nie pamiętają o zbawieniu duszy, a gonią tylko za próżnością i grzechem. Na żadnej cnotę liczyć niemożna! na żadnej!

Na ostatnie wyrazy położyła przycisk, i westchnęła.

— Nie sądzę, aby tak źle było, jak pani mówi — odrzekł pan Paweł, i zapewne pomyślał o Stasi, bo oczy jego rozpromieniły się na chwilę.

— Oj tak, tak jest, kochany panie Pawle! — jęknęła Apolonia, brzękając różańcem. — Nikt tak, jak ja, nie boleje nad grzechami bliźnich i obrazą Pana Boga, ale co prawda, to prawda! Ot i panu, kochany panie Pawle, zdaje się, że jesteś szczęśliwy, i że masz żonę, która cię kocha i w bojaźni Bożej żyje, a tymczasem...

Pan Paweł z niezwykłą sobie żywością obrócił się do pani Apolonii, do której dotąd siedział profilem, i wpatrzył się w nią oczyma, w których było zdziwienie i nieme pytanie. Ten ruch jego do najwyższego stopnia ośmielił i zachęcił panią Apolonią do dalszego mówienia w tym samym tonie. Tylko twarz jej stała się poważniejszą, uśmiech słodszy i oczy bardziej miodowemi.

— Nikt pewnie tak, jak ja, nie kocha tej kochanej, ślicznej pani Stanisławy; duszę-bym moję za nią oddała, i sama nawet czuję, że grzeszę, przywiązując tak do stworzenia serce, które całe powinno być oddane Stworzycielowi. Ale nie mogę nie widzieć... nie mogę nie widzieć...

— Czego? — nagle rzucił pytanie pan Paweł głosem, który wiązał mu w gardle. Wyrazu twarzy jego nie mogła dojrzeć Apolonia, bo siedział plecami zwrócony do okna.

— Kochany panie Pawle — mówiła po kilku chwilach milczącego kiwania głową — wiesz przecie, jak cię poważam... i któżby wreszcie nie poważał tak zacnego i dobrego człowieka? Wiesz o tém, że znałem nieboszczkę matkę twoję (niech Bóg na tamtym świecie miłosiernym dla niej będzie), i że byłem z nią w przyjaznych stosunkach. Dla tych więc wszystkich powodów, nie bierz mi za złe tego, co powiem... Jestem kobietą, która niczyjej zguby nie chce, a rano

i wieczór prosi Pana Boga, aby ją od grzechu zachował... To też niech mnie Bóg strzeże i broni od obmowy, będącej największym grzechem... ale przez miłość bliźniego i dla uniknięcia obrazy Pana Boga, muszę cię ostrzedz, kochany panie Pawle... twoja śliczna, kochana Stasia...

— Co? — naglej jeszcze wymówił pan Paweł, i pochylił się połową postaci ku mówiącej, jakby chciał rzucić się na nią. W tej jednak postawie został jak skamieniały.

— Nie irytuj się, nie irytuj tak, kochany, zacny panie Pawle — wymówiła najśłodszym głosem Antyfona — chcę tylko ostrzedz cię dla własnego twego dobra... a to, co powiem, niech zostanie między nami najświętszą tajemnicą.

To mówiąc, cichym, kocim ruchem przysunęła się do pana Pawła, oczy jej błysnęły i stały się zielonemi, jak u kota, pochyliła się prawie do jego ucha i, kładąc dłoń na jego ręce, szepnęła:

— Kochana, śliczna twoja Stasia nie kocha cię tak, jak ci się to zdaje... miej ją na oku. Pan Spirydyon As kocha się w nią i jestem pewna, że mają z sobą...

Nie skończyła, bo pan Paweł odrzucił nagle rękę jej od siebie, niby gadzinę, która go ukąsić chciała; powstał, wyprostował się i wymówił:

— Niech pani dalej nie mówi! bardzo proszę!

Głos jego stanowczy był i nieledwie rozkaz ujący, lubo czuć było, że wiązał mu w gardle.

— Ależ, kochany panie Pawle, mam dowody... przekonam cię... — zaczęła raz jeszcze pani Apolonia.

Lecz tym razem pan Paweł odstąpił od niej o parę kroków, i światło z okna padło mu prosto na twarz. Apolonia drgnęła, powstała i cofnęła się także nieco, tak przelekła się widoku tej twarzy, zwykle bladej i nieruchomej, a z której teraz buchał gniew, żal, oburzenie, pogarda.

— Milcz pani! — zawołał pan Paweł — nie jesteś nawet godną obłudnemi swemi ustami wymawiać imienia mojej żony, tego anioła dobroci... tej ślicznej istoty, która nawet i w tej chwili, jak prawdziwa chrześcijanka i zacna niewiasta, poszła do...

Zatrzymał się.

— O, nie mogę powiedzieć wszystkiego, co wiem o pani — ciągnął dalej, wzrokiem pełnym pogardy patrząc na Apolonię — są pewne względy, które wstrzymują mnie od powiedzenia pani wszystkiego, co wiem o niej... Powiem tylko, że jesteś obłudną, nieuczciwą kobietą, pokrywasz się nabożeństwem, jak płaszczem, aby ludzie nie ujrzeli twego serca złego... Szarpiesz sławę bliźniego, wymawiając wciąż imię Pana Boga, dajesz jałmużny ubogim publicznie i modlisz się, krzyżem leżąc

przed ołtarzem, a najświętszych zaniedbujesz obowiązków...

— Panie! — przerwała Apolonia, której twarz między fioletowemi wstążkami kapelusza zaczerwieniła tak, jakby z niej wnet krew wytrysnąć miała — panie! — krzyknęła, brzękając z całej siły różańcem — mówić niegrzeczności kobiecie...

— Samaś je pani wywołała na usta moje — odpowiedział pan Paweł, miarkując się i wracając do zwykłego sobie spokoju, — Jak pani śmiałaś przyjść tu do mnie i przede mną, przede mną, lżyć kobietę, którą kocham nad wszystko w świecie, która mi jest najlepszą żoną i najlepszą matką mego dziecka, która... Ach! czy pani ją znasz? nie! takie istoty, jak pani, niezdolne są patrzeć na takie istoty, jak ona, bez olśnienia, a zatem pojąć je i poznać... Ale ja ją znam! Ludzie powiadają, że nie mam wiele rozumu... Wiem o tém, i może oni prawdę mówią, ale mam go jednak tyle, i tyle serca, abym mógł poznać i ocenić anioła, którego Bóg w niezmiernéj dobroci swéj postawił przy mnie, aby był radością moich oczu, światłością mego domu, mocą i pięknością mego życia!

Zatrzymał się, owładnięty wzruszeniem. Pani Apolonia stała przed nim, jak skamieniała, sapiąc, ocierając twarz chustką i brzękając różańcem.

Pan Paweł spuścił znowu na nią wzrok, który się był na chwilę lżą zamglił, i wyrzekł jeszcze :



— Prosto od ołtarzy, przed któremi modliłaś się, szłaś pani tutaj z myślą zburzenia domowego spokoju dwojga ludzi, którzy się kochają. Nie pamiętając o własnych grzechach, ośmieliłaś się spotwarzać kobietę, czystą i zacną, przed człowiekiem, który jest jej mężem i dziecka jej ojcem... Czy pomyślałaś pani o tém, jak niezmierne nieszczęścia sprowadziła-byś na nas oboje, gdybym był dość zły i głupi, aby ci uwierzyć?

— Kochany, drogi panie Pawle! — przerwała pani Apolonia, która odzyskała już całą zimną krew i cichym pokornym krokiem przystąpiła do męża Stasi — dziwię się doprawdy, że się nie poznałeś na żartach! Jakże mogłeś wziąć na seryo to, co mówiłam? Niech mnie Bóg broni i strzeże od obmowy, a tém bardziej, abym podobne rzeczy miała mówić na seryo o tój kochanej, pocziwój Stasi, za którą-bym duszę moję oddała! Ot, chciałam poprostu zażartować z ciebie, nastraszyć cię! przekonać się, jakiego też Stasiulka ma męża! A pan to zaraz tak do serca przyjąłeś! Cha, cha, cha! godny, zacny z pana człowiek! Jutro zacnę na intencją waszego małego Władka nowennę odmawiać!

Mówiła to tak łagodnym głosem, zaśmiała się tak fluternie i dobrodusznie, i tak pobożnie poprawiła swój krzyż, który się jej śród poprzedniego wzburzenia za nisko na piersi osunął, że pan Paweł zdrętwiał znowu ze zdumienia, otworzył szeroko oczy i pa-

trzył na nią osłupiały. Korzystając z tój chwili, Apolonia pochwyciła rękę jego w swoje ręce, odziane grubemi, czarnemi i podartemi na końcach palców rękawiczkami i, wzdychając, rzekła:

— Kochany, zacny panie Pawle, wierz mi, że oboje nie macie lepszej przyjaciółki nade mnie! Modłę się za was codzień rano i wieczorem, a to, co powiedziałam o Stasiulce, było żartem. Przebacz mi, że tak sobie żartowałam! ot zwyczajnie, jak nie mądra kobieta! Wszak nie gniewasz się? prawda? i Stasi kochanej o tém nie powiesz? bo mogła-by się także rozgniewać na mnie! A ja ją ślicznotkę drogą tak kocham! No, cóż? zgoda między nami? Przypomnij sobie, panie Pawle, słowa, których nas nasz Pan Jezus Chrystus nauczył: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!”

Pan Paweł drętwiał coraz bardziej i coraz szerzej otwierał oczy. Pani Apolonia wypuściła jego rękę z uścisku i dobrodusznie zawołała:

— Mój Boże! zagawędziłam się z tobą, mój miły panie Pawle, i zapomniałam, że mi do domu wracać trzeba. Do dzieci! do dzieci moich! kochane dziecieczki stęskniły się tam pewnie za mną. Bądź zdrów, panie Pawle, bądź zdrów! Uściskaj ode mnie kochaną Stasiulkę! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Brzęknęła parę razy różańcem, krokiem nie czyniącym żadnego szelestu zbliżyła się do drzwi i zniknęła.

Pan Paweł pozostał, jak przykuty do miejsca, z szeroko otwartymi oczyma. Po chwili zwrócił osłupiały wzrok na drzwi, któremi wyszła Apolonia i, podnosząc z wolna ramiona, wymówił :

— A niechże ją dyabli!... coż za szkaradna obłudnica!

Zaczął chodzić po pokoju szerokimi krokami, do czego mu wielce pomagały długie z natury jego nogi.

— Powiedzieć Stasi o całej tej niegodnej historii, czy nie powiedzieć? — pytał siebie cichym szeptem. — Powiedzieć—mówił dalej—to znaczy zmartwić ją; nie powiedzieć, to coś przed nią utaić! Nigdy jeszcze nie miałem przed nią żadnej tajemnicy, spać-bym i patrzeć jej prosto w oczy nie mógł! Eh! chyba powiem!

Zatrzymał się i myślał chwilę.

— Nie, chyba nie powiem, bo zmartwi się!... ale znowu dobrze, aby wiedziała wszystko o tej Kuder-skiej i strzegła się jej języka!

Przymrużył oczy, oddalił ręce jedną od drugiej i, wyprostowawszy wskazujące palce, zaczął ciągnąć z ich pomocą kabałkę.

— Powiedzieć, nie powiedzieć, powiedzieć, nie powiedzieć — powtórzył kilka razy.

Wskazujące palce zetknęły się przy wyrazie „powiedzieć”.

— Powiem — wyrzekł rezolutnie pan Paweł —  
w tej samej chwili otworzyły się drzwi i do salonu  
wbiegła Stasia.

---

## XVII.

Ładna twarz młodej kobiety mocno była zarumieniona, błękitne oczy jęj błyszcząły bardzo i miały na sobie ślady łez. Rzuciła parasolik na pierwsze lepsze krzesło i, drżącemi rękoma odwiązując wstążki kapelusza, zawołała :

— Ach, mój Polciu! co też ja tam widziałam! co widziałam! Jaki nieporządek, nieład i nieczystość w domu! jaka nędza i opuszczenie tych biednych dzieci! O! coż to za nieszczęśliwe istoty!

Silnie wzruszona, zdejmowała okrycie i, poprawiając przed lustrem rozrzucone włosy, mówiła ze zwykłą sobie żywością :

— Spotkałam tę Kuderską o kilkadziesiąt kroków od naszego mieszkania i ledwie mogłam się powstrzymać, aby jęj nie wypowiedzieć całego mego oburzenia. Nie uczyniłam tego przez wzgląd na te biedne dzieci, które-by mogły przez to ucierpieć. Mówiła mi, że była u nas i że się z tobą o coś posprzeczała, ale

nie powiedziała mi, o co. Czyś się nie wygadał przypadkiem, Polciu? I wyczuwała mnie w dodatku w oba policzki... Fi! nie lubię pocałunków od takich osób!

To mówiąc, wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarła nią zrumienioną twarz, jakby z niej zetrzeć chciała ślady pocałunków kobiety, o której przekonała się, że była złą matką. Zarazem odwróciła się od lustra i spojrzała na stojącego w środku pokoju męża.

— Polciu! co tobie? — zawołała, podbiegając do niego, uderzona zapewne wyrazem niezwykłego wzruszenia, jaki się malował na twarzy pana Pawła.

— Stasiu, mój aniele drogi! — odpowiedział pan Paweł, biorąc żonę w objęcia — ta kobieta śmiała spotwarzać cię przede mną... mówiła mi, że pan As kocha się w tobie, a ty w nim...

Stasia wyrwała się z objęć męża, odskoczyła o parę kroków i wpatrzyła się w niego wielkimi oczyma. Na ruchomej jej twarzy zjawił się naprzód gniew, potem żal, potem figlarne błyski poczęły przebiegać po ustach i nakoniec parsknęła głośnym, długim, srebrzystym śmiechem.

— Ach, mój Boże! — zawołała wśród śmiechu — jakaż to zabawna kobieta! To dopiero wymyśliła niestworzoną historią! Wiiesz, Polciu? ona się tak zemścić chciała za moją bajkę o stariej czapli; ale ja jej jeszcze dwadzieścia takich bajek powiem przy sposobności!

I śmiała się jeszcze, a coraz bardziej.

— Stasiu, ty się śmiejesz z takiej potwarzy! — wyrzekł pan Paweł, zdziwiony nieco.

Stasia zbliżyła się, położyła dłoń na jego rękę i spoważniała nagle.

— Mój drogi — rzekła — prawdziwie uczciwój i kochającej swego męża kobiety nie gniewają i nie smucą wymyślone na nią baśnie, ale tylko śmieszają i litość wzbudzają dla tych, co je sieją. Wiara, jaką ty masz we mnie, i sumienie moje spokojne, czynią mnie nieprzystępną wszelkim potwarzom. Nie warto o tém myśleć, ani mówić. Oto lepiej pomyślmy, jak poradzić tym nieszczęsnym dzieciom, które dziwnym jakimś trafem, zrządzeniem Opatrzności może, do nas udały się o pomoc w swój biedzie.

Usiadła na kanapce, pociągnęła męża, aby usiadł przy niej, i długo, z przejęciem się, opowiadała mu o wszystkiem, co widziała w domu Kuderskiej.

— Nie idzie tu — mówiła, kończąc opowiadanie — o przyniesienie biednym dzieciom jednorazowej pomocy. To już uczyniłam. Wychodząc od nich, wzięłam z sobą Michasię, wstąpiłam do sklepu z wiktuałami i nakupiłam różnych prowizyi, które im przez Michasię posłałam. Biedna dziewczyna uniesiona była radością, że rodzeństwo jej przez parę dni głodne nie będzie, i mówiła mi, że starannie wszystko, co otrzymała ode mnie, ukryje przed matką, aby się nie dopytywała, z kąd wzięły jądro, i nie odkryła wszyst-

kiego. Potém wstąpiłam po drodze do żony doktora L. i prosiłam ją, aby, gdy mąż jęj wróci do domu, zobowiązała go ode mnie do odwiedzenia, tak niby z jakiego wypadku, choręj dziewczynki. Jestem pewna, że to uczyni, bo i dobry z niego człowiek, i z tobą, Polciu, jest w przyjaznych stosunkach. Ale wszystko to jest niedostateczne. Powtarzać często tego, co dziś uczyniłam, niepodobna, i na nicby się ostatecznie nie przydało. Oprócz pokarmu, dzieciom tym potrzeba jeszcze odzieży, zdrowszego pomieszkania, a co najwięcej, nauki i opieki. O ile sądzić mogłam, zdaje mi się, że Kuderscy są rzeczywiście w niemożności starannego ich wychowania, lubo po części dobrowolnie; bo on traci za domem pieniądze na nieszczęśliwy nałóg, ona na jałmużny, rozdawane w oczach ludzi. Zresztą słusznie powiedziałaś, kochany Polciu, że godzi się obcym a uczciwym ludziom wedrzeć się w prawa tak złych i niedbałych rodziców, jakimi są oni. Idzie tu o zachowanie nietylko pięciu ciał ludzkich od cierpień fizycznych, ale pięciu dusz od ciemnoty i zepsucia, w które wpadną niezawodnie przy takiem zaniedbaniu. Sądzę więc, że należało-by radykalnie i stanowczo zająć się wychowaniem tych dzieci, odbierając je nawet całkiem rodzicom, na co zresztą z pewnością by się zgodzili, skoro, jak widać ze wszystkiego, uważają swe dzieci za niepotrzebny i dokuczliwy ciężar. Nie prawdaż, Polciu? jak ty o tém myślisz, mój drogi?



Zadawszy to pytanie, umilkła Stasia i patrzyła na męża niespokojnie. Pan Paweł zamyślił się głęboko.

— To prawda — wyrzekł po chwili — ale cóż tu począć? w jaki sposób ratować od zguby dzieci, które przecie mają rodziców?

— Otóż to! co tu począć? — powtórzyła Stasia z zakłopotaniem — sami przecie nie możemy wziąć ich wszystkich do siebie, bo ani nam funduszu starczy, ani by się też i Kuderscy zgodzili na to. Trzeba-by, sądzę, wezwać kogoś do pomocy, zasięgnąć czyjéjś rady.

— Ale czyjéj? — wymówił pan Paweł w zamyśleniu.

— Otoż to, czyjéj? — powtórzyła Stasia, i oboje mocno się zamyślili.

Nagle pan Paweł podniósł głowę z wyrazem tryumfu.

— Stasiu! — zawołał — trzeba o wszystkiém opowiedzieć panu Edwardowi Gaczyckiemu...

Przerwała mu Stasia radośném w ręce klaśnięciem.

— To prawda! to prawda! on taki bogaty...

— I taki szlachetny...

— I taki rozumny — dodała młoda kobieta — jestem pewna, że znajdzie radę na wszystko! Polciu! zkąd ci też on do głowy przyszedł...

— Bardzo po prostu — odpowiedział pan Paweł — przebiegałem myślą wszystkich naszych znajomych, szukając człowieka, któryby zdolnym był do dobrego czynu, i pomyślałem o Gaczyckim...

Stasia pełen czułości wzrok zatrzymała na mężu.

— Polciu — wymówiła — jak ty umiesz poznać ludzi! — Pan Paweł uśmiechnął się swoim dobrym, pocziwym uśmiechem.

— Widzisz, moja Stasiu — rzekł — gdy znajduję się między ludźmi, najczęściej milczę i rzadko odzywam się z mojem zdaniem, bo jakaś dziwna ogarnia mnie nieśmiałość. Ale zato przypatruję się i przysłuchuję wszystkiemu daleko więcej, niż ci, którzy wiele mówią. Ludzie też powiadają o mnie, że mało mam rozumu; może i mają słuszność, ale i ja także wiem o każdym z nich, jakim jest i co wart...

— Mój Polciu — rzekła Stasia, kładąc dłoń na ramieniu męża — ludzie nie mają słuszności, że ty masz mało rozumu; tylko widzisz, jak bywa cnota prawdziwa i cnota na pokaz, tak też i rozum jeden błyszczący i świetniejszy na zewnątrz, w gruncie do niczego dobrego nie służący, a drugi zamyka się sobie cicho we własnem wnętrzu i staje się niewidzialnym kierownikiem życia i czynności. Ty, mój Polciu, posiadasz ten drugi gatunek rozumu, który nie świetniejszy i nie błyszczący, ale czyni cię uczciwym człowiekiem za domem, a w domu miłym i dobrym członkiem rodziny.

Pan Paweł uśmiechnął się, pociągnął żonę do siebie i rzekł:

— Moja Stasiu, ślicznie powiedziałaś, ale nie wszystko jeszcze. Mój rozum, to ty; dajesz mi go wraz ze szczęściem i spokojem domowym. Gdybym

miął inną żonę, rozpił-bym się może, jak Kuderski, albo-bym wpadł w zupełne odrętwienie umysłowe, do którego byłem skłonny, nim zostałem twoim mężem.

Stasia chciała coś odpowiedzieć, ale zamknął jęj usta pocałunkiem. Uścisnęli się długo, serdecznie.

— Więc postanowionem zostało—rzekła po chwili Stasia — że powiemy o wszystkim panu Gaczyckiemu i wezwiemy jego rady i pomocy w dziele ratowania pięciorga nieszczęśliwych dzieci.

— Tak— odpowiedział pan Paweł — jutro przed udaniem się do biura pójdę do niego i poproszę, aby w poobiedniej porze przyszedł do nas. Ty mu sama najlepšíj o wszystkim opowiesz.

Tymczasem zmierzchać się zaczęło. W sali jadalnej kipiał samowar, a około dużego jesionowego stołu kręciła się zgrabna służąca, przygotowując wszystko do herbaty, i chodziła piastunka z małym Władkiem, śmiejącym się i szczebiocącym na jęj ręku.

Stasia brzęknęła kluczykami, które wydostała z kieszeni, wbiegła do sali jadalnej i zaczęła gospodarować. Nalewała herbatę, podawała ją mężowi, poiła nią małego syna, przemawiała do pierwszego, szczebiotała z drugim. Biała suknia jęj co moment powiewała około stołu, a ponsowe usta otwierały się uśmiechem. Nakoniec zamknęła cukiernicę i szafkę, włożyła do kieszeni kluczyki i przeszła do salonu. Zapaliła sama lampę przed jedną z kanapek, wzięła sy-

na z rąk piastunki i, całując go a śmiejąc się do niego, poniosła do sypialni.

Pan Paweł usiadł przy lampie i przerzucał książkę. Po chwili z głębi sypialni doszło do uszu jego ciche stukanie poruszanej kolebki i głos Stasi, powoli i z cicha nucącej piosenkę do snu synowi.

Piosenka ta smętna, przeciągła, wychodziła z półciemnego pokoju i płynęła do różowego saloniku, którego połowa w mrok też zapadała. Pan Paweł podniósł głowę i słuchał, a niewymowne poczucie szczęścia rozlewało się na jego twarzy. Białe posągi poetów wychylały się z cieniów i z zachwytem, a w zadumie zdawały się słuchać także pieśni młodej matki.

Umilkła pieśń, a po chwili w progu sypialni stanęła Stasia z koszykiem od roboty w ręku, z którego wyglądała różowa jedwabna materya.

— Usnął nasz Władysław — rzekła, siadając obok męża — teraz już zupełnie należę do ciebie, aż do końca wieczoru. Czytaj mi, a ja będę szyła swoją sukienkę.

Rozłożyła materyą na kolanach i nawlekała igłę na różowy jedwab.

Pan Paweł otworzył książkę i głośno czytał.

Czytał, a twarz jego coraz bardziej się ożywiła wyrazem pojęcia i poczucia. Stasia szyła pilnie, a na czole jej osiadło także zamyślenie skupionej uwagi.

Nagle przestała szyć i słuchać, podparła twarz ręką.

ką, zamyśliła się bardzo i w oczach jęj zakręciła się łza. Zdawało-by się, że łzę tę w jęj oku przeczuł pan Paweł, lubo czytał z wielkiem zajęciem; oderwał wzrok od książki i spojrział na nią.

— Stasiu! co tobie? o czém tak zamyśliłaś się?  
— zawołał.

— O tych biednych dzieciach Kuderskiej! — odrzekła powoli Stasia.

Mąż spojrział na nią z uwielbieniem.

— Nie martw się niemi — odpowiedział—jestem pewny, że z pomocą pana Gaczyckiego urządzimy wszystko na ich korzyść. Ale powiedz mi — dodał po chwili—czyliż, myśląc tak bardzo o dzieciach tych i troszcząc się o nie, żadnego nie poczuwasz żalu, żadnej urazy do matki ich, która pragnęła zachwiać twój domowy spokój? Jeśli odważyła się przede mną źle mówić o tobie, toć musi cię w dwójnasób ogadywać przed innymi?

Stasia zwróciła na niego łagodnie swe zamyślane oczy.

— Polciu — rzekła spokojnie—czyliż dzieci winne są grzechów rodziców swoich i odpowiadać za nie mają? Co do nięj samęj, czyliż przebaczyć jęj nie powinnam? Wszak codziennie przy pacierzu mówię do Boga: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Milczeli chwilę oboje. Pan Paweł zamyślił się. Ostatnie słowa Stasi nasunęły mu może porównanie

dwóch cnót, dwóch serc kobiecych, dwóch różnych sposobów pojmowania wiary Chrystusa.

I długo, późno w noc, dwa okna dwojga poczciwych ludzi, zdobne w różowe powłóczyste franki i słabo oświetlone płonąca w głębi mieszkania, lampą, błyszcząły i migotały między rzędami ciemnych i uspiionych okien otaczających domowstw.

---

## XVIII.

Pani Starowska siedziała w swoim bawialnym pokoju, na swoim staroświeckim amarantowo obitym fotelu, obok otwartego okna, za którym, zamiast okwitłych już bzów i jaśminów, rozkwiwały pachnące groszki, rezeda i gwoździki. Między zielenią ogródka migotała błękitna sukienka chodzącej po ścieżce z książką w ręku Anielki; nad głową stariej kobiety, wśród fałdów białej franki, świegotała para kanarków, a naprzeciw niej siedział Edward Gaczycki. Na twarzy poważnej niewiasty malował się smutek; spokojne oczy bogatego pana utkwione w nią były ze zwykłym im wyrazem obojętności, z za której przeglądał odcień ironii.

— Tak, szanowna pani — mówił, ciągnąc rozpoczętą rozmowę — wiem, że szlachetne serce pani musi doświadczać zdziwienia, dowiadując się o rzeczach tak niskich, tak niezgodnych z naturą człowieczą. Co do mnie, nie zdziwiłem się wcale, usłyszawszy o tém

wszystkiem od pani Rumiańskiej. Nie wiedząc szczegółów domowego życia pani Kuderskiej, które zresztą umie ona przed całym światem zręcznie pokrywać tajemnicą, wiedziałem z góry, co o niej sądzić. Jeżeli bowiem klęczenie przed ołtarzami i noszenie różańców na rękę łączy się w kimkolwiek ze skłonnością do szarpania sławy cudzej i wystawianiem na pokaz własnej cnoty, to tworzy się z tego zawsze potworność moralna, której podstawą próżność i złość serca i dla której granic w niegodnych postępkach zaznaczyć niepodobna...

— Ja także — przerwała pani Starowska — nie miałam nigdy dobrego o tej kobiecie wyobrażenia, i towarzystwo jej znosiłam dlatego tylko, że mi je sama narzucała. Ale, słusznie pan rzekłeś, że tajemnicę swego domowego życia umiała ona chronić zawsze z niezmierną zręcznością. Udając ubogą, nie zapraszała nikogo do domu swego, a sama była wszędzie przyjmowana i poważana, jako osoba pełna cnót i pobożności. Tymczasem jakich-że strasznych dowiaduję się rzeczy!...

— Straszne są one w istocie — mówił Gaczycki. — Kiedy mi wczoraj pani Rumiańska opowiadała o smutnych swych odwiedzinach w domu Kuderskich, przypomniałem sobie nagle, jak się często przypomina o rzeczach zapomnianych, bo obojętnych, że samego Kuderskiego znałem niegdyś, gdy był bardzo młodym. Przypominam sobie także, iż był on ogólnie



uważany za człowieka uczciwego i niemałych zdolności umysłowych, ale słabego charakteru i lubiącego przedewszystkiem ciszę domowego życia. Dla podobnych ludzi przymioty lub wady kobiety, z którą się połączą, stanowią wszystko. Podczas gdy silny i hartowny człowiek oprze się ciosom domowych nieszczęść i mimo nich pozostanie człowiekiem, to przeciwnie, słaby i cichy da się znękać, straci wolę i poryw do dobrego, zgłupieje, albo wpadnie w złe nałogi. Ani wątpić, że nieszczęśliwy Kuderski, znajdując zawsze w domu nieład i kłótnię, straciwszy szacunek i przywiązanie dla kobiety, z którą się połączył, uległ losowi słabych, acz często uczciwych ludzi, i zginął marnie w nałogu i niedbałości o wszystko. Pobożna więc pani Apolonia winna jest grzechu zaguby swego męża. Ale smutny ten fakt stał się już, i zaradzić mu niepodobna. Inaczéj z dziećmi,—te ratować należy.

— Niezawodnie, koniecznie! — przerwała pani Starowska.

— Od chwili, gdy dowiedziałem się o ich materialnej i moralnej nędzy — mówił dalej Gaczycki — nie schodzą mi one z myśli. Wynika to zapewne ztąd, że wzrost i wychowanie młodego pokolenia uważam za główną dźwignię naszego społeczeństwa, za pracę, która powinna być najważniejszą naszą troską, bo od jej rezultatów zależy powodzenie lub upadek spraw, najdroższych naszemu sercu. Nie

nad jednostkami cierpiącemi boleję, bo wiem, że cierpienia i nędze niezbędnie są przywiązane do bytu ludzkości, i uważał-bym za dzieciństwo lub marzycielstwo ronić łzy nad tém, że komuś bieda dokucza, skoro ta bieda musi być koniecznie czyimś na świecie udziałem. Ale żal mi zawsze skarbów duchowych, które marnują się w ludziach przez brak oświaty i błędne kierowanie. I ze smutkiem patrzę, jak zaniedbanie w wychowaniu młodych pokoleń oddała szczęśliwszą przyszłość społeczeństwa, na którą przecie wszyscy uczciwi i rozsądni ludzie pracować powinni. Dlatego téż rzadko rozdają jałmużny, które-by mogły doraźnie wesprzeć biednego i na dni kilka zabezpieczyć go od głodu fizycznego; a cała usilność moja skierowana jest na wyszukiwanie tych, którym-bym mógł dostarczyć dobrodziejstwa oświaty. Dlatego także w całym potwornym fakcie, który się zdarzył z rodziną Kuderskich, najsmutniej uderzyło mnie moralne zaniedbanie ich dzieci, i bądź co bądź, postanowiłem je z niego podźwignąć, a ku dopełnieniu tego przyszedłem dziś, szanowna pani, wezwać twój pomocy...

Pani Starowska skupiła całą uwagę na słowa gościa swego.

— Słucham cię, łaskawy panie—rzekła z powagą.

— Spółka, którąśmy z panią zawarli dla korzyści bliźniego, powinna teraz działać z całą mocą — z uśmiechem zaczął Gaczycki. — Idzie o to, aby

dzieci Kuderskiej wyzwolić ze złej rodzicielskiej opieki, jaką mają teraz, a dać im lepszą, troskliwszą o ich teraźniejsze i przyszłe dobro. Trudność cała w tém leży, aby się oni na to zgodzili...

— Co do niej — przerwała gospodyni domu — jestem pewna, że zgodzi się z ochotą na oddanie z domu swych dzieci; przecie stanowią one dla niej ciężar, z którym się obejść nie umie; postępek zaś ten potrafi ona pokryć, jak dotąd kryła wszystkie swe postęпки, pozorem biedy, niedostatku, nieszczęśliwego nalogu męża, dbałości o zbawienie dusz swych dzieci i t. d.

— I ja tak myślę; sądzę tylko, że nikt lepiej, jak pani, nie potrafi przedstawić téj kobiecie, aby przynajmniej w tym razie spełniła obowiązek matki i zgodziła się na nasze żądanie.

— Uczynię to i pewna jestem, że mi się powie-  
dzie; ale i cóż potem pocniemy z temi dziećmi?

— Dwóch starszych chłopców biorę na siebie. Oddam ich do szkół i pokieruję każdego, według zdolności, jakie w nich dopatrzę; najmłodsze ofiarowali się wziąć na opiekę Rumiańscy, a dla dwóch pozostałych dziewcząt pomyślę o lokacyi, w której mogły-by się czegoś wyuczyć. Wyznam pani otwarcie, że podobne odbieranie rodzicom dzieci, nad któremi oni naturalną pieczę mieć powinni, a zatém, niby pobłażanie ich niedbalstwu i zdejmowanie z bark ich ciężaru, a wkładanie go na inne, sprzeciwia się wprost pojęciom moim o słuszności i prawidłom eko-

nomii społecznej. Ale niema reguły bez wyjątku, a zdaje mi się, że rodzina Kuderskich do wyjątków należy. Niepodobna marzyć ani o stworzeniu w Kuderskim energii, której nigdy nie miał, a pochłonięty dziś upadającym nałogiem, mniej mieć może, niż kiedy, ani o poprawieniu jego żony. Drapieżne zwierzę, otwarcie wypowiadające wojnę człowiekowi, można ugłaskać i do pewnego stopnia uszlachetnić; ale pełzająca gadzina zawsze gadziną zostanie, bo wyslizgnie się z ujęcia i z nienacka ukąsi rękę, która-by ją ugłaskać chciała. Gdy więc tak jest, czyliż biedne, niewinne istoty mają być oddane na zagubę dlatego, że ojciec ich jest pijakiem, a matka obłudnicą i bez serca kobietą? Zdaje mi się, że tak być nie powinno, a nawet jestem tego pewny i w imię téj pewności postaram się wszelkimi siłami usunąć na stronę rodziców, którzy być nimi nie umieją, a ratować dla społeczności kilka zagrożonych jej członków.

— Masz pan zupełną słuszność — odparła pani Starowska. — Odrzucając, jak mówisz, prawidła ekonomii, rządysz się pan tym razem zasadami elementarnego, niemniej jednak chrześcijańskiego, miłosierdzia.

Zamyśliła się i dodała po chwili:

— Zdaje mi się, że uczynię dobrze, jeśli wezmę do siebie najstarszą córkę Kuderskich, aby z niéj i moja biedna Anielka miała towarzystwo. Dawno

już o tém myślę, że źle jest, iż to dziecię hoduje się tak samotnie, ze mną tylko starą, bez odpowiedniej swemu wiekowi towarzyski.

Na te słowa Gaczycki dziwnie się uśmiechnął.

— Przypuszczam — rzekł — że Anielka nie długo zostanie u pani.

— Jakto? — przerwała pani Starowolska — pan więc trwasz w przekonaniu, że ojciec jęj mógł-by...

— Trwam w przekonaniu, łaskawa pani, że gdy się tylko dowię o wszystkiem, wróci opuszczonemu dziecku dach ojcowski, imię, majątek, a co najważniejsza—serce i opiekę ojca.

Westchnęła pani Starowolska.

— A, smutno mi będzie bez těj dzieciny, do której szczerze się przywiązałam! niemniěj jednak nigdy-bym nie czyniła żadnej przeszkody, gdyby...

Nie skończyła i ze zwątpieniem pokiwała głową.

— Ale zdaje mi się, że to być nie może — dodała. — Tacy ludzie, jak on, nie szukają, ale unikają ciężarów, które-by przeszkodziły im czynić z życia ciągłą zabawę.

— Tacy ludzie, łaskawa pani — powtórzył Gaczycki — gdy dochodzą do pewnego wieku, bywają znudzeni i przesyleni zabawą i zaczynają szukać sobie zdrowszego, jędrniejszego celu exystencji. W takiej właśnie fazie życia jest on.

— Być może! być może! — odparła pani Starowolska. — Bywają ludzie, w których sercach leżą

niezmierne skarby dobroci i uczciwości, uśpione i przysypane grubą warstwą niezdrowych naleciałości życia. Ale przychodzi pora, w których okoliczności lub szczęśliwe natchnienia zmiatają ten pył, naleciały w ich wnętrze, a to, co leży pod spodem, rozbudza się, odzywa i popycha ich do myśli i czynów, które lekceważyli wprzód. Daj Boże, aby tak było w wypadku, o którym mówimy. Moję Anielkę oczekiwała by w takim razie świetna, a przynajmniej choć nie sieroca, przyszłość.

Umilkli i zamyślili się oboje. Pan Edward pierwszy przerwał po kilku chwilach milczenie :

— Dziwném zrzędzeniem trafu w jednym przeciągu czasu, i bez udziału w tém méj woli, zbiegają się w mych rękach nici kilku tajemnic, a tajemnic dziwnie zręcznie ukrywanych przez osoby, których są własnością. Nikt mniej ode mnie nie zajmuje się sprawami swych bliźnich, a mimo to los, zda się, obrał mnie za narzędzie, abym, jeśli uznam za potrzebne, mógł odkryć trzy obłudy, trzy cnoty zrzucić z piedestału i pokazać ich nicość i kłamstwo. I czy wie pani, że klejnoty, któreś mi pani przed kilku tygodniami powierzyć raczyła, stanowią jedną z tych tajemniczych nici, na których drga wielka nędzka moralna, przykrywająca się płaszczykiem dumnej i wyniosłej cnoty !

— Czy być może ? — zawołała pani Starowolska — mówiłeś mi pan, żeś je sprzedał jednemu z bogatych tutejszych jubilerów.

— Tak — odpowiedział Gaczycki — i przypadkiem dowiedziałem się, kto je od jubilera tego nabył, a potem zobaczyłem je na kimś, kto się bardzo rumienił i mieszał, i kłamał, zapytany o nie przeze mnie. A to wszystko, połączone z innemi pobocznemi okolicznościami, stworzyło w oczach moich szereg faktów niemiłosiernej jasności, z której znowu występek wypełzał przede mną i okrążył pewne, bardzo dumne czoło, i w całej nagości ukazał mi serce, które świat za pełne szlachetnej dumy i cnoty uważa.

Pani Starowska z zajęciem, lubo bez zbytnej ciekawości, słuchała słów Gaczyckiego, który mówił dalej:

— Wiem, że tajemnica, przypadkiem odkryta przez człowieka honoru, powinna być przez niego uszanowaną święcie. Ale w tym, jak i w innych razach, bywają wyjątki. Jednym z takich wyjątków może być wypadek, w którym te cnoty udane, te gądziny występków, pełzające w cieniach, szarpią, obalają na ziemię i kamienują prawdziwą niewinność i prawdziwą cnotę. Wtedy pozwolono jest każdemu rzucić straszną prawdę w oczy obłudników i fałszerzy, wstydem oblać ich czoło i obronić od zjadliwych ich żądań tych, którzy powinni-by właściwie stać na ukradzionym przez obłudę tamtych piedestale. Nie mam bynajmniej pretensyi do grania w świecie Donkiszotowskiej roli obrońcy uciśnionej niewinności i nigdy

się w to nie wdawałem. Przecież wiem o pewnej ślicznej istocie, czystej jak kryształ, zacnej, prawej, grzeszającej tylko zbyt niemię może rozmarzeniem, mającym źródło w młodym i gorącym sercu, a którą ci właśnie, których tajemnicę trzymam dziś w ręce, pragną oblać cieniami, jakie w piersiach swych noszą, rozszarpać, zhańbić w oczach świata, gubiąc przez to całą jej przyszłość może. Podobą mi się więc myśl, że w danej chwili będę mógł, jak Nemezis, stanąć przed tymi świętymi, którzy z błota świętość swą czerpią i, strącając ich z wysokości, wynieść na nią tę, którą-by oni w otchłań hańby zrzucić pragnęli.

Gdy Gaczycki wymawiał kilka ostatnich frazesów, czoło jego oblokło się chmurami, a w oczach, tak obojętnych i poważnych zwykle, zapaliły się dwie żywe iskry uczucia. Przymiętym coś nakształt smutku, nakształt żalu przemknęło po jego twarzy. Powstał nagle, jakby się obawiał powiedziéć więcej, ujął kapelusz i zégnął gospodynią domu.

— Żegnam cię i do widzenia łaskawy panie! — mówiła, powstając pani Starowska. — Jutro więc mówić będę z Kuderską w interesie jej dzieci. Odwiedz-że mnie kiedy, zacny mój spółniku, choćby dla interesu naszej spółki — dodała z uśmiechem.



## XIX.

Do niezbyt wielkiego, ale ładnego salonu pani Rodowskiej wszedł pan Edward Gaczycki. Nikogo w salonie tym nie było. Fortepian stał otwarty z mnóstwem rozrzuconych nut na pulpicie; po stołach leżały książki i dzienniki w nieładzie, świadczącym, że się niemi zajmowano. Pod oknem stał rejzbret z rozpoczętym rysunkiem i wszystkimi do niego przyrządami, a na etażerkach i konsolach barwiły się i woniały wielkie bukiety astrów, georginii, lewkonii, a gdzieniegdzie i skromnych a wonnych polnych kwiatów.

Pan Gaczycki obejrzał się po tym cichym pokoju, w którym, na każdym kroku, znać było zamieszkujący go umysł światły, rękę czynną, i po którym zdawało się rozlewać tchnienie poetycznego jakiegoś serca, co sobie w tych czterech ścianach założyło siedlisko pracy i marzeń.

Obejrzał się dokoła, z kapeluszem w ręku stanął

na środku pokoju, pochylił nieco głowę i wpadł w zamyślenie. W zamyśleniu tém wyniosłe czoło jego zasunęło się chmurą, usta straciły zwykły sobie wyraz zimnój powagi i delikatnego sarkazmu, a okrzyżył je smutek, graniczący prawie z męzką, lecz trzymaną na wodzy, boleścią.

Szmer, który go doszedł, obudził go z zamyślenia. Spojrzał i zobaczył drzwi nawpół otwarte od przyległego pokoju. Szmer, który usłyszał, z pokoju tego wychodził i zdawał się być sprawionym szelestem stłumionego stąpania i powiewem lekkiej sukni, muskającej posadzkę.

W mgnieniu oka twarz Gaczyckiego przybrała właściwy mu, obojętny, a nieco dumny wyraz; postąpił kilka kroków ku drzwiom wpółotwartym, ale dość głośno, aby dać wiedzieć o swém przybyciu miejscowym paniom, których obecność tam przypuszczał.

Wszakże nikt nie wyszedł na jego spotkanie—wrażnie nie posłyszano go. Zdawał się być nieco zakłopotany i już postąpił parę kroków ku drzwiom przedpokoju, zapewne aby przez służącego dowiedzieć się, czy może widzieć panie domu, gdy w głębi pokoju o drzwiach wpółotwartych mignęła biała suknia, a zarazem odezwał się cichy i łagodny głos dziecięcy:

— Pani moja śliczna! aniele mój! chodź do mnie!

Gaczycki zatrzymał się na miejscu, jak przykuty, i spojrzenie jego, przez drzwi półotwarte, pobiegło do przyległego pokoju.

W głębi, pod ścianą, stało tam małe łóżeczko dziecinnie, a na niem, wśród śnieżnej pościeli, leżała blada, złotowłosa, pięcioletnia dziewczynka. Leżała, ale nie zupełnie, bo podniosła się nieco na poduszkach i, wspierając głowę na wychudłej, małej rączynie, błękitnymi, jak niebo, ale zapadłymi nieco i zwiększonymi wychudzeniem twarzy, oczyma, spoglądała w górę, na pochyloną nad nią twarz stojącej obok młodej panny. Była to Wanda, która stała nad choréem dziecięciem, w białą ubrana suknią; warkocze, niedbale splecione, opadały na jej ramiona, głowę pochyliła nisko, a dłoń złożyła na bladém czole uśmiechającej się do niej dziewczynki.

Zielona franka przykrywała do połowy szerokie a jedyne okno pokoju, napełniając go półmrokiem; przez nieosłonięte szyby wdzierało się słabe światło i różowy promień zachodzącego słońca, wciskając się przez nie, ślizgał się wąską nicią po białej sukni i płowych warkoczach Wandy.

Gaczycki stał i patrzył. W wąskich ramach drzwi półotwartych wyraźnie widział złotowłosą głowę małej dziewczynki o smutném, cierpiącym licu, a obok niej smukłą postać Wandy i biały profil jej twarzy, o ustach, okrążonych łagodnym uśmie-

chem, i o spojrzeniu, spuszczającem się ku chorągwej dziecinie.

Wtém z innego jeszcze pokoju, łączącego się z tym, który przytykał do salonu, ozwał się głos pani Rodowskiej :

— Wando ! czy to Andzia się obudziła ? zdaje mi się, że ją głos posłyszała ?

— Tak, mamó — odpowiedziała Wanda — zbudziła się biedna dziecina ; zdaje mi się, że jest zdrowsza : czoło ma mniej gorące.

I, niżej jeszcze pochylając się nad dzieckiem, spytała dziwnie łagodnie i miękko :

— Jakże się czujesz, Andziu ? czy główka nie tak boli ?

— O, lepiej mi, lepiej ! — odrzekło słabym głosem dziecko — zupełnie nawet dobrze mi jest i główka wcale już nie boli, i oddychać tak miło, tak lekko, jak gdyby mnie już Bozia do siebie zabrała... do tego raj, o którym mi opowiadała Michasia, w którym aniołki Boże w białych sukienkach noszą na ręku, całują i pieszczą biedne, chore i płaczące dzieci...

Po pięknym profilu Wandy przemknął wyraz rozrzewnienia.

— Cicho, Andziu — rzekła, dłoń przesuwając po włosach dzieciny — nie mów tak wiele ; doktor zabronił ci wiele mówić...

Ale dziecko nie zważało na tę słodką przestrogę i mówiło dalej :

— Kiedy pierwszy raz obudziłam się tutaj, a spałam chyba długo... długo...

— Nie spałaś, moje dziecko, aleś była w gorączce — przerwała jej Wanda.

— Nie wiem, pani, ale zdawało mi się, że spałam, i gdy się obudziłam, a zobaczyłam ten śliczny pokój, kwiatki przy mojem łóżeczku i poczułam, że koło mnie tak cicho, spokojnie, byłam pewna, że mnie już Bozia do siebie zabrała i że jestem w niebie... I tak mi było dobrze, tak dobrze... żałowałam tylko mego biednego ojca, który na świecie został... Michasi i braciszków... ale... ale...

Uśmiechnęła się do Wandy uśmiechem, pełnym promieni, i dokończyła :

— Ale gdy cię, pani, zobaczyłam w tej białej sukience, zdało mi się, że twoje włosy, to promienie, i że ty sama jesteś jednym z tych aniołów Bożych, które w niebie noszą, całują i pocieszają biedne, chore, jak ja, dzieci... A gdyś mnie wzięła na ręce i pocałowała w czoło, to już nie żałowałam ani ojca, ani Michasi, ani braciszków, i pokochałam cię, tak pokochałam... bardzo..

Podniosła rękę Wandy do ust białych i okrywała ją pocałunkami.

— Wando! — ozwał się znowu głos pani Ro-

dowskiéj — nie pozwalaj Andzi tak wiele mówić, bo może znowu dostać gorączki.

Wanda odstąpiła parę kroków od łóżka ku stolikowi, na którym stał wielki bukiet różowych astrów, wyjęła z niego parę kwiatów i podała je Andzi.

— Baw się, dziecko, kwiatkami — rzekła — a nie mów więcej, bo ci to zaszkodzi!

Potém naląła do szklanki trochę jakiegoś ochładzającego płynu i przyłożyła brzeg naczynia do ust choréj.

Andzia wypła kilka kropel, potém opuściła główkę na poduszki, a wychudłe rączki jéj zaczęły obrywać z wolna listki astrów. Uśmiech słodki, łagodny igrał po jéj bladych usteczkach, aż gdy przyknęła oczy, astry z palców jéj wypadły i zasnęła.

Wanda patrzyła na nią ciągle spojrzeniem, w którém troskliwość łączyła się z czułością, potém odeszła do okna i zamyśliła się.

Zamyśliła się, a w oczach jéj zagrał smutek niewypowiedziany. Podniosła rękę do czoła i westchnęła z głębi piersi.

Przez cały ten czas Gaczycki stał nieruchomo o kilka kroków od drzwi wpółotwartych i nie spuszczał z oka sceny, odbywającéj się przed nim w głębi ocienionego pokoju.

Teraz dopiéro, przypatrując się jéj z daleka i niewidzialny, mógł on dostrzedz zmianę, jaka od pewnego czasu zaszła w twarzy Wandy. Cera jéj, przejrz-

sta zawsze i biała, przybrała żywszy koloryt, słabe rumieńce przebijały się z pod delikatnej tkanki, błękitne żyłki na skroniach pulsowały żywiej. Mimo to jednak, policzki jej schudły nieco i wielkie oczy zapadły trochę, a długie rzęsy spuszczone się co chwila powiek rzucały na jej lice nieokreślony cień smętnej rzewności i zadumy. Cała postać jej zresztą miała tę samą, co i dawniej, wiotkość i powagę ruchów, tylko że ruchy te powolniejszymi jeszcze się stały. Patrząc na nie, można-by rzec, że piękna dziewczica owiana była na jawie urokiem jakiegoś snu. Sen ten musiał być spokojny, ale zarazem smutny i tajemniczy, bo dziewczica spokojna była i smutna nieco i wiała od niej nieokreślona tajemniczość.

Dlaczego oczy Gaczyckiego oderwać się nie mogły od lica i postaci Wandy? czemu, obojętne zwykle, strzeliły teraz one błyskawicą wzruszenia, a na ustach jego, zamiast dumy i sarkazmu, osiadł łagodny, rzewny uśmiech, niby odpowiadający łagodnej rzewności, rozlanej na twarzy młodej panny?

Kto-by go widział w owej chwili, był-by bardzo zdumiony. Czy blada a obojętna twarz dumnego pana była maską, pod którą krył gorące acz hartowne serce? czy Wanda posiadała niewidzialną moc wzbudzania w nim marzeń dawno zapomnianych i uczuć, od których na pozór wydawał się dalekim?

Stała przed oknem, w pół przysłoniętą firanką,

zamyślona, nieruchoma, z czołem opartém na dłoni, a promyk słońca różowy wnikał ciągle przez szyby, ślizgał się po sukni i zdawał się całować jęj warkocze.

Nagle drgnęła i odwróciła się, bo posłyszała za sobą głos mężki.

Pan Gaczycki stał w salonie o parę kroków od progu pokoju, w którym była, z kapeluszem w ręce, zimny i obojętny już, jak zwykle.

— Dobry wieczór pani! — mówił do nięj z lekkim uśmiechem. — Przebacz pani, że przerywam jęj zamyślenie, ale stoję już od kilku minut około progu tego i czekam, aż będę mógł zostać przyjętym przez panię domu.

Wanda uprzejmie postąpiła ku niemu i, wszedłszy do salonu, podała mu rękę.

— Przebacz pan, żeś czekał — wyrzekła z serdecznym uśmiechem — spodziewaliśmy się nawet z mamą widzić pana, bo przecie same prosiłyśmy go wczoraj, aby nas odwiedził. Ale służba nie oznajmiła nam przybycia pana, sądząc zapewne, że się znajdujemy w salonie. Tymczasem mama dziś trochę cierpiąca i nie opuszcza od rana swego pokoju, a ja byłam w tęg chwili zajęta naszą biedną Andzią.

Pan Gaczycki nie spuszczał wzroku z Wandy. Czy nie miał siły oderwać oczu od jęj twarzy? czy pragnął coś na nięj wyczytać? Po chwili odezwał się:



— Ja także proszę pani o przebaczenie, i to za winę, mocno wykraczającą przeciw przyjętym towarzyskim formom. Od kwadransa może, lub więcej, stałem tu sam jeden i przez drzwi półotwarte przypatrywałem się staraniom, jakimi pani otaczasz to biedne, chore dziecko.

Lekki rumieniec zabarwił policzki Wandy.

— Starania te są dla mnie bardzo miłe — odrzekła. — Dziecię to, które, mając rodziców, może się zwać sierotą, wzbudza we mnie niezmierne współczucie. Odkąd je mam u siebie, ciągle o niem myślę; mam cel każdego dnia i zajęcie każdej godziny, i szczerze wdzięczną panu jestem, żeś je powierzył naszej opiece. Matka moja także się bardzo zajmuje chorą dzieciną.

— O tém, że matka pani zajmie się losem biednego dziecka, znając oddawna wielką dobroć jej serca, nie wątpiłem ani na chwilę — przerwał Gaczycki — ale wyznam pani otwarcie, że nie przypuszczałem, abyś pani, tak młoda, mogła żywo zainteresować się staraniami, które-by wiele osób w jej wieku za uciążliwe uważało...

Wanda podniosła na niego zdziwione oczy.

— Dlaczegoż-by mnie to dziecko i starania około niego żywo zająć nie miały? — odrzekła z prostotą. — Wszakże niema na świecie większego zadowolenia, a nawet szczęścia, jak uczynić komuś dobrze, ulżyć czyjemu cierpieniu, sprawić komuś przyje-

mność, t $\acute{e}$ m bardziej, jeśli ten ktoś, potrzebujący naszej pomocy, jest biednym, niewinnym dzieckiem, które nic jeszcze nie uczyniło złego, a już cierpi.

— Poczucia te pani wzbudzają we mnie uwielbienie — wyrzekł Gaczycki.

Słowa te wydawały się w jego ustach zwyczajną tylko, a przez światowego człowieka wygłoszoną, grzecznością. Ukłon, który im towarzyszył, był sztywny, a twarz została przy nich obojętną. Tylko w oczach, w dalekiej głębi blado-błękitnych źrenic, zapłonęły mu żywo dwie srebrne iskierki, zamigotały i zniknęły prędko. Iskierkę tych nie dojrzała Wanda, bo pan Edward siedział plecami zwrócony do okien; uśmiechnęła się więc tylko i odrzekła:

— Uwielbienie! to za wielki i zbyt brzmiący, doprawdy, wyraz dla tak prostego faktu, jak przyjęcie do domu i otoczenie opieką nieszczęśliwego dziecka.

Gaczycki nic nie odpowiedział, ale dwie iskierki w głębi jego oczu zapłonęły żywiej jeszcze, niż wprzód, i, zwrócone ku twarzy Wandy, długo nie gasły. Nie chciał może, by je ona ujrzała, bo powstał i zbliżył się do rysunku, rozpiętego na rejsbrecie pod oknem.

Przedstawiał on krajobraz, narysowany z natury wprawna i umiejętną ręką Wandy. Był zupełnie prawie ukończony i potrzebował tylko ostatecznych wycieniowań, a Gaczycki poznał w nim owo miejsce

w zamiejskim borze, w którém, nad brzegiem parowu, po raz pierwszy Wanda wobec niego spotkała Augusta. Na rysunku była właśnie ta część przepaści, nad którą wtedy stali wszyscy troje: wysokie sosny powiewały wokoło, a na przeciwległej, stromiej ścianie parowu, wśród grupy drzew i krzewów, widniał krzyżek.

Niewiadomo dlaczego, ale rysunek, przypominający miejsce poznania się Wandy z Augustem, widocznie przykro uderzył oczy pana Edwarda, bo odwrócił się i ujął książkę, która otwarta leżała na poblizkim stole. Spojrzał na tytuł i rzekł:

— Jak widzę, pani się trudni poważną literaturą.

— Tak — odpowiedziała Wanda — długo bardzo zajmowałam się samą pobieżną i lekką, ale od czasu, gdy poznałam pana Przybyckiego, zaczęłam więcej pracować myślą. Przynosi mi książki, które sam czytuje, a niekiedy czytamy z nim razem.

Mówiła to z zupełnym spokojem, a jednak twarz jej powlokła się nagłym, ledwie dostrzegalnym, rumieńcem, i różane wargi, przy wymawianiu imienia Augusta, zadrżały lekko.

Gaczycki nie odrywał od niej badawczego wzroku, ale ona tego nie widziała, bo spuściła oczy.

— Grywamy też razem z panem Przybyckim — mówiła cichszym nieco głosem, niż ten, którym rozmawiała wprzód — daje mi on nawet lekcye muzyki, i śmiało mogę powiedzieć, że zaczęłam dopiero

pojmować sztukę w całej piękności jęj i głębi, od-  
kąd on mi w poznawaniu jęj przewodniczy. Przy-  
tęm uczy mnie pan August czytać i mówić po wło-  
sku. Prześliczny to język, pełen słodczy i śpiewnej  
harmonii.

Milczała chwilę, potęm dodała :

— Już to w ogóle od pewnego czasu czuję, że ży-  
cie moje daleko więcej zapełnione jest, niż da-  
wnięj; dnie mi schodzą mniej bezużytecznie, mniej  
próżniaczo, a przez to czuję się daleko, daleko  
szczęśliwszą.

Niepodobna było z większą prawdą i dziecięcą  
niemal naiwnością słów tych wymówić, a jednak,  
obok uśmiechu, jaki im towarzyszył, nieokreślony,  
ale wyraźny smutek wybił się na twarz Wandy, niby  
kłam zadając jęj słowom. Może był to cień, padają-  
cy od rzęs spuszczonej oczów, albo od warkoczy,  
które się osuwały na czoło; lecz dojrzał go badawczy  
wzrok Gaczyckiego; po spokojnym jego czole przemknę-  
ła chmura. Milczał chwilę; zdawało się, że się za-  
wahał z wyrzeczeniem jakiegoś słowa, które mu ta  
chmura, przebiegająca po czole, do myśli niosła.  
Ale trwało to krótko i, patrząc ciągle na Wandę,  
wyrzekł :

— Towarzystwo pana Augusta jest rzeczywiście  
bardzo miłym i sądzę, że pani brak jego poczujesz,  
gdy pan Przybycki opuści X.

Słowa te wywarły na Wandę piorunujące wraże-

nie. Poprzedni, leciuchny rumieniec zniknął nagle z jęj twarzy: zbladła i widać było, że zadrżała.

Gaczycki nie spuszczał z nięj wzroku, i gdyby nie firanka okna, która mu cień na twarz rzucała, można było dojrzyć, jak nagła bledość Wandy odzwierciedliła się w nagle tęż pobladłém jęgo czole.

— Pan Przybycki opuści X.! — wyrzekła po chwili panna, i można było dostrzedz, jak przy tych wyrazach przezroczysta suknia jęj podnosiła się od drżących a śpiesznych serca uderzeń. — Czy pan Przybycki zamierza opuścić nasze miasto? — powtórzyła, wlepiając spojrzenie w przykrytą cieniem firanki twarz Gaczyckiego.

— Powinien to uczynić — odparł Edward, a w głosie jęgo zabrzmiała pewna surowość.

— Powinien! dlaczego powinien? — zawołała Wanda, blednąc bardziej jeszcze, a we wzroku jęj było zdumienie, z przerażeniem graniczące.

Gaczycki milczał parę minut. Potęm, z właściwém sobie, obojętném, lubo pełném wytworności, zaniedbaniem ruchów, oparł się o poręcz fotelu, na którym siedział, i rzekł:

— Pozwól pani, abym zamiast bezpośrednięj na jęj pytanie odpowiedzi, powtórzył przed nią pewną powieść wschodnią, którą wyczytałem gdzieś, kiedyś, a która teraz dziwnym trafem na myśl mi przyszła.

Wanda milczała, zdziwiona, wzruszona, blada; Gaczycki mówił dalej :

— W Indyach Wschodnich, nad brzegami błękitnego Gangesu, był las ogromny, gęsty, dziewiczy, pełen bogactw podzwrotnikowej natury, kwiecista, drzew wyniosłych, tęczobarwnych motyli, zjadliwych węzów, śpiewających ptaków, wichrów, które szumiały w gęstwinach, bagnisk, pokrytych pleśnią, i wód przezroczystych, szerokimi szybami błyszczących wśród ciemnych głębi. W tym lesie rosła malwa żółta, pochylona, półzwiedła, a złośliwi bogowie leśni ożenili z nią złoty słońca promień, który, światły, gorący i wesoły, tylko co spłynął z niebios i igrał swobodnie wśród puszczy zieleni. Promień smutny był przy ślubowinach, a po ślubowinach smutniejszy jeszcze; potem malwa zaczęła coraz bardziej więdnąć i usychać, a promień, któremu leśni bogowie kazali nieustannie wic się i świecić koło niej, blednął też, tracił swe iskry złote, i zamiast, jak dawniej, igrać swobodnie w powietrzu i pod niebem, schylił się ku ziemi i, smutny, pełzać po niskich trawach począł.

W tym samym lesie niedaleko kwitła, na zielonej zwieszona gałęzi, wspaniała a śnieżna i wonna magnolia. I ona także smutna była, choć sama nie wiedziała dlaczego; może dlatego, że nad nią zwieszały się szerokie liście palm, zakrywając jej niebo, a wokoło niej rosły same powoje drobne i słabe, albo niskie

bezbarwne kwiecie pełzało po ziemi, nie mogąc dosięgnąć wysokości, na której kielich jęj biały drżał, wyglądając nieznanego światła, za którym tęskno mu było.

Raz, ożeniony z żółtą malwą promień słoneczny, blady i smutny, przesuwiał się przez lasu gęstwinę i ujrzał białą magnolią. Prześlizgnął się koło nięj i nagle odzyskał dawną światłość swoją, sypnął wkoło rojem iskier złotych i rozпалиł się szeroko, niby płomień. Magnolia, ujrawszy światło, za którym tęskniła, podniosła smutnie wprzód pochyłony swój kielich, rozlała wkoło potok zdwojonęj woni, a białość jęj rozpromieniła się także rojem iskier srebrnych.

Odtąd promień spływał często na listki magnolii, ale zawsze na krótko, bo wracać musiał do żółtęj, zwiędłęj malwy, nad którą nieustannie, od rana do zmroku, świecić mu rozkazali bogowie leśni.

Magnolii smutno było, że promień ciągle opuszczać ją musiał. Tęskniła i cierpiała z razu trochę, sama nie wiedząc o tém, że cierpi; potem więcej, potem jeszcze więcej, i bardzo, i niezmiernie—aż od rdzy zgryzoty pociemniały jęj listki srebrzyste. Zaczęła więdnąć, przestała woń wydawać i wspaniały kielich swój pochyliła nisko.

Gdy raz, stęskniona i rozboleła, kroplami rosy płakała śród nocy, skarżąc się na dolę swą gwiazdom, które przeglądały przez liście palmowe, zobaczył ją

w przelocie dobry gieniusz lasu, a gdy ranek nastał, przywołał do siebie promień, ożeniony z malwą, i rozkazał mu, aby więcej nigdy nie dotykał listków magnolii, ani się ukazywał w jêj pobliżu.

Promień usłuchał dobrego gieniusza, bo wiedział, że był to duch prawdy i dobra. I odtąd magnolia daremnie oczekiwała przybycia jego. Schodziły dnie za dniami—promienia jêj ukochanego nie było.

Płakała długo rześistą rosą, tęskniła i była bladą bardzo, aż dobry gieniusz zwrócił ku niêj pewnego poranku inny promień, światły téż i gorący, aby ją pocieszył.

Magnolia długo zapomnieć nie mogła o pierwszym swym promieniu, ale drugi tak ją kochał, tak jasno a łagodnie przyświecał nad nią, że nakoniec, stęskniona do światłości i ciepła, podała mu do uścisku kielich swój prześliczny i rozkwitła znowu bielą śnieżną, a zajaśniała rojem iskier srebrzystych.

Bogowie leśni ożenili z magnolią światły i swobodny promień—i odtąd on świeci nieustannie dla niêj od ranka do wieczora, a ona, czysta, śnieżna i wspaśniała, jak królowa, zwiesza się na swêj wyżynie, śląc w świat potoki woni czarownej i olśniewając pięknoscią swą wijące się u stóp jêj słabe powoje.

A dobry gieniusz lasu cieszy się, że promień, ożeniony z malwą, na wieki od magnolii oddalił; bo inaczej, ona-by zwiędła i uschła przed czasem w tęskno-



cie i niespokojnym smutku, a promień biedny ze zgryzoty i bólu zgasł-by na jęj grobie.

Umilkł na chwilę pan Gaczycki, a potem dodał :

— Taką jest fantastyczna opowieść wschodnia o magnolii i promieniu ; ale, jak w każdej bajce, wysnutęj fantazyą ludów, leży i w tęg prawda życiowa.

Wanda powstała, ręce jęj bezwładnie opuściły się na suknię.

— A cóż się stało — wyrzekła głosem, który znać było, jak drżał i zamierał jęj w piersi — cóż się stało z biednym promieniem, któremu wydarto magnolią?

— Biedny promień ten — odpowiedział, powstając, pan Gaczycki — cierpiął bardzo długo, ale dla osłodzenia cierpień jego litościwi bogowie leśni dali mu lutnię o złotych strunach, po których ślizgając się, grał on cudownie, a pieśni jego milionowém echem powtarzały się w przestrzeni, rozlewały wkoło czar niewymowny i pogrążały w zachwycie wszystkich mieszkańców lasu.

Rzekłszy to, pan Gaczycki skłonił się przed Wandą i szybko opuścił salon. Gdyby nie zmrok coraz gęstszy, zapadający w salonie, Wanda mogła-by dostrzedz silne wzruszenie na twarzy obojętnego pana.

Zamknęły się drzwi za wychodzącym gościem, cisza i zmrok zapełniły salon. Wanda stała nieruchoma u okna, z czołem na dłoń opuszczoném, i smętnym wzrokiem patrzyła, jak jedna po drugiej zapalały się czerwone latarnie uliczne. Znać było, że praco-

wała myślą, bo usta jęj drżały niekiedy i poruszały się, powtarzając cicho jakieś wyrazy. Ale zarazem blask, padający na nią od jednęj z latarni ulicznych, ukazywał na twarzy jęj trwogę, boleść, a nadewszystko zdumienie, z przerażeniem graniczące.

— On miał-by wyjechać! — rzekła do siebie, podnosząc twarz bladą i cierpiącą — on miał-by wyjechać ztąd! na zawsze może! dlaczego? mój Boże! dlaczego? dlaczego?

Załamala ręce ruchem bolesnym, a zarazem wzrok jęj spuścił się nizko ku najniższemu rzędowni okien przeciwległęj kamienicy i zatrzymał się na jednęm z nich, które w tęg samęj własnęj chwili zadrzało bladęm światłem zapalonęj w głębi mieszkania lampy. Potęm oczy jęj przysunęły się z wolna ku innym dwóm oknom, leżącym w tym samym, co i tamto, rzędzie, i oświetlonym czerwonawą łuną, wyraźnie od płonącego na kominku ognia. Patrzyła na nie długo i ujrzała przesuwałą się za szybami dziwną postać. Była nią kobieta, w czarnej, wełnianej bluzie i czepcu białym o szerokięj listwie, wyraźnie nieidąca o własnych siłach, ale sztywnie, martwo, automatycznie, oparta o poręcz krzesła, posuwanego czyjąś ręką. Postać ta, bardziej podobna do widma lub do trupa, niż do żyjącej kobiety, sunęła z wolna i bezwiednie, a wystający z pod szerokięj listwy profil jęj twarzy, ostry, suchy, żółty, fantastycznemi niemal kształtami przesunął się powoli za szybami okien, kominkowym

ogniem oświetlonych, i zniknął za inném, którego mgliste światło przysłonięte było z wewnątrz grubą zasłoną.

W téj saméj chwili w oknie, oświetloném lampą, zarysował się cień mężczyzny o smukłych, pełnych siły i młodości kształtach, o regularnym profilu twarzy śniadéj, i wielkich, ciemnych oczach, które, z pod powiek spuszczonej, zdawały się ciskać iskrami.

Wanda odwróciła twarz bardzo bladą; znowu drżącą rękę do czoła podniosła i wyrzekła cicho:

— Byłże-by to on promieniem, ożenionym z żółtą malwą, a ja byłaż-bym magnolią?

Nagłym ruchem złożyła ręce i zawołała:

— Ależ to okropne! dlaczegoż więc... Boże mój... dlaczego? dlaczego?...

---

## XX.

W sypialnym pokoju, u okna, wpół przysłoniętego zieloną sukienną roletą, siedziała Anastazyja. Przed nią na stoliku stało lustro, w którym odbijała się twarz jęj wychudła, bledsza jeszcze, niż zwykle, od zielonego odblasku, jaki na nią rzucała zasłona u okna. Dnia tego jednak dziwna jakaś odmiana zaszła w całej postaci nieszczęśliwęj kobiety. Zamiast codziennęj, wełnianej bluzy, miała ona na sobie jedwabny szlafroczek popielatego koloru, widocznie w lepszych dla nięj, a dość dawnych, sporządzonej czasach, bo miał krój staroświecki i stał się zbyt szerokim na jęj wyniszczonej postać. Zżółkła od nieużywania koronka otaczała wyschłą szyję; takżej mankiety opadały na białe, o kościstych palcach i wydatnych żyłach, ręce. Ręce te Anastazyja trzymała podniesione ku głowie, zaplatając i fryzując ogromne swe czarne włosy, które, niesplecione jeszcze z tyłu

głowy, opadały za poręcz fotelu, zwieszając się końcami aż na podłogę.

Po bladych i wązkich ustach Anastazyi błędził dziwny uśmiech, wykrzywiający je raczej, niż zdobiący; zapadłe jej czarne oczy błyszczały gorączkowo.

Za fotelem i trochę z boku stała służąca Tekla, nadając głowie swój kierunek taki, aby twarz jej nie mogła być widzianą w lustrze przez strojącą się kobietę. W szarych oczach Tekli błyszczała z trudnością pokrywana ironia, a z ruchu jej puciołowatych, rumianych policzków znać było, że z trudnością wstrzymywała się od zbyt widocznego uśmiechu.

— Teklo! — ozwała się Anastazyja — wszak ja dziś lepiej wyglądam? nie prawdaż?

— O, pani dziś ślicznie wygląda! — odparła służka z nagięciem głosu, w którym drżała chytrość i uniżoność. — Odkąd jestem u pani, to jest od lat czterech blisko, nie widziałam pani tak dobrze, jak dziś, wyglądającą. Zapewne pani czuje się zdrowszą?

Anastazyja okręciła wkoło głowy gruby warkocz i, odwracając się nieco do służki, spytała:

— Teklo! czy dobrze mi z tym warkoczem?

— Doskonale! — zawołała służka — doprawdy, nie poznaję dziś pani! niech pani jeszcze ułoży włosy nad czołem!

Anastazyja uśmiechnęła się z większym jeszcze zadowoleniem i zaczęła skręcać na palcach, podnosić i układać pasma włosów.

— Zdaje mi się — rzekła — że wkrótce będę zupełnie zdrową; dziś nawet czuję się już znacznie rzeświejszą i silniejszą, i gdyby nie te moje nogi...

— O, jestem pewna, że się pani zupełnie wyleczy! Czy to pani tak stara, żeby się już wyleczyć nie mogła? w tym wieku, miły Boże! zdrowie dziesięć razy uciec i dziesięć razy jeszcze powrócić może.

Wyraz niezmiernego zadowolenia oświecił twarz i rozmarszczył czoło Anastazyi.

— Czy doprawdy sądzisz, że jestem jeszcze dość młodą? — spytała po chwili wahania.

— Miły Boże! — zawołała Tekla — wszak ja nie wiem, ile pani ma lat; ale pani nie wygląda na więcej, jak na trzydzieści, a gdybyś pani zupełnie wyzdrowiała, nie wyglądała-byś i na tyle!

— Otoż zdaje mi się, że wkrótce odzyskam zdrowie zupełnie! Tekło, włóż mi grzebień we włosy.

Tekla wzięła ze stołu staroświecki, szyldkretowy grzebień i, spinając nim warkocze Anastazyi z tyłu głowy, mówiła:

— Gdybyś pani chciała tylko poradzić się pewnej dobrej, starej kobiety, którą pani od roku już stręczę, to ona-by panią w parę tygodni uleczyła zupełnie. Ci doktorowie, proszę pani, nic nie umieją, a przychodzą tylko dlatego, aby brać pieniądze; tyle lat panią leczą i wyleczyć nie mogą! Ta kobieta leczy ludzi, cudownym sposobem, od wszystkich chorób, jakie są na świecie. Nie każe ona choremu pić mix-

tur, ani tam żadnych wód i kąpieeli mineralnych używać, ale ma pewne zioła i maście, które sama zna tylko; przytém mówi nad chorym pacierze, robi jakieś znaki, koła i krzyże, których znaczenia nikt, prócz nięj, nie rozumie, i tym sposobem kilka osób w moich własnych oczach uleczyła. Jestem pewna, że gdyby ją pani wezwała, w parę tygodni była-by pani zdrowa, jak ryba, i piękna, jak królowa.

— A gdzie mieszka ta twoja znajoma? — spytała Anastazyja.

— O kilka mil od X., proszę pani; we wsi L.

— Napisz-że do nięj, żeby przyjeżdżała jak najprędzej.

— Napiszę dziś jeszcze — zawołała sługa. — O, jakżem rada, że pani zgodziła się nareszcie na jęj przyzwanie! ja tak kocham panią! ja-bym własne zdrowie pani oddała!

— Dobrze, dobrze Tekło—odparła Anastazyja.— Wiész także, że cię lubię, i jeśli ta kobieta mnie wyleczy, nietylko ją, ale i ciebie wynagrodzę. A teraz, wysuń środkową szufladę w komodzie i podaj mi pudełko zę wstążkami.

Tekla wypełniła rozkaz, a Anastazyja zaczęła wydobywać z pudełka wstążki różnych kolorów, spłowiąła nieco od starości.

— Jak myślisz, Tekło, w jakim kolorze będzie mi dziś najlepiej do twarzy?

— Zdaje mi się, że w niebieskim — odpowiedzia-

ła sługa, a tłuste jęj policzki poruszyły się widoczniej, ukrywając uśmiech, który się gwałtem na chytre wdzierał usta.

Ręce Anastazyi, przebierając między wstążkami i koronkami, drżały nieco—od słabości fizycznej, czy może od wzruszenia, w jakie wprawiał ją widok strojów, dawno przez nią nieużywanych?

— W niebieskim? — powtórzyła z wolna, przy mierzając kokardę tego koloru — dawniej do twarzy mi było w żółtym.

Odrzuciła niebieską, a wzięła żółtą kokardę.

— Wybornie pani w żółtym kolorze! — zawołała Tekla — a gdyby pani spróbowała koloru ponsowego?

— Ponsowy dobrze przypada do czarnych włosów; spróbuję.

Wzięła ponsową kokardę i przykładala ją do głowy w różnych miejscach: z tyłu nad warkoczem, z boku przy skroniach, aż nareszcie przypięła ją złotą szpilką nad samém czołem.

— Prześlicznie! — zawołała Tekla, zachodząc z przodu i przechylając głowę na obie strony, niby dla lepszego przypatrzenia się pozycji ponsowej kokardy. — Prześlicznie! — powtórzyła — niechże pani weźmie jeszcze wstążkę na szyję!

Coraz większe zadowolenie rozlewało się na twarzy Anastazyi; usta jęj drgały i ręce trzęsły się coraz bardziej.

Wzięła w rękę kilka wstęg długich i szerokich,



wyciągnęła je przed sobą i, przypatrując się im, zaczęła mówić z wolna, niby do siebie :

— Kiedy byłam młodą...

— Kiedy pani była zdrową... — poprawiła szybko sługa.

Anastazyja podniosła głowę, jakby zbudzona; snadź głos służącej przerwał jej wątek jakiegoś wspomnienia z młodości. Uśmiechnęła się jednak i rzekła :

— Tak, kiedy byłam zdrową, lubiłam niezmiernie wstążki. Pamiętam, że, kiedy pierwszy raz ujrzałam Augusta, miałam na sobie białą, kaszmirową suknię, ubraną wstążkami i kokardami.

Zamyśliła się znowu; ręka jej, trzymająca zwój wstęg, drżała coraz bardziej, oczy mgliły się łzami. Tekla nie przerywała milczenia, bo wzrok jej chciwy przywiązał się do jednej ze wstążek, najszerszej i najdłuższej, w barwiste, szkockie kraty.

Po chwili z oczu Anastazyi jedna duża łza spłynęła po zwiędłej twarzy, a usta poruszyły się ledwie dosłyszalnym szeptem :

— On pokochał mnie wtedy... piękną byłam...

Głębokie westchnienie pierś jej podniosło, ale wnet przerwane zostało gwałtownym napadem kaszlu.

— A zkąd-że się pani wziął ten kaszel! — zawołała Tekla. — Miły Boże! to resztki choroby! To zaraz przejdzie! niech pani weźmie w usta parę pastylków!

Anastazyja drżącą ręką wzięła od sługi pudełko z pastylkami, i po chwili kaszlać przestała. Spojrzała wnet w lustro.

— Przeklęty ten kaszel! — rzekła — zdaje mi się, że znowu gorzej wyglądam.

— Ale gdzie tam! — odpowiedziała Tekla — jaką też pani ma imaginacyą! od czegoż-by tam znowu miało być gorzej! Albo to pani tylko kaszle? niema osoby, któraby czasem nie zakaszlała, a czy też ma zaraz źle od tego wyglądać! Ot, niech pani zawiąże na szyję tę wstążkę błękitną, to panu przypomni dzień, w którym panią piérwszy raz widział.

Anastazyja uspokoiła się i uśmiechnęła. Okręciła wstążkę koło szyi i chciała ją zawiązać na kokardę, ale drżące ręce odmawiały posłuszeństwa.

— Zawiąż, Teklo — rzekła, zwracając się do sługi.

Tekla przyklękła i grubemi palcami zawiązała u szyi Anastazyi ogromną kokardę.

— Zrób trochę mniejszą — rzekła strojąca się kobieta, spojrzawszy w lustro.

Tekla podciągnęła końce wstążki.

— Teraz znowu za mała — ofuknęła już z niecierpliwością Anastazyja.

Tłuste policzki Tekli tak trzęsły się i nadymały, że aż wśród nich zniknęły całkiem jój wazkie chytre usta, a z niemi razem zniknął złośliwy ironiczny uśmiech. Przerobiła znowu kokardę.

— Teraz dobrze — wyrzekła, patrząc w lustro. Anastazyja — włóż-że mi jeszcze w uszy te kolczyki.

Tekla wzięła z pudełka długie złote kolce, ozdobione szmaragdami i niezgrabnie zaczęła je wkładać w uszy Anastazyji.

— Aj, boli! jakżeś niezgrabna! — syknęła z bólu Anastazyja.

— Proszę pani — odparła sługa — pani Z., u której służyłam, nim się dostałam do pani, mówiła zawsze, ubierając się: trzeba cierpieć, ażeby być piękną!

Na te słowa chmura oblokła znowu twarz Anastazyji. Popatrzyła w lustro, pokiwała głową i rzekła z cicha, jakby do siebie:

— Alboż ja mogę jeszcze być piękną!...

— Co też pani ma za dziwne myśli! — zawołała Tekla — komuż być piękną, jeśli nie pani! Z takimi włosami, z takimi oczyma! miły Boże! niech-no pani tylko wyzdrowieje zupełnie, a pewno zakasuje pani wszystkie najmłodsze panny w X.!

I znowu chytre usta i złośliwy uśmiech zniknęły w tłustych policzkach Tekli.

Anastazyja rozchmurzyła czoło, i wyciągając z pudełka barwistą szkocką wstążkę, podała ją słudze.

— Weź to sobie, Teklo — rzekła — może ci się na co przyda! — Szare oczki Tekli błysnęły radością, chwyciła wstążkę i ucałowała obie ręce swęj pani.

— A teraz — rzekła Anastazyja --- zatocz mój fotel do bawialnego pokoju.

Po chwili fotel na kółkach, z siedzącą na nim Anastazyją, popychany ręką sługi, wytaczał się z nawpółciemnej sypialni i żywe światło dnia letniego, przez szerokie odkryte okna bawialnego pokoju, rzuciło się na jej dziwaczną postać. Dziwaczną ona była w istocie, dziwaczniejszą i wstrętniejszą, niż zwykle. Żółta i pomarszczona twarz nieszczęśliwej nawpół znikwała pod czarnymi lokami, ukazując tylko wąskie blade usta, zapadłe, a żółtymi powiekami osłonięte oczy i kilka głębokich zmarszczek nad czarnymi, energicznie zarysowanymi brwiami. Na głowie warkocze piętrzyły się wysoko, a u ich szczytu ponsowa kokarda, niezgrabnie przypięta drżącą ręką, wiewała i okręcała się wkoło sterczącej złotej szpilki; grzebień szylkretowy, przypięty krzywo niezręcznymi a może i złośliwymi palcami Tekli, chwiał się też z tyłu głowy i co chwila zdawał się z włosów wypadać. Popielaty kolor szlafrocza i niebieska barwa wstążki, zawiązanej na szyi, klóciły się z żółtą cerą twarzy; a długie szmaragdowe kolce jeden jeszcze sprzecznym żywiołem wlewały w mieszaninę kolorów i, przy każdym poruszeniu fotelu, uderzały o wystające kości chudej szyi. Tekla fotel wraz z siedzącą na nim swą panią zatoczyła przed kominek, na którym nie palił się tym razem płomień, ale tylko czerwonawo żarzyły węgle; nogi jej, wsparte na stołeczku, okryła flanelą

i miała odejść, ale zatrzymała ją gościem Anastazyą.

— Teklo — rzekła — wyjdź przed bramę i zobacz, czy mąż mój wraca.

Policzki Tekli znowu się zatrzęsły, a w nich schowały się jej usta; usłuchała jednak rozkazu szybko i wyszła.

Anastazyą została sama i zamyśliła się. Jakieś dobre, pełne nadziei myśli musiały przesuwać się po jej głowie, bo uśmiechała się i oczy jej, patrzące w żar kominka, błyskały co chwila. Wydobyła z zaszlafroczka niewielki medalion, zawieszony na szyi na cieniuchnym łańcuszku, otworzyła go i wpatrzyła się w zawarty w nim portret. Był to portret Augusta.

Tekla weszła, Anastazyą z niepokojem na nią spojrzała.

— Pan nie wraca jeszcze — rzekła sługa — ale widziałam znowu tę panią...

— Jaką panią? — spytała żona Augusta.

— A tę dobrą panią, co od kilku już dni pyta się o zdrowie pani, różaniec z krzyżem ma na rękę, a drugi krzyż na piersi. To jakaś bardzo zacna osoba. Widziałam, jak pobożnie modli się zawsze w kościele i ubogim daje jałmużnę. Nazywa się Ku... Ku... doprawdy zapomniałam, Kudrowska zdaje się, czy Kuderska...

— Ale dlaczegoż ta pani tak się mną interesuje! przecież mnie nie zna! — rzekła Anastazyja.

— A bo, widzi pani — odpowiedziała Tekla — już ja od wielu osób słyszałam, że ta pani Kuderska tak jest dobra, że jak się tylko dowię o kim chorym, smutnym czy nieszczęśliwym, zaraz przybywa, aby pocieszyć, rozerwać, lub dopomódz. Mówiła mi nawet, że odkąd się dowiedziała, że pani ciągle jest cierpiącą i najczęściej samą, bardzo zapragnęła poznać panią i u pani bywać. Prosiła mnie dziś właśnie, abym się pani spytała, czy może odwiedzić panią jutro.

Anastazyja zamyśliła się.

— Teklo — ozwała się po chwili — czy ta pani młoda jest i ładna?

— E, gdzie tam, proszę pani! ma lat pewno więcej niż czterdzieści, a nos taki czerwony, jak te węgle na kominku w téj chwili. Ale bardzo dobra i pobożna osoba! miała-by pani rozrywkę z jęj towarzystwa, gdyby się pani z nią zaznajomiła.

— To prawda, może i masz słusność, Teklo. Jak ta pani przyjdzie tu jutro, powiedz, że proszę, aby mnie odwiedziła, i przyjmę ją chętnie.

Tekla miała odejść znowu, ale zatrzymała ją Anastazyja.

— Teklo — rzekła — wyjdź przed bramę i patrz w stronę, z któręj mąż mój zwykle wraca, a gdy go zobaczysz z daleka, przyjdź mi oznajmić.

Tekla wyszła znowu, a Anastazyja siedziała przed

kominkiem nieruchoma, zamyślona, z oczyma w żar utkwionemi. Upłynęło pół godziny, otworzyły się drzwi i Tekla, przechodząc przez pokój, rzekła:

— Pan idzie!...

Anastazyja drgnęła.

— Podaj mi lustro! — krzyknęła.

Tekla poskoczyła i przyniosła lustro z sypialni. Żona Augusta gorączkowym ruchem poprawiła loki nad czołem i kilka razy w różne strony przesunęła błękitną wstążkę na szyi. W przedpokoju dały się słyszeć kroki męzkie.

— Idź sobie! idź ztąd! — zawołała do sługi Anastazyja.

Tekla zniknęła z lustrem we drzwiach sypialni, a w tej samej chwili we drzwiach przeciwnych stanął August.

Stanął w progu i zatrzymał się, wzrok utkwivszy w siedzącą u kominka kobietę. Anastazyja przy wejściu jego wyprostowała się i, z ręką wyciągniętą ku niemu, śmiała się głośno. Chciała widać uśmiechnąć się do męża dawnych lat wdzięcznym uśmiechem, ale wzruszenie, jakiego doświadczała, i wielkie osłabienie fizyczne uśmiech jej zmieniło w śmiech głośny, przeciągły, spazmatyczny i ostry.

August żywo przystąpił ku niej. Widoczném było, że przeraził go śmiech coraz do spazmów podobniejszy i okropnie wstrząsający całą jej bezsilną postać.

Wziął jęj wyciągniętą i trzęsącą się rękę.

— Anastazyo — rzekł — co ci jest? czy słabsza jesteś? dostajesz spazmów! może chcesz, abym po lekarza posłał?

Anastazyja nagle śmiać się przestała, odrzuciła się w tył i plecami oparła o poręcz fotelu.

— Jakto? — zawołała drżącym głosem — ja się do ciebie uśmiecham, Augustcie, a ty mój uśmiech za spazmy bierzesz!

Zwykły jęj gniew głuchy odzywał się w tych słowach, ale wnet pomiarkowała się i powstrzymała go wysiłkiem woli, zadziwiającym w tak wyniszczonęj istocie. Zdobyła się na nowy uśmiech, przechyliła głowę zalotnym ruchem i, przyciągając męża do siebie, wyrzekła pieśczośliwie:

— Augustcie! pocałuj-że na powitanie żoneczkę twoję!

August zbladł, pochylił się jednak i dotknął ustami jęj czoła.

Anastazyja pochwyciła drugą jego rękę, a podnosząc głowę i zalotnie patrząc mu w oczy, mówiła pieśczośliwym głosem, takim, jakim młodziutkie małżonki w miodowych miesiącach przemawiają do ukochanych i kochających mężów:

— Tak obojętnie pocałowałeś mnie, Augustcie! niedobry! niewdzięczny! Ja się do ciebie tak wystroilaam dzisiaj! Już jestem prawie zupełnie zdrową, a Tekla przyrzekła sprowadzić mi jakąś kobietę,



która mnie do reszty wyleczy. Całą noc dzisiejszą nie kaszlałam wcale i spałam wybornie, pierwszy raz od dawna. Za dwa tygodnie będę zupełnie zdrową, zobaczysz, poprowadzisz mnie na przechadzkę... ubiorę się tak, jak wtedy byłam ubrana, pamiętasz... wtedy w altanie, gdyś pierwszy raz powiedział mi, że mnie kochasz... O, ja pamiętam... miałam błękitną suknię i białe perły we włosach... Auguście, będę znowu ładna, i ty mnie będziesz bardzo kochał... usiądź przy mnie... najdroższy...

I pociągnęła go na stojące obok krzesło.

August usiadł, milcząc, oczy jego, pełne smutku i litości, spoczywały na twarzy Anastazyi, ale ręka się rozwarła i wypuściła, trzymaną przez chwilę, jej rękę. Anastazyja zwróciła się ku niemu, i dłoń z pieśczętą położyła na jego ramieniu.

— Guciu mój! — zaczęła mówić znowu — wiem, że bywam niekiedy zbyt porywczą, wymagającą, nieznośną... Bywam niekiedy słabą i rozdrażnioną... to przejdzie, gdy tylko wyzdrowieję... Ja cię zawsze kocham tak, jak wtedy, gdy, pamiętasz, błękitne niebo świeciło nad nami, drzewa altany szumiały z cicha, a nad niemi pszczołki brzęczały, zbierając miód z lip pobliskich... Mój Boże, i teraz na świecie równie pięknie być musi, a jam tego świata tak dawno, tak dawno już nie widziała!...

Pod wpływem wywoływanych wspomnień, głos

Anastazyi zadrżał i znowu jedna łza spłynęła po jej policzku.

August patrzył na nią z dobrocią i litością. Ona spojrzała na niego, a ujrawszy jego wzrok, utkwiony w nią łagodnie, wydała okrzyk radośny, obie ręce zarzuciła mu na szyję i głowę pochyliła na jego ramię. Ale w tej chwili śmiech spazmatyczny wstrząsnął znowu jej piersią i strasznie twarz jej wykrzywił. Nie była dość silną, aby nim zawładnąć, i w kurczowych drganiach czepiała się obu rękoma ramienia męża. Strasznie wyglądała. W podrygach spazmu warkocz jej osunął się z głowy i staroświecki grzebień upadł za poręcz fotelu. Ponsowa kokarda przesunęła się na bok i sterczała wielką, podtrzymującą ją, szpilką; na czole i wokoło oczu utworzyło się mnóstwo zmarszczek, które krzykliwie sprzeczały się z wyrazem spojrzenia, tkliwie i namiętnie utkwionego w twarz Augusta.

Dramat burzliwej duszy, która nie mogła prześnić snów młodości i pozbyć się pragnień tego, czego życie dać już jej nie mogło, objawił się w tej kobiecie, okrytej śmiesznością, jaka wywiązuje się zwykle z połączenia pretensyi i brzydoty, błahych próżnostek i uczucia, rzucanego pod nogi komuś, kto go przyjąć nie chce lub nie może.

Uspokoił się w końcu śmiech spazmatyczny nie-szczęśliwej; drżącemi rękoma poprawiła kokardę, opa-

dającą jej na twarz, i znowu zalotnie zwróciła się do męża.

— Auguście... — zaczęła, ale wstrzymała się nagle, bo na wyrazistój twarzy męża inny już, niż wprzód, dojrzała wyraz.

August oczy miał wlepione w ziemię, twarz bardzo bladą, a usta drgały mu nieco, jakby tłumionym wstrętem i goryczą.

Anastazyja patrzyła na niego długo i jej twarz zmieniać się zaczęła; gniew głuchy zawrzał znowu w zapadłych oczach, czarne brwi się zsunęły i drżące palce poczęły, jak dawniej, miąć i szarpać suknię. Nagle krzyknęła niewyraźnie, głucho, rozerwała rączęj, niż rozwiązała, wstążkę na szyi, cisnęła ją w komin na żarzące się węgle, pochwyciła z głowy kokardę wraz ze szpilką i odrzuciła ją daleko od siebie. Z dłoni szpilką zakłutęj popłynęło kilka krwi kropel. Anastazyja jęknęła i obu rękoma zakryła oczy.

August powstał i stanął naprzeciw niej wyprostowany, a oczy jego ciskały iskry.

— Anastazyo — rzekł głosem, który nadaremnie spokojnym uczynić usiłował — Anastazyo, po co te rzucania się twoje, jęki i wysilenia? Nie dość-że ci mój przyjaźni, opieki, jaką cię otaczam? nie dość-że ci tej pewności, że cię nie opuszczę nigdy i że nigdy nie zabraknie ci mego ramienia i mego przyjaznego słowa, gdy je usłyszeć zechcesz? Żądasz-że ode mnie czego innego jeszcze? żądasz-że miłości, której ci dać

nie mogę? czyliż sądzisz, że skłamię kiedykolwiek, i powiem, że cię kocham, gdy tego czuć nie będę? Dlaczego się nie pogodzisz ze swoim losem? czemu ciągle wrzesz i rzucasz się daremnie?

Anastazyja odjęła powoli ręce od twarzy, zoranęj tysiącem bruzd gniewu, bólu i niecierpliwości; wyciągnęła do Augusta rękę i, pokazując mu dłoń zranioną szpilką, z której sączyły się z wolna krwi krople, zaczęła mówić głosem, który jej w piersi zamierał, łącząc się z ciężkim, syczącym oddechem:

— Patrz na te krople krwi, które płyną z mej dłoni... źródło takich samych, tylko gorętszych i obfitszych, zalewa mi serce, ile razy patrzę na ciebie, a potem ujrzę w lustrze własną postać... W istocie... czemże ja dla ciebie jestem? ciężarem, kulą u nogi, szkieletem dawniej kobiety, której ślubowałeś... Tysiąc razy pragnęłam umrzeć... zabić w sobie to nędzne życie, aby i ciebie uwolnić, i samęj już nie cierpieć... ale dotąd miałam jeszcze nadzieję.

— Nadzieję? — powtórzył August, jakby bezmyślnie z oczyma utkwionemi w przestrzeń — nadzieję! — powtórzył — jaką ty miałaś nadzieję?

I przy tych słowach dziwny uśmiech, w którym była i gorycz, i litość, i ironia, wydarł się na jego usta.

Anastazyja jęknęła z głębi piersi i rzuciła się na fotel.

— Ha! — krzyknęła—więc ty śmiejesz się i szy-

dzisz z tego, żem śmiała mieć choćby nadzieję! Tak... byłam szalona! Dziś jeszcze, gdy poczułam dawno nieznaną rzeźwość w biednym schorzałym ciele mojem, poczułam także nadzieję, wstępującą do piersi... Myślałam, że wróci mi zdrowie, i że będę miała jeden jeszcze, choćby jeden dzień radości i szczęścia na ziemi... Tak... kiedy promień rannego słońca zajrzał do mego pokoju, widziałam na nim zwieszoną twarz twoją... i wstałam rzeźwa, jak dawniej, i jak Arlekin, ustroiłam się w łachmanki, myśląc, że one mnie ozdobią i piękną uczynią, jak niegdyś, i byłam dość śmieszna, aby ludzić się marzeniem, że zdołam obudzić w twym sercu choćby cień dawnego dla mnie uczucia... O, jakże byłam bezrozumna, szalona!...

Z ostatnim wyrazem wybuchnęła śmiechem okropnym.

— Szalona byłam! szalona! — wołała z całej siły i obu rękoma szarpała włosy, targając warkocze i zwinęte nad czołem pasma—szalona byłam! — powtórzyła raz jeszcze—kiedym sądziła, że to, co umarło odżyć może... że żywy człowiek kochać może trupa... że lampa zagasła błysnie raz jeszcze pięknym światłem... szalona byłam! szalona!

Ze łkaniem okropnym, bo łez pozbawionym, oparta na poręczu fotelu, oczy zamknęła, a roztargane jej włosy całkiem prawie twarz jej pokryły, ukazując tylko sine, drżące wargi i część żółtych, pomarszczonych policzków.

August milczał. W chwili bezpamiętnego uniesienia Anastazyi, wzrok jego mimowoli wybiegł po zaszyby i zawisł na oknach pierwszego piętra przeciwległej kamienicy. Tam błysnęło białe ramię i drobna ręka otworzyła jedno z okien. Potem w ramach, utworzonych z fałd śnieżnej firanki, ukazała się prześliczna postać kobiety młodej, w białej sukni, z twarzą przezroczystą i łagodną, z płowemi włosami nad wzniesionem ku górze czołem. Ukazała się na mgnienie oka i wnet zniknęła w głębi pokoju; ale oczy Augusta widziały ją ciągle i ujrzały obok fotelu, na którym, w dzikiem uniesieniu i z rozczochranemi włosami, bezwładnie leżała Anastazyja.

Nic straszniejszego, jak porównanie, nic bardziej mogącego przerazić, jak kontrast. Szatan jest dopiero szatanem, gdy obok anioła stanie; anioł u wrót czeluści piekielnych wydaje się samym Bogiem. Gdybyś nie znał światłości, ciemność znośną-by ci była; nie ukochał-byś tak światła, gdybyś nie nienawidził ciemności.

W oczach Augusta, obok starości, brzydoty, bezmyślnego szału i pełnego złości szamotania się Anastazyi, stanęło w postaci Wandy uosobienie wdzięku, dobroci, słodkiego spokoju — tego spokoju, który na całe istnienie człowieka rozlewa morze rozkoszy i głowę jego kołysze do myśli wzniosłych i miłością sposobi mu serce do czynów wielkich.

I miał widzenie, niezmierniej rozkoszy i rozpaczy

pełne. Wydało mu się, że tam u kominka, pod dachem jego, w cichym kątku domowego jego ogniska, zamiast bezwładnej fizycznie, szalonej namiętnością, i gniewem kobiety, siedzi cudowna postać dziewicy o słodkim licu; szafirowe oczy jej patrzyły na niego z głęboką, łagodną, bezgraniczną miłością, a biała suknia i śnieżne czoło różowiły od blasku płonącego cicho żaru, a może i od ognia, jaki tryskał z piersi jego i przez oczy przelewał się na nią.

Wczoraj — tak, wczoraj jeszcze oczy jej patrzyły na niego tak dziecięco niewinnie, tak bezwiednie kochająco! Smutek nagły powłókł jej lice i w głębi źrenic błysnęły dwa łez brylanty...

Przypomniał to sobie i myśl błyskawiczna głowę mu przebiegła: ona-by mnie kochała! ona byłaby moją!

O boleści!

Podniósł wzrok i spojrzenie jego upadło na sine wargi i pomarszczone policzki Anastazyi, widniejące z za rozczochranych włosów i drgające spazmatycznie od złości, choroby i bezsilnej rozpacz.

Zdało mu się, że wulkan jakiś w nim zawrzał; poczuł, że w głębi piersi jego zaczęło się coś burzyć i jęczeć, i syczeć, i dziwne, nieznanne mu dotąd uczucia podnosiły się w nim, i dławiły go potokiem goryczy i głuchego gniewu. Poczuł w sobie instynktową jakąś, nienawiści pełną moc, pchającą go ku tej kobiecie, która zatrzymała jego młodość, zabiła w nim tchnie-

nie, rzuciła go na niewłaściwe drogi i teraz jeszcze mąciła mu wciąż, z trudem zdobywany, spokój ducha, i stała na drodze do szczęścia.

Postąpił kilka kroków ze zrumienioną twarzą i drżącemi usty.

Cóż miał uczynić?

Czy rzucić obelgę na głowę i tak niezmiernie nie-szczęśliwój kobiety? Nie uczynił tego.

Zatrzymał się, spuścił czoło ze wstydem i szybko wybiegł z mieszkania.

---



## XXI.

Wybiegł z mieszkania i biegł przed siebie na traf, sam nie wiedząc dokąd; czuł potrzebę ruchu, powietrza, serce tłoczył mu ciężar niezmierny. A kędy tylko się obrócił, wszędzie przed wzrokiem wyobraźni zawisały mu dwie postacie, dwie twarze, niby szyderstwem losu umieszczone obok siebie, aby szpetność jednej potworniej wyglądała przy piękności drugiej, aby wdzięk téj ostatniej jaśniał przed nim, ośniewający jak słońce, ujrzany przez pryzmat porównania.

Dotąd August całą siłą woli starał się nie rozumieć uczucia, które go pociągało do Wandy; oddalał od siebie i odpychał chwilę, w której, jak przewidywał, spojrzeć mu w siebie samego przyjdzie. Czuł, że w piersi jego burzyło się coś i wrzało, nakształt wulkanicznej głębi przed wybuchem, ale nakazywał milczenie burzom swoim, bo niewyraźnie przeczuwał, że, gdy im wodze puści choć na chwilę, będzie musiał

wyrzec się nawet widoku istoty, która była promieniem jego życia, czarem jego oczu, natchnieniem jego ducha.

Tęsknił za nią, gdy jej długo nie widział; zdawało mu się wtedy, że słońce nie świeci na niebie i powietrza mu brak do oddychania. Śród pracy codziennej, gdy, po kilku minutach zapomnienia, pomyślał o niej, doświadczał olśnienia wzroku, i przez kilka sekund nie widział liter, które przed chwilą nakreślił na papierze. Często uczuwał w sercu ból wielki i przeczuwał w nim większych jeszcze boleści zapowiedź, ale zamykał oczy, przed wzrok wyobraźni przywoływał postać i lice Wandy, wpatrywał się w nie i uspakajał.

Gdy o zmroku siadywała ona przy fortepianie i snuła pasma melodyi, które teraz dziwnie smętne i podniosłe z pod rąk jej płynęły, zdawało mu się, że nad jej czołem, białością śród mroku świecącym, widział koronę z promieni, jakimi na obrazach uwiecznani bywają święci, a po sukni jej białej migotał przed jego oczyma rój gwiazd...

Widywał ją często we snach, ale zawsze unoszącą się nad nim wysoko — wysoko; tylko skraj leciuchnej jej szaty muskał mu czoło i promienie jej oczu, spuszczonej ku niemu, spływały mu prosto w źrenice. W sennym marzeniu, drżący cały, pełen niezmierniej rozkoszy i boleści zarazem, wyciągał ręce, aby pochwycić miękkie fałdy jej sukni, lub na mgnienie

oka choćby dotknąć dłoni białej. Ale daremnie—podnosiła się coraz wyżej, coraz dalej i rozwiewała w przestrzeni, niedosięgła, jak gwiazda, niepochwytana, jak woń lilii.

Kiedy budził się ze snów tych, cierpiał, bo niewyraźny głos mówił mu, że, jak we śnie, tak i na jawie, ona dla niego to jak złota chmurka na niebiosach, ani ująć jej, ani nawet dotknąć nigdy mu wolno nie będzie. Było jednak głos niewyraźny, który mu tak mówił, bo nigdy myśli swój nie pozwalał długo zapytywać serca, a sercu wzbraniał podawać myśli zagadkę swą do rozwiązania.

Ile razy rozum, nawykły do pytań, wciskał się w tajnie uczuć, by je rozświetlić i po imieniu nazwać, tyle razy upornie wołał do siebie samego:

— Kocham ją, jak siostrę! uwielbiam, jak anioła!

Wtedy znowu głos niewyraźny w nim się odzywał, głos rozumu czy sumienia, i kłamał zadawał jego słowom. Ale on głos ten tłumził, uciekał od niego; gdy go posłyszał w sobie, starał się co najwięcej mówić, ruszać się, pracować, aby go jak najbardziej oddalić od siebie, aby go nie słyszeć.

Aż oto przyszła chwila, w której niepodobna mu już było stłumić głosu tego, lub uciec od niego; chwila, wywołana wstętem, jaki poczuł do Anastazyi, przybranęj w łachmanki młodości, i ślepym jej gniewu i namiętności wybuchem.

I dlaczegoż jeszcze, jakby trafu szyderstwem, w tej

samój chwili, białe ramię Wandy otworzyło przeciwległe okno i śliczna, drobna jej postać błysnęła przed jego oczyma?..

Nagle we wnętrzu jego odbyło się straszne przesilenie; własną ręką rozdarł zasłonę, którą dotąd sam przed sobą okrywał głęb' swego serca, spojrzął w te tajnie, które dotąd lękał się wzrokiem nawiedzać, i po raz pierwszy zawołał do samego siebie: kocham ją! kocham!

To, co we mgle było, rozwidniło się; niewyraźne stało się jawném, cień przybrał formę.

A z tego światła, z tej jawy, z tych kształtów, w które nareszcie przyoblokły się uczucia jego, wystrzeliła błyskawica straszna, uderzyła o mózg Augusta i na chwilę poplątała mu myśli tak, że nie wiedział, ani dokąd dąży, ani gdzie się znajduje, ani co go otacza.

Idąc przed siebie, jak ślepy i głuchy, utracił całkiem pojęcie i poczucie zewnętrznego świata i cały zatrzęsł się w swém wnętrzu, okiem pamięci, myśli i przeczucia mierząc swą przeszłość, teraźniejszość przyszłość.

Rzucił pytanie przeznaczeniu: dlaczego nie dało mu tego, czego najbardziej potrzebował z natury swojej, to jest: domowego spokoju i szczęścia? Są ludzie na ziemi, dla których to szczęście i spokój jedną kartą życia jest tylko; kartą, która, wydartą z księgi istnienia, nie czyni jej wielkiego uszczerbku. Takimi

ludźmi są wielcy mężowie czynów i idei, albo lekkie motyle w ludzkiej postaci, bez rozumu i głębszych uczuć, upędzające się za płochami i bezcelowymi igraszkami. A on był z tych, dla których miłość jest celem, cisza domowa—światem. Gwar ludzi, blask tryumfów, szal zabaw — nie pociągały go; artysta i marzyciel, potrzebował spokoju, owianego miłością, i źródła natchnień słodkich a świętych, które-by mógł czerpać w ciszy domowego ogniska, strzeżonego przez ukochaną kobietę.

Dlaczegoż właśnie los spletał go z istotą, która, zamiast spokoju i szczęścia, dała mu same burze naprzód, a potem napełniła mu dom chłodem grobowym, połączonym ze wstrętnym płomieniem, buchającym chwilami z wypalonego ogniska jej zwiędłej piersi?

Spojrzał w przeszłość i zmierzył okiem lata spędzone z Anastazyą. Przypomniawszy sobie te straszne chwile, w których serce jego, rozrywane wstrętem do tej kobiety i litością dla niej, traciło stopniowo ogień natchnień, napełniający je wprzód; jak odlatywały od niego dobre duchy, co go uczyniły artystą, jak świat sztuki mglił się coraz bardziej i zniknął mu z przed oczu, jak chłód i gorycz zalewały mu pierś, tak swobodnie oddychającą, tak ogniste kochającą świat cały, wtedy, gdy jeszcze poczuwał się swobodnym w marzeniach swych, uczuciach i nadziejach młodzieńczych. Przypomniawszy sobie te chwile rozpa-

czne, w których myślał, że nazawsze tracił już najlepszą część samego siebie, i inne jeszcze, gdy od mroźnej i niemiłej wracając pracy, znajdował w domu albo grobowy chłód i milczenie, albo jęki choroby, albo, co było najgorszym a najczęstszym, konwulsyjne rzucania się i burze istoty nieszczęśliwej, którą mu honor i uczciwość strzedz i szanować kazały.

Przyszły mu na pamięć długie bezsenne noce, spędzone w pracy lub w rozmyślaniach smutnych, i dłuższe jeszcze od nich dni, miesiące i lata, w których żaden płomyk gorętszego uczucia, żaden błysk poezji nie rozświecił ciemnych dróg jego, po jakich postępował cierpliwie i w milczeniu, jak wół, swe jarzmo po monotonnych brzdach ciągnący.

Aż oto nagle, niespodzianie, na niebie jego życia zjawił się ten błysk i ten płomyk.

Zdawało-by się, że wszystkie marzenia, jakie miał kiedykolwiek, zlały się w jedną formę i ukazały się mu w postaci Wandy. Zawsze, od najwcześniejszej młodości, ideałem kobiety była dla niego dziewczyna czysta, jak kryształ, a piękna, jak księżniczka średnio-wiecznych podań, smętna, łagodna, pojętna i marząca.

O innych, o żywych, o namiętnych, ognistych a świetnych, nie marzył nigdy; mógł-by się może zająć niemi na chwilę i na chwilę rozszaląc dla nich; ale taka, tylko taka mogła rozbudzić w nim uczucie

głębokie, tylko taka była zdolna wskrzesić w jego sercu natchnienia, które miał za umarłe.

Ukazała się i wskrzesiła je... czuł, że żyć zaczął na nowo, a patrząc na nią i patrząc w siebie, pytał: czémże mogło-by być życie, obok takiej istoty spędzone? czémże-by mógł stać się on sam, gdyby mu wolno było czerpać miłość i natchnienie z jej serca i oczu?

I zdawało mu się, że gdyby z nią na zawsze pozostał, stał-by się królem w cudownej sztuki krainie, dorósł-by wysokości mistrzów, których wielkość wielbił, wstąpił-by duchem na wyżyny, jakich tylko wolno jest na tym świecie człowieczej dosięgnąć myśli. A gdy mu się tak zdawało, czuł bezwiednie, że się nie mylił, i w istocie tak było. Rzadkie bywają kobiety, któreby same posiadały bozki dar natchnienia; ale natura wynagrodziła to im, czyniąc je często natchnień źródłem dla tych, co je ukochają. Laura i Beatrycze nie śpiewały same pieśni podniebnych, ale wlały je w piersi i usta swych wybrańców. Gdyby się z blizka przypatrzeć tej subtelnej i pełnej tajemnic tkaniu, która się bytem społecznym nazywa, kto wie, czyby nie można pod każdym wielkim czynem, pod każdą wypowiedzianą światu wzniosłą myślą mężczyzny, dojrzeć dobroczynnego kobiecego wpływu?

Więc mógł-by zostać szczęśliwym człowiekiem i natchnionym mistrzem sztuki; codziennie z rana piękna jej twarz i łagodne słowo, odświeżały-by w pier-

si jego źródło miłości i uniesień, a codzień wieczorem ona w zachwyceniu słuchała-by pieśni, płynących z jego piersi, a on, patrząc na nią, słał-by swą duszę pod gwiazdy, a jęj do stóp rozścielał coraz nowe, pod gwiazdami zebrane, muzy swęj twory...

O, myśli, pełna zachwytu! ona nietylko słuchała-by jego pieśni, ale obok niego tworzyła-by je sama, bo i ona była artystką, bo i jęj serce gorzało miłością dla jego ukochanęj sztuki, bo i jęj dusza dziewicza i czysta umiała wznosić się pod stropy niebios i, jak słońce, rozpalać się światłością i ogniem!

Więc razem, razem popłynęli-by w krainy nieskończoności, w krainy natchnień świetnych, dostępne tylko niewielkięj liczbie wybranych; miłość wzajemna była-by cudownym statkiem, na którym pływali-by śród eterów zachwytu; duchy ich dwa, jak bracia rodzeni, na jednęj unoszone fali, przebyły-by żywot ziemski, kochając i tworząc.

A kiedyby, po owych godzinach wspólnego zachwytu i pogrążenia we wspólnie ukochanęj sztuce, oczy ich otwierały się na świat powszedni, ziemski i rzeczywisty, ona-by w nim znajdowała głęboke przywiązanie męzkiego serca i wsparcie energicznego męzkiego ramienia, które-by nigdy jęj nie zawiodło, nigdy jęj nie chybiło, on z ust jęj różanych czerpał-by zdroje niewymownych rozkoszy, a przed jęj kochającą łagodną postacią trudy i troski życia znika-



ły-by mu z oczu, jak drobne chmurki znikają na niebiosach przy świetnym słońcu wejściu...

Tak marzył August.

Marzył, jak człowiek o młodym nieużytem sercu, pragnącym ziemskiego szczęścia i ziemskich rozkoszy, i jak artysta, którego duch długo szukał po ziemi ducha bratniego, aby z nim razem w powodzi melodyi wznieść się nad warunki otaczającego bytu, nad tłumy, nad gwary, wysoko, tam, kędy dwie dusze mogły-by wśród ciszy rozmawiać z sobą pieśnią tylko i miłością.

I znalazły wreszcie jego oczy ten czar ziemski, za którym tęskniło serce, i znalazł duch upragnionego ducha bratniego...

I marzenie spełnić się mogło, bo, niby przez zasłone, z różanych promieni utkana, widział, że on był dla niej tém, czém ona dla niego...

O, myśli, pełna rozkoszy bez granic!

Oczy jej zatrzymały się na nim, jak jego wzrok na niej spoczął; widział jej nagłe bladości i rumieńce, dojrzywał błyskawiczne chmury żalów i tęsknot, mknące po jej tak pogodnym wprzód czołe. A czyliż omylił się w znaczeniu tych dwóch łez drobnych, które, nie dawniej jak dnia poprzedzającego, widział drżące w głębi jej źrenic i łamiące w sobie odbłask szafirowych oczu, niby dwie kropelki rosy, przeświecające w sobie niebo...

Tak, ona go kochać mogła... kochała go już może...

Na tę myśl wszystkie blaski, jakie mogą istnieć na licu ludzkim, trysnęły na twarz Augusta. Ale w mgnieniu oka zniknęły, a zastąpiła je ciemna, rozpaczna chmura...

A jednak ona nigdy, nigdy nie będzie moją!

Znaleźć i stracić, spotkać się i rozłączyć, ukochać i nie móc powiedzieć: kocham! zostać ukochanym i nie mieć prawa zażądać nawet przelotnego spojrzenia miłości! — o rozpaczy!

Dlaczegoż więc natura serca nieszczęśliwego człowieka w głąz lub lód nie zamieni? czemu nie rzuci mu zasłony na oczy, aby nie widział piękności? Co uczynił złego na ziemi, aby los miał prawo tak szydzić i znęcać się nad nim?

Takie pytania zadawał sobie August i podniósł wzrok ku niebu, jakby chcąc je wyzwąć, aby mu odpowiedziało.

Podniósł wzrok, i stanął na miejscu, jak wryty. O kilka kroków przed nim, twarzą zwrócona ku niemu, chodnikiem ulicy postępowała Wanda. Ujrawszy z dala Augusta, przystanąła także na mgnienie oka, ale wnet postąpiła dalej zwykłym sobie, pełnym wdzięku i powagi krokiem.

Kilka chwil zbliżali się tak ku sobie, powoli, aż stanęli tuż naprzeciw siebie.

Oboje blade mieli twarze. ale uśmiech przywołali na usta.

— Byłam u pani Rumiańskiej — wyrzekła Wan-

da, podając na powitanie rękę Augustowi — a teraz wracam do domu.

— Pozwoli pani sobie towarzyszyć? — zapytał August.

Wanda podniosła na niego oczy z lekkim zdziwieniem, bo dźwięk głosu jego był inny jakoś, niż zwykle, ale po chwili twierdząco a uprzejmie skinęła głową.

Poszli więc dalej razem obok siebie. Z razu zamienili kilka potocznych frazesów, ale nagle umilkli i zdawało się, że myśli ich gwałtownie odciągane były od powszednich przedmiotów, o których mówić próbowali. Ulica, którą szli, a na której znajdowało się mieszkanie Wandy i Augusta, spuszczała się z wolna po spadzistości góry, a u końca jej płynęła rzeka.

Oboje młodzi ludzie nie wiedzieli sami, jak minęli bramy swych mieszkań i znaleźli się za murami miasta, na wyniosłym wybrzeżu, u którego stóp z cicha szumiał szeroki pas wody. Stanęli.

Słońce zachodziło i całkiem prawie skryło się już za las, ocieniający przeciwległe wybrzeże; za nimi było wzgórze, porośnięte gęsto karłowatą sośniną; młody księżyc przeglądał się w spokojnym błękitnie rzeki, po którym w oddali uknęło chyżo kilkanaście łódek rybackich. Dalej jeszcze pod wzgórzami stały podróżne tratwy, obciążone drzewem czy zbożem, i spoczywały przy lądzie, a na nich zapalały się stopniowo szerokie czerwone ogniska, albo drobniutkie migo-

jące światełka. Cisza zupełna panowała w powietrzu, gwar miasta niewyraźny dochodził z za wzgórzy i łączył się z drzew szumem.

Wanda i August byli sami — sami wobec piękności i cichego smutku w półjesiennego już wieczoru. Wanda wiodła wzrokiem po otaczających przedmiotach, Augusta spojrzenie było w twarz jej utkwione.

Błada była i zmieniona, oczy jej nieco zapadły i płonęły niezwykle, usta lekko drżały.

Od trzech dni, to jest odkąd dziwne opowiadanie pana Gaczyckiego pobudziło ją do myślenia nad tem, co się z nią od pewnego czasu działo, Wanda łamała się ze swemi myślami, starała się zrozumieć siebie; ale myśl jej, nieposłuszna i niedoświadczona, nie potrafiła ani razu nazwać po imieniu uczucia, które w sercu jej grało.

Miała tylko niewyraźne przeczucie wielkiej boleści, czuła trwozę, a zarazem tęsknotę nieznaną, nieokreśloną; a gdy zamknęła oczy, zdało się jej, że słyszy głuchy szum palmowej puszczy wschodniej i widzi promyk błady, ślizgający się po strunach złotej lutni, i śnieżną magnolią, pomiędzy palm liśćmi smutnie schyloną i więdnącą.

Gdy budziła się z tych fantastycznych widzeń, pytała siebie: „byłże-by to on promieniem, ożenionym z żółtą malwą, a ja byłam-by magnolią?”

Wtedy zdęjmował ją żal wielki, a tajemnicza jakaś siła pociągała ku oknu i kazała patrzeć na prze-

ciwległe okna Augusta, i szukać za szybami stęsknionem okiem cienia jego postaci.

I dlatego, że tak się z nią działo, August spostrzegł był w jej źrenicach dwie łzy, których powstrzymać nie mogła, i dlatego także stała ona teraz obok niego blada, niema, zadumana, jak piękny posąg, oczekujący gromu, który wnet ma w niego uderzyć.

Patrzyła na łódki rybackie, które w dali ślizgały się po powierzchni wody. Wszystkie płynęły z razu blisko siebie, tworząc ciemną plamę na błękicie rzeki, i słychać nawet było niewyraźny odgłos rozmów rybaków, odbijających od lądu.

Nagle z gęstej grupy łódek wyslizgnęły się dwie najlżejsze, najszybsze, i pomknęły chyżo w stronę, w której stali August i Wanda.

Wanda pobiegła za nimi wzrokiem, i wyrzekła półgłosem, tknięta snadź jakąś myślą tajemną :

— Czy popłyną dalej razem, czy się rozłączą ?

Zaledwie to wymówiła, dały się słyszeć głośne uderzenia wiosłem; łódki, nagłą roztrącone siłą, rozbiegły się w różne strony i w mgnieniu oka były już daleko od siebie. Na jednej z nich odezwał się głośny, wesoły śmiech rybaka, z drugiej popłynęła smutna piosnka. Jedna łódka zdawała się śmiać, druga narzekać, a echa porwały śmiech i odgłos żałości, i nad głowami Wandy i Augusta poniosły je na wzgórze — daleko. Wanda i August spojrzeli na siebie.

— Rozłączyły się! — szepnęła Wanda ledwie do-  
słyszalnym głosem, a zarazem dwie drobne łzy zno-  
wu ukazały się w jej źrenicach i szybko zniknęły za  
spuszczającą się powieką.

Augusta oczy zapłonęły, silny rumieniec oblał mu  
czoło, zdawało się, że już, już powie słowo, które wy-  
rywało się mu na usta; gdy nagle powstrzymał się,  
przeciagnał rękę po czole, i niezmiernym wysiłkiem  
woli przywróciwszy fizyognomii wyraz zwyczajny, wy-  
rzekł z zupełnym prawie spokojem:

— Czyś pani zwróciła na to uwagę, że, gdy roz-  
stały się łódki te, jedna z nich popłynęła dalej weso-  
ło i ze śmiechem, druga z pieśnią żalosną?

Wanda podniosła na niego spojrzenie.

— Byłóż-by tak samo i z ludźmi? — spytała z wolna.

August milczał chwilę, wzruszenie ogarniało go  
coraz bardziej.

— Tak — wyrzekł zniżonym głosem — gdy na  
drogach ziemskich rozstają się dwa serca przez chwi-  
lę złączone, najczęściej jedno z nich, swobodnie koły-  
sane falami życia, mknie dalej śród nowych uczuć  
i nowego wesela, a drugie...

Zatrzymał się.

— A drugie? — przeciągle zapytała Wanda.

— Cóż pozostaje drugiemu? — pytaniem odpo-  
wiedział August.

Wanda milczała długo, potem podniosła głowę,  
jakby w natchnieniu, z twarzą smutną, ale odblaskiem

szczytnęj myśli opromienioną, i, patrząc na Augusta, odrzekła:

— Drugiemu zostaje na pociechę i siłę życia czar pieśni, którą echa porwą i poniosą w świat, aby jój ludzie słuchali, a słuchając, uczyli się kochać i być wielkimi!

August w milczeniu wziął rękę Wandy i do ust ją przycisnął ze czcią gorącą.

W tej samej chwili, tuż po-za nimi, zaszeleściała obrastająca wzgórze karłowata sośnina, i z pomiędzy nięj wychyliła się czworogranna męzka głowa, okryta brudno-płowemi włosami, szare wypukłe oczy utkwiliły w młodej parze z wyrazem oburzenia, z przerażeniem graniczącego, i usta nagle, niespodzianie wystrzeliły, niby z pistoletu, wyraz:

— Przepraszam!

Było to mgnienie oka. Czworogranna głowa wnet skryła się znowu między gęstą sośninę i słychać było tylko ciężkie kroki, oddalające się i łamiące z trzaskiem suche gałęzie, zalegające gęstwinę.

Wanda i August nie widzieli i nie słyszeli zjawiska. Młody mężczyzna sekundę tylko trzymał w swęj dłoni rękę dziewicy i wnet ją uwolnił, ale spojrzenia ich tonęły w sobie wzajemnie.

August mówił do Wandy głosem drżącym od wzruszenia, którego całkiem pokryć niepodobna mu było:

— Jak te łódki, przed chwilą płynące obok siebie po wodzie, tak drogi nasze zeszyły się zrządzeniem tra-

fu... na chwilę. Wkrótce roztrąci je przeznaczenie. Pani pójdiesz dalej przez życie, swobodna, wielbiona, i będziesz szczęśliwa tak, jak na to zasługujesz... mnie na wsparcie pozostanie męztwo, cecha prawdziwego człowieka, na pociechę i wspomnienie o pani— pieśń, którą pani wskrzesiłaś w mój piersi... Jeśli kiedy echo tej pieśni doleci do ciebie... pomyśl o mnie...

Nie mógł dalej mówić... posłyszał ciche, tłumione, a niepodobne do stłumienia, łkanie Wandy.

Zadrzał cały.

— Wando! — zawołał, a zdawało się, że wyraz ten niezależną od niego mocą wydarł się mu z piersi. Wyciągnął ramiona i miał już pochwycić w objęcia i przycisnąć do piersi wiotką, kłoniącą się ku niemu postać dziewicy; ale znowu i nagle powstrzymał się, opuścił ręce, zwiesił głowę i tylko jęknął głucho, jak gdyby mu od tej walki pękło coś w sercu.

Wanda wyciągnęła do niego rękę, dwa strumienie niepowstrzymanych już łez z wolna płynęły po białych jej policzkach.

— Panie Auguste! — rzekła — jestem młodą, niedoświadczoną i nie rozumiem dobrze, co się ze mną dzieje... wiem tylko, że cierpię bardzo, ale wiem także, że cierpienie to znieść potrafię z męstwem, które, jak powiedziałaś, cechą jest prawdziwego człowieka. Dałeś mi pan wiele dobrego... przy tobie umysł mój wzrósł i dojrzał... przez ciebie nie jedna myśl wzniosła i szlachetna zrodziła się w mój głowie... Jeżeli



koniecznie trzeba, aby rozeszły się drogi nasze, abyśmy się wyrzekli tój przyjaźni, która nas połączyła...

Przestała na chwilę mówić, głos jęj zamierał od żalości, usta drżały, a pierś falowała szybko. Ale podniosła twarz ku niebu, na które zaczynały już wstępować gwiazdy, i mówiła dalej pod wpływem natchnienia.

— Wszak życie nasze ziemskie krótkie... kiedyś może spotkamy się znowu, na której z tych gwiazd, co tam w górze świecą... tam może nie będzie już złośliwych bogów leśnych, co rozłączają promień złoty z magnolią białą... tam nie będzie może boleści ani rozstania... Dziecinne to zapewne marzenia, ale niechże choć marzyć woino będzie sercu, które cierpi... I cóż wreszcie na ziemi nie jest marzeniem, snem? Wszak i spotkanie nasze, i przyjaźń nasza, to sen, który wnet smutna rzeczywistość rozwieje... Panie Augustcie! ja o śnie tym nie zapomnę—nigdy!

— A dla mnie sen ten będzie życiem! — z cicha odpowiedział August.

Odniósł już nad sobą zupełne zwycięstwo, burza namiętności umilkła mu w piersi i zgasła we wzroku. Żaden wyraz, który-by mógł zakłócić świętą czystość myśli dziewicy, stojącej przed nim, nie wydzierał się na jego usta. Patrzył tylko na Wandę z nieskończonym uwielbieniem i z głęboką boleścią, która mu była zapowiedzią długiego po niej żalu i ciężkiej za nią tęsknicy.

Wanda owineła się szerokiem okryciem z białego kaszmiru, bogate fałdy opłynęły jęj postać na wzór draperyi posągów. Postąpiła ku miastu i wyrzekła:

— Pójdźmy! matka moja niespokojną o mnie będzie!

Szybko zaczęli wstępować na górę i po chwili zniknęli między rzędami domów miejskich.

---

## XXII.

Wieczór się zbliżał; pani Olimpia Rostowiecka weszła do swego salonu, zastawionego świeżutkimi i kosztownymi meblami, o błękitném adamaszkowém pokryciu. Bardzo jęj było do twarzy w tém otoczeniu, bo kolor niebieski daleko lepiej harmonizował z cerą jęj twarzy i barwą włosów, niż poprzednie amarantowe obicie jęj sprzętów.

Wyszła ze swego budoaru, strojna, jak zwykle, w jasnej jedwabnej sukni, ze wstęgami we włosach. Dnia tego znowu oczekiwała licznych gości, zaproszonych na herbatę.

Tymczasem pusto jeszcze było w salonie, tylko dwa wielkie zwierciadła z kolei odbiły jęj świetną postać. Stała przed jednym z nich, przypatrywała się sobie przez chwilę, potem wzrokiem obiegała salon, zatrzymała oczy na każdym prawie z miękkich błękitnych sprzętów i... uśmiechnęła się.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, ale oprócz tego w uśmiechu jój był przykry jakiś wyraz. Kto-by ją tylko w towarzystwach widywał i nagle, a z ukrycia, ujrzał w samotności, z trudnością mógł-by uwierzyć, że była to ta sama kobieta. Głowa jój podnosiła się zawsze wysoko, jakby z przyzwyczajenia, ale na czole i w oczach nie było tój szlachetnej wyniosłości i dumnej pogody, jaka ją cechowała między ludźmi. Przeciwnie, piękne brwi jój zsunięte były, zda się pod wpływem tajemnego knowania niespokojnej myśli; około ust rysowały się drobne zmarszczki, z których w jednej oko fizyognomisty dojrzało-by rodzącą się gorycz, w drugiej szyderstwo, w innej jeszcze przygnębienie moralne, a w innej wyzwanie, rzucone sumieniu. Z błękitnych źrenic strzelały skośne, blade promyki, na których z głębin duchowych kobiety wydobywały się: obłuda, fałsz, trwoga upadłej duszy, co oko w oko patrzy upadkowi swemu, ale przed ludźmi nieprzeniknioną powlec się pragnie tajemnicą.

Malarz albo snycerz, spotykając panią Olimpią w towarzystwach, mógł-by ją wziąć za wzór do postaci dumnej i wyniosłej średniowiecznej damy, która, w rycerskiej postawie stojąc na baszcie swego obronnego zamku, wskazuje otaczającym jaśniejący w dali herb swych dostojnych przodków z napisem: *noblesse oblige!* Ten sam malarz lub snycerz, ujrzawszy ją, samotnie stojącą pośrodku jój pięknego salonu, wy-

malował-by lub wyrzeźbił, patrząc na nią, obraz fałszywój, pełzającój istoty, która na gorzką myśl, jaką jój podpowiada sumienie: „upadłaś!” mówi z szatańskim tryumfem: „nikt o tém nie wie!” — „Ale czy nikt się nigdy nie dowie?” szepce jój do ucha trwoga, która, jak żmija, ślizga się po jój piersi i wstrząsa ją dreszczem.

„Nikt! nigdy!” mówi do siebie kobieta; jak pancerzem nieprzenikliwym, odziałam się dumą szlachezną, z poczucia mego rodu i położenia płynącą, nie dopuszczającą cienia nikczemności żadnej; jako broń, odpierającą ode mnie wszelkie podejrzenia, mam pełne dłonie kamieni, które w imię cnoty niewieściój ciskam na głowę każdój kobiety, nie pytając o winę jój lub niewinność, ale dlatego, aby przez to ukazał się ludziom wstręt mój do występku i pogarda do wszystkiego, co nie jest tak szlachetne i wyniosłe, jak moje własne poczucie! Cha, cha, cha!

Rozśmiała się prawie głośno, oczy jój strzeliły skośnymi błyskami, wkoło ust drobne fałdziki poruszały się chytrze i szyderczo. Była w téj chwili prawie brzydka.

Tak stała długo, zamyślona i nieruchoma. Potém podniosła głowę wysoko, brwi jój rozsunęły się, a na twarzy, rozjaśnionej światłem, podobném do światła żółtych błyskawic, wydobywających się z łona chmur ciemnych, wyraźnie odbiła się myśl:

— Głupi ludzie! jak łatwo ich zwieść! jak łatwo

oszukać! Któż z otaczających mnie z daleka, czy z bliska, zrozumiał, dlaczego odziałam się w pancerz pogodnej i nieprzystępnej dumy, a mowę uzbroiłam w pociski, mające za cel okrywać cieniem zbliżające się do mnie kobiety, abym na ich tle ciemnym sama wyglądała, jak światło? Któż z ludzi przeniknął mnie i odgadnął? kto zdołał w tajemnice moje przedrzeć się przenikliwym okiem?

W chwili, gdy tak myślała, otworzyły się przed nią drzwi i lokaj zaanonsował w progu:

— Pan Edward Gaczycki!

Na dźwięk tego nazwiska, stanowiący niby odpowiedź dla jej wewnętrznej myśli, Olimpia drgnęła i zbladła, ale po kilku sekundach milczenia wyrzekła pośpiesznie:

— Prosić!

Zarazem twarz jej zmieniła się, w mgnieniu oka stając się tak pogodną, dumną i pewną siebie, jak zwykle. Wszakże dla rozpedzenia może reszty chmur, które przy dźwięku imienia Gaczyckiego nabiegły na piękne jej czoło, podniosła rękę, ale nie doniosła jej do czoła, bo przed oczyma jej załśnił żywym blaskiem wielki brylant pierścienia. Nagłym, bezwiednym prawie ruchem zdjęła go z palca i włożyła do kieszeni, poczem, z pełnym niezwykłej uprzejmości uśmiechem zwróciła się do wchodzącego gościa.

— Czuję do pana głęboką urazę! tak długo nie odwiedzałeś mnie pan! — wyrzekła, z wdziękiem po-

dając rękę Gaczykiemu, a wyraz twarzy jój sprzeczał się ze słowami, jakie wymawiała. Bo, zamiast urazy, miał w sobie niezmierną uprzejmość i ostrożną wprawdzie, niemniej jednak widoczną, wabność.

— Przybyłem dziś, posłuszny zaproszeniu, otrzymanemu od pani — odpowiedział grzecznie, ale ozięble Gaczycki.

Chmura przebiegła po czole Olimpji i zdawała się oznaczać myśl: To człowiek z marmuru! straszny człowiek!

Usiedli.

— Mój Boże! — rzekła po chwili piękna gospodyni — już to my kobiety mamy zawsze to szczęście, że otrzymujemy najczęstsze odwiedziny osób obojętnych nam lub antypatycznych, a nie mamy mocy pociągnięcia do swego domu tych, z którymi-byśmy chciały przyjazne zawrzeć stosunki!

— To-by się sprzeciwiało francuzkiemu przysłowiu, które mówi, że czego chce kobieta, tego chce sam Pan Bóg — odparł z uśmiechem Gaczycki.

Uśmiech jego w przelocie pochwyciła Olimpja, a oczy jój strzeliły skośnym promieniem, piszącym w powietrzu myśl: „uśmiechnął się! to dobry znak!” Usta zaś jój wyrzekły:

— Nigdy, jak teraz, nie pragnęłam, aby przysłowie to zawierało w sobie prawdę!

— Czy pani masz jakiś cel upragniony, do którego dążysz? — obojętnie zapytał gość.

Przywiązała do twarzy jego spojrzenie swoich wielkich, błękitnych oczu, strzelających w tój chwili żółtym blaskiem błyskawic. Blask ten zdawał się mówić: „celem moim jest położyć cię u stóp moich!”

Usta jój zaś wyrzekły ze śmiechem:

— Celem moim jest nie nudzić się nigdy tak, jak wczorajszego wieczoru.

— Ktoż był powodem, żeś pani tak nieszczęśliwie wczorajszy wieczór spędziła?

— Pan As — odpowiedziała kobieta, bawiąc się niedbale koronką rękawa. — Spędziłam z nim kilka godzin sam-na-sam, śmiertelnie nudnych kilka godzin!

Gaczycki podniósł na nią wzrok, który na niedostrzegalne dla niój mgnienie oka zamigotał ironią.

— Jednakże — odparł gość całkiem obojętnie — pan Spirydyon jest człowiekiem bardzo oświeconym i miłym...

— Jest to najantypatyczniejszy człowiek, jakiego znam! — z energią wyrzekła Olimpia.

Gaczycki utkwiał w niój przez chwilę wzrok nic nie mówiący wprawdzie, ale wytrwały. Olimpia wzrok ten wytrzymała bez drgnięcia powieki; owszem, oczy jój mówiły wyraźnie: „a ten, kto się w tój chwili przy mnie znajduje, jest mi przeciwnie bardzo... bardzo sympatycznym!”

— Wszakże — zaczął po chwili Gaczycki — nie pojmuję, dlaczego pani, nie lubiąc towarzystwa pana



Asa, zadajesz sobie przymus, tak często przyjmując go u siebie.

Chociaż powiedział to zwykłym sobie, obojętnym głosem, zadrgał w nim pewien dźwięk, którego pokryć nie mógł, czy nie chciał, bo po czole Olimpii znowu przebiegła chmura z myślą: „on wie wszystko! to straszny człowiek!”

Zaśmiała się w pół kapryśnie, w pół zalotnie i odpowiedziała:

— Znoszę częstą bytność pana Asa w moim domu jedynie przez wzgląd na mego męża, który ma dla niego szczególniejszy afekt oddawna.

— Jesteś pani zatem wymagającą w wyborze towarzystwa — ozwał się Gaczycki.

— O, tak! — odparła Olimpia. — Może się to komu wyda zarozumiałością, albo pychą, niemniej jednak tak jest, że cenię siebie i swoje towarzystwo wysoko, a zatem mało jest ludzi, z którymi rada jestem zawierać bliższe stosunki.

Oczy jej mówiły: „z tobą pragnęła-bym je zawrzeć!”

Gaczycki wybornie snadź rozumiał tę podwójną rozmowę, jaką piękna kobieta prowadziła z nim za pomocą ust i oczu, a w tak kunsztowny prowadziła ją sposób, że oczy grały główną rolę i były na podobieństwo ostrożnego złoczyńcy, sięgającego po coś ręką ukradkiem, tak, aby w potrzebie mógł się ukryć

i powiedzieć: nie możesz uczynić mi zarzutu! nie masz na to dowodów!

Uśmiechnął się dwuznacznym uśmiechem, którego istotnego znaczenia nie dostrzegła pani Olimpia, spuszczejaca w tej chwili oczy z wyrazem lekkiego wzruszenia.

— Panie jesteście Sfinxami — odpowiedział. — Któż odgadnie, czego panie żądacie, a co pragniecie odrzucić od siebie? Czy głębia myśli waszych i uczuć zgadza się z tém, o czém zdają się mówić oczy? Jesteście i zostanieie panie zagadkami dla większej części śmiertelnych!

Olimpia słuchała słów tych z uwagą. Nagle oczy jej strzeliły tryumfem. Wyraźnie pomyślała: „Zalicza mnie do Sfinxów i nieprzeniknionych tajemnic, a więc zaczyna wątpić o prawdzie tego, co odgadł i przeniknął o mnie!”

Błysk tryumfu niezmiernie szybko zniknął z oczu Olimpii, za to zamglily się one wzruszeniem i smętkiem. Pochyliła nieco białe czoło, śliczną rękę oparła o stół tak, aby najkorzystniej ukazać ją gościowi, i zaczęła mówić nieco przytłumionym głosem:

— Nie, panie; my nie jesteśmy Sfinxami i nie kryjemy w sobie nieprzeniknionych tajemnic. Wydajemy się często takimi dlatego, że ludzie, przed którymi rade-byśmy otworzyć serca nasze, oddalają się od nas najczęściej, a napastują nas ci, dla których serca te zamknięte na zawsze. Ileż razy kobieta, na

pozór szczęśliwa i pogodna, w gruncie cierpiąca i pełna smutku, widzi przed sobą człowieka, do którego pociąga ją tajemne i nieprzепarte uczucie, a widzi go tak obojętnym i nieprzenikającym, że nie spostrzega nawet walk jęj i cierpień. Naturalnie, że duma i uczucie godności własnej nie pozwala jęj wtedy przemówić językiem szczerości; ale gdyby oczy jego spoczęły na niej z sympatyą i współczuciem, powiedziała-by mu: jesteś tym, dla którego nie chcę być Sfinxem ani zagadką! jesteś tym, dla którego poświęciła-bym dumę moję i zasady, któremi się przez życie całe rządę, dla którego zstąpiła-bym nawet z czystej i wysokiej pozycyi, w jakiej mnie los umieścił! Powiedziała-by mu słowem: jesteś pierwszym, który posiadł serce moje! I oto, nie miała-by już przed nim tajemnic.

Całą tę tyradę Olimpia wygłosiła z mocnym wzruszeniem. Pierś jęj falowała, a oczy z wyrazem skromności i onieśmienia spuszczały się na kwiaty kobierca, zaściełającego posadzkę. Urwała mowę nagle, niby powściągając się, i płomieniste spojrzenie podniosła na gościa.

Ale twarz Gaczyckiego, posagowo prawie zimna i obojętna, nic nie wyrażała. Gdyby Olimpia parę sekund pierwěj spojrziała na niego, widziała-by, jak z bladych oczu obojętnego pana piorunowa i przygniatająca strzeliła... pogarda:

Olimpia nie dojrzała pogardy, ale wielką, nieprze-

łamaną obojętność. Czoło jej zaszło chmurami, wkoło ust zbiegło się znowu kilka fałdzików, a ze źrenic wyslizgnęły się skośne promyki gniewu, nienawiści i... trwogi.

W tej samej chwili wszedł do salonu, nie anonsując się, pan Spirydyon.

Gospodyni domu powitała nowego gościa zimno i z wysoka, wyraźnie chcąc na to powitanie zwrócić uwagę Gaczyckiego. Nie widać jednak było, aby ten chłód uczynił jakiegokolwiek przykre wrażenie na panu Asie, który wydawał się tylko bardziej znudzonym, niż zwykle. Rozmowa potoczyła się o obojętnych przedmiotach i trwała już z kwadrans, gdy w przyległym pokoju, którego drzwi były zamknięte, dał się słyszeć głos mężki:

— Nie oddam taniiej, jak po rublu! Bój się Boga, Szloma! kartofle nie urodziły w zeszłym roku, a ztąd wiiesz dobrze, że i cena okowity podnieść się musi!

— Ja wielmożnemu panu daję po pięć złotych — odpowiedział inny głos z izraelskim akcentem.

— Po rublu i pieniądze z góry wszystkie!

— Pieniądze z góry! kto to słyszał? na co wielmożnemu panu tyle pieniędzy z góry?

— Na co? na co? a interesa! no, zaczekaj! idę teraz do miasta, za godzinę wrócę! Oj, te interesa!

Przy tych słowach otworzyły się drzwi i do salo-

nu wbiegł raczój, niż wszedł, pan Rostowiecki, w palatocie, z kapeluszem w rękę, ubrany jak do wyjścia.

— A, masz gości, Olimpko! — zawołał — i kochanych, miłych gości — dodał ze zwykłą sobie dobrodusznością. — Jak się masz, Spirydyonku? Rad jestem, że widzę pana, panie Gaczycki! Przebaczcie, panowie, że muszę was opuścić, bo przyjechałem przed godziną na jedną tylko dobę do miasta i mam mnóstwo interesów. Sprzedaję okowitę, trzeba jesienne podatki płacić... omłot żyta pokazał się mniejszym, niżli się można było spodziewać...

— *Jean* — przerwała pani Olimpia — niczém się więcej nie zajmujesz, jak temi nieznośnemi interesami i gospodarstwem...

Pan Jan pocałował ją trzy razy w rękę.

— Ciężkie, widzisz-bo, czasy, moja duszo! interesów mnóstwo, gospodarstwo trudno prowadzić, a przytém pragnął-bym, aby ci na niczém nie zbywało... A! — rzekł po chwili, rozglądając się po salonie — masz nowe meble, Olimpko! Proszę! zkadżeś je wzięła? bo, o ile przypominam sobie, gdy był tu ostatni raz, nie mogłem w żaden sposób dać ci na nie pieniędzy... musiałaś je zamienić na dawniejsze, z małym przydatkiem pewnie.

Zwrócił się ku gościom.

— Bo to, moi panowie, niema pod słońcem mędrszej kobiety, jak moja Olimpka. Tanim kosztem zdobywa zawsze piękne rzeczy. Znowu ucięła hande-

lek, i ma nowe, błękitne meble, których chciała od dawna...

Na te słowa pana Jana, błyskawiczny, szkarłatny rumieniec oblał twarz Olimpii i wnet zniknął; ale odbłask jego pozostał na czole pana Spirydyona, zarumienioném nieco i pochyloném nad jakimś pismem illustrowaném.

Gaczycki przenosił wzrok z gospodyni domu na jój gościa i kolejne ich rumieńce zdawał się nizać, jak paciorki, na promienie swych bladych, z lekka ironicznych oczu.

— No, żegnam, żegnam państwa — zawołał pan Jan, który nawet nie usiadł. — Bardzo mi przykro, że muszę rozstać się z tak miłym towarzystwem, ale interesa... Oj, te przekłete interesa... Do widzenia, Olimpko!

Znowu trzy razy pocałował żonę w rękę, uściskał gości i wybiegł.

W pół godziny potém, oświetlone rześcicie salony pani Olimpii napełnione były towarzystwem, złożoném z osób dwudziestu kilku lub trzydziestu. W towarzystwie tém znajdowały się znowu, jak wprzód, trzy damy, sukniami swemi składające połowę tęczy. Amarantowa dama, plecami okrytymi białą mantylą, osłaniała, jak zwykle, przed wzrokiem profanów dwie wątpliwych wdzięków swe córki. Zielona wiodła oczyma za siostrzenicą Ludwiką, przechadzającą się po salonie z młodzieńcem, wyglądającym na jój kon-

kurenta. Fioletowa wzdychała, nieznacznie spoglądając na syna, rumianego i barczystego Ignasia, który znowu siedział między piecem a fortepianem, zdając się świadczyć przez stałe zamięłowanie tego siedliska, że piec był dla niego najpożądańszém miejscem, i że niczego więcéj nie pragnął, jak w ciszy i spokoju spędzić żywot w jego sąsiedztwie.

Były tam także młode panny w towarzystwie młodych mężczyzn, krążące około fortepianu, jako około jedyne go przedmiotu, mogącego im dać pole popisu i tryumfu; było kilku obywateli, sąsiadów ze wsi pani Rostowieckiej, zagląających do przyległego pokoju, azali tam lokaje nie rozstawiają stołów do preferansa. Słowem, towarzystwo było w zupełnie takim komplecie, jak przed trzema miesiącami; nie brakło nawet staréj panny, o długiej twarzy i nosie koloru róży, siedzącej sztywnie i niemo, a kiwającej tylko głową na znak twierdzenia lub przeczenia, ani starego kawalera z wielką łysiną, ożywiającego kompanią umizgami, strojonemi do wszystkich naraz panien i dwuznacznemi konceptami, prawionemi na ucho młodzieży.

Centrum salonu i zebrania stanowiła kanapa, na której świetniała piękna gospodyni domu, mając obok siebie amarantową damę i jej córki, a naprzeciw panów Spirydyona i Gaczyckiego. Ogniskiem zaś najbardziej ożywionej rozmowy i dowcipu była rogowa

kozetka, zajęta przez Stasię, w różowej, jedwabnej sukni, i jej męża.

Roznoszono herbatę; towarzystwo piło, jadło, gwarzyło, śmiało się i było bardzo wesołe.

Nagle wzrok gospodyni domu upadł na pana Felixa Rokowicza, co, pomiędzy główną kanapą a rogową kozetką, siedział sam jeden i zdawał się smutnie dumać nad szklanką herbaty, którą trzymał w ręku. Nie o herbacie tej dumał pan Rokowicz: obok niego, niestety! nie było pani Teresy, tego wzoru skromnych niewiast i wiernych małżonek, a osierocony pan Rokowicz wyglądał, jak czuły gołąb' po odlocie ukochanej gołębiczy. Pani Olimpia zwróciła się ku niemu.

— Panie Rokowicz — przemówiła — cóż nas pozbawia przyjemności widzenia dziś między nami kochanej Tereni?

Głos gospodyni domu zbudził z zadumy pana Felixa; podniósł głowę, ukłonił się i odpowiedział:

— Terenia... tedy... kazała panią przeprosić, że dziś u niej nie będzie... ale, a więc... głowa ją boli... dziś z rana tedy była u pani Starowolskiej, i więc wróciwszy, rozchorowała się na głowę... bo to państwo wiecie, że Terenia bardzo często... tedy...

Niewiadomo, co miał dalej powiedzieć, bo komuś z audytoryum zbrakło cierpliwości wysłuchania do końca jego zajękliwej i pełnej przysłów mowy.

— Jaka to szkoda — odezwał się ktoś — że nie zobaczymy dziś tej ślicznej, dobrej pani Teresy!



— O, to prawda! — zawtórowano — co to za słodka, uprzejma, pełna zalet osoba!

— To wzór żon!

— I wzór prawdziwej skromności!

I długo w ten sposób chór pochwalny opiewał cnoty i zalety pani Teresy.

Czy pan Rokowicz słyszał tę rozmowę o swojej żonie? nikt-by nie odgadł, tak był zatopiony w swém dumaniu. Oczy utkwiał w trzymaną szklanekę herbaty i kiedy niekiedy kiwał głową, jakby go zajmowały wielce gorzkie i smutne myśli. Nagle wychylił herbatę z takim giestem i taką miną, jakby wypijał do dna kielich żółci i octu; wyprostował się, prostopadle wyciągnął ku towarzystwu prawicę i nagle wymówił:

— Przepraszam!

Na to sakramentalne słowo, wyrzucone jak z procy, kilkanaście osób przestało rozmawiać i spojrzało na niego. Pan Rokowicz obiegił wzrokiem całe towarzystwo i powoli spuścił prawicę.

— Przepraszam! — powtórzył — wszak nikt z państwa nie zaprzeczy... tedy, że moralność jest najważniejszą rzeczą... więc, że każdy człowiek powinien patrzeć, co się koło niego dzieje i dbać o moralność... najpierw tedy dbać o położenie swego domu... więc... żeby w tym domu nie bywał nikt, kto obraża moralność... tedy nikt z państwa pewno nie zaprzeczy, że

moralność jest rzeczą najważniejszą i że kto ją obraża... tedy...

Komuś z audytoryum zbrakło cierpliwości i głos jakiś przerwał:

— Ależ naturalnie, że nie znajdziesz tu pan nikogo, kto-by przeczył tej wielkiej prawdzie, że moralność jest rzeczą ważną dla społeczeństw. Ale do czegoż się odnosi to, co pan mówisz?

— Do tego — wymówił nagle pan Rokowicz, prostując się całą postacią i prostopadle wyciągając przed siebie prawicę — do tego, że przyjmujemy do naszych domów osobę, która... tedy... obraża moralność!

To rzekłszy, z niezmierną zgrozą opadł na krzesło i z wyrazem przygnębienia opuścił głowę na piersi. Słuchacze zamienili między sobą spojrzenia. Oczy pani Olimpii zamigotały radością, bo przeczuwała, że zbliża się sposobność wyrzucenia z białej dłoni kamyka na czyjąś głowę. Krzyż na piersi pani Apolonii błysnął, bo przewidywała, że będzie mogła w głowę nim kogoś uderzyć.

— Przyjmować w swoim domu osobę niemoralną! to okropne! o kim pan mówisz, panie Rokowicz? — rzekła gospodyni domu, podnosząc czoło wysoko i w myśli owijając się od stóp do głowy nieprzenikliwym pancerzem dumy i godności.

Pan Rokowicz tylko czekał tego wezwania. Potoczył wzrokiem dokoła, jakby wszystkich obecnych

wzywając na świadków słów, które miał wymówić i, wyciągnąwszy prawicę, zaczął:

— Wczoraj pod wieczór poszedłem na przechadzkę; tedy Terenia nie poszła ze mną, bo mówiła, że czuje się niezdrową i woli sobie popatrzeć przez okno... Więc myślę sobie: nie będę długo bawił, bo Terenia w domu została... Więc wyszedłem z domu i spotkałem Karolka X., który, jak państwo wiecie, razem ze mną w biurze pracuje. Tedy Karolek mówi do mnie: chodźmy za miasto! tedy ja mówię: chodźmy! I poszliśmy—ale nie brzegiem rzeki, tylko tęp wzgórzem, co to państwo wiecie, zaraz za miastem leży, a na niēm więc... karłowata sośninka rośnie... Idziemy tedy z Karolkiem, aż on do mnie mówi: niewygodnie tu chodzić po tęp gęstwinie, wyjdźmy na brzeg rzeki! Więc ja mówię: wyjdźmy! Rozchyliłem tedy gałęzie i chciałem wyjść na brzeg, wtęp widzę... widzę... i Karolek widzi...

Urwał nagle, jakby go dławily słowa, które miał wyrzec; twarz mu poczerwieniała i oczy rozwarły się szeroko.

— Cóż? cóż pan ujrzałeś? — zawołało kilka głosów.

— Pannę Wandę Rodowską z panem Augustem Przybyckim! — dokończył pan Rokowicz.

— A! doprawdy! — rozległ się wykrzyk kilkunastu ust niewieścich.

Spojrzenia i uśmiechy zaczęły się krzyżować, na-

kształt gradu strzał, błyszczące tryumfem jednych, ironią innych.

— Pan August Przybycki — mówił dalej narrator — stał tedy przy pannie Wandzie i więc... całował ją w rękę; słyszałem nawet co mówili do siebie, bo byłem bardzo blisko, ale tedy.. nie mogę powtórzyć... i wielu tedy rzeczy nie mogę opowiedzieć przez uszanowanie dla towarzystwa, bo... więc powtarzanie takich rzeczy obraża... tedy...

— Boże wszechmogący! — zawołała pani Apollonia — i ta kochana Wandziulka była sam-na-sam z panem Przybyckim?

Rokowicz pokiwiał znacząco swą czworograną głową.

— Sam-na-sam... tedy... zupełnie sam-na-sam — odpowiedział. — Tedy... zdaje mi się, że panna Wanda jest niemoralną panną... więc, że nikt nie powinien przyjmować jęj, ani się z nią przyjaźnić... Terenia powiedziała, że nigdy już u nięj nie będzie, a jeżeli ona do nas przyjdzie, tedy powie przez służącą, że chora i przyjąć nie może, a potém umyślnie w oknie się pokaże... Więc... dobrze zrobi, bo Terenia jest osobą moralną, i trzeba, aby niemoralne osoby wiedziały... więc... jak są między ludźmi uważane... Co do mnie... tedy... jak zobacę pannę Wandę na ulicy... tedy nie ukłonię się... z pewnością nie ukłonię się... Dbam o pozycyą mego domu i nie chcę, aby ludzie mówili, że mam znajomości z niemoralnemi

osobami... Nie przyszedł-bym tu dziś, bo Terenia chora i w domu została... ale... tedy... uważałem sobie za obowiązek przyjść powiedzieć państwu prawdę o panie Rodowskiéj... bo spodziewam się, że państwo dbacie także o pozycyą swych domów... więc nie zechcecie, aby w nich bywała panna, która tedy... sama-sam z żonatym mężczyzną przechadza się nad brzegiem rzeki i rozmawia z nim... o rzeczach, które tedy... obrażają moralność... Przepraszam!

To rzekłszy, powstał cnotliwy człowiek, świętém zdjęty oburzeniem: pełen cnoty ukłon oddał towarzystwu i, jak przystało mężowi, dźwigającemu na swych barkach ciężar moralności publicznej, poważnym i miarowym krokiem udał się do swego cnotliwego domu, w cnotliwe objęcia swéj cnotliwéj małżonki, która czas jego nieobecności spędzała na cnotliwém wyglądaniu przez okno, azali nie zobaczy na ulicy czegoś niecnotliwego, czém-by się podzielić mogła ze swemi cnotliwemi przyjaciółkami.

Po wyjściu pana Rokowicza, wielki gwar zawrzał w salonie. Jak żmij żądła syczały języki, jak ostrza stali błyskały oczy, słowa zgrozy sypały się jak grad kamyków, ciskany przez stojących w górze na kogoś rozciągnionego w głębi przepaści. Młodzi mężczyźni uśmiechali się znacząco, kobiety z tryumfem podnosiły nieskazitelne czoło, panny spuszczały skromnie powieki, wstydząc się za towarzyszkę; stary kawaler chichotał to tu, to owdzie, szepcząc dwuznaczne kon-

cepta, układane na cześć panny, przechadzającą się sam-na-sam z żonatym mężczyzną; rumiany Ignas wdychał potężnie między piecem a konsolą, stara panna kiwała głową na znak twierdzenia i zgrozy.

Pomiędzy tém wszystkiém wyróżnił się głos tronuującej na kanapie amarantowej damy.

— Jeżeli tak zacny i moralny człowiek, jak pan Rokowicz, opowiada takie rzeczy o pannie Wandzie, to już z pewnością musi to być prawdą. Spodziewam się, że odtąd żadna z nas nie przypuści panny Wandy do towarzystwa swych córek!

— Ani pozwoli, żeby jej synowie, porządni i uczciwi młodzi ludzie, kompromitowali się uczęszczaniem do jej domu — zawtórowała fioletowa dama, rzucając spojrzenie na jedynaka, wdychającego między piecem a konsolą.

— Czy uważaliście państwo — wyrzekła pani Olimpia — że pan Rokowicz nie chciał nawet opowiedzieć wszystkiego, co widział i słyszał, przez uszanowanie, jakie ma dla nas. To okropne! co do mnie, mam wstręt do osób, które podobnie zapominają o swjej godności i dumie, właściwej kobiecie wyższej towarzyskiej sfery. Przykro mi bardzo, że dotąd zachowywałam znajomość z panią Rodowską, i pierwsza robię wniosek, abyśmy jawnie i otwarcie zerwały z nią wszelkie stosunki... Upewniam państwa, że, przy pierwszém spotkaniu z panną Wandą, nie podam jej ręki...

To mówiąc, wydobywała z kieszeni batystową chusteczkę. Nagle coś brzęknęło i potoczyło się na posadzkę. Pierścień z wielkim brylantem wypadł z kieszeni dumnej pani i upadł pod nogi stojącego niedaleko pana Edwarda. Pochylił się Gaczycki i podniósł cenny klejnot, a oddając go właścicielce, rzekł do niej półgłosem:

— Nie noś pani pierścienia tego w kieszeni, bo zgubić go możesz! A szkoda-by go była, gdyż to klejnot piękny i... drogo nabyty!...

Słowa te, wypowiedziane bardzo obojętnym tonem, jak grom spadły na głowę Olimpii. Zbladła; ze źrenic jej strzeliły skośne promyki trwogi i gniewu. Zręcznie jednak pokryła wzruszenie i, odwracając się od Gaczyckiego, zaczęła z nagle zdwojoną złośliwością:

— Tak, moje panie; uważam odtąd stosunek z panną Wandą za poniżający godność osobistą kobiety, która umie siebie cenić, i postanawiam nigdy nie przyjąć jej w swym domu, ani przy spotkaniu nie podawać jej ręki...

— Ja także! — zawtórowała dama amarantowa.

— I ja! — powtórzyła dama fioletowa.

— I ja! — cicho wyrzekła dama zielona.

— Ciociu! — szepnęła do ostatniej siostrzenica Ludwika — mnie żal Wandzi! jestem pewna, że to tylko plotki na nią i obmowy! Dlaczego ciocia wyrzeka się jej znajomości?

— Trzeba stosować się do ogólnego zdania —

odszepnęła ciotka — inaczéj, ciebie samę ogadają i stracisz opinią!

Pani Apolonia przez cały czas milczała, wbrew zwyczajowi swemu.

— Cóż pani sądzisz o tém wszystkiém? — zapytał jéj ktoś z boku.

Antyfona smutnie pokiwała głową.

— Niech mnie Bóg strzeże i broni; abym miała co złego powiedzieć na córkę mojej dobrodziejki! Pani Rodowska wzięła moje dziecko na wychowanie... obowiązki wdzięczności mówić mi zabraniają, choć...

Machnęła ręką i brzęknęła krzyżami w sposób, który zdawał się mówić: choć wiem wiele różnych rzeczy!...

— Jaka to uczciwa kobieta! jak umie być wdzięczną! — zauważyło kilka osób.

Tymczasem gwar nie ustawał, ale się ciągle wzmacniał; kobiety dawały sobie słowo, że zerwą stosunki z Wandą; panny wzruszały ramionami, a rumieńce ich i spuszczone oczy zdawały się wołać do ludzi: „patrzcie na nas! my nie takie, jak tamta!” Stary kawaler chichotał figlarnie i wołał:

— Co do mnie, teraz dopiero zacznę bywać u pani Rodowskiej! co mi to szkodzi! opinii przez to nie stracę, nie prawdaż? a może i mnie się uda!

Pomiędzy tém wszystkiém, nagle z rogowój kozetki powstała młoda kobieta, w różową ubrana suknią, szybko zbliżyła się do kanapy, stanowiącej cen-



trum salonu i towarzystwa, drobną rączkę energicznym giestem o stół oparła i, patrząc wkoło wielkimi błękitnymi oczyma, w których kręciły się łyzy żalu i oburzenia, zaczęła mówić:

— Moi państwo! jak wam nie wstyd szarpać tak czyjąś sławę, tak surowo potępiać kogoś, nie mając dowodów na to, że jest winnym! Zapieracie się państwo znajomości z Wandą i postanawiacie zerwać z nią stosunki; otóż ja głośno i otwarcie oświadczam, że ich nie zerwę! Jestem mocno przekonana o niewinności Wandy i o tém, że wszystko, co jęj zarzucają, jest przesadą, jeśli nie zupełnem kłamstwem. Ale gdybym nawet i wierzyła w jęj winę, gdybym i wiedziała, że serce uniosło ją zbyt daleko, nie opuściłabym jęj nigdy. I owszem, im więcej widziała-bym ją nieszczęśliwą i opuszczoną, tém gorętszą była-bym jęj przyjaciółką... I teraz nie odstąpię jęj, będę u nięj bywała, będę ją przyjmowała, będę ją kochała, jak wprzódy, i jeszcze bardziej...

Umilkła na chwilę Stasia, a tuż przy nięj stanął pan Paweł. O dziwy! nie szeptał już jęj do ucha zwykłej przestrogi: „cicho Stasiu, narażasz się!” lecz przeciwnie, sam miał na twarzy oburzenie, które ożywiło ją niezwykłą energią.

— Podzielam zupełnie zdanie Stasi — wyrzekł dobitnie. — Nie stoję o nieskazitelność mego domu tak bardzo, jak pan Rokowicz, może dlatego, iż wiem, że żona moja czyni go wistocie nieskazitelnym; zresztą, znam

dobrze pannę Wandę i podzielał zupełnie zdanie Stasi o jęj niewinności...

— Podzielasz moje zdanie, Polciu — przerwała Stasia, zwracając się do męża — bo każdy uczciwy człowiek podzielać je musi. Nie prawdaż, panie Gaczycki? nie prawdaż, panie Asie? Nie prawdaż, panowie, że jesteście także tego zdania, iż nie godzi się sądzić o kimś z pozorów, że nie godzi się mieszać z błotem i kamienować istoty młodej i pięknej, za to tylko, że ona jest taką! Odwołuję się w tém do wszystkich dobrych serc i uczciwych charakterów! Co do mnie, pochlebiam sobie, że mam dobre serce i uczciwość, i dlatego nie opuszczę przyjaciółki wtedy, gdy wszyscy ją opuszczają, i żadnemu panu Rokowiczowi nie uwierzę na słowo, że ona błędzi. A gdybym się i przekonała, że tak jest wistocie, to przyjacianną ręką otarła-bym z jęj oczu łzy cierpienia i podała-bym jęj dłoń, mówiąc: „powstań!” a nie pchnęła-bym jęj głębiej w przepaść, aby ginęła. Przebaczenie państwo, że tak otwarcie wypowiadam wam moje myśli, ale już taką stworzył mnie Pan Bóg, że nie mogę znieść niczyjęj krzywdy i nie umiem być komuś przyjaciółką na to, aby, przy lada powiewie przeciwnego wiatru, stać mu się nieprzyjaciółką! Żegnam państwa!

To mówiąc, skłoniła się gospodyni domu i całemu towarzystwu, a przesunąwszy rękę pod ramię pana Pawła, wraz z nim opuściła salon.

Zebranie zostało przez kilka chwil, jak skamieniałe.

— Otóż się rozgadała! — wyrzekła pierwsza amarantowa dama. — Doprawdy, gotowa-bym sądzić, że ujmuje się tak energicznie za panną Wandą dlatego, iż sama do niej podobna!

— I niezawodnie tak jest! — ozwało się kilka głosów — wart Pac pałaca, a pałac Paca! Obie przyjaciółki są również płocze i niemoralne, dlatego podtrzymują się wzajemnie.

Twarz pani Olimpii jaśniała tryumfem. Obok niej rozpostarły się dwa cienie, a między nimi ona sama wyglądała jak światło! Uśmiechnęła się znacząco i wymówiła:

— Już samo zamiłowanie pani Rumiańskiej w różowym kolorze wiele mówi... bo państwo wiecie, że kolor różowy jest symbolem...

Nie skończyła; oczy jej spotkały się z utkwionym w nią wzrokiem pana Gaczyckiego.

— Wistocie — przerwał, patrząc na nią swemi blademi a przenikającemi, jak ostrze stali oczyma — wistocie, pani, każdy ma swój uprzywilejowany kolor. Pani Rumiańska otaczać się lubi barwą różową, pani niebieską... Prześliczne są nowe pani błękitne meble...

Osoby, patrzące w tej chwili na gospodynię domu, sądziły, że wnet zemdleje; twarz jej, z nagłego szkarłatu, jaki ją oblał, przeszła w niezmierną bladość.

Było to jednak krótkie okamgnienie; powstała żywo i zwróciła się do jednej z panien:

— Panno Ludwiko! może zechcesz nam zagrać cokolwiek.

Panna Ludwika usiadła przy fortepianie i grać zaczęła. Po kilku pierwszych taktach muzyki, gospodyni domu odetchnęła swobodniej i rozpuściła zachmurzone czoło. Pana Gaczyckiego nie było już w salonie.

---

### XXIII.

Anastazyja siedziała przed kominkiem w zwykłej już swojej wełnianej bluzie i czepcu o szerokiej listwie, a naprzeciw niej, w postawie pełnej serdecznej i słodkiej życzliwości siedziała pani Apolonia. Z pomocą Tekli, z którą łączyła ją dawna jakaś kościelna znajomość, wdarła się ona do Anastazyi, i trzeci-to już raz przynosiła biednej chorąg kobiecie pociechę duchową i balsam czulej, ubolewającej przyjaźni.

Kto-by widział panią Apolonią za każdym razem, jak wchodziła w bramę mieszkania Augusta i jego żony, musiał-by ją posądzić o niezbyt chrześcijańskie zamiary, bo w szarych jej oczkach najczystsza migotała złośliwość, a nos rozkwitał purpurą przedwczesnego już uradowania, niby rubin piérwszej wody.

Dwie kobiety wiodły ze sobą powolną rozmowę, przerywaną kaszlem Anastazyi.

— Tak, tak, dobra pani — mówiła ta ostatnia — bodaj trzeba już nazawsze wyrzec się nadziei wyzdro-

wienia i pogodzić się z myślą, że życie moje minęło, a czas dzielący mnie od grobu, długiem tylko jest dogorywaniem zawczasie wypalonej lampy...

— Trzeba mieć nadzieję w miłosierdziu Boga, który uzdrawia chorych i wskrzesza umarłych — perswadowała Apolonia. — Mów pani Godzinki do Przemienienia Pańskiego...

Anastazyja ponuro patrzyła w ogień.

— Modlić się! — wyrzekła z wolna — o, jam się modliła, ale modlitwa moja nie mogła snadź przebić grubiej przesłony z grzechów moich, która rozpostarła się między mną a niebem...

— Z grzechów! — zawołała Apolonia, składając ręce — i cóż pani za grzechy popełnić mogłaś! Pani jesteś tak dobra, tak miła, pomimo cierpień, jakie znosisz, że pokochałam panią szczerze, choć znam cię od niedawna, i codziennie modlę się za panią.

Anastazyja podniosła na nią oczy trochę nieufne z razu i podejrzliwe, ale twarz Apolonii jaśniała takim słodkim współczuciem, takim chrześcijańskim miłosierdziem, że coś nakształt wdzięczności ukazało się w posępnych, zapadłych źrenicach żony Augusta.

— Dziękuję pani za dobre słowo! — wyrzekła i, puszczając wodze skargom, do których skłonni są nieszczęśliwi a słabi, mówiła dalej: — Jam taka nieszczęśliwa! po całych dniach siedzę tu u komina, bo choć całemu światu gorąco i pogodnie, mnie zawsze

zimno, i dawno już zapomniałam, kiedy zaczyna się wiosna i lato, a kiedy kończą się chłody zimowe. Mąż mój, zajęty pracą biurową, rzadko może być ze mną; zawsze więc siedzę tu sam-na-sam ze wspomnieniami młodości mojej, która się wcześniej skończyła, bo od lat siedmiu jestem już taką, jaką mnie widzisz pani w tej chwili... Nie widzę nigdy błękitu nieba ani drzew zieleni; powietrza nawet chronić się muszę, jak trucizny, która-by mi śmierć przyśpieszyła. Z goryczą myślę, że inne kobiety w moim wieku używają jeszcze świata i wszystkiego, co on dać może, wtedy, gdy ja dogorywam nędznie, sama i opuszczona...

Umilkła i znowu posępne wejrzenie wlepiła w ogień. Apolonia kiwała przez chwilę głową żałośnie.

— Sama? opuszczona? — ozwała się przeciągle — przecież pani masz męża!

Na te słowa, niezadowolenie rozlało się po twarzy Anastazyi; palce jej niecierpliwie zaczęły szarpać suknię.

— Mówiłam pani — odpowiedziała — że mąż mój zajęty jest pracą biurową.

Zjadliwy uśmiech zawisł na ustach Apolonii.

— Nietylko! — szepnęła jakby do siebie i smutnie kiwała głową.

Anastazyja podniosła na nią oczy, które błysnęły nagle. Otworzyła usta, aby coś wyrzec, ale nic nie powiedziała, tylko wargi jej zwierzały się i otwierały

co chwila pod wpływem walki, jaką toczyły w niej sprzeczne snadź uczucia.

— Nietylko! — powtórzyła wreszcie z trudnością — i czémże więcéj, proszę pani?

Ton, jakim słowa te były powiedziane, oznajmił Apolonii, że nie powinna się od razu za daleko posuwać. Odpowiedziała więc z miną niezmiernéj niewinności.

— Wszak widuję męża pani w towarzystwach.

Słowa te piorunujący wpływ wywarły na Anastazyą; wyprostowała się, oczy jéj silniéj jeszcze błysnęły i zawołała porywczo:

— W towarzystwach! i w jakichże towarzystwach pani go widzujesz?

Zdawało-by się, że Apolonia nie spostrzegła niezmiernego wzruszenia kobiety, z którą rozmawiała, bo odrzekła tym samym tonem słodczy i niewinności:

— Mieszka tu w X. pewna dość majątna wdowa z córką jedynaczką. Jest to panna bardzo piękna i niezmiernie zalotna, płoża, słowem, sławna bałamutka i pociągająca najczęściej ludzi żonatych. U niéj to mąż pani bywa codziennie.

Gdy Apolonia to mówiła, Anastazyą opadła na poręcz fotelu całym ciężarem swego wół-bezwładnego ciała, i zdawało się, że cała reszta krwi, jaka jeszcze krążyła w jéj żyłach, rzuciła się do jéj twarzy, tak nagły a szkarłatny rumieniec zalał pomarsz-



czone czoło jęj i zwiędłe policzki. Obok tego, wargi jęj zbladły i trzęsły się, a palce ze zdwojoną gwałtownością szarpały suknię.

Apolonia wpiła się w nią wzrokiem zjadliwej słodyczy, i z wolna, z cicha, tonem, który coraz więcej w ubolewanie przechodził, mówiła dalej :

— Tak, tak, kochana pani; świat ten zepsuty i coraz więcej zapomina o prawach Pana Boga! Ta panna, o której mówię, wiele już poróżniła małżeństw, wielu mężów odciągnęła od żon nieszczęśliwych...

Anastazyja podczas tych słów zdawała się z całej siły mocować z sobą; nagle podniosła głowę i rzekła :

— Bądź pani pewna, że pannie tej nie uda się uczynić tego z moim mężem. Pani go nie znasz: to człowiek uczciwy i pełen honoru, i pewno dla żadnej zalotnicy nie opuści nieszczęśliwej kobiety, której winien opiekę i pomoc.

Mówiła to głosem drżącym, w którym był i gniew, i duma, i rozpacz daremnie tajona.

Apolonia dosłyszała tę ostatnią... Wzrok jęj odwrócił się na chwilę od Anastazyi, podniósł w górę i utkwiał w oknie przeciwległej kamienicy.

— A jednak — wyrzekła po chwili — a jednak ludzie mówią, że mąż pani zakochany już w tej pannie!

Anastazyja wydała okropny okrzyk.

— Zakochany! — krzyknęła głucho — już zako-

chany! jak się nazywa ta panna? powiedz pani, jak się ona nazywa?

— Na co pani jęj nazwisko? — odparła Apolonia — powiem pani tylko jęj imię i wskażę jęj mieszkanie. Nazywają ją Wanda; piękne imię, pani, nie prawdaż? a mieszka...

Tu powstała; kocim, skradającym się krokiem podszła do okna i, profilem zwrócona do Anastazyi, podniosła wskazujący palec ku górnemu piętru przeciwległej kamienicy. W tęg postawie stała kilkanaście sekund, milcząc, a zielonawy błysk jęj oczu, przywiązanych do okien mieszkania Wandy, zdawał się mówić: „jesteś piękna, młoda, niewinna! otóż za to uczynię ci niespodziewaną przysługę! wykopię przepaść pod tobą i człowiekiem, który cię kocha! poruszę na ciebie hydrę zazdrości i rozpaczy szalonej kobiety, i zobaczymy, jak się z mojęj matni wykreścis! Samaś winna sobie! pocóżeś młoda i piękna!”

Skierowała na Anastazyą kocie błyski zielonawych w tęg chwili oczu i, pochyłona nieco na przód, z palcem wskazującym wyciągniętym ku oknom Wandy, wyrzekła:

— Tam, na piérwszém piętrze tęg kamienicy, mieszka ona... ona, ta piękna zwodnica, która wydarła już pani myśl i serce męża, a wkrótce odbierze ci go całkiem... Gdybyś pani ją widziała! prześliczna jest! wysoka, szczupła, biała jak alabaster, z wielkimi szafirowemi oczyma i płowemi włosami, które ze

sztuką prawdziwej zalotnicy układać umie! A gra cudownie! Mąż pani codziennie słucha jęj muzyki, a czasem grywają na cztery ręce! Gdybyś pani widziała, jak patrzą na siebie! piękna z nich para, do prawdy! Ludzie mówią, że on panią porzuci najpewniej, że rozwiedzie się i ożeni z nią. Ja pani nie powiadam, że tak będzie, bo nigdy nie obmawiam nikogo; wiem tylko, że ci ludzie kochają się... a przynajmniej on ją kocha... Jeśli pani nie wierzysz, to siadaj co wieczór przy oknie, a będziesz go widziała jak wchodzi w bramę jęj mieszkania, usłyszysz może jęj muzykę i muzykę ich obojga.

Umilkła i patrzyła na Anastazyą, która, podczas jęj mowy zakryła oczy drżącemi rękoma; przez chude jęj palce przeciskały się obfite łzy.

Parę minut było milczenie; po ustach Apolonii przebiegał uśmiech tryumfu, oczy jęj błyskały, jak u kota, który dręczy mysz, wijącą się przed nim z bólu i trwogi.

Nagle Anastazyą odjęła ręce od twarzy i podniosła głowę. Zmieniona była do niepoznania. Wzrok, pałający gniewem i obrażoną dumą, utkwiała w Apolonii.

— Pani! — zaczęła drżącym głosem — dlaczego powiedziałaś mi to wszystko? Poco wdarłaś się do mego domu? czy, aby urągać chorobie i znękanii memu? czy, aby rozedrzeć bardziej jeszcze biedne serce moje? Kto cię prosił o to, abyś śledziła uczu-

cia i postępowanie mego męża i przychodziła do mnie z wieściami, o które cię nie prosiłam? Nosisz krzyż na piersi, ale go nie masz w sercu, kobieto, jeśli język twój rani i pali, jak stał rozpalona. Nie miałam do ciebie ufności od razu, a teraz wiem już, kto jesteś... Ale posłuchaj...

Głos Anastazyi wzmagał się coraz, nieznana jakaś siła w nią wstępowała.

— Posłuchaj — mówiła dalej, wyciągając rękę do Apolonii, która stała w zdumieniu i zmieszaniu — wiedz, że kocham mego męża; kocham tego szlachetnego człowieka, któremu skrzywiłam, złamałam życie, a który nigdy nie powiedział mi słowa wyrzutu i otacza mnie, zestarzałą i niedołęzną, opieką swego zacnego ramienia, jak gdybym była młodą i powabną. Kocham go i czczę, i dlatego nie zniosę, aby ktokolwiek wobec mnie, źle o nim mówił. A kto-by to uczynił, tego-bym prosiła, aby wyszedł z mego domu... Wyjdź pani... wyjdź stąd natychmiast!...

Ręką wskazała drzwi i z podniesioną głową patrzyła na Apolonię swemi ciemnymi, zapadłemi oczyma, które, w tej chwili dumne, gniewne i szlachetne, zajaśniały dawną pięknoscia.

— Pani! — zaczęła Apolonia, przybierając usta w najśłodszy swój uśmiech — tylko życzliwość i litość dla pani powodowała mnie...

— Wyjdź pani, wyjdź stąd! — krzyknęła Anastazyja, prostując się. — Kto cię prosił o życzliwość

twą? kto cię prosił o litość? Ja ich nie potrzebuję od ciebie! Ukąsiłaś mnie, jak żmija! Wyjdź ztąd i powiedz ludziom, którzy cię pytać będą, że jedynem mojem nieszczęściem jest choroba, a on żadnego powodu do zmartwienia nie daje mi nigdy! Czy słyszysz? żadnego! nigdy! Jest najlepszym mężem, jak jest najlepszym człowiekiem! Wiedz sama i powiedz innym, że kocham go, że jeśli jest na świecie kobieta, która go kocha, kocham i ją za to, że ma dla niego miłość... że jeśli będzie potrzeba uczynić to dla jego szczęścia, usunę się z jego drogi, błogosławiąc i kochając go zawsze...

Płacz spazmatyczny rozdarł pierś Anastazyi; upadła na poręcz fotelu, zakrywając oczy rękoma. Kilka minut trwało milczenie, przerywane tylko łkaniem nieszczęśliwej. Płacz Anastazyi uspakajał się stopniowo; kiedy odsłoniła oczy, Apolonii nie było już w pokoju.

Czas jakiś siedziała nieruchoma, drżąca cała, a blade wargi jej szeptały od chwili do chwili: „kochaj inną! więc kochaj inną!”

Nagle zawołała głośno:

— Tekło! Tekło!

Wnet ukazała się służąca.

— Przysuń mój fotel do okna! — rzekła do niej Anastazyja.

Służka wykonała rozkaz.

— Otwórz okno! — dodała jej pani.

Na ten niezwykły rozkaz zdumiała się Tekla.

— Ależ, proszę pani... — zaczęła.

— Otwórz okno, mówię ci! — zawołała Anastazy z nerwową niecierpliwością.

Po chwili żona Augusta siedziała już sama jedna przy otwartém oknie. Z razu powietrze, od którego odwykła zakrztusiło ją, poczęła kaszlać gwałtownie, ale zdawało się, że kaszel ustąpił przed wysiłkiem, jaki uczyniła nad nim; uspokoiła się i spojrzała w górę.

Dzień był pochmurny ale ciepły. Nad dachami przeciwległych domowstw nizko wisały szare, spokojne obłoki. Jakby pod obłokami temi zawieszona, niby w ramach obrazu, śród draperyi białej firanki, w otwartém oknie pierwszego piętra siedziała Wanda. Siedziała profilem zwrócona do ulicy, i widać było tylko głowę jęj, ramiona, i rękę, trzymającą książkę, w której oczy jęj były utkwione. Siedziała nieruchoma, jak posąg piękna; na twarzy jęj rozlewał się spokój czystej myśli i niewinnego serca, a tylko po łagodnych ustach błędził odcień smutku.

Anastazy utkwiała w nięj pałające oczy.

— Więc to ona! ona!... — szeptała do siebie; usta jęj wykrzywiły się gorzkim śmiechem, a z oczu wzniesionych w górę strzeliło coś nakształt nienawiści. Ale im więcej patrzyła na Wandę, tém

mniej było goryczy w jęj uśmiechu i nienawiści w oczach.

— Cóż mi mówiła tamta — szepnęła do siebie znowu — że ona jest zalotnicą i płochą dziewczyną! O, to nie prawda! ja znam się na tém!

Patrzyła długo, coraz większa boleść twarz jęj zalewała, ale gorycz i nienawiść ustępowały stopniowo.

Nagle z za szarych obłoków strzelił promień słońca, upadł prosto na głowę Wandy, i ześlizgnął się na trzymaną przez nią książkę. Podniosła głowę, zbudzona tą światłością, która mignęła przed nią, lekkie westchnienie poruszyło przezroczystymi fałdami jęj sukni, i podjęła szafirowe oczy, smutne, ale spokojne spojrzenie przesuwając po ciemnych chmurkach, włączających się w górze na tle szarém...

Anastazyja z całym wyteżeniem patrzyła na nią; twarz jęj zmieniała się coraz bardziej, jakby z lica Wandy spływała na nią słodycz i żal spokojny. Spłótdła ręce z boleścią, lecz bez goryczy ni gwałtowności, i wyrzekła z cicha:

— To anioł! on kocha ją niezawodnie!

Pochyliła głowę na dłonie i płakać zaczęła. Płakała długo ale cicho; łkania jęj były głębokie i bolesne, ale pozbawione zwykłych jęj spazmatycznych rzucań się i krzyków. Kilka razy przestawała płakać, i zdawało się, że się modliła.

Przez kilka dni następnych przechodzący ulicą, na której mieszkali Wanda, August i jego żona, mieli szczególny widok. W oknie pierwszego piętra wysokości kamienicy siedziała piękna, smutna panna, z oczyma utkwionemi w książkę, albo w pływające wysoko obłoki. Naprzeciw, przez okno, położone nisko nad ziemią, wyglądała twarz żółta i pomarszczona, w czepcu o szerokiej listwie, z oczyma zapadłemi i utkwionemi w piękną zadumaną pannę.

Dwie te osoby stanowiły między sobą tak uderzającą sprzeczność, że przechodnie wskazywali je sobie nawzajem.

— Ta kobieta chyba z piekła wyszła, tak jest szkaradną! — mówili jedni, wskazując żółtą twarz w białym czepcu — ta panna chyba z nieba zstąpiła, tak jest piękną! — powiadali drudzy, patrząc na okno pierwszego piętra. — Rzadko kto zauważył, że na licu istoty podobnej do anioła rozciągał się coraz grubszy cień ziemskiej boleści, a twarz, przypominająca sobą brzydkie czarownice, traciła stopniowo cechującą ją z razu złość i nienawiść, a oblekała się szlachetnym jakimś uczuciem, przez które przeglądała rodząca się i wzmagająca rezygnacja.

Nareszcie dnia pewnego, na brzydkiej żółtej twarzy, po długim patrzeniu w okno przeciwległe, ukazał się wyraz postanowienia. Ściągnęły się czarne energiczne brwi, zapadłe oczy błysnęły rozpaczą, ale na bladych, drżących ustach zawisła dobroć i wargi



wyszeptały: „stało się! trzeba im ustąpić! niech będą szczęśliwi!”

Nazajutrz oba już okna były zamknięte. Przechodnie nie dziwili się temu, gdyż jesień się zaczynała, a z nią pora zimna i wilgotna.

---

## XXIV.

W sercu Augusta, po ostatniój rozmowie jego z Wandą nad brzegiem rzeki, wzmogła się boleść i zwiększyły walki. Czuł on wprawdzie niewysłowioną rozkosz, jaką daje człowiekowi myśl, że istota, do którój przywiązał najgorętsze uczucia swego serca, spojrziała na niego tkliwszém, niż na innych ludzi okiem; ale do myśli téj wiązała się gorycz niezmierną, płynącą z widoku przepaści, która dzieliła ich istnienia. Dotąd ukrywał przed sobą własne uczucia i starał się usilnie nie rozumieć tego, co się w nim zrodziło i potęgowało z dniem każdym. Teraz rozdarła się zasłona, spojrzął we własne serce; przez mgłę łez, ćmiących przezroczyście źrenice Wandy, dojrzał jéj uczucia i zadrżał.

Nie o siebie zadrżał, lecz o nią. Sam zahartowany w długim cierpieniu, czuł w sobie siłę do wytrzymania nowego ciosu, ale ona?... Jakiem prawem stanął na drodze jéj życia? jakiem prawem zmaćił jéj

czyste i pogodne myśli, wlał gorycz i boleść w pierś jęj, tak spokojnie oddychającą wprzód? Jak śmiał wejrzeniem swém spotkać się z głębią jęj dziewiczych oczu, i przez nie wrzucić do jęj serca iskrę gorącego uczucia, kiedy nie miał prawa podać jęj dłoni na wędrówkę ziemską, ani nawet otworzyć przy nięj ust dla wypowiedzenia słowa miłości?

Ona cierpiała! — myśl ta krzyczała mu w uszy przeraźliwym głosem wyrzutu sumienia; załzawione jęj oczy ścigały go wszędzie, gdzie się obrócił; twarz jęj pobladła nie dawała mu pokoju we śnie i na jawie.

Kilka dni minęło, podczas których August ani razu nie widział Wandy; zdawało mu się niepodobnym pójść teraz do nięj, mówić z nią, być przy nięj, i nie powiedzieć jęj tego, co zapełniało całą jego istotę. Lękał się sam siebie i walczył strasznie. Niezmożone uczucie codziennie przywodziło go do bramy jęj mieszkania, a sumienie wołało przeraźliwie: nie wchodź!

Odchodził z pobladłym czołem i boleścią, tryskającą przez oczy. Rozłączenie i tęsknota rozniecały bardziej jeszcze płomień niepohamowanych uczuć, a piękna postać Wandy, wyniosła, smutna, opłynięta bogatą draperią białęj szaty, stała wciąż przed nim, nęciła go ku sobie, płakała brylantowemi łzami... Łzy te gorącemi kroplami spadały mu na głowę... on to je z jęj oczu wycisnął!... Na tę myśl wszystkie

szatany rozpaczy, źmije zgryzot sumienia kąsały go i targały, a straszne myśli rodziły się w głowie.

A więc przełamać wszystkie zapory, zwyciężyć przeciwności, zdeptać honor i uczciwość chociażby, a połączyć się z nią! miłością zwać z jej czoła chmurę boleści, co na niém osiadła, pocałunkami zniszczyć ślady łez, wylanych dla niego, nazwać ją żoną swoją!...

Gdy po raz pierwszy myśl ta, jak błyskawica nagła i ostra, mózg mu przeszła, wydało mu się, że rozdarły się przed nim ciemności nocne, zobaczył świtanie szczęścia, rajskie głosy zaśpiewały mu w uszach, miliony gwiazd świetnych zamigotały przed oczyma. W istocie, mógł rozłączyć się z Anastazyą, z tą kobietą na-pół umarłą, która oddawna już była mu żoną z imienia. Sam Kościół z łatwością może unieważnił-by jego śluby, byłby wolnym, miał-by prawo wprowadzić do domu swego istotę ukochaną, dzielić z nią rozkosze i troski życia, osłaniać ją, strzedz, kochać, czerpać od niej natchnienia dla myśli, moc dla ducha.

Olśniony tą myślą, długo nie wiedział, co się z nim działo; wpatrzył się w cudowną krainę szczęścia, którą wyobraźnia przynosiła mu na rozpiętych swych skrzydłach, dziwne jakieś nadzieje poczęły kołysać zmęczonem jego sercem.

Ale po chwili zaczął się w nim odzywać głos niewyraźny z razu, coraz silniejszy i groźniejszy potem;

przenikał mu piersi ostrzem bolesném, budził go z marzeń, a rozkazywał myśleć...

Więc opuścić kobietę nieszczęśliwą, niedołązną, zostawić ją na łup chorobie i samotności, rozedrzeć do reszty jęj, zmęczone tyłu burzami i cierpieniami, serce, a w zamian tego rzucić jęj może, jak jałmużnę, kawał powszedniego chleba, aby nie umarła z głodu?... Być-że-by to mogło? Postępek taki zgadzał-że-by się z męzkim honorem i uczciwością? Miał-że-by usprawiedliwienie swe choćby w najgorętszym uczuciu?

Nie, nie! — krzyczało sumienie; August zakrywał oczy z rozpaczą i mówił sobie także: nie! — bo czuł, że nie zdolny był do popełnienia niskiego czynu. A jednak wracały pokusy, wracały marzenia, do głowy cisnęły się tysiące sofizmatów, które chore serce jęj poddawało, a pragnienie szczęścia z poczuciem obowiązku, marzenie z myślą rozumną, sumienie z wyobraźnią, straszną toczyły walkę.

Zaprawdę! trzeba było głęboko w sercu mieć wyryte pojęcia honoru i prawości, trzeba było być w całym znaczeniu tego wyrazu cnotliwym człowiekiem, aby z walki tęg wyjść zwycięzko.

A tam codziennie z rana, gdy tylko oczy otwierał, błyskało przed nim wysoko okno jęj, zaróżowione promieniem wschodzącego słońca, i za szybami franka drżała, przypominając mu jęj szatę białą, a wieczorem, gdy cisza zaległa mieszkanie jego i miasto całe,

okno to migotało znowu bladēm lampy światłem, jak gwiazdka rozplakana, drżąca z po-za mgły je-sienněj...

Czasem. gdy śród ciszy nocnej słuch wyteżał, dochodziły go oderwane dźwięki jēj muzyki... Raz otworzył swe okno i posłyszał, że grała pełną łez pieśń Szuberta: „Skargi dziewicy!”

Do kogoż słała ona skargę swego czystego, bole-scią zmaczonego serca? do niego może! O, rozpaczy! a on nie miał prawa pójść tam do niej, utulić na swēj piersi jēj głowę śliczną i powiedzieć: bądź moja i szczęśliwą! Wstyd go ogarniał. Był mężczyzną, a czuł się bezsilnym wobec losu. Losu! — mógł-że na los narzekać? czyż sam własnemi rękoma nie zbudował sobie gmachu nieszczęścia?

Złorzeczył swēj przeszłości, szaleństwu, nierozwaz-dze, która go wiecznemi okuła kajdanami. Jedna jeszcze zgryzota przybywała... znowu powstawały sza-lone, a nieuczciwe myśli... walczył i szalał z cier-pienia.

Przez te kilka dni walk i targań wewnętrznych, mało zwracał uwagi na Anastazyę, bo i nie widział nic, cō się koło niego działo, i instynktownie może lękał się zbliżyć do kobiety, którēj losy ważyły się wje-go sercu na szali pokus i sumienia, aby przykry jēj widok i, przykrzejsze jeszcze od niego, jēj burze, nie pchnęły go nieprzeparcie ku postanowieniu, które, raz powzięte, było-by nieodwołalnēm, a które, czuł to, do-

prowadziło-by go do czynu, sprzecznego z jego pojęciami o uczciwości i powinnościach, tak społecznych, jak człowieczych.

Gdy wracał do domu, Anastazyja nie przemawiała do niego nigdy. Nie dziwiło go to, ani zwracało jego uwagi, bo z dawna przywykł do nagłych zmian téj burzliwej i fantastycznej istoty, u której, po najgwałtowniejszych wybuchach gniewu, namiętności i rozpacz, następowały całe dni i tygodnie ponurego milczenia.

I, cały zatopiony w sobie, nie spostrzegał, jak Anastazyja wiodła za nim spojrzeniem swych zapadłych oczu, w których stopniowo przygasał ogień głuchych wrzeń wewnętrznych, a obok niezmiernéj boleści rodziła się rezygnacya, i przeglądało silne, lubo zawsze gorączkowe, postanowienie.

Pewnego dnia, po całodziennéj nieobecności, wrócił do domu, bardziej zmęczony walką i bardziej cierpiący, niż zwykle. Błady i smutny wszedł do pokoju, gdzie zwykle palił się na kominku ogień, a przy nim siadywała chora jego żona. Ale tym razem ognisko było wygasłe i Anastazyi przy niém nie było.

August rzucił się na krzesło, jak człowiek bardzo zmęczony, i czoło na dłoń pochylił.

Otworzyły się drzwi, a do pokoju na palcach i z tajemniczą miną weszła Tekla. Stała przed Augustem i stłumionym szeptem wyrzekła :

— Panie!

August podniósł głowę.

— Czego chcesz? — zapytał.

— Panie — szepnęła sługa — źle jest u nas, pani bardzo chora.

August powiódł dłonią po czole.

— Dlaczegoż nie oznajmiłaś lekarzowi, który zwykle odwiedza panią, że stan się jęj pogorszył?

Sługa kiwała głową.

— Lekarz wcale-by nie pomógł, proszę pana — odrzekła — bo pani postanowiła chyba zamorzyć się głodem: od dwóch dni nic w ustach nie miała...

Ciężkie chmury zaległy twarz Augusta.

— Nowy wybuch! — rzekł do siebie — nowe targania się tęj nieszczęśliwęj kobiety! Co za męczarnie jęj i moje! — Zwrócił się do sługi.

— Gdzież jest pani?

— Od dwóch dni nie wstaje z łózka — odpowiedziała Tekla.

August powstał z chmurą na czole, a zniecierpliwieniem w oczach, i wszedł do przyległego pokoju.

W na-pół zaciemnionej zieloną franką sypialni leżała Anastazyja, nieruchoma, z rękoma bezwładnie zaplecionemi na piersi. Twarz jęj, śmiertelnie blada, wyraźnym i ostrym zarysem odznaczała się na tle białych poduszek, pomiędzy rozplecionemi w nieładzie włosami, które, gęste, długie i czarne, otaczały jęj głowę i spływały po poręczach łózka, aż na po-



sadzkę. Oczy miała zamknięte, oddychała z ciężkością. August stanął przy niej.

— Czy śpisz, Anastazyo? — przemówił głosem, który wielkim wysiłkiem jego woli brzmiał spokojnie i łagodnie.

Na dźwięk jego głosu Anastazyja otworzyła oczy, i patrzyła na niego przez chwilę.

— Przyszedłeś do mnie, Auguście, dziękuję ci! — wyrzekła z cicha, a zarazem drżącą ręką sięgnęła po jego rękę i przyciągnęła ją do ust swoich.

August zdawał się zdziwionym. Myślał zapewne, że odpowie mu, jak zwykle, gorzkim wyrzutem, albo ponurém milczeniem; natomiast dosłyszał w jej głosie niezwykłą łagodność, a w całej twarzy, z po-za cierpien fizycznych, dojrzał dziwną jakąś pokorę i rezygnacją.

Usiadł przy niej i, trzymając jej rękę, rzekł łagodnie:

— Anastazyo! Tekla mówiła mi, że od dwóch dni nic jeść nie chcesz; dlaczego to czynisz? czemu nie posłałaś po lekarza, jeśli czujesz się bardziej chorą?

Anastazyja dziwnie się uśmiechnęła.

— Nie potrzeba mi pokarmu, ni lekarza — odrzekła z wolna — chcę umrzeć, Auguście.

Brwi Augusta ściągnęły się, powiódł rękę po czoło, szepnął do siebie:

— Znowu!

Dosłyszała wyraz ten Anastazyja. Podniosła się z ciężkością i, wspierając się na poduszkach, na drżącą dłoń opuściła głowę. Chwilę milczała; znać było, że toczyła wewnątrz walkę, bo oczy jęj błysnęły zwykłym jęj burz ogniem, ale usta zaciskały się, nie chcąc przepuścić na zewnątrz gwałtownego słowa.

— Nie gniewaj się na mnie, Augustynie — wyrzekła po chwili głosem drżącym — nie miej mi za złe tego, co czynię; jeszcze dzień jeden, albo dni dwa najwięcej, a umrę, ustąpię ci z drogi, i będziesz mógł połączyć się z kobietą, którą kochasz!

Ostatnie słowa wymówiła głosem, w którym drgały znowu rozpacz i wyrzut.

August porwał się z miejsca.

— Kobieto! — zawołał — zkad ty wiiesz, że ja kocham inną? kto ci powiedział i dlaczego mówisz mi o tém?

Znowu była chwila milczenia, podczas której pierś Anastazyi podnosiła się gwałtownie, znowu znać było w nięj ciężką walkę. Powieki jęj zapadły, jakby znuzone, i zakryły oczy, słabe palce poczęły miąć i szarpać bieliznę, którą była okryta.

Ale po chwili podniosła wzrok na Augusta, i znowu sięgnęła po jego rękę.

— Augustynie — zaczęła mówić — nie gniewaj się na mnie, ja ci nie czynię wyrzutu... jam teraz już lep-

sza, daleko lepsza i spokojniejsza, niż wprzódy byłam... Posłuchaj mnie!

Mówiła te słowa takim błagalnym, pokornym jakimś głosem, że na twarz Augusta wstąpiła znowu litość niezmierna. Usiadł przy niej, nie mówiąc.

— Posłuchaj mnie! — ciągnęła Anastazyja — pytasz, z kąd wiem o tém, że kochasz ją? Jam ją widziała! Mieszka naprzeciw nas na piérwszém piętrze... patrzyłam na nią przez kilka dni, po godziu kilka, wtedy, gdy siedziała w oknie... Z razu nienawidziłam jój, ale krótko... bo pojęłam, że ona niewinna temu, iż ją pokochałeś... niewinność tkwi na jój czole... To dziewczica, która dotąd żadnej grzesznej myśli nie miała jeszcze... I tyś niewinien, żeś ją pokochał... jesteście jakby stworzeni dla siebie... Prześliczna jest... patrzyłam na nią, jak na anioła, zawieszzonego pod obłokami, i myślałam, że w porównaniu z nią, muszę wyglądać, jak istny szatan... Ach!...

Westchnęła strasznie i umilkła na chwilę; pierś jój znowu pracowała gwałtownie. August był bardzo blady, chciał coś powiedzieć, ale Anastazyja położyła dłoń na jego ręce i wyrzekła z prośbą:

— Nie przerywaj mi, Auguście.

Potém mówiła dalej :

— Im więcej na nią patrzyłam, i im częściej w myśli stawiałam ciebie obok niej, tém głośniej przemawiało do mnie sumienie... coraz jaśniej i wyraźniej

rysowały się przede mną błędy mojej młodości, a największy i najcięższy błąd i grzech względem ciebie... Przymomniałam sobie, jak byłeś młody i szczęśliwy, gdy cię poznałam... jaka świetna droga otwierała się przed tobą... jak szczęśliwa przyszłość cię czekała... i jak cię pociągnęłam do siebie siłą zalotności, choć wiedziałam, że mnie nie kochałeś prawdziwie... Związałam cię z sobą na zawsze, a potem nie dałam ci ani chwili szczęścia, ciągłymi burzami zmęczyłam twoje serce... zabiłam w tobie natchnienie... zawiodłam cię na niewłaściwe dla ciebie drogi... skrzywiłam ci życie, a teraz... teraz jeszcze, jak widmo z piekieł, stanęłam między tobą a istotą, którą pokochałeś... która, podobna tobie, piękna, czysta, zacna, daćby ci mogła szczęście domowe, pociechę życia, rodzinę...

Umilkła na chwilę, zmożona wzruszeniem, ale uczyniła wysiłek i mówiła dalej. August, wzruszony niezmiernie i pełen niepokoju, nie przerywał jej i czekał dalszego ciągu jej mowy.

— Gdy tak spowiadałam się przed sobą z win moich — ciągnęła nieszczęśliwa — natchnienie jakieś wstąpiło we mnie... Zaczęłam płakać tak, jak nie płakałam dawno, bo cicho i z pokorą... Stało się we mnie przesilenie, chwila stanowcza przyszła... Zawsze z trwogą i głuchym gniewem myślałam o tem, że możesz pokochać inną; teraz ujrzałam, że tak się już stało, trwoga zamieniła się w pewność, gniew ustąpił

przed boleścią. Ale pierwszy raz poczułam, że boleść moja szlachetną była, bo nie za siebie bolałam, ale za ciebie... I przyszło mi na myśl, że zło, które wyrzuciłam, poprawić mogę, że własną ręką mogę zbudować ci szczęście... Do tego trzeba, abym się usunęła z drogi twojej... abym umarła... Postanowiłam umrzeć, a że nie miałam zabójczego narzędzia, chciałam, aby głód dokonał dzieła, które rozpoczęła choroba... Dziś jestem już na-pół umarła, zaledwie mam siłę mówić i poruszać się. Jeszcze dzień jeden, a pożegnaj cię, Auguste... Nie powinnam była mówić ci tego, ale nie mogłam odjąć sobie tej pociechy najwyższej, abys przed skonem moim wiedział, co uczyniłam przez miłość dla ciebie... Może w ostatniej chwili mego życia, oko twoje spocznie na mnie z przywiązaniem i wdzięcznością, może, gdy mnie już nie będzie, wspomnisz o mnie bez niechęci i urazy...

Pochyliła się, ustami przylgnęła do ręki Augusta i głębokie łkania wstrząsnęły jęj ciałem.

Była długa chwila milczenia, podczas której po twarzy Augusta przemykały roje uczuć i myśli. Nagle oblókł ją spokój wielki, męztwo i szlachetność zajaśniały na czole, oczy z wyrazem litości i poszanowania spoczęły na pochylonej przed nim kobiecie.

Skończyły się walki wszelkie: wiedział już, co ma uczynić.

Powstał, spokojny choć smutny, łagodnie podniósł

schyłoną głowę Anastazyi, a trzymając jej rękę w uścisku swych dłoni, wyrzekł:

— Anastazyo! nikt umierać nie powinien piérwój, nim godzina śmierci jego wybije na zegarze samego Boga. I ty nie umrzesz piérwój, niż ci przeznaczono. Jeżeli ty zbłądziłaś, dążąc do połączenia się ze mną, bez uwagi na różnicę lat i skłonności naszych, ja także nie jestem bez winy. Jako mężczyzna, a zatem nauczony od dzieciństwa kierować samodzielnie swojemi losy, powinienem był znać drogi swoje i na niewłaściwe nie wstępować. A ponieważ wspólnie popełniliśmy winę, wspólnie znośmy jej skutki... Gdybyś była młodą, piękną, jak dawniej, i zdrową, mógłbym rozstać się z tobą i powiedzieć: szukajmy sobie szczęścia z osobna! ale dotkniętej nieszczęściem, zblałej, niedołężnej... ja cię nie opuszczę. Za tydzień najdalej wyjedziemy ztąd, Anastazyo. Aby oszczędzić bólów tobie, sobie, i komuś może trzeciemu, opuścimy to miasto. A teraz pójdę do lekarza, przyzwęgo tu i mam nadzieję, że za dni parę osłabienie, w jakie się wprawiłaś sztucznie, przeminie, i wrócisz do najlepszego stanu zdrowia, w jakim być możesz...

To rzekłszy, pocałował rękę Anastazyi i opuścił pokój.

Anastazyja wydała okrzyk, w którym były razem zdziwienie, radość i żal.

— Więc on ją dla mnie opuści! — zawołała —

więc wyjedziemy razem, i będę mogła jeszcze być z nim, widzieć go, słyszeć głos jego! O, dobry, zacny mój August!

Egoizm i instynkt zachowawczy zwyciężyły postanowienie słabiej kobiety o burzliwej duszy, opadła na poduszki, zmęczona i słaba, ale znać było, że radosne wzruszenie wlewało nowe życie w jej schorzałe ciało.

August wszedł do pierwszego pokoju swego mieszkania, blady i smutny, ale spokojny, i skierował się ku drzwiom do wyjścia na miasto, gdy nagle zatrzymał się, bo zobaczył gościa, który, siedząc na kanapie i przeglądając niedbale książkę, wyraźnie oczekiwał na niego.

Gościem tym był pan Edward Gaczycki. Odwiedzał on niekiedy, lubo rzadko, Augusta, a kiedykolwiek się spotykali, byli z sobą w uprzejmych, niemal przyjaznych stosunkach.

Powitali się więc serdecznie. Przy powitaniu tém uwagi Augusta ujść nie mogło, że, tak obojętna zwykle, twarz bogatego pana, powleczone była chmurą, a w oczach jego, zimnych i bladych, malował się odcień niepokoju.

— Przyszedłem dziś do pana — rzekł Gaczycki, po kilku chwilach potocznej rozmowy — z interesem, a raczej z propozycją...

— Słucham pana — rzekł August — i wiem z góry, że co tylko zaproponujesz mi, dobrem będzie.

— Wiész pan o tém — mówił Gaczycki — że większą część dóbr moich posiadam w gubernii W., około miasta N., o sześćdziesiąt mil stąd odległego; tam także mam braci, krewnych, i najwięcej stosunków tak przyjaźni, jak prostej z ludźmi znajomości. Otóż przed kilku dniami pisano do mnie z N., że jest tam wakujące rządowe miejsce, które oczekuje na zdolnego człowieka, mogącego kompetentnie spełnić przywiązane do niego obowiązki, i że można je z łatwością otrzymać przez wpływy moich znajomych i przyjaciół. Ponieważ miejsce to przedstawia dogodne materyalne warunki, a przytém perspektywę posuwania się wyżej na drodze urzędowych powodzeń, sądziłem, że pan zechcesz je przyjąć, i przyszedłem zapytać pana o to.

Mówiąc to, Gaczycki utkwiał w Augusta badawcze i niespokojne nieco spojrzenie.

— Uważaj pan — dodał po chwili — że nie nalegam, a nawet żadnej w tej mierze nie podaję panu rady. Człowiek rozumny i dojrzały, jakim pan jesteś, sam najlepiej wie, jak w każdym razie ma postąpić. Przychodząc do pana z tą propozycją, chciałem tylko ułatwić ci wyjazd z X., jeślibyś o tym wyjeździe już myślał...

Umilkł, i oba milczeli przez chwilę. August pierwszy odezwał się z serdeczną w głosie otwartością:

— Przyszaj pan, iż wiedziałeś o tém, że wyjazd



mój z X., w skutek pewnych okoliczności, stanie się prędzej lub później koniecznym...

— Nie waham się szczerze odpowiedzieć panu, że tak było w istocie — odparł Gaczycki.

August wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję — rzekł — przyjmuję twoję propozycyę, i najdalej za tydzień opuszczę X.

Gdy to mówił, większa jeszcze bladość twarz mu pokryła, cierpienie malowało się w oczach.

Gaczycki ścisnął mu rękę.

— Pozwól sobie powiedzieć — wyrzekł — że postępujesz, jak człowiek sumienny i szlachetny; szanuję cię, Augustcie!

August zamyslił się długo, boleśnie. Oczy jego mimowoli wybiegły spojrzeniem na szyby okien, i w zamysleniu spoczęły na oknach pierwszego piętra przeciwległej kamienicy. Gaczycki wiódł okiem za kierunkiem jego spójrzenia, smutny był i wzruszony.

— Wyjadę — mówił dalej August — i, jak dawniej, pracować będę wedle sił i zdolności. Czuję, że uczucie głębokie a nieszczęśliwe przebudziło mego ducha, wzmogło go, wyrwało z apatyi, w którą był zapadł. Myśl o *niéj* będzie mi natchnieniem... Pocięchy w tęsknocie i siły w cierpieniach szukać będę w sztuce ukochanej, do której teraz czuję popęd taki, jaki był ozdobą i rozkoszą najpiérwszój méj młodości... Nie każdemu dano być szczęśliwym na téj bie-

dnęj ziemi... Ja szczęście moje, smutne, ale spokojne, odnajdę w myśli, że spełniłem, com był powinien...

Coś, jakby łza drobna, ukazało się w białych źrenicach Gaczyckiego, i wnet zniknęło. Ręką wskazał na przeciwległe okna i z wolna zapytał :

— A ona ?

— Ona? -- odpowiedział August — ona zapomnia!... I niech będzie szczęśliwą — dodał, i przeciągnął rękę po czole zasłłem chmurą ciężkiej bolesti.

Zrozumieli się, i w milczeniu uścisnęli sobie dłonie.

W godzinę potem, lekarze, zebrani przy łożu Anastazy na naradę, oświadczyli, że z chwilowego osłabienia, w jakie wtrąciła się sama, wróci ona wkrótce do zwykłego sobie stanu, że zdrowie jęj, lubo podkopane mnóstwem chorób, i zachwiane nazawsze, nie przedstawia żadnego natychmiastowego niebezpieczeństwa i że, pomimo wielu swych dolegliwości, chora żyć może bardzo długo.

A wieczorem dnia tego, August, stojąc u okna swe go pokoju, oczyma pełnemi smutku żegnał bladęm światłem błyszczące okno Wandy.

I długo w noc dwa ich okna, same jedne oświetlone i czuwające wśród ciemnych i uspiionych otaczających domowstw, zdawały się, jak dwie gwiazdy mgłą jesienną przyćmione, drżać, skarżyć się i żegnać. Pośrodku ulica, mroczna i cicha, rozpadała się między niemi niby przepaść.

## XXV.

Wanda siedziała w salonie swoim sama jedna i zamysłona. Smutne musiały być myśli, które napełniały głowę młodej dziewczycy, bo pochyliła na dłoń białe czoło, a pierś jęj częstém podnosiła się westchnieniem.

Drzwi otworzyły się z cicha, na progu błysnął kolor różowy, i do salonu weszła Stasia.

Ujrzawszy ją, Wanda wydała okrzyk radości i, z niezwykłą sobie żywością, rzuciła się na szyję przyjaciółki.

— Wandziu! na Boga? co ci jest? jak ty wyglądasz? — zawołała przybyła z przestraczem niemal.

Wistocie, Wanda, w przeciągu dni ostatnich, zmieniła się niezmiernie; schudła, zbladła, a w oczach jęj i na czole znać było głębokie cierpienie. Nie odpowiedziała na niespokojne pytania przyjaciółki, ale, całując ją ciągle i sadzając obok siebie, zawołała z tłumionemi łzami:

— Stasiu moja! przyszedłś przecie do mnie! myślałam, że i ty opuścisz mnie, jak wszyscy, że się ode mnie oddalisz, że mną pogardzisz...

— Co ty takiego mówisz, Wandziu? co się z tobą dzieje, moja droga? — pytała Stanisława, tuląc do siebie drżącą i rozplakaną.

— Alboż ja sama wiem, co się wkoło mnie dzieje? — zawołała Wanda — spotykają mnie wciąż rzeczy nadzwyczajne, bolesne, upokarzające! Posłuchaj tylko! Onegdaj matka moja, jak wiesz, zawsze prawie cierpiąca, poleciła mi, bym w jej imieniu oddała pani Rokowiczowej wizytę, która się jej od nas dawno należała. Poszłam więc do niej, i powiedziano mi w przedpokoju, że pani Teresy niema w domu. Wychodząc z bramy jej mieszkania, mimowoli podniosłam oczy i zobaczyłam ją stojącą w oknie, i patrzącą na mnie z dziwnym uśmiechem. Nie umiem ci określić, jaki był uśmiech ten! jakiś zjadliwy, okrutny, a wyraźnie zdawał się mówić do mnie: „Widzisz, byłam w domu, ale nie przyjechałam cię, bo takich osób, jak ty, nie przyjmuję i nie chcę mieć z nimi żadnych stosunków!” Zdziwiłam się, ale się nie zmartwiłam wcale; przypisałam to jakiemuś dziwactwu pani Teresy, dla której zresztą nie miałam nigdy wiele sympatii. Ale, gdym szła ulicą, spotkałam jadącą koczem panią Rostowiecką. Siedziała, jak zwykle, rozparta dumnie w powozie i wystrojona. Jako dobrej znajomej, ukłoniłam się jej, i—wystaw sobie moje zdziwie-

nie, kiedy, zamiast oddać mi ukłon, pani Olimpia podniosła głowę swą jeszcze wyżej, i zmrużonemi oczyma rzuciła na mnie spojrzenie... Jakież spojrzenie? takie, jakim był uśmiech pani Teresy. Zdawała się mówić mi oczyma: „nie znam takich, jak ty, osób, i nie chcę mieć z niemi żadnych stosunków!” Przyszłam do domu bardzo zdziwiona, że jednak miałam co innego na sercu i myśli, zapomniałam prędko o tych dwóch wydarzeniach. Ale odtąd ciągle przytrafiają mi się podobne... Zawczoraj spotkałam, wychodząc z kościoła, córki pani R., téj, co to zawsze w amantowej sukni chodzi: spojrzwały na mnie swemi przymrużonemi oczkami i, nie ukłoniwszy się, odwróciły głowy... Rokowicz przeszedł obok mnie kilka razy, patrzył na mnie i ani głową nie skinął!... Nawet poczciwa Ludwinia, która zawsze tak mnie kochała, spotkawszy mnie na chodniku, uściśnęła mi rękę, jakby ukradkiem i, oglądając się, czy jéj kto nie widzi, pobiegła prędko, niby uciekając ode mnie... Powiedz mi, Stasiu, co to wszystko ma znaczyć? bo ja daremnie zapytuję sumienia swego; nie znajduję w niém nic, co-by zasługiwało na tak ogólną przyganę i pogardę? Cóżem złego wyrządziła tym ludziom, że mnie tak wytrącają z pośród siebie? że śmia publicznie i jawnie ubliżać mi? Wszakżem się zrodziła i zhodowała pomiędzy nimi; wiedzieli więc oddawna, kim i jaką jestem; dlaczegoż więc wprzódy okazywali mi przy-

jaźń? Czemu te same kobiety, które dziś odwracają się ode mnie, całowały mnie i nazywały swą przyjaciółką, nie dawniej, jak przed miesiącem? Gdyby o tём dowiedziała się matka moja! drzę na samę tę myśl! Ona, tak dumna mną, tak ślepo mnie kochająca, umarła-by chyba z rozpacz i wstydu!...

Wanda umilkła, wyraz goryczy i cierpienia osiadł na jéj twarzy. Stanisława smutnie na nią patrzyła.

— Biedne dziecię! — wyrzekła po chwili — więc ani przewidywałaś, że burza oddawna już wre wkoło ciebie, że złe języki opasały cię siecią tysiącznych plotek i obmów, że te same kobiety, które okazywały ci najżywszą przyjaźń i sympatyą, najżarciéj szarpały twoją dobrą sławę?

— Owszem — odpowiedziała Wanda — oddawna nie zwykłam była stosować się do drobiazgowych form i zwyczajów, przyjętych przez nasze towarzystwo, i wiedziałam, że mi to mają za złe... Ależ od prostéj przygany do ogólnej pogardy daleko jeszcze. O cóż mnie oskarżają? z kądże powstała ta burza złych języków, o której mówisz?

— Ze znajomości twéj z panem Przybyckim — odparła Stanisława.

Czoło Wandy pokryło się szkarłatnym rumieńcem, a potém stało się jeszcze bledszém, niż było wprzódy. Pochyliła głowę na piersi.

— Tak — szepnęła — domyślałam się tego, ale odpychałam domysł ten. jako uwłaczający ludziom

i mnie. O, jakież to serca niedobre! jakie nieszlachetne dusze! — mówiła daléj, załamując ręce przed sobą — dlaczegoż nikt z nich nie przyszedł otwarcie wypowiedzieć mi swéj myśli? czemu nikt szczerze a uczciwie nie zapytał mnie o istotę rzeczy? Wszak znali mnie od dawna i taką mi okazywali przyjaźń, że niejedna osoba miała prawo to uczynić! Dlaczegoż knowali przeciwko mnie niby spisek jakiś, w obłudzie i fałszu uśmiechając się do mnie, i okrywając mnie pocałunkami, aż póki nie zdobyli sobie pozorowego prawa odtrącenia mnie od siebie publicznie? Dlaczegoż zresztą sądzą mnie z pozorów, które same nawet nie miały w sobie nic złego? czemu dobre nawet istoty, jak naprzykład Ludwika, łączą się z tą złością i obłudą innych? O, świat! o, ludzie!

Z gościem gorzkiego rozczarowania zakryła oczy dłońmi.

— Ja ci zaraz ukażę przyczynę tego, co cię tak dziwi — rzekła Stanisława z powagą w głosie — oto kobiety te okazywały ci zawsze przyjaźń obłudną i fałszywą, a w gruncie zazdrościły ci, żeś młodsza i piękniejsza od nich, że sama jedna wywoływałaś wkoło siebie tyle pochwał i uwielbień, ile one wszystkie, razem wzięte, zebrać nie mogły. Rade więc, że znalazły jakikolwiek pozór do potępienia cię i obrzucenia naganą. W postępowaniu twojem dopatrują grzechu, bo same są grzeszne; pragną cię okryć cieniem, by same jasno wyglądały. Co zaś do owych,

jak powiedziałaś, istot, które łączą się ze złością i obłudą innych, czynią to one przez tchórzowstwo i egoizm, obawiają się płynąć przeciw prądowi ogólnego zdania, aby własnej nie narazić opinii. Są to istoty, dobre wprawdzie, ale dobrocią owcy lub cielęciami, pozbawioną wszelkiej odwagi i energii. Słyszą, żeś oskarżona o coś złego przez głos publiczny, przekonane w gruncie o twój niewinności, uściskną cię milczkiem i potajemnie, między czterema ścianami swego lub twego pokoju, ale na ulicy, w dzień Boży i widny, gotowe są razem z drugimi rzucić na ciebie garścią błota, lub kamieniem, dlatego, aby ktokolwiek nie powiedział, broń Boże, iż mają spółnictwo z tém, co miało nieszczęście nie podobać się komuś.

— O, Stasiu! ty do takich słabych i tchórzliwych istot nie należysz! — zawołała Wanda, obejmując szyję przyjaciółki.

— Ja? — odpowiedziała Stanisława, wzruszając ramionami — ja nie pojmuję podobnej dwulicowości. Dla kogo nie mam dość szacunku, aby z nim ręką w rękę iść publicznie, temu i potajemnie dłoni nie podam; ale kogo między czterema ścianami uścisknę z przyjaźnią, temu dała-bym ten sam uścisk, choćby na szczycie wieży katedry kolońskiej i chociaż-by, u stóp tej wieży, cała ludzkość była zgromadzoną i patrzyła na mnie... Z tobą, Wandziu, znamy się od lat dziecięcych, od lat dziecięcych wiązała nas przyjaźń i wzajemna sympatya; to też nigdy nie zaparłam się



tego, że jestem twoją przyjaciółką, i nie zaparła-bym się nawet, gdyby cię oskarżano o sto razy większą zbrodnią, niż ta, że kochasz człowieka, którego ci wedle praw ludzkich kochać nie wolno.

— A więc tak, Kocham go! — wybuchnęła Wanda w pół z płaczem, w pół z energią. — I cóżem temu winna? Alboż wiem, jak przyszło mi to uczucie? alboż potrafiła-bym sama opowiedzieć historią mego serca? Gdy pierwszy raz go ujrzała, zdało mi się, że znam go dawno... dawno, że przebywaliśmy już razem kędyś w krainach duchów może... tam pod gwiazdami, w które oboje wpatrywać się lubimy, może dlatego, że przeczuwamy w nich pierwotną ojczyznę naszą i miejsce, do którego dusze nasze ulecą, aby się połączyć po przebyciu tój biednej ziemskiej drogi! Nie wiedziałam o tém, że go Kocham, Bóg i sumienie moje świadkami mymi! W myśli mój znałam go bratem, a niekiedy mistrzem moim, bo przy nim duch mój wzrastał i wlatywał coraz wyżej w krainy sztuki i wiedzy. Cierpiałam i nie rozumiałam mego cierpienia, tęskniłam i nie rozumiałam mych tęsknot. Doświadczałam dziwnych, nieznanym przedtém radości, i nie pojmowałam, z kąd-by się one brały we mnie... Nie miałam u kogo zaczerpnąć rady, nie było obok mnie niczyjego oka, które-by spojrzało w głębie mego serca i rozwidniło je przede mną samą. Matka moja, droga i najlepsza moja matka, wśród chorób i odosobnienia dawno zapomniała, jakim torem po-

tępują uczucia młode. Zresztą lękałam się sprawić jej zmartwienie, zwierając przed nią niepokoje moje... I nie czułam nawet potrzeby tego, bo niepokoje te brałam za urojenia, za marzenia dziwne, którym i pierwój ulegałam nieraz. Łajałam się za nie, i nie widziałam, w czém-bym winną była... I nagle rozdarła się przede mną zasłona... Było to w cichy, pogodny wieczór. Staliśmy nad brzegiem rzeki sami jedni, wobec pięknej samotnej natury, która zawsze przemawiała mi do serca i wprawiała mnie w odmet marzeń... O, droga moja! jaki on piękny był wtedy! jakie blaski przechodziły mu po czole i świeciły w oczach! Widziałam dwie łodzie, płynące po rzece, i pomyślałam, że był to symbol mego życia i jego. Łodzie rozstały się i popłynęły w przeciwne strony, poczułam boleść nagłą i głos jakiś krzyknął mi w sercu: „kocham!” Spojrzałam na niego i ten sam wyraz wyczytałam na jego twarzy! Zrozumiałam siebie i jego! Odtąd wiedziałam wszystko! Odtąd także nie widziałam go.

Zatrzymała się na chwilę, owładnięta wzruszeniem; silniej przytuliła się do piersi przyjaciółki i mówiła dalej:

— Nie przyszedł do mnie więcej, bo zapewne przejrzał także i zrozumiał mnie i siebie! Widziałam, jak przez tę krótką chwilę, w której przebywaliśmy jeszcze razem, walczył on, aby nie wyrzec tego wyrazu, którego pełne były oba serca nasze! Nie

chciał zapewne zakłócać bardziej spokoju mego!  
O, jakże urosł i zmężniał wtedy w oczach moich!  
O, kochana! jaki on szlachetny! jaki zacny!

Ukryła twarz na piersi przyjaciółki i płakała.

— Biedna Wanda! — wyrzekła cicho Stasia —  
czeka cię wielka boleść. Dziś z rana dowiedziałam się,  
że on za kilka dni opuści nasze miasto!

Wanda podniosła głowę, łzy oschły na jej oczach,  
a na twarzy był wyraz energii i męstwa.

— Wiem o tém — odrzekła — wiem, choć mi te-  
go nikt dotąd nie powiedział. Inaczéj być nie mo-  
gło. On ma do spełnienia powinność, zaciągniętą  
względem nieszczęśliwéj kobiety, która jest jego żoną,  
a ja ani jedném słowem od téj powinności odwiéść-  
bym go nie śmiała. O, Stasiu moja! gdyby on był  
wolnym, czuję, że spełniło-by się to niewyraźne ma-  
rzenie o szczęściu, jakie długo serce moje snuło w pół-  
śnie i cichości! Bylibyśmy szczęśliwi! Zdaje mi się,  
że Bóg, stwarzając ludzi, musi mówić niekiedy: tych  
dwoje stwarzam dlatego, aby stanowili jedność, aby  
wzajemném byli sobie dopełnieniem, bo dusze im da-  
ję podobne i myślom ich jedną zakreślam granicę... wy-  
soko, aż pod stropem niebios wytkniętą. Będą się szu-  
kali po świecie marzeniem tęskném, znajdą się i uko-  
chają! I staje się wedle słowa Bożego. Dwoje ludzi,  
z duchami podobnymi do siebie, spotykają się i znaj-  
dują... i miłują się wzajemnie... Ale ziemskiem ży-  
ciem ziemskie rządzą prawa, one ich rozdzielają i idą

oni dalej z osobna drogami świata, jak osobno płyną dwie łódki - siostry, roztrącone po falach wiosłem rybaka. Któż odgadnie, w jakich celach dzieje się tak z ludźmi na świecie? Któż poważy się sarkać na przeznaczenie, które przecie ślepym trafem nie jest, ale skutkiem przyczyn, nad którymi długo myśleć trzeba, aby je poznać, a czasem i nigdy poznać rozumem nie można... tylko trzeba odgadnąć sercem i zważyć sumieniem... Długo nad tém myślałam, a boleśnie i samotnie, i wstąpiła we mnie myśl światła, że ani jemu, ani mnie niewolno walczyć z losem, który nas rozdziela. Zwycięstwo w tej walce nie trudne, ale okupionóm-by zostało ostateczném nieszczęściem istoty i tak nieszczęśliwej, a która jednak zawierzyła mu kiedyś życie i dziś, bez jego opieki, bez jego ramienia, istnieć nie może...

Milczała Wanda przez chwilę i zdawała się głębięj namyslać.

— Tak — rzekła jeszcze — wchodzę w samę siebie i pytam: gdzie jest grzech mój — i nie znajduję go. Nie znajduję go, bo czuję się czystą w poczuciach i postanowieniach moich, bo wiem, że gdyby *on* nawet zachwiał się na drodze swojej, i przez miłość dla mnie chciał złego dopełnić czynu, ja sama pokazała-bym mu cel wyższy nad wszelkie ziemskie szczęście: udoskonalenie się ducha i niezmaconą żadną winą czyścistość sumienia. I powiedziała-bym mu: przenieśmy mężnie cierpienie nasze i pozostajmy zacnymi oboje !...

Piękną była Wanda, gdy tak mówiła. Szlachetna duma i odwaga wyprostowały jej postać. a na licu rozlała się, połączona z cichém cierpieniem, pogoda niewinności.

Stasia objęła ją ramionami, utuliła na swój piersi i z cicha a słodko mówić do niej zaczęła. Były to może pociechy, może rady doświadczonėj przyjaciołki, na które Wanda odpowiadała niekiedy ściśnieniem ręki, lub pocałunkiem.

---

## XXVI.

Nie dalej, jak o pół wiorsty od X., na niewielkiem wyniesieniu, stoi dworzec kolei żelaznej. Obok murów jego, kilka razy na dobę z odległych stron świata przybywająca, pędząca jak wichru i kurzawy tuman, staje lokomotywa. Przybycia jęj z niecierpliwością oczekują tłumy tych, którzy w podróż puszczają się mają, i tych, co żegnać ukochanych a oddalających się przyszli, i tych, co mają nadzieję powitać kogoś z drogi dalekiej, i tych jeszcze, co od lat wielu gapią się na ów parowy i żelazny cud dziewnastego wieku, i nigdy dosyć nagapić się nie mogą.

Kiedy z rana w dzień pogodny parowóz odlatuje od dworca, stukając kołami po szynach, sycząc i gwiżdżąc, jak wulkan przed wybuchem, a podobno i czeluście piekielne, pełne dusz nieszczęśliwych, smażonych w smole, wtedy w przezroczystem powietrzu rozwija się za nim długie a kręte pasmo dymu, ozłoconego

słońcem, sypią się iskry niby z paszczy bajecznego smoka, a smugi ich wiją się i błyszczą, jak ogon komety. Jeśli zaś zjawisko to zbliża się o zmroku, wówczas z dala na tle szarém iskrzato płoną i lecą w przestrzeni latarnie czerwone, niby wytrzeszczone ślepia olbrzymiego wilka; a gdy oddala się, zamiast dwóch, ma za sobą jedno-płomienne czerwone oko, które, ulatując w przestrzeń, to ukazując się, to znowu znikając na załamach drogi, zdaje się wołać na pozostałych a patrzących: „w świat! lecę w świat, jak meteor ziemski! komu ochota, to proszę ze mną, ale chyba na drugi raz, bo co teraz, to się już nie zatrzymam, chyba na rozkaz Bozki, lub... królewski!

Któż zrachuje, ile westchnień codziennie na świecie ulatuje z piersi pozostałych za tęp okiem, które błyszczy z dala, niby ostatnie pożegnanie, przesłane od ukochanych a odjeżdżających!

Dzień jesienny, pogodny, ale mglisty i mroczny, miał się ku końcowi; na dworcu kolei tłumno było i gwarno, bo przed oknami, wstrzymana na chwilę w swym pochodzie, sztywna i wyniosła, stała już lokomotywa. W salach pstra i różnorodna ludność tłoczyła się, popychała, witała, żegnała, gotowała się do podróży.

Odosobniona nieco od tego ścisku i gwaru, w zagłębieniu jednego z okien, stała para ludzi: młody mężczyzna w podróżnym ubraniu, i młoda kobieta w ciemnym okryciu i z zasłoną na twarzy. W posta-

wach obojga znać było wzruszenie, z po-za przezroczyściej zasłony kobiety dwoje wielkich oczu błyszczało łzami. Powoli wyciągnęła drżącą rękę do stojącego naprzeciw mężczyzny, i rzekła:

— Powiedziano mi, że pan dziś odjeżdżasz... przyszłam, aby raz jeszcze widzieć i pożegnać pana... może nie powinnam była czynić tego, ale nie mogłam inaczej...

Nie mogła mówić dalej. Mężczyzna patrzył na nią z uwielbieniem i wdzięcznością.

— W tej uroczystej chwili — wyrzekł — gdy, może po raz ostatni, widzimy się na tej ziemi, pozwól, abym odrzucił formy światowe i raz, raz jeden w życiu, powiedział do ciebie: Wando!

— Panie Auguste — jęknęła kobieta — Auguste! — szepnęła tak cichutko, że jeden tylko anioł stróż jej mógł-by ją dosłyszeć, a z pod zasłony spłynęła kropla przezroczysta i zaperliła się na ciemnym okryciu.

W tej chwili tuż blisko nich zadźwięczał donośny dzwonek. Zadrżeli oboje i pobledli.

— Myślałam — mówiła Wanda — że nie będzie źle z mej strony, jeśli przyjdę tutaj, aby pożegnać pana słowem gorącego życzenia, aby ucisnąć ci rękę raz jeszcze i powiedzieć: bądź szczęśliwy!

— Szczęśliwy! — powtórzył August ze śmiertelnym zwątpieniem w głosie, i powiódł ręką po



oczach, przed którymi przedmioty mieszały się, ćmiły i drżały.

— Szczęśliwy! — powtórzyła Wanda pewniejszym głosem — szczęśliwy tém smutném, lecz wielkiém szczęściem, jakie daje niepokalana zacność i spełniony obowiązek.

Drugi raz ozwał się dzwonek, a głośniej jeszcze i przeraźliwiej, niż przedtém.

Wanda znowu złożyła dłoń w rękę Augusta: tonęli w sobie oczyma, jak gdyby nazawsze obrazy swoje chcieli utrwalić w pamięci.

— Czy spotkamy się jeszcze kiedy na téj ziemi? — szepnęła Wanda.

— Nie wiem! — drżącemi usty odszepnął August. — Ja pani szukać nie będę, nie powinienem... chyba... chyba będę miał prawo rozrządzać własném życiem i oddać je tobie.

Trzeci raz zabrzmiał dzwonek. Dźwięk jego ostrzem stali odbijał się o serca dwojga młodych ludzi.

— Jedź już, jedź pan! — szybko wyrzekła Wanda — ona tam czeka na ciebie... Bądź zdrow, Auguste! — dodała cichutko.

W silnym uścisku objął jęj obie dłonie.

— Wando! pamiętaj o mnie! — wyszeptał. — Nie, nie — dodał prędko — zapomnij... zapomnij, i bądź szczęśliwą!

Z temi słowami odbiegł od niej i zmieszał się z różnobarwnym tłumem.

Rozstali się na zawsze może i nie powiedzieli sobie ani razu krótkiego słowa: „kocham!” August zaparł je w sercu, aby na usta nie wyszło, bo lękał się bardziej jeszcze zamącić spokój i zranić serce Wandy; ona słowa tego nie wyrzekła, bo powstrzymywała ją nieśmiałość dziewicza, a w głębi jej tkwiła myśl, aby szlachetnemu człowiekowi nie utrudniać bardziej spełnienia bolesnych, lecz zacnych postanowień.

Odezwało się kilkorazowe głuchoe stuknięcie zamykających się drzwiczek wagonów, świsnęła przeźliwie lokomotywa, kłęb gęstego dymu, wyparty z żelaznego komina, uniósł się szarą mgłą w powietrze, i po chwili na drodze wił się już pociąg w szybkim pochodzie, niby olbrzymi wąż czarny, a przyczepiona za nim latarnia jaskrawa świeciła, jak wielkie czerwone oko.

Wanda stała jeszcze u okna, płonące czoło przycisnęła do szyby i oczyma ścigała ulatujący w przestrzeń punkt iskrzący.

Punkt ten oddalał się coraz bardziej, śród coraz gęściej zapadającego zmroku; błyszczał z razu, jak wielka czerwona gwiazda, potem wydawał się płonącym żarzewiem, ulatującym w powietrzu, malał coraz i malał; raz jeszcze z dala błysnął, niby iskra drobna i... zniknął. Zagasło czerwone oko olbrzymiego wę-

za, świst i stuk jego zniknął w przestrzeni. Za szybami przed wzrokiem Wandy był już tylko cień nocny, gdzieniegdzie rozświetlony rzadkimi i drobnymi światełkami przydrożnych latarni; za nią rozlegał się gwar niewyraźny wylegającego z dworca na podwórze tłumu.

Odwróciła się od okna powoli i zmieszała się z tym tłumem. Czy łyzy jej wzrok zaćmiły? czy taki nawał myśli cisnął się do głowy, że straciła pojęcie miejsca, w jakim była, i nic nie widziała dokoła? Szła krokiem wolnym i chwiejnym, ze spuszczoną głową, z obwisłymi rękoma, nie patrząc na nic, co ją otaczało, nie starając się torować sobie drogi wśród cisnących się ku drzwiom ludzi. Tłum, złożony z pospólstwa przeważnie izraelskiego, otoczył ją, ogarnął i pochłonął; wkoło jej głowy rozlegał się krzyk i szwargot, grubiańskie ręce popychały ją, odtrącając od wyjścia, do którego parły się same.

Ona nie zważała na nic; przystawała chwilami, jak osoba zmęczona bardzo, chwilami postępowała na przód krokiem niepewnym, aż oparła się o ścianę, a mnóstwo ludzi przeciskało się tuż koło niej.

Nagle ktoś rozepchnął silnie tłumy i obok niej stanął; czyjaś ręka ujęła jej rękę i, położywszy ją na swém ramieniu, ku drzwiom ją powiodła. Po chwili poczuła na swém czole podmuch świeżego, orzeźwiającego powietrza, posłyszała głuchy turkot podjeżdżającej karety i, sama nie wiedząc jak, znalazła się

w głębi powozu. Ten, kto ją do niego przywiódł, usiadł przy niej i zatrzasnął portyereę. Zamknięcie to i ruch karety, toczącej się po bruku, obudziły Wandę z pół-omdlenia, w jakim zostawała; podniosła oczy i zobaczyła, oświetloną przez palącą się u powozu latarnią, szlachetną i zamyśloną twarz Gaczyckiego.

— Przebacz pani — odezwał się po chwili pan Edward — że ośmieliłem się podać jej rękę wśród tłumu i ofiarować jej mój powóz. Późno już jest, i obawiałem się, abyś pani przy wyjściu z dworca nie znalazła się w kłopotcie z powrotem do domu...

Dziwnie dźwięczał głos jego, gdy to mówił. Było w nim uszanowanie głębokie, a zarazem wzruszenie, którego widocznie utaić całkiem nie mógł.

Wanda spojrzała na niego z wdzięcznością i, podając mu rękę, rzekła krótko:

— Dziękuję!

Milczeli oboje, dopóki kareta nie zatrzymała się u bramy mieszkania Wandy. Gaczycki podał jej znowu ramię: powoli wstępowali po schodach. Gdy byli już u drzwi przedpokoju, Gaczycki wyrzekł:

— Jutro odjeżdżam. Czy pozwolisz pani, abym z nią kilka chwil pomówił sam-na-sam?

Wanda giestem zezwoliła.

— Matka moja — odrzekła — jak najczęściej, tak i dziś, nie opuszcza swego pokoju, bo czuje się cierpiącą; przyjmę więc pana sama.

Po chwili siedzieli oboje w salonie oświetlonym lampą.

— Dziwném się może pani wyda — mówił Gaczycki — że wybrałem chwilę podobną, aby jej powiedzieć to, o czém chcę, abyś wiedziała. Ale właśnie chwila ta wydała mi się stosowną: jesteś pani smutną, a ja pragnę wyrzec ci słowo pociechy; jesteś opuszczoną i samotną, pragnę ci podać dłoń przyjaciela; żebym miał prawo to uczynić, powinienem powiedzieć otwarcie, co czuję i myślę...

Wanda patrzyła na niego z szacunkiem i wdzięcznością.

— Mów pan! — wyrzekła.

— Pozwól pani, że zacznę rzecz od początku. Przed kilku miesiącami przyjechałem do X. dla spraw majątkowych, tylko na krótko. Miałem już odjeżdżać, gdym poznał panią. Nie odjechałem i pozostałem na dłużej, sam nie wiedząc, na jak długo. Nie powiem pani, aby żywsze jakieś uczucie było od razu pobudką pozostania mego w X. Jak to pani mogłaś zauważyć, nie jestem skłonny do marzeń i zapału; niezgodném-by to było wreszcie z moim wiekiem, w którym dojrzałość myśli i rozwaga właściwe są i konieczne. Pozostałem dlatego, że uderzyłaś mnie pani swą indywidualnością wybitną na pstrém a pospolitem tle, śród którego cię ujrzałem; zaciękałaś mnie, zapragnąłem cię zbadać z razu ze stanowiska filozofa i psychologa tylko. Znajomość serc

ludzkich była dla mnie zawsze najpożądanszą wiedzą. Ile razy w życiu spotykałem indywiduum, odróżniające się od pospolitego tłumu, tyle razy zatrzymywałem się przy nióm, aby je pojąć i zbadać, w tém przekonaniu, że znajomość serc ludzkich ułatwia poznanie samego siebie i pokazuje drogi, na których bliżnim najbardziej użytecznymi być możemy. Otóż, zatrzymując się obok pani, sądziłem, że będzie to stacya umysłowa, podobna wielu innym; że zaczerpnę z nięj nową wiedzę dla myśli, zrobię nowe studyum psychologiczne i spokojny wrócę do moich fabryk, ksiązek i rolnictwa. O sercu ani myślałem. Stało się inaczej. Zatrzymałaś mnie pani przy sobie dłużej, niżlim się spodziewałem—pokochałem panią!

Wanda zbladła nieco i bolesny niemal wyraz zjawiał się na jęj twarzy. Spostrzegł to Gaczycki, ale nie zmienił się wcale; pozostał, jak wprzód, poważny i nieco wzruszony.

— Nie obawiaj się pani — zaczął po chwili milczenia — abym miał pani wiele mówić o mojem uczuciu wtedy, gdy przyjąć je najmniej usposobioną jesteś. Powiedziałem tylko fakt, który powiedziéć byłem powinien, a nie zobowiązuje to pani do wyrzeczenia ani jednego nawet wyrazu. Dlatego jednak, abyś pani pojęła wszystko, co powiem, muszę roztoczyć przed panią cały obraz przejść mych wewnętrznych...

Milczał znowu chwilę, potem mówił dalej :

— W młodości mojej, w bardzo wczesnej młodości, kochałem raz kobietę... miłość to była jedna z tych, jakie zwą nieszczęśliwemi. Nie uświęcona ludzkimi prawami, spotkała niezwyciężone zapory; rozwiała się, minęła jak sen krótki a poetyczny, i zostawiła mi tylko w sercu na zawsze wielkie współczucie dla tych, którzy kochają a cierpią... Od owego czasu praca była jedynym żywiołem, wśród którego żyłem. Pole dla niej znajdowałem w nauce, uprawianiu i doskonaleniu rolnictwa, w kierowaniu przemyśłowemi i dobroczynnemi zakładami, jakie wzniosły się w moich posiadłościach—i to mi starczyło. Nie czułem nigdy próżni w życiu, ani pustki w sercu. Dla życia miałem cele, którem umiłowałem i do których dążyłem; dla serca—przyjaźń i miłosierdzie. Myślałem jednak niekiedy o życiu rodzinnem; ale że doszedłem do lat, w których człowiek nic nie czyni bez rozważania i namysłu, trudno mi było znaleźć kobietę, odpowiadającą moim pojęciom. Znalazł-bym może taką, gdybym szukał; ale nie szukałem, bo zbyt byłem zajęty studjami naukowemi, sianiem pszenicy, prowadzeniem machin i budowaniem szkół lub szpitalów. Aż stało się tak, że, nie szukając, znalazłem... znalazłem panią.

W kobiecie, którą-bym mógł wybrać, pragnąłem ujrzeć jasną intelligencyą, dobroć, ciepło serdeczne i wdzięk, który-by moje serce do niej pociągnął. Przymioty te ujrzałem w pani, gdyś cię badać po

czął. Ale w tej samej porze uwaga twoja zwróciła się na innego...

Nie będę pani opowiadał, jakie na widok ten były osobiste wrażenia moje; powiem tylko, że serdecznie i głęboko współczułem tobie i *jemu*. To, co inni potępiali w pani, mnie jeszcze bardziej pociągnęło do ciebie. Zobaczyłem, że zdolna jesteś kochać bez rachuby, z czystością myśli i podniosłością uczuć; widziałem potem, że, w imię zacności i obowiązku, potrafiłaś spełnić poświęcenie i przenieść boleść z odwagą, i pokochałem cię jeszcze bardziej...

Tu głos Gaczyckiego, po raz pierwszy w ciągu jego mowy, stłumiony został wzruszeniem; blade źrenice pociemniały i błysnęły. Pod wpływem półgłosem wypowiedanego uczucia, twarz jego stawała się coraz piękniejszą, rozumną i męzką pięknocią.

Wanda patrzyła na niego zdziwiona i wzruszona także; w oczach jej migotał rzewny wyraz: była w nim znowu wdzięczność i najwyższy szacunek.

Gaczycki mówił dalej:

— Tego, co powiedziałem, nie bierz pani za naleganie lub jakąkolwiek z mój strony prośbę. Byłbym niedelikatnym, nieszlachetnym prawie, gdybym, nie szanując twego smutku i żalu, prosił panią w tej chwili o serce twoje lub rękę. Chciałem tylko, abyś pani, zostając tu rozżalona, tęskniąca, wystawiona na szorstkie zetknięcie się z ludźmi niesprawiedliwymi lub złymi, wiedziała o tém, że jest na świecie czło-



wiek, który cię poznał, pojął, ocenił, który szanuje cię, kocha i gotów w każdej ciężkiej dla ciebie chwili pośpieszyć dla podania ci pociechy, rady lub pomocy, jakiej-byś kiedykolwiek potrzebowała... Zresztą, pani, życie człowieka krótkie i długie jest zarazem. Krótkie w porównaniu z wiekami, które, jak ocean niezmierny, płyną nad niezmiernym wszechświatem; długie według lat, dni i godzin człowieczych, z których każda mierzy się uczuciem jakimś, boleścią, troską, radością lub obowiązkiem, o spełnienie go wołającym. Pani byłaś dotąd marzącą, przeczystą dziewczyną; wśród marzenia swego miałaś sen o miłości... Był to sen tylko, nic więcej... Pani się zdaje może, że wspomnienie snu tego nie opuści cię do grobu i że wspomnieniem tém żyć będziesz wiecznie; ale prawa natury i serc ludzkich powiadają inaczej... Życie długie jest, pani, wedle miesięcy, lat, dni i godzin. W tém długim życiu, prędzej czy później, barwy snu prześnionego zbledną w twój pamięci; na grobie wspomnień zatkniesz niezapominającą wążkę i zapragniesz rzeczywistości... Rzeczywistości... jakiej? oto takiej, aby w niej była znowu miłość, jeśli nie tak przezrocza i żywa, jak ta, co minęła, to może zato głębsza i trwalsza, a z miłością tą, aby nadeszło ciepło domowego ogniska, rodzina, obowiązki, wszystkie te słowem prace i uczucia, które każdy myślący człowiek spełnić i odczuć powinien, i których wiecznie pragnie...

Jeżeli więc przyjdzie kiedy chwila, w której pani rzeczywistości takiej zapragniesz, wiedz o tém, że jest na świecie człowiek, który ją zawsze spełnić i przywieźć ku tobie gotów, a tym człowiekiem jestem ja... W moim wieku i z moim charakterem, uczucia raz powzięte nie przechodzą łatwo; takim, jak jestem dzisiaj, zostanę dla pani na długo, na zawsze może. Teraz tę tylko zanoszę do pani prośbę, abyś pozwoliła mi od czasu do czasu przybywać do X. dla widzenia cię, dla zasięgnięcia o tobie wieści, dla rozgrzania mego serca po długiej samotnej pracy twoim widokiem i twoją przyjaźnią... Nie odmówisz mi pani tego, nie prawdaż?

Umilkł i patrzył na Wandę. Kto-by go widział, z trudnością-by go poznał wtedy. Nie był to już człowiek o pańskiej, wyniosłej i zimnej postaci, z twarzą rozumną i obojętną zarazem. Głębokie uczucie wydarło się z jego piersi, której ogień umiał tak dobrze osłaniać chłodem zewnętrznym, i rzuciło na niego blask niewymownej dobroci i siły duchowej.

Wanda podała mu rękę.

— Była-bym złą lub bezmyślną — rzekła — gdybym nie potrafiła zrozumieć pana i ocenić takiego serca, jak twoje, i takiej zacnej, wyciągniętej do mnie dłoni. Bóg widzi głębią mojej duszy i sam wie tylko, jak cierpię... Czy prześnię kiedy ten sen, o którym pan mówiłeś, czy barwy jego zbledną kiedy w mej pamięci—nie wiem; ale to wiem, że, ile razy pan mnie

zobaczyć zechcesz, spotkam cię z szacunkiem prawdziwym i niemniej szczerą przyjaźnią...

— Dziękuję! — wyrzekł z cicha Gaczycki i uściśnął jęj rękę. W tēj chwili cichutko otworzyły się drzwi przyległego pokoju, i jak aniołek, w białą ubrane sukienkę, wbiegło dziecicę, wątłe, blade, z główką osypaną złocistemi kędziorami. Poskoczyło z okrzykiem na kolana Wandy i rączkami objęło jęj szyję.

Wanda przycisnęła dziecicę do piersi, pochyliła się nad niēm i znowu, zdjęta wzruszeniem, które przechodziło jęj siły, cicho płakać zaczęła.

— Czego ty płaczesz, najdroższa? czemu ty taka blada? — szczebiotała mała Andzia, przyciągając do siebie głowę Wandy i drobną rączką starając się otrzcć łzy z jęj twarzy.

Gaczycki powstał i ze wzruszeniem patrzył na rzewną grupę. Po chwili odezwał się z powagą, niemal uroczystością w głosie:

— Dobrze odgadłem twoje serce, pani, powierzając ci tę biedną sierotę. Potrzebujesz kochać i czynić coś dobrego na świecie. Kochaj więc dziecicę to, kształć jęj serce, wznos jęj umysł ku tym pięknym rzeczom, których własna myśl twoja pełna, a będziesz miała chwile spokoju i wysokięj moralnēj pociechy. Obok tego, obejrzyj się wkoło siebie: może gdzieś niedaleko, tam, kędy ręka twoja sięgnąć zdoła, jest jakaś niedola, którą dźwignąć trzeba, jakaś ciemność,

którą można rozświetlić. Pełną dłońią czerpaj dobroć z swego serca i światło ze swojej myśli i sięj je między ludźmi. Spójrz także i w siebie, a jeśli zobaczysz, że w umyśle twym braknie jakiejś pożytecznej wiedzy, nabywaj ją, ucz się, wstępuj coraz wyżej po szczeblach, które wiodą człowieka do poznania wszystkiego, co mu poznać na tej ziemi jest dane. Miłosierdzie i praca—oto dwa wyrazy, dwa pojęcia, które zapisz sobie głęboko i nazawsze w sercu i myśli. Idź z niemi ręka w rękę, a nigdy nie poczujesz się zupełnie nieszczęśliwą, bo niema pociechy nad miłość dla ludzi, niema mocy nad tę, którą się czerpie z pracy. A teraz — kończył, zbliżając się do Wandy — teraz, żegnam panią. Jeżeli kiedykolwiek smutna dziś magnolia prześni o złotym słonecznym promieniu, który na chwilę zabłysnął przed nią i zniknął... jeżeli kiedy zatęskni do nowego ciepła i nowej światłości, wtedy przypłynie ku niej inny promień, mniej może ognisty i świetny, niż tamten, ale obok którego nie dotknie jej żaden chłód ziemski, żaden kolec nie zrani jej delikatnych listków, obok którego rozwinie się ona, wspaniała i spokojna, aby zachwycać oczy przechodniów i spełniać to, co jej na tym świecie do spełnienia dano...

Wanda powstała i chciała coś przemówić.

— Nie odpowiadaj mi pani teraz — przerwał jej żywo Gaczycki — nie mów nic, abys nie wymówiła wyrazu, którego-bys potem żałować mogła. Życie

długie—czas wszystko porywa i nawzajem przynosi z sobą... Nie trzeba uprzedzać czasu... Teraz podaj mi pani tylko rękę ufną, przyjazną, i powiedz: do zobaczenia!

Wanda wyciągnęła do niego dłoń otwartą i wy-mówiła głosem, który dźwięczał rzewnie a szczerze:

— Do zobaczenia!

---

## XXVII.

Pan Gaczycki, opuściwszy mieszkanie Wandy, przeszedł parę ulic i wstąpił na wschody dużej kamienicy, której pierwsze piętro płonęło rześcicie oświetlonymi oknami. Było to mieszkanie amarantowej damy, która rozpoczynała porę jesiennych i zimowych zabaw świetnym wieczorem, wydanym dla pokazania wążpliwych wdzięków swych córek i odszukania tego, niepodobnego dotąd dla nich do znalezienia, towaru, który się obrączką ślubną nazywa.

Kto-by świadkiem był przedchwilowego nastroju Gaczyckiego, nie potrafił-by wytlómaczyć sobie, dlaczego człowiek smutny i wzruszony, w uroczystej niemal chwili swego życia, szedł w to pstre i pospolite towarzystwo, jakie zapewne znajdowało się zebrane w salonach amarantowej damy. Kiedy jednak wszedł do oświetlonego przedpokoju, od razu można było odgadnąć, iż miał cel jakiś, bo na czole jego zarysowała się zmarszczka rozwagi, blade policzki zabarwiły się

słabym rumieńcem, a w oczach i po ustach błdził wyraz sarkazmu i postanowienia. Kiedy wszedł do salonu, w którym zebrana była większa część towarzystwa, roznoszono herbatę i owoce, a rozmowa toczyła się, nudna i nieożywiona, między kilku grupami, rozszanemi po salonie. Na kanapie, jak zwykle, najstrojniejsza i nawynioślejsza ze wszystkich obecnych kobiet, tronowała pani Olimpia; niedaleko nięj siedzieli oboje państwo Rokowiczowie, trzymając się za ręce; dalej jeszcze błyszcząły krzyże pani Apolonii, jak dwie stałe gwiazdy na firmamencie, a dalej były trzy damy: fioletowa, amarantowa i zielona, i inne jeszcze damy i panowie, a między ostatnimi pan Spirydion z miną śmiertelnie znudzoną. Osób w salonie znajdowało się przeszło trzydzieści; przez drzwi otwarte widać było przechadzające się panny w towarzystwie młodych ludzi. Córki gospodyni domu, dla zabawienia gości, opuściły tym razem białą mantylą okryte plecy swęj matki, a rumiany Ignas, nie znalazłszy ulubionęj swęj konsoli z salonu pani Olimpii, usadowił się pomiędzy drzwiami i piecem. Przy wejściu Gaczyckiego wszczął się w towarzystwie ruch spojrzeń i szeptów. Gaczycki był indywidualnością bardzo wybitną w X., nietylko z powodu swęj pańskiej i wyniosłęj postaci, ale głównie z powodu uroczej cyry milionów, która z za tęg postaci wyglądała, i arystokratycznie brzmiącego nazwiska, wypisa-

nego wielkimi zgłoskami na jego wysokiem i rozum-  
ném czole.

I czegoż-by nie dała amarantowa dama za to, aby milionowy pan zwrócił swe blade i obojętne oczy na wdzięki jęj córek? I czegoż-by nie dała dama fiole-  
towa, aby rumiany jęj Ignaś choć raz przeszedł się po salonie pod rękę z milionowym panem? I czegoż-  
by nie dały panny, zerkające ukradkiem na wielką łysinę starego kawalera, na której widziały wypisaną większą jeszcze od nięj cyfrę jego majątku, aby zbli-  
żył się ku nim bogaty człowiek, który nie miał łysin-  
y, ale takie piękne, myślące czoło i taką wyniosłą, pełną dystynkcyi, postawę?...

Milion! to magiczny wyraz! a tam było milionów  
dwa i pół; przytém imię piękne i powierzchowność,  
lubo obojętne, ale samą tą obojętnością niepospolita  
i zajmująca!

Wszystkie téż oczy zwróciły się na człowieka ob-  
darzonego tyłu zaletami, a w kilku miejscach salonu  
półgłosem zamieniono uwagę, że pan Gaczycki ina-  
częj jakoś wyglądał, niż zwykle. Damy znalazły, że  
mu z tém do twarzy; przenikliwe mówiły: w tém coś  
jest! on jakiś wzruszony!

Zdziwienie wzrosło, gdy Gaczycki, powitawszy go-  
spodynią domu, z ożywieniem rozmawiać zaczął z kil-  
ku mężczyznami, którzy go otoczyli. Przyzwyczajajo-  
no się widzieć go zawsze mało ożywionym, najczęściej  
milczącym, a myśl swą wyrażającym częściej spojrze-



niem lub uśmiechem, niż słowem. Tym razem mówił wiele, i głośniej niż zwykle zaśmiał się parę razy; zdawało się patrzącym, że w grupie, pośród której stał, był kierownikiem rozmowy, i że prowadził ją na takie drogi, na jakich chciał ją widzieć. Znać to było po twarzach otaczających go mężczyzn, którzy z uśmiechem i zajęciem wszyscy patrzyli na niego. Jakiś dowcip, czy sarkazm, musiał wyjść z ust jego, bo wybuchnął śmiech kilku głosów, a gdy się uciszył, nieopodal siedzące osoby usłyszały wymówione przez Gaczyckiego słowa:

— Powiadam wam, panowie, że sam nieraz widziałem tego potwora. Ma on nogi zajęcze, ogon lisi, którym się często pokrywa, skrzydła nietoperza, lubiącego ciemność, paszczę smoka, żądło węża, oczy jaszczurki, całe ciało pokryte kolcami jeża.

— I jakże nazywa się ten nieznany naturalistom potwór? — zaśmiało się kilka głosów.

— Alboż ja wiem, jak się on właściwie nazywa? — odparł, wruszając ramionami, Gaczycki. — Słyszałem tylko, jak, lecąc nad głowami ludzkiemi, kąsając żądłem, raniąc kolcami a przykrywając się ogonem lisim, krzyczał o sobie: „nazywam się cnota!”

Nowy śmiech wybuchnął. Uwaga grup siedzących niedaleko zaczęła coraz więcej zwracać się na słowa Gaczyckiego, wymawiane swobodnym tonem, w którym sarkazm dźwięczał, jak lekkie i oddalone uderzenie stali o stal.

— A więc i mowę posiada to straszne zwierzę?— mówił ze śmiechem ktoś z mężczyzn, biorących od początku udział w rozmowie.

— I jaką! — odpowiedział Gaczycki — doniosłą i syczącą, gdy mówi: „jam jest cnotą!” pobożną, tkliwą, jękliwą albo dumną i gniewną, gdy powiada: „wszystko, co nie jest mną, jest występkiem!”

Najbliżej siedzące i z ciekawością słuchające kobiety zamieniły między sobą spojrzenia.

— Co to za oryginalny człowiek z tego Gaczyckiego! — szepnęła jedna.

— I cóż on chce powiedzieć przez te swoje przerośnie? — spytała inna.

— Panie Gaczycki! — głośno odezwała się trzecia, nie pierwszój już młodości, w sukni więcej wyciętej, niż trzeba, ale zato z wielce niewinną gałązką sztucznej konwalii we włosach — panie Gaczycki! pozwól pan sobie powiedzieć, że przerośnia pańska ubliża pojęciu o cnotie, której imię dla nas wszystkich przecie jest świętém...

Mówiąc to, dama o niewinnój konwalii, mimowoli rzuciła spojrzenie na swój zbytecznie wycięty stanik. Gaczycki grzecznie się do niej zwrócił.

— Wszystko, pani, na świecie jest względném — odpowiedział z uśmiechem. — Przerośnia, jaką stworzyłem dla odmalowania cnoty, na pozór tylko wydawać się może bluźnierstwem, niedorzecznością; w gruncie zaś nie jest niczém podobném. Zapewne;

cnota jest zaszczytem i błogosławieństwem ludzkości; ale wspaniałe, staje się jej plagą i niedolą. Świętość lub potworność cnoty zależy od jej gatunku...

— Od gatunku cnoty! — zawołało kilka głosów.

— Od gatunku cnoty! — potwierdził Gaczycki.

— Są różne gatunki cnoty, moje panie, tak jak różne gatunki piękności. Piękność formy i piękność ducha, piękność bezmyślna i piękność rozumna, piękność nadęta i piękność pełna prostoty, piękność ubielona i uróżowana starzej zalotnicy, i piękność świeża i niewinna młodego dziewczęcia. Również różne bywają i cnoty. Wszystko na świecie, moi państwo, od zoologii, która zajmuje się składem fizycznym istot organicznych, aż do psychologii, badającej procesy ducha ludzkiego, przypuszcza różne działy, rodzaje, gatunki i podgatunki.

Teraz już ogólna uwaga zwrócona była na mówiącego. Wszelkie rozmowy ustały, a wszystkie oczy wpatrzone były w ożywioną i lekko ironiczną twarz pana Edwarda. Zaciekawienie malowało się na wszystkich twarzach; ale kto-by pilnie przypatrywał się całemu towarzystwu, mógł-by spostrzedz, że podczas słów Gaczyckiego ręka pani Olimpii zaczęła prędzej poruszać wachlarzem, i że źrenic jej strzeliły bładawe, skośne promyki. Pani Teresa bliżej przysunęła się do męża i silniej ścisnęła jego rękę; dama zaś niepiękną młodości, posiadająca niewinną ga-

łązkę konwalii i krawca wyraźnie niezręcznego w wycinaniu staników, wyzywająco podniosła głowę i wyrzekła :

— Ciekawa-bym téż była, jak-byś pan podzielił cnotę na działy, gatunki i podgatunki, bo, według mnie, najwyższą cnotą jest prostota.

— I pamięć na swą osobistą godność i położenie w świecie! — wyrzekła z kanapy pani Olimpia.

— Skromność i miłość małżeńska! — zagruchała z za ramienia małżonka pani Teresa.

— A pobożność! — czy państwo zapominacie o niej! — z oburzeniem zawołała Apolonia.

— A moralność! — zagrzmiał głos pana Rokowicza.

Gaczycki powiódł oczyma po mówiących i uśmiechnął się. Był to uśmiech zwyczajny, groźny, salonowy; ale w zagięte kąty ust Edwarda wlewał taki jakiś dziwny wyraz, że ci, na których spojrzał, spuszczaali oczy.

— Piękne, bardzo piękne wyrazy wymówiliście państwo — wyrzekł Gaczycki po krótkiej chwili milczenia — ja jednak obowiązuję się dowieść, że nie zawsze oznaczają one świętość i piękno duchowe, a bywają niekiedy bańką mydlaną, świetnymi barwami zwodzącą oczy łatwowiernych. Wszystkie razem mogą utworzyć owego potwora, o którym mówiłem, ze skrzydłami nocnego nietoperza, ogonem chytrego

lisa, nogami tchórzliwego zająca, żądłem zjadliwej zmił, i kolcami napuszonego jeża.

Kilkanaście głosów zaśmiało się, a jeden się odezwał:

— Dopełnij-że pan tego, czegoś się podjął, i wytlómacz, w jaki sposób dźiać się tak może!

— Będzie to arcy-ciekawe!

— Niepospolite!

— Oryginalne! — mówiły zewsząd głosy.

— Chętnie spełnię żądanie państwa — odpowiedział Gaczycki — ale sami państwo będziecie winni, jeżeli nadużyję waszjej cierpliwości, bo będę zmuszony mówić długo.

— Choćby najdłużej! — zawołano.

— Będziecie państwo musieli wysłuchać długiej historii...

— Tém lepiej! tém lepiej! — odpowiedziało zaciekawione towarzystwo.

— A więc zaczynam! — rzekł Gaczycki, i ze zwykłym sobie, pełnym dystynkcyi, zaniedbaniem, oparł się o konsolę, a spojrzeniem powiódł wokoło.

Stał nieco odosobniony od całego towarzystwa, które zasiadło wokoło salonu, milczące i z oczyma zwróconemi na niego. Biały blask lampy, postawionej na konsoli, rzucał się mu prosto na twarz, oświecając rozumne, wyniosłe czoło jego i kształtne usta, zarysowane uśmiechem, pełnym światowej swobody i błyskającego z pod niej sarkazmu.

— Historya, za pomocą której mam państwu dowieść prawdziwości słów mych uprzednich, jest dosyć długą, jak na balowe posiedzenie, oczekujące może z niecierpliwością kontredansa i walca. Nie będę więc jęj przedłużał żadnym wstępem ani przedmową, tém bardziej, że wogóle wszelkie przedmowy uważam za jedną z najnudniejszych rzeczy w świecie. Zacznę prosto tak, jak ją zaczyna autor, z którego opowiadanie me czerpać będę.

„Sinono-kami, bogaty i oświecony Japończyk, podróżował po sąsiedniej swojej ojczyźnie, Państwie Niebieskiem, i przyjechał do miasta Hio. Jako cudzoziemiec, nie znał on tam nikogo, ale ponieważ był człowiekiem wielce lubiącym towarzystwo swych bliźnich, w krótkim czasie pozawierał stosunki i porobił dość liczne znajomości pomiędzy tamecznymi mieszkańcami.

„Sinono-kami zachwycony został towarzystwem, jakie znalazł w Hio. Wydało mu się, jakoby żywcem był przeniesiony na świat jakiś inny, lepszy, niż ciemna kula naszego planety; bo kędy obrócił się, spostrzegał tylko istoty czyste od wszelkiej winy, nieskazitelne, cnotliwe. Cnota wiała tam w samym powietrzu, unosiła się nad głowami ludzkiemi ze słodkim szelestem, mówiła przez wszystkie usta, patrzyła przez wszystkie oczy. Tam cnotliwe matki osłaniały plecami swemi dziewicze oczy i uszy swych cnotliwych córek, aby wzrok ich nie ujrzał, a ucho nie usłyszało

czegoś, co-by nie było czystą cnotą; tam cnotliwe dziewice spuszczały wciąż powieki, aby spojrzeniem nie pobudzić w kimś, albo w sobie, grzesznej myśli; tam cnotliwe małżonki nie opuszczały nigdy boku swych małżonków, a ulubionym tematem ich rozmów była cnota niewieścia; tam nakoniec surowi i pełni cnoty mężczyźni strzegli pilnie obyczajów publicznych, dzielną wymową gromiąc tych, którzy, jak się zdawało, przynosili im ujmę. Słowem, miasto Hio było przybytkiem cnoty. Zdawało się, że same ściany domowstw i sprzęty mieszkań były nią prześlaknięte.

„Sinono-kami poczuł się olśnionym i ogłuszonym cnotą mieszkańców Hio; ale że był z natury skeptykiem, a przytém lubił sobie dla rozrywki czynić od czasu do czasu psychologiczne studia, powiedział raz do siebie: „przypatrzmy się bliżej téj cnotcie, jakiej téż ona jest barwy i z jakiego ukuta metalu?” I zaczął patrzeć.

„Z pomiędzy tłumu cnotliwych, napełniającego murowane i drewniane ściany błogosławionego miasta, jak wypukłe figury płaskorzeźby, wyłoniły się przed wzrokiem Sinona-kami cztery postacie, tak cnotliwe, że aż blaskiem swój arcy-cnoty raziły oczy zwyczajnego śmiertelnika. Trzy z tych postaci były rodzaju żeńskiego, czwarta należała do brzydkiej połowy ludzkości.

„Jedna z trzech pierwszych nazywała się Fu,

które-to imię, przetłómaczone na polski język, znaczy „Szlachetna Duma”. Była to pani wysoko urodzona, niegdyś bardzo bogata, ale obecnie zrujnowana, to jest posiadająca tyle; ile-by starczyć mogło na wcale dostatnie życie dziesięciu przynajmniej śmiertelnikom, nie tak wysoko urodzonym. Pomimo zasobów materialnych, małych w stosunku do jej osobistej wielkości, pani Fu musiała wspaniale zachować świetne w towarzystwie położenie, bo posiadała niezmierny skarb moralny: poczucie wysokiej osobistej godności i szlachetną dumę, płynącą z pojęcia obowiązków, które ciążyą na ludziach, stojących na świeczniku. Była to kobieta piękna, strojna, lubiąca brylanty i koronki, a tak dumna, tak szlachetnie dumna, że nikomu-by na myśl nie przyszło posądzić ją nietylko o zły jaki postępek, ale nawet o cień złej i poniżającej myśli.

„Druga arcy-cnotliwa dama w Hio miała imię Lu, co w chińskim języku znaczy „Skromność.” Skromna też była tak, jak szesnastoletnia dziewczica, lubo lat miała dwa razy tyle. Mówiła skromnie, ubierała się, patrzyła, kłaniała i wzdychała skromnie, przez skromność nie wychodziła nigdy na ulicę, ani nawet do kościoła, bez małżonka swego, którego kochała tak czule, że nigdy z dłoni swój nie wypuszczała jego ręki, i o miłości swój dla niego dosyć nagałać się nie mogła. Była to istota z myślą, sercem, przeszłością i terażniejszością tak skromnemi, jak ru-



mieniec dziewczyny młodej, pierwszy raz na bal wchodzącej.

„Trzecią gwiazdą cnoty na firmamencie miasta Hio była pani Ru, co z chińskiego na nasz język tłumaczy się przez „Pobożność”. Najstarsza ze swych siostr w duchu i cnocie, miała czas przekonać się o znikomości i marności rzeczy ziemskich; to też całą myśl swą i serce ku niebieskim rzeczom zwróciła i była tak pobożną, jak stu Mandarynów, razem wziętych. Na piersi nosiła wiecznie obraz wielkiego Lamy, codziennie własną ręką paliła w świątyni sto pozłacanych papierków, a jałmużny sypały się z rąk jej, jak manna niebieska. Każde słowo wypływało z jej ust słodkie, jak kropla miodu, a ciężkie westchnienia nad grzechami bliźnich podnosiły co chwila pierś jej pobożną.

„Mężczyznę, który cnotą swą mógł sam jeden w Hio dorównać tym trzem arcy-cnotliwym niewiastom, był pan Hu, co po chińsku znaczy „Surowość”. Był on też niezmiernie surowym tak dla siebie, jak dla innych; moralność publiczna miała w nim Cerbera, który dał-by się raczej zasiękać, niż-by pozwolił, aby ją ktokolwiek w przytomności jego uszczypnął. Dbał też przedewszystkiem o to, aby dom jego był świętym tej moralności przybytkiem, i nie wpuszczał do niego nikogo, czyje-by stopy zaczępiły choćby tylko o grunt niecnotliwego sąsiada.

„Sinono-kami podziwiał te cztery wielkie cnoty

z całego serca, i gotów był w każdej chwili pochylić przed każdą z nich głowę, i wyrzec z pokorą: „panie, albo pani, nie jestem godzien rozwiązać rzemyska”, i t. d.

„Nie powiedział tego ani razu, jedynie z tej przyczyny, że, jako Japończyk, nie zwykł był posługiwać się formułami, wyjętymi z Ewangelii.

„Aliści dnia pewnego, zbudowany i pokorny siedział on obok pani Fu, słuchając z uwielbieniem szlachetnej jej mowy o obowiązkach, ciężących na osobie, która siedzi u wierzchołka drabiny społecznej i... nagle jakoś, niechcący, spojrział w jej oczy. Spojrział i osłupiał! Z wielkich, pięknych oczu pani Fu strzeliło kilka promyków bladawych, skośnych jakichś, ostrych; zawirowały w przestrzeni, jak garść drobnych szatanków, i zniknęły wnet w zmaconej nagle źrenicy. Odszedł na stronę zdumiony Kami i dumiał. A gdy już długo dumiał, rzekł do jednego ze swych dobrych przyjaciół po cichu na ucho: — Widzi mi się, że ta kobieta popełnia jakąś nikczemność! — Przyjaciel odwrócił się od niego, jak piorunem rażony, i zawołał: — Oszalałeś chyba! wszak to wcielona дума szlachetna!

„Sinono-kami pokiwał głową, jak człowiek, który wątpi o czémś; ale już więcej nikomu nie udzielił swjej uwagi.

„Innym razem przypatrywał się z rozkoszą pani Lu, lubując się jej skromnością i miłością małżeń-

ską. Nagle dostrzegł, jak przezroczyściej czystości niewiasta spuściła głowę na piersi, westchnęła i dziwne jakieś drgnienie wstrząsnęło mięskami jęj twarzy. Sinono wziął przyjaciela pod rękę i szepnął mu, wskazując na panią Lu: — Jakieś brzydkie widmo z przeszłości stoi przed tą kobietą. Ta kobieta kiedyś zgrzeszyła! — Przyjaciel zarumienił się z gniewu po uszy i odparł: — Dziwak jesteś! to czystość i cnota niewieścia wcielona! Kami pokiwał znowu głową, jak człowiek, który o czémś wątpi.

„I znowu było tak, że patrzył on na panią Ru, zachwycony obrazem wielkiego Lamy, błyszczącym na jęj piersi. Nagle pochyliła się, święty obraz dotknął miejsca, w którym uderza serce, i Sinonowi zdawało się, że, przy tém dotknięciu, wielki Lama jęknął, jakby się zranił. Wziął na stronę przyjaciela i rzekł mu: — Pani Ru ma złe serce! — Przyjaciel wzruszył ramionami. — Tracisz rozum, kochanku — rzekł pogardliwie — to wcielona pobożność i miłość bliźniego! — Sinono-kami dobry kwadrans kiwał głową z powątpiewaniem. Nie darmo przecie wielki Lama aż jęknął, gdy się dotknął do jęj serca! Twarde musiało być, jak kamień, a kolczate chyba, jak pokrzywa!

„Gdy tak dumał i kiwał sobie głową Sinono, posłyszał niezwyczajnie podniesiony głos męzki. Spojrzał i zobaczył pana Hu, który, w postawie Demostenesa, prawiącego Filipikę, gromił dzielną wymową upa-

dek obyczajów publicznych. Sinono słuchał i poziewał; a gdy się już dość nasłuchał i napoziewał, schwytał kapelusz i uciekał, aby więcej nie słyszeć. A gdy tak uciekał, spotkał uciekającego także przyjaciela. — Przyjacielu mój! — zawołał — już co ten, to z pewnością głupi! — Sza! — odpowiedział przyjaciel, palec do ust przykładając — szanujmy go, bo to człowiek cnotliwy! — Uf! — jęknął Sinono, poziewając raz jeszcze — jakaż u niego nudna cnota!...

„Powoli uwagę Sinona-kami zaczęły zwracać pewne rzeczy, które się mu dość dziwnymi wydawały. I tak naprzykład spostrzegał, że pewien Kyang, bogaty mieszkaniec Hio, ze szczególnym jakimś wyrazem patrzył często na panią Fu. Z razu litość zdjęła Sinona. — Biedny Kyang! — myślał sobie — on kocha tę kobietę! — Ale gdy pilnie i badawczo popatrzył na wyraz jego oczu, powiedział sobie: — Nie, on jęj nie kocha, ale... znajduje ją piękną!... — Uśmiechnął się Sinono, bo bladawe promyki, które wylatywały niekiedy ze źrenic pani Fu i wirowały w przestrzeni, jak garść szatanków, stały się dla niego zrozumialszemi. Zauważył, że, ciskane w przestrzeń pięknymi oczyma cnotliwój kobiety, wpadały one zwykle w same oczy Kyanga.

„Coś dziwnego także zachodziło między tym Kyangiem, a panią Lu. Ile razy wchodził on niespodzianie do towarzystwa, w którym się ona znajdowała, drzenie przebiegało muskuły jęj twarzy i pa-

trzący na nią Kami był pewnym, że w tej właśnie chwili jawi się przed nią jakieś brzydkie widmo z przeszłości.

„Zauważył także Sinono, że nikt nigdy nie widział męża pani Ru, chociaż go miała, ani jej dzieci, choć była matką licznój rodziny; że nikt nigdy nie był w jej mieszkaniu, bo nigdy nie zapraszała nikogo; i że ile razy spotykała ubogiego w ustronnem miejscu, odpędzała go od siebie, a gdy ujrzała, że ktoś na nią patrzy, dawała jałmużnę, prosząc biedaka, aby się modlił za nią do wielkiego Lamy.

„I coraz więcej podobnych spostrzeżeń zaczął robić Sinono, i zaczęło mu być duszno w towarzystwie wysoko cnotliwych osób, z których każda pragnęła wyraźnie wydać się najcnotliwszą. Nie uszło też jego uwagi, że wszystkie te osoby, gdy były obrócone twarzami do siebie, okazywały sobie najtkliwszą przyjaźń i wzajemny a najgłębszy dla cnót swoich szacunek; gdy zaś zwróciły twarze każda w inną stronę, miały na ustach uśmiech złośliwy i wydawały głośnie syczenie, podobne do tego, jakim odzywają się szerszenie w swych gniazdach.

„Sinono coraz więcej zaczynał poziewać i dusić się w atmosferze tej szczególniej cnoty; gdy dnia pewnego poznał osobę, której cnota w wielkiem była podejrzeniu u mieszkańców Hio. Była to niemłoda już kobieta, mieszkająca na ustroni, nie mieszająca się wcale do spraw swoich bliźnich, bardzo rzadko mó-

wiąca o cnocie, a cały czas swój obracająca na kształcenie małej dziewczynki, którą nazywała swą wnuczką, i na wyszukiwanie cierpiących i nieszczęśliwych, aby im nieść pomoc i pociechę.

„Sinonowi ta kobieta, której cnota w lekceważeniu była u ogółu, wydała się bardzo rozumną i dobrą, często więc u niej bywać zaczął, przejęty dla niej synowską prawie cziłą i przywiązaniem.

„Pewnego razu, dobra stara niewiasta wezwała Sinona, aby przyszedł do niej; a gdy przyszedł, rzekła do niego: — Oto odkrywam przed tobą tajemnicę. Dziewczę małe, które wychowuję, nie jest moją wnuczką, ale dzieckiem nieznanym rodziców, porzucenem pewnej letniej nocy przy świetle gwiazd złotych pod oknem mego pokoju. — Kami zadziwił się, a niewiasta podała mu kartkę grubego papieru, zapisanego niewyraźnie drżącą i spracowaną ręką, mówiąc: — Czytaj! — Sinono przeczytał, a niewiasta rzekła: — Pójdź ze mną i bądź świadkiem tego, co powie kobieta, która kartkę tę napisała. — Poszli więc oboje, i wedle wskazówek, udzielonych w kartce, przybyli na ciasny i brudny zaułek miasta Hio, i weszli do ciasnej i brudnej izdebki, w której kącie, na nędznym barłogu, leżała chora, umierająca prawie kobieta. Usiedli przy niej, mówiąc jej słowa pociechy i litości; a gdy skończyli mówić, chora kobieta zaczęła następną opowieść: — „W okolicach Hio, przed dziesięciu przeszło laty, mieszkał pewien nie-

młody już właściciel ziemski, z córką swą jedynaczką. Była-to dziewczyna młoda, dość ładna, niezmiernie żywa, płocho, próżna, a nigdy niczém niezajęta. Całe godziny trawiła przed zwierciadłem, a resztę czasu przepędzała na wyglądaniu gości, siedząc u okna z założonemi rękoma. Matki od dawna nie miała, a ojciec, stary i zajęty gospodarstwem, mało na nią zwracał uwagi; była więc pozostawiona zupełnie samej sobie. Pewnego razu, gdy, z utrefionemi starannie włosami, siedziała, wedle zwyczaju swego, u okna, wyglądając gości, przyjechał pewien młodzieniec, syn sąsiada, bogaty, przystojny, światowy, a za jedyny cel życia mający przyjemne przepędzenie czasu. Dziewczynie zapłonęły oczy, gdy spojrziała na młodego sąsiada; on, spojrzawszy na nią, uśmiechnął się, jak człowiek, który znajduje piękne cacko i schyla się, aby je podnieść dla chwilowej zabawy. Od tego czasu młody sąsiad coraz częściej przyjeżdżał, a dziewczynie coraz żywiej płonęły oczy, coraz dłużej przesiadywała przed zwierciadłem i w snach zaczęła często wymawiać imię młodzieńca. Spostrzegła to wszystko i usłyszała stara sługa jej matki, wier-na, poczciwa, a zwyczajem starych sług, niezmiernie kochająca swą panienkę, którą na własnych wychodowała ręką. Smutno jej się zrobiło i straszno, i zaczęła mówić dziewczynie o płonących oczach: — Ostrożnie, dziecko, ostrożnie! młody sąsiad nie ożeni się z tobą, bo nie jesteś ani tak światową, ani tak bo-

gata, jak on; pobawi się tobą tylko i porzuci! — Dziewczyna nie słuchała, coraz bardziej rozkochana w przystojnym i bogatym młodzieńcu. Gdy przyjeżdżał, odbywali we dwoje długie przechadzki sam-na-sam, a idąc ręka w rękę, rozmawiali z sobą po cichu, niekiedy ustami, najczęściej oczyma, które u obojga płonęły coraz ogniściej. Nagle, młoda dziewczyna posmutniała, zbladła, śmiertelna trwoga i rozpacz rozlały się na jej twarzy, aż dnia pewnego przyszła do starej sługi, cała drżąca, rozplakana i, tuląc się do niej, jak ptaszyna zraniona, szepnęła ze łzami i drżeniem: — Stara piastunko mego dzieciństwa, ratuj mnie! jestem zgubiona! — Potém długo szeptała jej na ucho, płacząc i drżąc, a pocziwa sługa zalewała się gorącemi łzami, wspominając z cicha imię ukochanej zmarłej swój pani. Nazajutrz po tój rozmowie między starą sługą a młodą dziewczyną, do miejsca, w którém mieszkały, przyszła wieść, że młody sąsiad opuścił na długo Państwo Niebieskie i pojechał zwiedzać obce kraje. I stało się, że pewnej letniej nocy, kiedy miryady gwiazd zasypały szafirowe niebo, a kwiaty wydawały z siebie woń czarowną i podnosiły swe kielichy, niby patrząc na gwiazdy, z pokoju nieszczęśliwej dziewczyny cichym, skradającym się krokiem, wyszła sługa stara, opuściła dom, przeszła podwórze i zniknęła w ciemności na drodze, wiodącej ku Hio. U piersi jej kwiliło cicho a płaczliwie, tylko co urodzone, dziecko.



„Minął rok; piastunka z dziecięciem mieszkała w Hio, a opuszczona przez młodego sąsiada dziewczyna słała im środki do utrzymania życia potrzebne. Tajemnicza noc pokryła swym cieniem ucieczkę ze dworu starłej sługi; głuche wieści tylko chodziły po sąsiedztwie o jakiemś nieszczęściu, które się przytrafiło córce starego wdowca. Ale nikt o niczem z pewnością nie wiedział, i wkrótce do uszu starłej sługi, mieszkającej w Hio, przysłała wiadomość, że wychowanka jej wyszła za mąż. Jednocześnie przestała ona otrzymywać od niżej bezpośrednio wieści i zasiłki pieniężne. Zmartwiła się i zdziwiła tém niemało; zaczęła pisać do kobiety, której uratowała sławę, ale nie otrzymywała odpowiedzi. Chciała widzieć ją, ale nie mogła się do niej dostać, ani spotkać jej nigdzie, bo matka powierzonego jej dziecięcia unikała jej starannie. Minęło kilka miesięcy i stara sługa, wraz z dziecięciem, popadła w wielką nędzę. Litując się nad biednym małym stworzeniem, zanośliła je pewnej nocy do ogrodu starłej, zacnej niewiasty, którą znała dobrze, i złożyła na zwilżonej rosą trawie, pod oknem jej pokoju; sama zaś uciekła z Hio i tułała się po świecie przez lat kilka w biedzie i smutku.

„Po leciech kilku wróciła do Hio o żebraczym kiżu, schorzała, zmęczona tułaczką, wynędzniała od głodu, w łachmanach. Dowiedziała się, że dawna

jéj panienska mieszka z mężem w Hio i jest w wielkim u ludzi szacunku.

„Napisała do niéj, zaklinając, aby przyszła jéj w pomoc, a zarazem odkrywając przed nią miejsce pobytu jéj dziecka. Wiedziała dobrze, iż list jéj doszedł swego przeznaczenia, ale nie otrzymała odpowiedzi. Napisała raz drugi, z tym samym skutkiem. Przywlokła się o kiju do mieszkania nikczemnéj kobiety, ale została wypchniętą z przedpokoju przez służbę. Spotkała ją raz na chodniku ulicy, ale gdy chciała do niéj przemówić, kobieta odskoczyła i pobiegła w inną stronę tak żywo, że, niedołężna i osłabiona nędzą i starością, dogonić jéj nie mogła. Poczwała się blizką śmierci. Gorycz i boleść napełniały jéj serce; odezwał się w niéj głos sumienia, wyrzucający, że poniesie do grobu tajemnicę urodzenia dziecicy, a tém samém na zawsze już uczyni je sierotą. Zaprağnęła przed śmiercią wyznać przed kimś wszystko, co ciążyło jéj znękanéj duszy, i wezwała do barłogu, na którym umierała, zasną niewiastę, która wychowywała dziecicę, porzucone w jéj ogrodzie.

„Taką była opowieść staréj poczciwéj służy. Zaczyna opiekunka bezimiennéj sieroty i Sinono-kami z osłupieniem dowiedzieli się ze słów jéj, że płochą dziewczyną, która dała się uwieść młodemu sąsiadowi, nieuczciwą kobietą, która zapierała się własnego dziecka, nędznicą, pozwalającą umierać z głodu kobiecie, której zawdzięczała sławę i spokój, była skro-

mna, niewinna, przezroczyta, wysoko cnotliwa... pani Lu. Młodym owym sąsiadem, był światowy i goniący za rozrywkami Kyany, a mężem jej surowy i niezmiernie dbający o niepokalaną moralność swego domu pan Hu”.

Tu przerwał na chwilę opowiadanie swe pan Gaczycki. Twarz jego obojętną była i z lekka tylko surową; nie patrzył na nikogo, bo wzrok miał utkwiony w zdjętą z ręki rękawiczkę, którą bawił się niedbale. Nie patrzył na nikogo, a jednak, niby kierowane magiczną nicią słów jego, oczy kilkudziesięciu osób, zebranych w salonie, zbiegły się i utkwily w jednym punkcie, a punktem tym była pani Teresa. Pobladła nagle, siedziała ona obok męża, trzymając go za rękę. Wyrazu oczu jej nie można było dojrzyć, bo miała spuszczone powieki, ale usta, blade bardzo i drżące, zagięły się w dziwny a przykry wyraz trwogi, połączonej z upokorzeniem. Milczenie w salonie ogólne było i głębokie, tylko promienie, wychodzące z kilkudziesięciu par oczu, w jeden punkt utkwionych, niby grad pocisków, utworzonych z ciekawości, złośliwego tryumfu i pogardy, przelatywały przestrzeń i spadały na głowę tulącej się do boku małżonka kobiety. Cisza, zalegająca napełniony ludźmi salon, przerwana została głosem Gaczyckiego, opowiadającego dalej.

— Autor, z którego czerpię opowiadaną tu pań-

stwu historią, tak dalej opisuje pobyt Sinona-kami w mieście Hio.

„Zacna niewiasta, wychowująca opuszczone dziecko pani Lu, rzekła raz do Sinona: — oddaję ci klejnoty wielkiej wartości, abys je sprzedał kupcom naszego miasta, bo braknie mi środków ku wspomaganiu biednych moich braci. Sinono wziął klejnoty i sprzedał je jednemu z bogatych kupców miejscowych, a w kilka dni potem, spotkawszy kupca owego na ulicy, zapytał: — Czy masz jeszcze u siebie klejnoty, które ci sprzedałem? — Nabyto je już u mnie, odpowiedział kupiec. — Któż je nabył? — zapytał Sinono, wiedziony prostą ciekawością. — Pan Kyang — była odpowiedź kupca. — Sinono zadziwił się. Wiedział, że pan Kyang nie miał żony, ani siostry, dla której-by kupował tak cenne rzeczy, a nie spostrzegł w nim dotąd szczególnego zamiłowania do zbierania drogich kamieni. Aliści tego samego dnia został zaproszony przez panią Fu, aby przepędził w domu jej wieczor, wraz z kilkudziesięciu innymi osobami. O, jakże się zdumiał Sinono-kami, gdy na ręce pięknej i dumnej kobiety, u jej szyi i uszu, zobaczył klejnoty, nabyte od znajomego mu kupca przez pana Kyang. — Bóg wie, jakie myśli zaczęły mu przychodzić do głowy, ale odpędzał je, obwiniając siebie o podejrzliwość i lekceważenie tak wyniosłej i szlachetnej cnoty, jaką była cnota pani Fu. Nie mogąc jednak całkiem odegnać od siebie szatana podejrzeń, zapytał panią Fu,

zkąd-by miała cudowny dyament, błyszczący na jej cudowniejszój jeszcze ręce. O, jakże się zdumiał, gdy zobaczył, że wyniosła kobieta nagle zbladła i zdrząła; bladawe i skośne promyki, które już wprzódy spostrzegał, snopami zaczęły strzelać z jej wielkich i pięknych oczu, a dumne i ponsowe usta wyszeptwały... kłamstwo. — Dyament ten — rzekła — otrzymałam przed laty od małżonka mego, który mi go przywiózł z podróży swój po obcych krajach. — Sinono spojrział na Kyanga, i zobaczył migocące po jego czole jakieś plamki różowe, niby słabe odbłaski szkarłatnego rumieńca, który zalał śnieżną twarz pani Fu, gdy usta jej wymawiały słowa kłamliwe. Sinono zdrzął, bo przed oczyma jego zjawiała się przepaść straszna, głęboka, a w nią z trzaskiem i łoskotem runęła szlachetna duma pani Fu, zatoczyła się aż na dno samo, i zniknęła, pochłonięta grubą ciemnością.

„I bywało tak, że potém Sinono, późnym wieczorem przechodząc ulicą obok mieszkania pani Fu, widywał rysujące się na szybach jej gabinetu cienie dwóch postaci; a cienie te opowiadały mu tajemniczo dziwne rzeczy... I zdarzyło się raz, że, mijając jej bramę w parę godzin po północy, widział wysuwającą się z tej bramy postać mężką, ciemną, od stóp do głów otuloną płaszczem i mknącą chodnikiem ulicy szybko, niby uciekając. Sinono spojrział na okno gabinetu pani Fu: błyszcząco ono mgławem światłem, podobnem do bladawych i skośnych błysków, jakie

miały jęj oczy. Sinono między tém oknem o zamgloném świetle, a ciemną postacią, przesuwającą się z cicha i ostrożnie pod murami domowstw, ujrzał rozciągniętą nić, która je łączyła i błyszczała śród ciemności ulicznej fosforycznym blaskiem żółtych błyskawic... I zdarzyło się jeszcze dnia pewnego, że Sinono, mając pewną sprawę do załatwienia z najlepszym w mieście Hio tapicerem, wszedł do pracowni tego rzemieślnika i zobaczył świeżutkie, tylko co wykończone, piękne i kosztowne sprzęty, przeznaczone do ubrania obszernego salonu. Jako znawca i amator wszelkich pięknych rzeczy, Sinono oglądał je z uwagą, gdy tapicer odezwał się, wcale niepytany: — „Sprzęty te zamówił u mnie pan Kyang”. — Sinonowi wydało się to zupełnie naturalném, bo wiedział, że Kyang posiadał na wsi obszerne i wykwintne mieszkanie; ale w parę dni potém, zaproszony znów przez panią Fu, przyszedł do nięj i w salonie jęj zobaczył te same sprzęty, które widział u tapicera, zamówione przez pana Kyang. Tym razem jednak Sinono już się nie zdumiał, bo dawno już widział szlachetną dumę i wyniosłą cnotę pani Fu, lecącą przed jego oczyma w ciemną przepaść. Ale, jako człowiek dobrego serca, myślał sobie: może ta kobieta usprawiedliwienie swe posiada w szczeręj miłości, którą czuje dla Kyanga?

„Zaledwie to pomyślał, aliści pani Fu takie rzuciła na niego wejrzenie, tak rajsko zaczęła się do niego

uśmiechać, taką do niego sentymentów pełną palnęła przemowę, że ujrzał, jak na dłoni, iż gdyby tylko tego zażądał, mógł-by, z takim jak i pan Kyang powodzeniem, złożyć u jej stóp swe serce, i... W tém miejscu autor, z którego czerpię tę historią, przerywa sobie i odzywa się do czytelników swych w te słowa:—

„Przez wzgląd na niewinne oczy młodych dziewic i niepokalanych niewiast, które upadną na karty mojej książki, wstrzymam się, mili czytelnicy moi, od głębszego wprowadzenia was wtajniki szlachetnej dumy i wyniosłej cnoty pani Fu. Kto z was pojął tę kobietę, niech mu to służy nadal za przestrożę, aby zbyt nie ufał szlachetnym dumom i wyniosłym cnotom, kiedy widoczną w nich ujrzy skłonność do publicznej i głośnej demonstracyi swjej wielkości. Kto zaś z was nie zrozumiał mego opowiadania, temu winszuję z całego serca i życzę, aby na drodze jego nigdy nie stanęła istota, coby je jasnym mu uczyniła. Tymczasem, niech wam, mili czytelnicy, starczy to objaśnienie, że pan Kyang nudził się, i wynajdował środki przyjemnego przepędzania czasu, a pani Fu lubiła klejnoty, koronki i bogate sprzęty, a posiadała dobra wielce zadłużone i niedające jej dostatecznych środków ku godnemu utrzymaniu wysokiego jej w świecie położenia”.

Tu umilkł na chwilę pan Gaczycki i nie patrzył na nikogo, bo trzymał wzrok, spuszczone na łańcuch swego zegarka, którym bawił się niedbale. Nie pa-

trzymał na nikogo, lecz spojrzenia wszystkich zebranych w salonie osób zbiegły się i utkwily w jednym punkcie, a punktem tym była pani Olimpia. Milczenie ogólne i głębokie panowało w salonie, tylko zdawało się, że w przestrzeni promienie kilkudziesięciu par oczu drgają, migocą i, jak grad, sypią się na głowy dumnej i szlachetnej pani.

Pani Olimpia była śmiertelnie blada, ale, oprócz bladłości tej, żadna w niej nie zaszła zmiana. Głowę trzymała podniesioną wysoko, a twarz jej wydawała się ukutą z marmuru. Ani jeden muskuł w niej nie drgnął, ani razu nie zadrżała powieka. Z wyniosłą dumą i pogodą czoła patrzyła wokoło i uśmiechała się z wyrazem, który mówi: — „Cóż za pocieszne historyje opowiada nam ten człowiek”.

Gaczycki bawił się czas jakiś brelokami swego zegarka, potem podniósł wzrok, powiodł spojrzeniem po obecnych, a widząc powszechną uwagę zwróconą na siebie, zaczął mówić dalej :

— Autor historyi, którą mam zaszczyt opowiadać państwu, opisuje dalej, jakim sposobem Sinono-kami, posiadacz tajemnic pani Fu i pani Lu, posiadał jeszcze klucz, za pomocą którego odgadł życie domowe i głąb' serca pobożnej i miłosierniej pani Ru. Są to szczegóły dość rozwlekłe, oszczędzę ich więc państwu i ograniczę się powiedzeniem, iż pan Sinono dowiedział się i przekonał, że pani Ru była najgorszą matką i żoną, że mąż jej z rozpaczy wpadł w straszny nałóg



pijaństwa, że dzieci jej marły z głodu i zostawały w najzupełniejszém opuszczeniu; że nareszcie miała ona szczególniejsze zamiłowanie w różnieniu małżeństw i obdzieraniu ze sławy wszystkich powabniejszych od siebie kobiet — co znaczy: wszystkich kobiet, jakie znała i znać mogła. Nic dziwnego, że wielki Lama jęknął, dotknąwszy serca tej kobiety, bo nie było w niém ani odrobiny ciepła, ani kropli miłości, ani iskry jakiegokolwiek wznioślejszego uczucia, a była tylko pycha, łakomstwo, złość, zazdrość i cała reszta siedmiu grzechów głównych, które wszystkie, ukryte pod płaszczykiem cnoty i pobożności, widzialne być mogły tylko dla bardzo badawczego i przenikliwego oka.

Z tego więc wszystkiego, przed oczyma Sinona utworzył się obraz następny. Na pierwszym planie stały tam trzy kobiety, z których jedna za godło i bussolę przyjęła sobie szlachetną dumę rodową i poczucie osobistej godności, a między czterema ścianami zniżala się do postępków, za które w pewnych krajach i miastach wiodą kobiety do domów poprawy; druga, z szyldem skromności, wywieszonym na czole, miała za sobą błąd, zwiększony tysiąc razy tchórzliwém wypieraniem się go i Nielitośnóm obejściem z kobietą, której winna była więcej, niż życie, bo dobre imię i spokój; trzecia, sterująca się religią i miłosierdziem dla bliźnich, zaniedbywała najświętszych obowiązków, a wlewała w serca bliźnich niezgodę

i gorycz. Wszystkie te trzy kobiety trzymały w ręku chorągwie, przyozdobione świętymi i szacownymi emblematami, które niby za swoje przyjęły; klękały i całowały je ze czcią, gdy były widziane, a gdy odwracały się od ludzi, opluwały je i deptały nogami. Na drugim planie obrazu stała arcyzabawna figura mężczyzny, Katona społeczności, wśród której żył, stróża obyczajów publicznych, z zapalem broniącego nieskazitelnej moralności swego domu, a niewiedzącego o tem, że tuż przy nim, u jego boku żyła istota, która ciężko obraziła obyczaje publiczne i w dom jego wniosła hańbę. Tło obrazu tego stanowiła reszta publiczności miasta Hio, składająca pobożnie ręce przed temi czterema cnotami i ukazująca je za wzór do naśladowania ludzkości. Sinono-kami wpatrzył się w ten obraz i parsknął długim a głośnym śmiechem. Autor historyi tej wyraża nadzieję, że i czytelnicy jego śmiech ten z nim podzielą”.

Rzekłszy to, obejrzał się wokoło Gaczycki i rzeczywiście na ustach kilkudziesięciu osób zobaczył uśmiech. Uśmiechnął się więc sam, ale smutnie jakoś, i ciągnął dalej:

— Śmiał się Sinono-kami, patrząc na dziwaczny obraz, który stał przed jego oczyma; ale śmiech to był gorzki, bolesny. Sinono kochał ludzi, kochał w nich tę iskrę Bożą piękna i prawdy, która płonie w każdej piersi człowieczej, dopóki jej człowiek własnymi rękoma nie zgasi i w popiół nie zamieni. Smu-

tno mu więc było i straszno patrzeć na upadek bliźnich, upadek, osłonięty imionami cnót, które były dla niego wielkie i święte. Był-by uciekł od tego widoku i wyjechał z Hio, aby co prędzej wrócić do swych pól ojczystych, szerokich, wśród których mógł sam-na-sam rozmawiać z piękną i niepokalaną naturą; do swych ksiąg ulubionych, przez które przemawiały do niego duchy ludzi o wielkich umysłach i zacnych sercach; do szczupłego, lecz wybranego koła przyjaciół swych, z którymi ręka w rękę postępował po drodze uczciwości i pracy.

Nie uczynił tego jednak, bo miał do spełnienia w Hio zadanie, nakazane mu przez własne jego serce. A zadanie to było następujące. W Hio żyła dziewica imieniem Li-ka, co po chińsku znaczy „Piękność”. Piękną też była duszą i ciałem. Duszę miała czystą, jak poranne obłoki dnia wiosennego, ciało, utoczone przez Stwórcę, zda się na to, aby ludzie stawali w zachwycie przed pięknością jego dzieła. Dziewicę tę pokochał Sinono-kami, ale ona o tém nie wiedziała. Ją w tej samej porze dotknęło jedno z największych nieszczęść, jakie spaść mogą na serce szlachetne i niewinne: pokochała człowieka, którego wedle praw społecznych kochać jej nie wolno było. On kochał ją także. Była to miłość czysta, poetyczna, nieznająca prawie siebie, miłość duchów więcej niż ciał, cała rozplywająca się w marzeniu i harmonii muzycznej. Kochali się tak, jak mogą się kochać tylko

aniołowie w niebie, i... marzyciele na ziemi. Sinono widział to i bolał nad dziewicą, która bladła i smutniała pod natchnieniem rzewnego snu o miłości; ale zarazem wpatrywał się coraz więcej w duszę jej gorącą a czystą zarazem, w myśl jej podniosłą i niepokalaną — i coraz bardziej ją kochał.

Ale dojrzeli także nieszczęśliwą miłość dziewicy cnotliwi, napełniający Hio, i radość zdjęła ich wielka, albowiem znaleźli jednego ofiarnego kozła więcej, którego mogli na całopalenie złożyć na ołtarzu własnej wielkości. Cztery największe cnoty uczuły się porwanemi w siódme niebo. I jakże mogło być inaczej? wszak oto spotykała je sposobność zajaśnić najżywszém światłem obok cieniu, który się w ich pobliżu tworzył; oto znajdowały przedmiot, na który mogły wylać całą żółć, zgromadzoną we wrzodach, pokrywających ich własne dusze; oto mogły pochwycić w szpony ofiarę i poszarpać ją, aby ze szmat jej sławy i serca potworzyć zasłony ku okryciu własnych grzechów.

Okrzyczeli więc młodą i czystą dziewicę za twora niemoralności i występku; zbrukali ustami i pogardliwym śmiechem uczucie jej, które wykluwało się dopiero z młodego serca, samo siebie jeszcze nie znając; wyrzucili ją ze swego koła, niby jawno-grzesznicę; okryli ją obelgą i wzgardą; wleli w jej pierś gorzkie uczucie upokorzenia i żalu do ludzi. A to wszystko uczynili, będąc przekonanymi w grun-

cie, że dopełniają niesprawiedliwości; uczynili to nie przez dbałość o prawa społeczne, któremi w tajni pomiatali sami, nie przez miłość dla czystości obyczajów, z której śmieli się między czterema ścianami swoich pokojów; ale dlatego, aby wzrosnąć obok istoty ponizonej, wyglądać biało, jakśnie, obok zbrukananej, raz jeszcze na widok publiczny wykazać swą cześć dla cnoty, a wstręt do występku; zemścić się na istocie niewinnej za własne przewinienia.

Sinono widział to i zawrzał cały gniewem i pogardą, i gdy ulubiony pięknej Li-ki, przez poszaniecie społecznego porządku i troskliwość o spokój i sławę ukochanej, opuścił na zawsze Hio, Sinono poszedł do smutnej dziewicy, wyznał przed nią swą miłość, i złożył u stóp jej rękę swą, serce, imię i miliony, pragnąc gorąco, aby ona kiedykolwiek przyjąć je raczyła.

A potem poszedł do owych wysoko cnotliwych osób, które czuły się w prawie zdeptać sławę i zachwiać całą przyszłością Li-ki, i powiedział im pod sekretem, na ucho, że jest w posiadaniu wszystkich grzesznych i ciemnych tajemnic. A gdy zadrżeli i zbledli, oświadczył, że jeśli kiedy imię ukochanej przez niego dziewicy wyjdzie z ich brudnych ust, ztowarzyszeniem obelżywego słowa, jeśli kiedy z ich przyczyny choć jedna łza spłynie z jej pięknego oka, wtedy on, Sinono, przyjedzie do Hio i głośno a publicznie wyjawi to, o czém wypadek dał mu wiedzieć;

zedrze maskę z obłudników, roztworzy przed ludźmi wnętrza ich dusz niskich, i będą tak zdeptani, jak dziś są wyniesieni. Zamiast przed *nią*, przed *nimi* otworzy się przepaść hańby, której nie unikną. Tak przyrzekał Sinono cnotliwym ludziom z Hio, a autor tej powieści zaręcza czytelnikom, że dotrzyma słowa, bo jest człowiekiem silnych postanowień.

Umilkł Gaczycki, a twarz jego zmieniła się nagle. Rumieniec wzruszenia okrył policzki, usta przybrały wyraz surowy, a oczy ciskały płomień zapału i oburzenia. Wzruszenie jego udzieliło się obecnym, całe zebranie siedziało nieruchome, milczące, wpatrzone w niego, niby zakłęte tajemniczą ciemnością historii, którą opowiedział. Tak było kilkanaście sekund; ale powoli czoło Gaczyckiego rozpogodziło się, surowość zniknęła z ust jego, w oczach pojawił się nieledwie rzewny wyraz,—i zaczął on znów mówić głosem łagodnym, w którym dawał się słyszeć daleki oddźwięk smutku.

— Jeżeli kiedy piękna, dobra i myśląca Li-ka wyciągnie rękę swą do Sinona, aby on ją poprowadził po drogach życia, on przycisnie dłoń jej do serca swego ze czcią i miłością, i utuli ją na swęj piersi, i ramieniem swém osłoni jej głowę od wszelkich pocisków ziemskich. Wtedy ona zostanie żoną jego, podzieli z nim imię zacne i nigdy niczém niesplamione, zamieszka w bogatym jego pałacu i będzie miała złota, ile go sama zażąda. Wtedy ci, co nią dziś wzgardzili,

pokłonią się jój z pokorą; ci, co ją spotwarzali, śpiewać będą na cześć jój hymny; ci, którzy rękę cofali przed nią, uczują się szczęśliwymi, jeśli ona kiedy zechce im swoje podać. A to wszystko nie dlatego się stanie, że będzie ona niewiastą zącą i rozumną, ale dlatego, że będzie posiadała miliony. Bo dla cnotliwych takich, o jakich mówi opowieść moja, najwyższą cnotą jest złoto; bo nikt nie jest tak skłonny do uderzania czołem przed cielcem złotym, jak cnotliwi tego kalibru. Temi słowami autor, z którego opowiadanie me czerpałem, kończy historiją pobytu Sinonakami w mieście Hio.

Spodziewam się, że powtórzeniem tój historyi wywiązałem się z przyrzeczenia, danego państwu, i przekonałem was, że nie jest zmyśleniem potwór, o którym mówiłem, a który, mając nogi zajęcze, ogon lisi, żądło węzowe i skrzydła nietoperza, unosi się nad światem i wydaje krzyk bluźnierczy: „jam jest cnota!”

Przestał mówić Gaczycki, a w salonie milczenie trwało jeszcze parę minut. Nikt z miejsca się nie ruszał, dziwne uśmiechy błądziły po wszystkich twarzach. To, co powiedział, było tak nowe i oryginalne dla słuchaczy, że żaden z nich nie mógł przejść do rozmowy o czem inném. Wytworna, o arystokratycznych kształtach postać opowiadacza i twarz jego, piękna w tój chwili rozlaną na niój pięknoscią duchową, zdawały się panować nad całym zebraniem i przykuwać do siebie wszystkie oczy. Gaczycki spoj-

rzał po otaczających, a widząc skupioną na sobie ogólną uwagę, odezwał się :

— Pozwólcie państwo, abym do opowiedzianej wam historii nieznanego autora dołączył, jako komentarz, kilka własnych uwag. Niech mnie Bóg broni, abym miał, najmniejszém choćby słowem, poniżać u ludzi pojęcie o cnocie prawdziwej. Było-by to zaparciem się najdroższych własnych przekonań moich i życzeń, jakie żywię dla ludzkości. Obecniem opowiadaniem mojem chciałem tylko okazać, że nie wszystko jest cnotą, co się nią wydaje, albo wydać pragnie; że bardzo często pod pozorami występku kryje się właśnie cnota prawdziwa, heroiczna niekiedy, a pod płaszczem cnoty, jak wąż pod kwiatami, czołga się i wije brzydka gadzina grzechu. Nikt więcj ode mnie nie pragnie widoku cnoty na świecie i nie jest skorszym do uderzenia przed nią czołem. Pokażcie mi człowieka, który, zamknięty w cichym pokoju, gdy inni bawią się i weselą, schylony nad księgami, z umysłu swego snuje myśli, mające być ludzkości nauką i zbawieniem, a powiem wam, że to człowiek cnotliwy. Pokażcie mi ciemnego i niezmordowanego pracownika, który własną ręką prowadzi pług po ziemi rodzinnej i pędzi żywot w ubogiej zagrodzie pracowicie a uczciwie, a z gorącym uznaniem uścisknę cnotliwą dłoń jego. Pokażcie mi tego, kto, zapatrzony w gwiazdę umiłowanej jakiejś idei, idzie ku niej przez ciernie i, raniąc stopy swe o kamienistą drogę, niezmęczony ni-



czem, niczem niezachwiany, dąży do celu, który sobie postawił, jako zadanie żywota — a schylę czoło przed cnotliwem jego obliczem. Pokażcie mi niewiastę, pędzącą swe życie przy ognisku domowem, nad kolebką dziecięcia, będącą rozkoszą i pociechą męża pracownika, mistrzynią i aniołem stróżem synów, którzy z pod jej opiekuńczego skrzydła wychodzą w świat ludźmi dzielnymi, a uwielbię ją w cnocie jej i zacności. Ale nie mówcie mi o ludziach cnotliwych, którzy pędzą swe życie z założonemi próżniaczo rękoma, a z ustami wiecznie otwartemi ku ogłaszaniu swęj cnoty; nie mówcie mi o tych, co klękają przed ołtarzami z jednem okiem, utkwionem w obliczu Boga, a drugim, zatopionem w okna mieszkania sąsiada; nie mówcie mi o tych, którzy wiele mówią, a nic nie czynią. Albowiem rzeknę, że to są obłudnicy, a cnota ich jest owym potworem, który skrzydłami nietoperza kapie się w ciemnościach, kąsa żądłem żmii, ucieka od sądów ludzkich zajęczemi nogami, a przykrywa się chytrze lisim ogonem. Tacy cnotliwi cnotę swą posiadają nie w piersi, ale na ustach, niby wystawę sklepową wywieszają ją na widok publiczny, noszą się z nią po kościołach i domach sąsiadów, owijają ją w różańce i szklaplerze, śpiewają o niej sami pieśni najtkliwsze, używają jej za misterną zasłonę ku pokryciu grzechów swych terażniejszych lub przeszłych, ostrzą na niej żądła, któremi wykluwają oczy bliźnim, czynią z niej sobie okulary, mające ukryć belkę w ich

żrenicach, a w oku bliźniego źdźbła dopatrzeć. Z takich cnotliwych tworzą się zastępy pobożnych plotkaczy, obłudnych dewotów, dumnych nikczemników, próżniaków, pracujących językami. Tacy cnotliwi są młynami; w drobny proch rozcierającemi dobrą sławę bliźniego, żółcią, rozlaną pod stopami spokojnie idących ludzi, kolcami, o które kaleczą się stopy przechodniów.

Z takimi cnotliwymi rozminąć się niepodobna, bo oni są wszędzie: w kościele, w domu, na rynku miejskim, w zamku, pod oknem dla podpatrzenia, pod drzwiami dla podsłuchania, z rana, wieczorem, w południe; a tam ich jest największa liczba i tam są oni najczęściej, gdzie najwięcej jaśnieje młodość, piękność, rozum lub cnota prawdziwa, bo zalety te u bliźnich ranią wzrok ich boleśnie, ich, którzy sami jedni na świecie pragnęli-by być młodymi, pięknymi, rozumnymi, cnotliwymi,—a cnotliwymi przedewszystki em.

Śród takich cnotliwych, ludzie, wielcy pracą, poświęceniem, miłością, wdziękami, rozumem, znajdują się niby zamknięci w fortecy, której ściany zapisane są od góry do dołu prawidłami najsurowszej moralności. Prawidła te przepisują porę dnia, w której wolno lub niewolno ukazywać się na ulicy, towarzystwo, z którym wolno lub niewolno przestawać, osoby, które wolno lub niewolno kochać, barwy sukien i formy kapeluszy, których wolno lub niewolno używać. A główną zasadą prawideł tych są słowa: „rób-

cie wszyscy, jak my robimy, idźcie na prawo, gdy my tak idziemy, postępujcie na lewo, jeśli my tam postępujem, spuszczaćcie oczy, kiedy my je spuszczaamy kochajcie tych, których my miłujemy, nienawidźcie każdego, kogo nam podoba się nie lubić! Jednej tylko wystrzegajcie się rzeczy, to jest: grzeszyć tak, jak my grzeszymy, albo grzeszyć pragniemy a nie możemy, bo powalimy was o ziemię cnotliwemi językami i ukamienujemy książkami do nabożeństwa”.

Zgodzicie się państwo na to, że tacy cnotliwi są szarańczą, która obsiada niwę ludzkości i wyskubuje z niej najpiękniejsze ziarna, że takich cnotliwych musiało być bardzo wiele w grzesznej Sodomie, bo bez nich Sodoma Sodomą-by się nie stała. Oni-to są na świecie długouchemi, a nie długonogiemi bocianami, które wysłuchują przez dziurki od klucza, wypatrują przez szpary okienic; a gdy tylko posłyszają wdzięczny śpiew słowicy, albo lot orli zobaczą, to wraz słowika lub orła dziobią, skubią, szczypią, kołają, ranią, czyniąc to w imię cnoty, przez miłość bliźniego i dla większej chwały Pana Boga. Ale nie daną im jest moc zniszczenia tego, co Stwórca zesłał na świat dla istotnej chwały swojej, pożytku ludzkości i tryumfu prawdy a piękna. Daremnie silą się długouchy bociany, aby wszystko na ziemi uczynić do siebie podobnym, aby w szponach swych zgnieść i rozszarpać wszelki wdzięk i niewinność. Wielu wprowadzie łatwowiernych uda się im w błąd wprowadzić, wielu sercom ciężkie

potrafią zadać rany, wiele nawet istnień ludzkich zła-  
mia i zniweczą; ale i sami prędzěj lub późniěj upadną  
w głęboki dół, który przed stopami innych kopali.  
Prędzěj czy późniěj nadejdzie godzina, że spadnie  
z ich twarzy maska obłudy i ukaże trąd, którym są  
okryci; sprawiedliwość, rządząca światem, zedrze z nich  
cnotliwą skórę, którą się okrywali, a z niej, jak ga-  
dziny, wypełzną ukrywane grzechy ich, aby ludzie, pa-  
trząc na nie, cofali się ze wstrętem i pogardą. A or-  
ły, których skrzydła połamać oni chcieli, wzniosą się  
pod obłoki swobodnie i kąpać się będą w promieniach  
słonecznych; słowiki, których głos tłumili swém kra-  
kaniem, wdzięczną pieśń swoją rozśpiewają po świe-  
cie...”

Powiedziawszy te wyrazy, umilkł Gaczycki, a choć  
już nic nie mówił, długo jeszcze zdawało się tym, co  
słuchali, że w powietrzu brzmi głos jego, w którym,  
z za smutku i surowości, dźwięczał sarkazm, niby od-  
dalone a ostre stali o stal uderzenie. I znowu kilka  
minut było powszechnego milczenia, gdy nagle nie-  
młody jakiś mężczyzna, o poczciwój i rozumnej twarzy,  
stojący najbliżej Gaczyckiego i słuchający jego mowy  
ze szczególną uwagą, wyrzekł:

— Ślicznieś pan powiedział. Ale, wysłuchawszy  
słów pańskich, każdy zwyczajny poczciwiec, pragnący  
rozdzielić prawdę od fałszu, znajdzie się w niema-  
łym kłopotcie. Jakież bowiem są znaki, po których

poznać można prawdziwą cnotę między tłumem fałszywych jej wyznawców?

Gaczycki zwrócił się do interlokutora, i odpowiedział :

— Znaki te są: prostota i przebaczenie. Tak— mówił dalej — cnota prawdziwa jest cichą, bo brak jej czasu do głośnego objawiania się ludziom, nie chępi się, bo uważa się za konieczność, nieobowiązującą nikogo do pochwał; nie stroi się w sztandary i emblemata, bo czuje się sama przez się piękną; nie wymaga ludzkich oklasków i uwielbień, bo sama w sobie znajduje dostateczne wynagrodzenie i ma głębokie wewnętrzne radości, których dać nie może żadna chwała ziemską. Cnota prawdziwa, jak prawdziwa miłość, posiada swoje poczucie skromności. Wszak jeśli widzimy parę ludzi, zbyt jawnie i publicznie okazującą sobie wzajemną miłość, mamy ją w podejrzeniu, że objawów swych używa za zasłonę istotnej oziębłości i że tworzy małżeństwo tylko z imienia, spójne interesem nie miłością. Otóż, jeśli człowiek zbyt głośno objawia miłość swą dla cnoty i czyni z niej demonstracye publiczne, znać to, że tworzy z nią małżeństwo, zawarte dla interesu, a pod objawami miłości ku cnotcie kryje rzeczywistą dla niej oziębłość! Obok tego, prawdziwa cnota jest pełną przebaczenia. Człowiek istotnie cnotliwy nie skory jest do podejrzeń, bo z trudnością pojmuje skłonność do występku, a jeśli i widzi występki, przebacza, bo lituje się

nad nieszczęśliwym, niedoznającym wysokich uciech, jakie daje cnota, a jakich on sam doświadcza. Ten, kto jest najskorszy w obwinianiu o grzech bliźniego, sam grzeszy z pewnością. Kto w drugich z łatwością dostrzega cienie, sam jest ciemny. Zwykliśmy sądzić innych wedle siebie i mierzyć wszystko własną miarą. Nie ufajmy nigdy cnocie tych, którzy są okrutni. Zbytńia surowość nie idzie w parze ani z chrystyanizmem, ani z filozofią; pierwszy jest dobrocią, druga wyrozumiałością, a bez jednego i bez drugiego niema cnotliwego człowieka. Jeśli zobaczycie człowieka, który się modli, rozdaje jałmużny, prawi kazania o uczciwości, staje na straży moralności publicznej, a zarazem uderza pięścią w barki upadającego brata, aby niżej jeszcze runął, i krzyczy na niego: — „harro!” — bądźcie przekonani, że to obłudnik, który chce się wywyższyć kosztem upadku i poniżenia bliźniego. Ale jeżeli wzrok wasz upadnie na takiego, który ci-cho pracuje ku pożytkowi swemu i ludzi, sam wiedzie żywot bez skazy, a na widok występku brata roni łzę litości i do występnego wyciąga rękę z pomocą i pociechą, o takim śmiało wyrzec możecie: — „ten jest cnotliwym”. Co do mnie, wyznaję, że występkiem, którym się najmocniej brzydzę, jest obłuda, a cnotami wzbudzającemi we mnie cześć najwyższą są: prostota i przebaczenie.

To rzekłszy, Gaczycki postąpił kilka kroków w kierunku gospodyni domu i rzekł z ukłonem :

— A teraz zostaje mi tylko przeprosić państwa, że tak długo zająłem ich moją rozprawą o cnocie prawdziwej i fałszywej. Wypadło to jakoś z rozmowy i mego dzisiejszego nastroju. Państwo oczekujecie pewnie z niecierpliwością kadryla i walca, a mnie czas iść robić przygotowanie do jutrzejszej podróży. Zatém...

Tu skłonił się całemu towarzystwu na znak pożegnania i skierował się ku drzwiom.

Wyszedł, ale pozostałe w salonie osoby długo jeszcze milczały, rozmawiając tylko zamianą spojrzeń i uśmiechów. Nikt też nie zauważył, że za wychodzącym gościem wysunął się do przedpokoju pan Spirydion As.

— Edwardzie — rzekł, biorąc rękę Gaczyckiego — przyznaj, że w historyi, którą opowiadałeś, moja osoba grała niepoślednią rolę. Ten chiński Kyang, to ja...

— Wyznaję, że tak jest—odpowiedział Gaczycki.

— A więc gdzież jest to dziecko? — spytał pan Spirydion, którego twarz oblokła się niezwykłą mu powagą i smutkiem.

Gaczycki wy dobył arkusz papieru i, oddając go panu Asowi, rzekł:

— Oto są spisane zeznania stariej sługi, tej kobiety, która w dwa tygodnie po ich złożeniu umarła. Z nich dowiesz się o wszystkim.

Pan Spirydion wziął papier i, ściskając dłoń Gaczyckiego, wyrzekł:

— Dziękuję ci. Oddałeś mi znakomitą przysługę. Nudzę się od pewnego czasu śmiertelnie i sam nie wiem, co zrobić z tym kawałkiem serca, który mi jeszcze w piersi pozostał. Niezdarne wiodłem życie. Znudziła mnie gra w karty, szampan zaczął sprawiać mdłości, zapomniałem, jak zdobywać serca kobiece westchnieniami, a sprzykrzyło mi się kupować je za klejnoty. Jeździłem do Paryża i osiadałem na pustyni, a pustynia znudziła mnie, jak Paryż, i Paryż, jak pustynia. Zacząłem już zazdrościć poczciwcom, którzy hreczkę sieją, dzieci hodują i, w swoim kącie siedząc, Pana Boga chwala.

Teraz będę miał cel życia. Sam wychowam to biedne dziecię, i może przez to naprawię w części krzywdę, jaką wyrządziłem jego matce, boć ja pierwszy przecie wprowadziłem ją na drogę błędów i obłudy. Uspokoję moje sumienie, które mi zawsze wyrzucało ten postępek, i będę miał komu oddać mój kawałek serca, który dopominał się o użycie go.

— A przedewszystkiēm zwrócisz opuszczonemu dziecku dach i serce ojcowskie — odpowiedział Gaczycki i, uściskawszy dłoń Asa, oddalił się.

Kiedy pan Spirydyon wrócił do salonu, pierwsze słowa, które uderzyły jego uszy, były słowa pani Olimpji, mówiącej z dumnie podniesioną głową:

— Przyznajcie państwo, że pan Gaczycki dziwną i całkiem nieprawdopodobną opowiedział nam



historiją. Taka kobieta, jak ta pani Fu, nie mogła exystować w żadnym wyższym towarzystwie.

Kiedy pani Olimpia wymawiała te słowa, w kilku stronach salonu dał się słyszeć bardzo cichy i bardzo prędko powstrzymany śmiech. Posiadała ona brzmiące imię i wysoką w świecie pozycją; śmiać się tedy jej kosztem zdało się towarzystwu rzeczą arcy nieprzystojną.

Ale ozwała się wnet pani Teresa.

— Niepodobna też przypuszczać exystencji takiej kobiety, jak pani Lu. Nie wierzę, aby na świecie były podobne błędy i podobna obłuda.

Tym razem w kilku stronach salonu odezwał się śmiech głośniejszy i dłuższy nieco, niż poprzedni. Pani Teresa posiadała mniej brzmiące imię i nie tak wysoką pozycją w świecie, jak pani Olimpia; śmiać się tedy jej kosztem wydało się towarzystwu rzeczą trochę przyzwoitszą.

— Ani też w panią Ru wierzyć można — rzekła pani Apolonia. — Któż kiedy słyszał, aby kobieta, która wiele modli się i rozdaje jałmużny, była złą żoną i matką, albo siała między ludźmi niezgodę i potwarz!

Teraz w różnych stronach salonu zabrzmiał śmiech znacznie głośniejszy i dłuższy, niż poprzedni. Pani Apolonia nie posiadała wcale brzmiącego imienia, ani wysokiego położenia w świecie, śmiać się więc jej ko-

sztem wydało się towarzystwu rzeczą daleko przyzwoitszą.

— Już to ogólnie wiadomo — zadźwięczał młody i świeży głosik z jednego rogu salonu — już to ogólnie wiadomo, że łatwiej jest dopatrzeć źdźbło w oku bliźniego, niż belkę w swoim zobaczyć!

Wyrazy te wymówiła malutka osóbką w różowej sukni, z głową okrytą złocistemi loczkami.

— Cicho, Stasiu, cicho! narażasz się! — szepnął siedzący przy niej mężczyzna, ale słowa jego zagłuszone zostały głosem pana Rokowicza, który powstał wyprostowany i, wyciągając prostopadle prawicę, zawołał:

— Przepraszam! Gdybym był na miejscu tego męża, o którym mówił pan Gaczycki, a który... tedy.. tak dbał o moralność swego domu, a nie wiedział, że w swoim domu... ma... tedy... gdybym był na miejscu tego męża... Zatrzymał się na chwilę, jakby namyślając się, a potem wyrzekł: tedy... był-bym wielkim głupcem!

Tym razem we wszystkich stronach salonu wybuchnął śmiech głośny i długi, bo śmiać się z głupców cały świat uznaje za rzecz zupełnie przyzwoitą.

## W SZEŚĆ LAT POTEM.

O kilkanaście mil od miasta X., piękną górzystą okolicę przerywna szeroka pocztowa droga, wspaniale przyozdobiona rosnącemi z obu jej stron drzewami starych, wyniosłych dębów, wierzb i jarzębin.

Po-nad drogą tą stoi pałacyk, niezbyt wielki, ale pięknej lekkiej struktury, otoczony balkonami, wykładanemi marmurem, ukoronowany wysmukłą z blaszanem pokryciem wieżyczką, u której stóp rozciąga się szeroki taras, napełniony zamorskiemi roślinami. Pałac ten otaczają ogrody o cienistych starożytnych alejach, park z szerokim stawem, grotami, wodotryskami i posągami, zwierzyniec, po którym, między rzadką kolumnadą gładkich sosen i w gęstwinie gajów, mkną złociste daniele, albo, z szelestem łamiąc gałęzie, przebiegają hoże sarneczki.

To pańskie i pełne smaku mieszkanie otaczają łany szerokie i żyzne, po wzgórzach, widniejących z daleka, nad szumiącemi potokami osiadły wsie z po-

rzładnie pobudowanemi i malowniczo rozsianemi domami. O wiorstę odległości wznoszą się grube i wysokie mury obszernej jakiejś fabryki, a około niej mrowią się ludzie, i rozlega się turkot a stuk mnogich machin. Niedaleko fabryki ciągną się niższe od niej, ale wielkie budowy, niby szpitale jakieś lub szkoły; a na najwyższem wzgórzu bieleje duży murowany kościół, i kilka wyniosłych marmurowych grobowców strzela w obłoki złoconemi krzyżami.

Gdzie spojrzeć wokoło dworu tego, widoczne zobaczyć można oznaki ładu, dostatku, pracy, przemysłu, czyjś rozumnej a dobroczynnej zapobiegliwości. Piękna natura połączyła się tam z pracowitą ręką i wyższą myślą człowieka, a wspólka ta utworzyła światek malowniczy, zamożny, widocznie przemyślny, w którym swobodnie oddychała pierś każda i każdy umysł znajdował przedmioty, na których mógł zatrzymać się z pożytkiem i upodobaniem.

Niedaleko pałacu, tuż naprzeciw parku, który go otacza, bieleją obszerne murowane budowy stacyi pocztowej, a przed nią od czasu do czasu zatrzymuje się i dźwięczy dzwonek podróżnych, jeszcze jeden odgłos życia i ruchu wlewając w ożywione i zaludnione miejsce.

Dzień majowy miał się ku schyłkowi, słońce zatoczyło się już za wzgórza, zamykając widnokrąg, a zbliżała się ta najpiękniejsza letnich dni pora, gdy nadchodzący wieczór walczy z ostatnimi brzaskami zni-

kającego dnia, a świat okrywa się tajemniczym półcieniem, wśród którego z ostatnim świergotem usypiają utulone w gałęziach ptaki, a drzewa i rośliny zdają się zapadać w marzenie, wydające z siebie woń zdwojoną. Wtedy gwiazdy jedna po drugiej wypływają na szarawe a pogodne obłoki, nowy księżyc bledziuchną półobręczą migotać zaczyna między gałęzmi, słowik odzywa się z dala urywanemi tonami, witając noc, która mu niesie natchnienie. Na skraju widnokregu purpurą i złotem iskrzy się jeszcze szeroki pas obłoków, niby ostatnie pożegnanie, słane ziemi od dnia, który kędyś w inne zatacza się strony.

O takiej-to porze, po cienistej starożytniej alei, obok której, za wytwornemi sztachetami, widać było biały pas drogi pocztowej, powolnym i zadumanym krokiem przechadzała się młoda i piękna kobieta. Ubrana była w białą powłóczystą suknię, a w wysoko wzniesionych, płowych włosach, kwitła, świeżo snadź zerwana, pyszna różowa centyfolia. Wyglądała na lat dwadzieścia kilka. Pomimo zamyślenia, z jakim się przechadzała, twarz jej miała cechę zupełnego moralnego spokoju i zadowolenia; gładkie czoło było wypogodzone, a wielkie szafirowe oczy patrzyły na świat z tym spokojem i tą cichą radością, jaka płynie z dojrzałości ducha i ze zgody, w jakiej człowiek zostaje z samym sobą. Krok jej był pewny i śmiały, formy ciała, lubo wysmukłe i delikatne, oznaczały zdrowie fizyczne i siłę, na ustach spoczy-

wał wyraz dobroci i niby lekki odcień rzewnej zadumy.

Wokoło przechadzającej się kobiety cisza była zupełna, przerywana tylko szmerem owadów, układających się wśród trawy do nocnego spoczynku, albo pojedynczemi tonami słowika, próbującego śpiewać w gęstwinach parku. Z drugiej strony pałacu wrzał jeszcze gwar i ruch żwawo partych do końca prac dziennych; turkotały wozy, huczały gospodarskie maszyny, rżały konie i odzywały się liczne głosy ludzkie. Ale echo nawet całego ruchu, przez znaczną przestrzeń, nie dochodziło do ogrodowej alei, w którą stopniowo zapadać zaczynał szarawy zmrok wieczorny, a nad którą sklepienie niebios ozdobiło się już kilkunastkami gwiazdami, niepewnym jeszcze światełkiem migającym wobec niezupełnie znikłego dnia.

Z dala, z dala, do uszu młodej kobiety przypląnął odgłos pocztowego dzwonka, zbliżał się coraz, aż umilkł u skraju parku, w stronie, kędy była pocztowa stacya. Zwykły ten dźwięk nie rozwiął zamyślenia, ani zwrócił nawet uwagi przechadzającej się kobiety. Nie przerywała swęj przechadzki i, ze spokojem woku, biegła spojrzeniem po-za przejrzyste sztachety, na pola, kędy rozsiadała się coraz szerzej biała mgła letniego wieczora.

Nagle na drodze, tuż obok sztachet, dały się słyszeć stąpania, i mężczyzna w podróżnym ubraniu, o wysmukłej i kształtnej postaci, zjawił się po dru-

gięj stronie sztachet, powolnym krokiem przechodząc obok alei, po której chodziła kobieta. Szedł, twarzą zwrócony ku ogrodowi, może zjęty ciekawością zajrzenia w głąb' tej przepysznej masy zieleni, z za której błyskały w oddali białe ściany pałacu.

Młoda kobieta zwróciła też twarz ku drodze i szli tak obok kilkadziesiąt kroków, przegrodzeni sztachetami i rzędem lip starych, patrząc na siebie, a nie widząc swoich rysów, powleczonych zapadającym mrokiem.

Nagle, nad zamykającymi widnokrąg wzgórzami, ostatnim, zdwojonym blaskiem zapłonął na chwilę iskrzący złotem i purpurą pas obłoków, z przeciwnej strony nad wierzchołkami drzew zamigotał księżyc srebrną półobryczą, a dwa te światła, łącząc się, rozświetliły twarze dwojga ludzi.

Niby magiczną dotknięci siłą, oboje stanęli na miejscu, jak wryci. Usta kobiety otworzyły się, jak do wydania okrzyku, ale zadrżały i zwarły się; mężczyzna nagłym ruchem podniósł rękę do czoła i podniósł głowę, jak człowiek, przed którym staje niespodziane a olśniewające go zjawisko.

Kilka sekund stali tak, niemi, z przyśpieszonym dwóch piersi oddechem. Kobieta postąpiła pierwsza, szybko przebiegła aleję i stanęła na progu furtki, wiodącej z ogrodu na drogę pocztową. Mężczyzna w mgnieniu oka był przy niej, i oboje wyciągnęli do siebie drżące dłonie.

— Pani! Wando! — zawołał mężczyzna stłumionym od wzruszenia głosem.

— Panie Auguście! o, jakże niespodzianie ujrzałam tu pana! — cichym szeptem wymówiła kobieta.

August patrzył na nią czas jakiś, nie mogąc ani słowa wymówić.

— Dawno już nie widziałem pani! — zaczął przyrywanym głosem; widoczném było, że wzruszenie mieszało mu ciąg myśli. — Sześć lat! mój Boże! wszak to wiek cały... Przyrzekłem, że szukać pani nie będę, dopóki nie będę miał prawa złożyć u stóp twoich całego życia mego... Stało się tak... jestem wolny... jadę do ciebie... Jakież to miejsce jest, w którym panią znajduję?... jakim sposobem pani tu jesteś?...

Umilkł; tchu mu do mówienia zabrakło. Na twarzy Wandy dziwne zagrały uczucia; zbladła, wysunęła dłoń z ręki Augusta i, odstępując od niego parę kroków, wyrzekła poważnym, niemal uroczystym głosem:

— Panie Auguście! znajdujesz się u progu domu pana Edwarda Gaczyckiego, a ja... jestem jego żoną!

August zadrżał, głuchy jęk wydobył się z jego piersi, a księżyc, który w téj chwili świetnie z za drzew wypłynął, posępny blask rzucił na bladą twarz jego. Stał chwilę niemy, z pochyloną na piersi głó-



wą, z ręką bezwiednie naciśniętą na żelazną ozdobę furtki, u której stali.

— O, marzenia! o, nadzieje ludzkie! — wyrzekł z cicha do siebie, i boleść wielka zawisła mu na ustach. Ale po chwili podniósł głowę, z miłością i bólem wpatrzył się w twarz Wandy, i odezwał się głosem, w którym były całe skarby serdecznego ciepła:

— Teraz pragnę już tylko wiedzieć, czy pani jesteś szczęśliwą?

— Zupełnie! — odpowiedziała Wanda, a w głosie jej i wyrazie twarzy była prawda.

August zamyslił się długo, smutnie.

— Przebacz pani, — zaczął po chwili — że, uderzony nagłym ciosem, którego wprawdzie mogłem się spodziewać, ale o którym nie byłem pewny, że mnie spotka, nie zdołałem od razu ukryć boleści mojej. Sześć lat marzeń, wypieszczonych głębokiem i niezatartem uczuciem, nieśmiały, a jednak nieprzeparowanych nadziei, snuty, w cierpieniu i tęsknocie, i nagłe rozbicie się tych nadziei o słowo, słowo jedno, ale jak śmierć stanowcze, nie może przyjść człowiekowi bez jęku, choć-by on tylko sekundę dźwięczeń miał w jego piersi. Przebacz, pani, że śmiały jęk ten wydać wobec ciebie, ale... jechałem z nadzieją, że jutro, pojutrze uklęknę przed tobą, i powiem ci to, czego mi niegdyś mówić nie było wolno... Gdy nadzieja taka rwie się i pęka, to i w sercu człowieka, któremu ona życiem była, musi zadźwięczeć struna boleści...

Ale, gdy pani szczęśliwą jesteś, to mi już lżej będzie ponieść w świat z sobą cierpienie moje...

Umilkł, po twarzy Wandy spływała łza. Łagodnym i poważnym ruchem ujęła jego rękę i rzekła z cicha :

— Pójdź! zobacz, jakiem jest życie i szczęście moje!

I szli oboje przez cieniste aleje, po których księżyc kładł białe szerokie smugi. Nad ich głowami rój gwiazd migotał na ciemnym sklepieniu, a z oddali słowik donośnemi tony, przyśpiewywał, wtórując ich myślom.

Zamyśleni i milczący doszli aż do miejsca, w którym rozstały się rzędy lip starych, otwierając przejście na szeroką, pełną kwieciami przestrzeń, u której brzegu stał pałac z oknami, błyszczącemi światłem. Wstąpili z wolna po wschodach, wiodących na wzniesiony balkon pałacu, i weszli do wnętrza mieszkania. Oświetlone salony przybrane były z bogactwem i smakiem; blask lamp odbijał się w licznych zwierciadłach i oświecał po ścianach obrazy, malowane mistrzowskim pędzlem. Obszerna biblioteka zawierała skarby, które-by mogły stanowić rozkosz uczonego; wszędzie rozlewała się woń kwiatów w połączeniu ze spokojną ciszą, przerywaną tylko ostrożnym po kobiercach stąpaniem licznej służby.

Wanda zwróciła się do Augusta.

— Bogato tu i pięknie — rzekła — ale nie to bo-

gactwo pokazać ci chciałam, nie ono stanowi treść i ozdobę życia mojego! Pójdź pan dalej!

Wywiodła go na taras, wypełniony kwiatami i wznoszący się wysoko nad okolicą całą. Przed oczyma Augusta roztoczył się widok szeroki, oświetlony blaskiem księżyca, wśród którego otaczające pałac, wieś i budowy występowały z wyraźnością wielkich cieniów, narysowanych na tle światłem.

Wanda wiodła przez chwilę spojrzeniem wokoło, potem, jedną ręką wspierając się o kwitnące tuż obok drzewo pomarańczy, drugą wskazała mu rozległą przestrzeń, rozłożoną u stóp jej pałacu, i rzekła:

— Patrz pan, oto królestwo, nad którym panuję wraz z człowiekiem, którego żoną uczyniło mnie przeznaczenie. Gdy po raz pierwszy przestąpiła próg jego domu, on mnie przywiódł na to samo miejsce, na którym stoimy teraz i, pokazując mi tę przestrzeń rozległą, rzekł do mnie: — „Oto jest miejsce, w którym mamy przepędzić życie uczciwie i pożytecznie; oto bogactwa, które Opatrzność złożyła w nasze ręce, abyśmy umieli nimi rozrządzać z korzyścią dla siebie i innych; tu ma roztaczać się zadanie naszych dwóch istnień, tu ręka w rękę powinniśmy iść ku celom rozumnym a zacnym, pomagając sobie wzajemnie”.

Tak mówił Edward, kiedy po raz pierwszy wprowadził mnie tu, jako żonę swoją, a z jego duszy przeszedł w moją duszę spokój i siła. Do owego czasu

życie moje było tylko jednym ciągiem marzeń i przeczuć, tu, przy nim, pod kierownictwem jego, nauczyłam się myśleć i działać, pojęłam rzeczywiste warunki i zadania życia. Uszanowałam wysoko człowieka, który mnie podniósł moralnie, a wierz mi pan, że jeśli mężczyzna zdoła przelać w kobietę siłę i treść swego ducha, to już kobieta ta mężczyznę tego pokochać musi koniecznie.

Umilkła Wanda na chwilę, potem mówiła dalej :

— Przed sześciu laty byłam smutna i rozżalona, on pierwszy wyrzekł do mnie słowa pociechy; źli ludzie ścigali mnie potwarzą i obelgą, on mnie od ich pocisków obronił; utraciłam matkę—on natychmiast podał sierocie dłoń przyjaźni i mężkiej opieki. Ujrzałam się na świecie samą jedną, poczułam pustkę w życiu, zapragnęłam domowego ciepła, obowiązków, tych wszystkich słodkich uczuć i nadziei, które są treścią i rozkoszą życia kobiety. On mi podawał to wszystko. Przyjęłam. Przyjęłam ofiarę jego zacnego serca, i nie żałuję tego, a tylko pragnę ofiary tej godną zostać na zawsze.

Przy ostatnich wyrazach głos Wandy zadrżał tonami niezmiernej czułości, słyhać w nim było miłość i cześć dla człowieka, o którym mówiła. August patrzył na nią, boleść miał w oczach, ale na twarzy wyraz tej rzewnej radości, którą człowiek, sam smutny, czuje na widok zacnego szczęścia ukochanych swoich.

Wanda wyciągnęła znowu rękę i wskazała liczne budowy, rozsiane w przestrzeni i oświetlone księżycem.

— Patrz pan! — mówiła — tam mieszka ludzi mnóstwo, a wszyscy jemu zawdzięczają byt, spokój i światło. Oto jest fabryka, którą on założył, a która dzielnie wzmaga ruch przemysłowy prowincyi całej, dając pracę mnóstwu ludzi, a pracą tą zabezpieczając ich byt fizyczny i podnosząc godność moralną; tam znowu wznosi się szkoła, jego postawiona ręką, w której dzieci robotników i włościan nabywają wiedzy, i uczą się być uczciwymi; tu jeszcze jest szpital, stworzony przez niego, jako schronienie dla cierpiących fizycznie i zmęczonych długimi latami pracy; a tam leżą wsie, pełne biednych i ciemnych ludzi, którym on, bogaty i wysoko urodzony, daje z siebie przykład uczciwości i pracowitego życia, którzy go wszyscy poważają i wzywają do rozsądzania swych sporów, pomagania im w nieszczęściach, radzenia w troskach. I w tém całym działaniu, które on sobie wziął za cel istnienia, ja mu towarzyszę, jestem z nim wszędzie, zastępuję go często, radzę mu, pomagam, pocieszam go, gdy smutny zawodami, przywiązaniem do każdej pracy ludzkiej, wlewam w niego nową siłę, gdy zmęczony, i dumna jestem, i szczęśliwa nad wyraz z tego, że mogę dzielić trudy i radości zanego i rozumnego człowieka.

Cudownie piękną była Wanda, gdy to mówiła. Twarz jej jaśniała wysokim nastrojem ducha, a biało

przybrana jęj postać, w dumnych i szlachetnych zarysach, odznaczała się na ciemném tle drzew, które ją otaczały. August patrzył na nią z uwielbieniem.

— A teraz — rzekła jeszcze — pójdź pan i zobacz główne zadanie i największą rozkosz mego życia!

I znowu powiodła go przez rząd bogatych salonów, aż weszli do małego pokoju, na którego białe ściany padało światło z płonącej na kominku alabastrowej lampy. W głębi pokoju tego stała kunsztownie rzeźbiona kolebka, przysłoniona leciuchnem pokryciem z różowej krepy. Wanda uniosła przezroczystą zasłonę i pokazała Augustowi uspięone kilkunastumiesięczne dziecię.

— Oto syn mój! — wyrzekła głosem, w którym była najwyższa miłość i radość. — Mam syna, panie, — dodała po chwili — a gdy ci powiem, że całym sercem odczuwam i całą myślą moją pojmuję wielkość i piękność imienia matki, odgadniesz, ile szczęścia i nadziei dziecię to wlewa w me życie!

August zamyslił się nad kolebką długo, smutnie. Może myślał o tém, że jemu los nie dał ani odrobiny tych radości, ani jednej isierki tego szczęścia, których tyle roztaczało się tu wkoło niego; może przed wzrokiem jego wyobraźni stanęła w tej chwili posępna istota, obok której tak boleśnie spędził swą młodość, a która dziś już leżała w mogile; może mierzył myślą przyszłość swą samotną, pozbawioną tej kobie-

ty, o której lata całe przemarzył, odartą z imion męża i ojca, i pytał samego siebie: czy duch jego sprosta téj dłużej jeszcze, a tak smutnej przyszłości? Straszna sprzeczność jego losu z losem innych ludzi uderzyła jego serce. Patrzył może w oczy przeznaczeniu i pytał go o zagadkę swego życia.

Wanda odgadła, albo odgadnąć pragnęła te myśli Augusta, bo patrzyła na niego oczyma, w których drżały łyzy litości i błąkało się odległe dawnego uczucia wspomnienie. Podała mu obie ręce.

— Panie Auguste! — rzekła — niegdyś mieliśmy sen krótki a poetyczny; w śnie tym wzajemnie zamarzyliśmy o sobie. Los, postawiwszy między nami nieprzebytą zaporę, zbudził mnie ze snu tego i, ukazując rzeczywiste życia potrzeby i powinności, przywiódł mnie tu, abym była towarzyszką i pomocnicą człowieka z zacnym sercem, strażniczką bogactw, które on włożył w moje ręce, matką i przyszłą przewodniczką dziecięcia tego. Twój sen trwał dłużej. Dziś przyszła chwila, w której rozwiać się powinien. Zapomnij pan o tém, co było, zostanmy przyjaciółmi, i obyś, po przerwaniu marzenia, znalazł taką rzeczywistość, do jakiej ja się z moich marzeń zbudziłam.

August w milczeniu uściśnął jej ręce. Nic nie odpowiedział, ale znać było po wyrazie jego twarzy, że ten sen przeszłości, o którym mówiła kobieta, tak

wrósł mu w piersi głęboko, iż mocował się z sobą z całej siły, aby uwierzyć, że był on... snem tylko.

— Gdzież jest mąż pani? — wyrzekł nakoniec. — Pamiętam, że miał dla niego zawsze szacunek wielki, i że kiedyś wyświadczył mi przysługę, z tą delikatnością i zacnością serca, które mu są właściwe. Chciał-bym uścisnąć mu rękę.

— Edward — odparła Wanda — wyjechał do X. na dni kilka, i lada chwila oczekuję jego powrotu. Zostań pan gościem naszym na długo. Gdy wróci, zobaczy tu pana z radością, bo często z nim rozmawiamy o tobie.

August zawahał się i przesunął ręką po czole.

— Nie! — wyrzekł po chwili, podnosząc twarz bardzo bladą — nie miej mi pani za złe, jeśli nie zostanę długo w twym domu. Nietrzeba, aby sen miniony uwyrażniał się nazbyt przed oczyma człowieka, jeśli nazawsze tylko snem pozostać powinien. Zmącił-by mu on jawę tak, że, z żalu po nim, mógł-by się zmącić sam rozum. Odjadę zaraz i wspomnienie o tobie, o pięknej duszy twojej, o twojem zacnem życiu, powiozę z sobą na zawsze czyste i światłe. Teraz, uczyni mi pani jedną tylko łaskę...

Wanda patrzyła na niego wzrokiem zapytania.

— Na ostatnie i nieodwołalne pożegnanie — rzekł August — zagraj mi pani jedną z tych pieśni, które niegdyś rozpoczęły sen nasz wzajemny o sobie,



i były potém snu tego ozdobą... Niech ją raz jeszcze posłyszę...

Po chwili, w jednym z salonów Wanda grała, a August słuchał jęj muzyki, myśląc może o owych chwilach wieczornych, w których przed laty ściagał uchem te same tony, okiem szukając, śród mroku ulicy, błyszczącego u góry okna piérwszego piętra...

W kwadrans potém Augusta nie było już w pałacu. W furtce ogrodowej stała Wanda, cała oblana światłem księżycowém; czoło na dłoń opuściła, po twarzy jęj ciche i rzesiste płynęły łzy. Z dala dochodził do nięj znikający coraz odgłos dzwonka pocztowego, oddalał się coraz bardziej, aż umilkł całkiem, zgłuszony przestrzenią. Wanda dumiała jeszcze i nie wiedziała może sama, jak długo tak stała, nieruchoma i cicho płacząca. Nagle poczuła czyjąś rękę, z wolna i łagodnie obejmującą jęj kibić. Odwróciła się i zobaczyła obok siebie Edwarda. Twarz męża Wandy powleczone była łagodną powagą i wzruszeniem. Popatrzył na nią chwilę i, niosąc rękę jęj do ust, rzekł:

— Wiem, że był tu August. Spotkałem go o parę wiorst od domu...

I otworzył przed żoną objęcia. Wanda rzuciła się w jego ramiona.

— Edwardzie! — zawołała — przebacz, żem płakała! on taki nieszczęśliwy!

Łagodną i pieśczącą dłoń przesunął po czole jęj i miękkich włosach,

— Wando moja! — wyrzekł po chwili — albowiem te łzy twoje obrażać mnie mogą? albowiem nie byłem sam świadkiem waszjej chwilowej i poetycznej miłości? albowiem nie wiem, że przeszłość nie przechodzi nigdy bezkarnie, i że, prędzej lub później, przychodzą od niej do człowieka wspomnienia, które choć na chwilę zamglą mu oczy i zachmurzą czoło żalnością? Pójdź ze mną, droga, do domu naszego, tam znowu spokój i szczęście odzyskasz!...

I znowu przez cieniste aleje, zasłane szerokimi płatami księżycowego światła, postępowała z wolna para ludzi. Ale tym razem kobieta ufnie i z miłością wspierała głowę swą na ramieniu mężczyzny; on jedną ręką otaczał jej kibić, a drugą dłoń jej na swą szlachetną utulił piersi.

\* \* \*

A tam daleko, na drodze pocztowej, jęczał i dzwęczał przeciągle dzwonek, i smutne oczy jadącego mężczyzny wpatrywały się w niebo, ustrojone gwiazdami, jakby mu z serca, pełnego boleści, słać chciały pytania :

Dlaczego, gdy człowiek, wędrujący po drogach ziemskich, widzi przed sobą szczęście, i już-już ma je pochwycić, los stawia przed nim nieprzebytą zaporę; a gdy zaporę tę zniesie ręka przeznaczeń i człowiek znowu ku szczęściu swemu się rzuca, los staje między nim a przedmiotem jego pragnień i woła znowu:

niemożna! ? Dlaczego najczęściej odmówionem jest ludziom to, czego najbardziej z natury swęj potrzebują? Czemu gorące serce nie ma na kogo przelać swęj miłości? czemu, kto działać pragnie, zamknięty jest losem w ciasnym zakresie działania? czemu, kto potrzebuje spokoju, spotyka burze, a za burzami tęskniący otrzymuje spokój w udziale? Jaką dziwną kłótnią prowadzi życie z pragnieniami człowieka! jak śmieszną igraszką nadziei i marzeń własnych jest człowiek !

Tak myślał August, długo, boleśnie. Ale coraz widnięj zaczynało się robić w duchu jego. Posłyszał nad sobą szelest skrzydeł gieniusza sztuki, który łagodnie spływał mu na czoło. W piersi jego snuć się zaczęła pieśń bolesna, ale wspaniała i długa. Wszystko wkoło niego śpiewać mu i grać poczęło. Od gwiazd wysokich płynęły ku niemu tony natchnione, drzewa przydrożne grały mu akordami, pełnemi powagi, a echa od wzgórz i pól dalekich niosły mu coraz nowe melodye, opiewające bóle, nadzieje i zawody serc ludzkich, i własną przeszłość jego, i ten pałac, obłany światłością, na którego wyniosłym tarasie, królewską dumą i anielską strojna dobrocią, stała postać kobiety w bieli.

I wywołana zakłęciem téj pieśni, co w piersi jego brzmiała, stanęła przed oczyma jego wielka i promienna gwiazda od młodości ukochanej przez niego sztuki, a ukazując mu na łonie swojém schronienie

i spokój, wołała na niego z miłością: „Rzuć się w moje objęcia!”

I odgadł August zagadkę przeznaczenia swego, i zrozumiał, dlaczego cierpiał i spotykał ciężkie w życiu zawody. I duchem, podniesionym wysoko, pojął, że łzy, płynące z oczu człowieka, użyźniają jego serce; że tylko na gruncie wielkich boleści powstają uczucia wielkie, i wielkie myśli rodzą się z różnych doświadczeń i kolei życia. Kto nigdy nie zaznał smutku, ten kochać nie umie; kto nigdy nie borykał się z losem przeciwnym, tego umysł na zawsze karłem zostanie; a kto cierpiał wiele a mężnie, ten tylko ducha swego zdolen światu wyśpiewać czynem lub pieśnią.

K O N I E C.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAŃ**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-071 WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>  
Tel. 26-68-63, 26-62-81 w. 42





<http://rcin.org.pl>

F  
2536